

*Bestsellerowa powieść z cyklu
o MAJOR KAMIŃSKIEJ*

ALEKSANDRA
MARININA

**HARMONIA
ZBRODNI**



**HARMONIA
ZBRODNI**

ALEKSANDRA
MARININA
**HARMONIA
ZBRODNI**

Przełożyła
Aleksandra Stronka



Tytuł oryginału: *Призрак музыки*

Copyright © Aleksandra Marinina, 1998

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Poznańskie, 2020

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadzący: Szymon Langowski

Redakcja: Agnieszka Zygmunt/Słowne Babki

Korekta: Lena Marciniak-Cąkała, Zofia Żółtek/Słowne Babki

Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski

Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Banachowicz

Fotografia na okładce: © Malivan_Iuliia/Shutterstock

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66517-53-0

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

SPIS TREŚCI

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Życie niczym kryminał](#)

Rozdział 1

Było mu dobrze. Rano zażył działkę, więc teraz jego dusza pławiła się w poczuciu głębokiego i niewzruszonego spokoju. Nie drażnił go nawet męczący upał, który trwał od wielu dni. Tak było zawsze po prochach: upał – dobrze, zimno – też dobrze, trzeba siedzieć – dobrze, można się położyć – dobrze. Wszystko pasuje, nic nie przeszkadza.

Umysł pracował jednak na przyspieszonych obrotach, co również było efektem zażycia działki. Upał odpowiadał mu także z tego powodu, że w ten niedzielny poranek w Moskwie należało dołożyć sporych starań, by dojrzeć przypadkowego przechodnia. Kto mógł, wyjechał za miasto, kto nie mógł, siedział w mieszkaniu z włączonym klimatyzatorem albo, w najgorszym razie, z zaciągniętymi zasłonami w oknach, toteż niewielu znalazło się pomyleńców, którzy nie mieli nad sobą litości i szwendali się po ulicach. Nic w tym dziwnego, skoro w słońcu termometr pokazuje trzydzieści dziewięć stopni, w cieniu trzydzieści pięć, a dookoła rozpalone, buchające żarem mury domów i najmniejszego podmuchu wiatru. A jeśli dodać do tego spaliny samochodowe, które chyba nigdzie nie znikają, nie wyparowują, nie rozptywiają się i nie unoszą, ale wiszą nieruchomo w miejscu, w którym wydobyły się z rur wydechowych... Krótko mówiąc, to jasne, że jeśli człowiek potrafi wykrzesać dla siebie choć odrobinę współczucia, za nic w świecie nie będzie się włóczył bez powodu po moskiewskich ulicach w ten wspaniały, słoneczny czerwcowy dzień.

Skoda felicia koloru bakłażana, a mówiąc prościej, ciemnofioletowa, stała tam, gdzie mu powiedziano, przed domem numer osiem. Mężczyzna zatrzymał się obok, z papierosem w ręku, upuścił zapalniczkę, ledwie zauważalnym ruchem buta pchnął ją dalej, pod samochód, po czym przykucnął, żeby podnieść. No i gotowe, zdalnie sterowany ładunek wybuchowy został przymocowany do podwozia, na

wysokości siedzenia kierowcy. Mężczyzna się wyprostował, zapalił papierosa i nieśpiesznie ruszył przed siebie. Znalazł odpowiednią ławkę, co prawda w samym słońcu, ale nie szkodzi, to żaden problem. Gdyby była w cieniu, na pewno zjawiłaby się jakaś namolna babina, żeby odpocząć na świeżym powietrzu, a tak nie grozi mu niewygodne sąsiedztwo.

Usiadł na ławce, nasunął słuchawki na uszy, wcisnął guzik wiszącego przy pasku odtwarzacza i zatonął w muzyce. Dzisiaj rano długo wybierał kasety, które zamierzał ze sobą zabrać, niewykluczone przecież, że będzie musiał długo czekać. Wybierał, przebierał, umieszczał na osobnym stosiku, potem krytycznie przeglądał to, co odłożył, wsuwał z powrotem i znowu szukał. Wreszcie się zdecydował. *Ballady Cień księżycy* i *Symfonia Szkocka* Mendelssohna. Ballady pociągały go swoim chłodnym mrokiem, były proste, smutne i – pomimo miarowego rytmu – nieśpieszne i spokojne, jakby nieziemskie.

W drodze tutaj zdążył przesłuchać całą kasetę z balladami, więc teraz, na ławce w pobliżu fioletowej felicii, zamierzał posłuchać Mendelssohna. A właściwie napawać się nim. Była to wyjątkowa przyjemność, niedostępna pierwszemu lepszemu. Na zewnątrz otepiający, ciężki upał, gorące powietrze, które parzy przy każdym wdechu, a w słuchawkach szaleje gwałtowny huragan, błyska się i grzmi, leją się strumienie deszczu. Za każdym razem, słuchając symfonii, wyobrażał sobie surowy pejzaż, skaliste góry, głębokie, zamarzniete jeziora, gęste ciemnozielone lasy. A nad tym zimnym przepychem szybuje samotny drapieźnik. Do tego wiatr i ulewa...

Siedział już dwie godziny, słuchając muzyki i nie spuszczać oczu z samochodu, gdy nagle poczuł straszliwe pragnienie. Ono też było rezultatem zażytej rano działki. Rozejrzał się. Kiosk znajdował się dość daleko. Jeśli do niego pójdzie, może przegapić właściciela auta.

Jego uwagę przyciągnął chłopak, na oko siedemnastoletni. Stał w cieniu pod drzewem jakieś piętnaście metrów od ławki, oparty o gruby pień, i bawił się czerwoną piłeczką. Piłeczka to pojawiała się w jego dłoni, to znikwała, migąła między palcami i zaraz potem pokazywała się na grzbiecie dłoni. Chłopak manipulował jedną ręką, później przekładał piłeczkę do drugiej ręki i zaczynał żonglerkę od nowa.

– Ej! – zawołał mężczyzna, zsuwając słuchawkę z jednego ucha. – Ej,

kolego!

Chłopak pokręcił głową, jakby nie wiedział, skąd dolatuje dźwięk. Potem zobaczył siedzącego na ławce mężczyznę.

– Mówi pan do mnie?

– Tak, do ciebie. Możesz na chwilę podejść?

Chłopak ruszył powoli w stronę nieznanego, nie przestając obracać piłeczki.

– Nie oddałbyś mi koleżeńskiej przysługi i nie skoczył do kiosku po wodę? Noga mnie boli, nie mam siły chodzić, a strasznie chce mi się pić w tym upale. Skoczysz? – Mężczyzna usiłował być naturalny i przekonujący.

Chłopak się zawahał, można to było wyczytać z jego ruchliwej twarzy.

– Zlituj się, bądź człowiekiem. O, tu masz czerwońca, przynieś butelkę wody mineralnej, najlepiej gazowanej. Narzan albo Borjomi. I poproś, żeby dali z lodówki.

Tamten wziął pieniądze i znowu zabawnie pokręcił głową. Ale do kiosku poszedł.

– Dzięki, przyjacielu – powiedział zabójca z wdzięcznością, pośpiesznie odkręcając litrową, zmrożoną butelkę wody. – Uratowałeś mi życie. A co tam kombinujesz z piłeczką?

Chłopak uśmiechnął się życzliwie i przyjaźnie.

– Trenuję palce.

– Chcesz zostać magikiem?

– Nie, pianistą. Przepraszam, muszę już iść.

– No to idź – zezwolił zabójca łaskawie, po czym odprowadził chłopaka wzrokiem, znowu nasuwając słuchawki.

Dobrze, że dzieciak ma coś do załatwienia. Tego jeszcze brakowało, żeby akurat teraz pojawił się właściciel samochodu. Chłopak szedł miarowym, nieśpiesznym krokiem, kręcąc głową. Zabójca widział, jak dotarł do drzewa, przy którym niedawno stał, minął je i skierował się w stronę zaułka. Chwilę później z domu numer osiem wyszła kobieta. Pewnie ruszyła ku fioletowej felicii i włożyła kluczyk do zamka przy drzwiach od strony kierowcy. Gdy tylko znalazła się w środku i zamknęła drzwi, zabójca wcisnął guzik pilota. Huk wybuchu zagłuszył częściowo muzykę płynącą ze słuchawek. W otwartych oknach od razu pokazały się głowy mieszkańców, na balkony wylegli ciekawscy. Przejeżdżające w pobliżu samochodu stanęły, kierowcy

wypadli na zewnątrz. Mimo że ulica była raczej pusta, w okolicy miejsca wybuchu od razu zaczęło się spore zamieszanie. Zabójca zastanawiał się, czy powinien podejść, udając naturalną ciekawość, uznał jednak, że przy uszkodzonym samochodzie kręci się dużo gapiów, więc nikt nie zwraca na niego uwagi. Wstał i powoli się oddalił. W słuchawkach słyszał odgłosy burzy, która nadciągała nad skaliste brzegi i zimne niebieskie jeziora. Samotny drapieznik szybował łagodnie nad tym lodowatym przepychem.

Było mu dobrze i błogo.



Wypis z rozkazu dotyczącego podwładnych naczelnika Głównego Urzędu Spraw Wewnętrznych Moskwy:

„...mianować podpułkownika milicji Anastazję Pawłownę Kamieńską na stanowisko starszego oficera wydziału... ustalając uposażenie w wysokości...

...mianować majora milicji Jurija Wiktorowicza Korotkowa na stanowisko zastępcy naczelnika wydziału... ustalając uposażenie w wysokości...

...zwolnić pułkownika milicji Pawła Wasiljewicza Żeriechowa ze stanowiska zastępcy naczelnika wydziału... w związku z odejściem z organów spraw wewnętrznych (raport z 10 maja 1998 roku)...”.



– No to teraz dam ci popalić – rzucił złośliwie Korotkow, rozłokowując się w nowym miejscu pracy. – Wreszcie dorwałem się do koryta.

– Pewnie, każdy może się wyżyć na słabym podpułkowniku, nawet major – zażartowała Nastia. – Niepotrzebnie wróciłam, zatrujesz mi życie.

– Aha. Zatruję – obiecał Jura pogodnie. – Zażądam, żebyś zbadała sprawy co najmniej pięciu zabójstw stulecia, a wtedy, jako twój mądry szef, dostanę sto pięćdziesiąt pochwał, pięć nagród państwowych i od razu stopień pułkownika, z pominięciem podpułkownika. Dobrze kombinuję?

– Świetnie – przyznała. – A jeśli tego nie zrobię, przepędzisz mnie

z powrotem do Iwana?

– Też coś, marzenie ściętej głowy! Nawet jeśli nie wyjaśnisz żadnej nowej sprawy, nigdzie cię nie puszczę, bo tylko ty możesz mi zapewnić poczucie wielkiej milicyjnej frajdy polegającej na rozkazywaniu starszym stopniem. Nie każdy oficer ma takie szczęście jak ja.

– Przecież niedługo sam dostaniesz podpułkownika i twoja frajda się skończy.

– Ale kiedy to będzie... A na razie nie przeszkadzaj mi cieszyć się życiem.

Tak więc Nastia nie przeszkadzała. Co więcej, sama się nim cieszyła, bo wróciła do swojej pracy i swoich przyjaciół, za którymi bardzo się stęskniła, gdy się przeniosła i zatrudniła w wydziale do spraw przestępczości zorganizowanej. Generał Zatoczny puścił ją, jak to się mówi, na pierwsze żądanie. Burza, przed którą Gordiejew ukrył Nastię swego czasu, w końcu się rozpętała, nie jesienią, co prawda, jak się spodziewano, ale dopiero następnej wiosny, w marcu. Ku zaskoczeniu większości minister spraw wewnętrznych został zdjęty ze stanowiska, więc na parę dni milicyjna społeczność zamarła w oczekiwaniu decyzji co do własnego losu. Kto go zastąpi? Jeszcze jeden wojskowy, który przetasuje kadry i mianuje na stanowiska wyłącznie swoich koleśków z uczelni, czy jednak profesjonalista? Parę dni później wszyscy westchnęli, wprawdzie nieco trwożnie, ale z ulgą: to nie wojskowy.

Już w pierwszych dniach nowy minister oświadczył, że działalność operacyjno-wywiadowcza jest najważniejszym elementem walki z przestępczością i od tej pory będzie się znajdować w centrum uwagi. Naczelnik Głównego Wydziału Spraw Wewnętrznych Moskwy nie stracił swojej posady, dlatego na razie nie przewidywano przetasowań kadrowych w urzędzie. Naczelnik wydziału, w którym Nastia przedtem pracowała, zachował swój stołek, więc mogła wracać. Spędziwszy u Zatocznego niemal dziesięć miesięcy, zdażyła nauczyć kapitana Diużyna podstaw pracy analitycznej i otrzymać stopień podpułkownika, którego mogła nie dostać na Pietrowce – stanowisko nie pozwalało. Dlatego rozstanie z generałem miało charakter pokojowy i polubowny. Jak to mówią, wszyscy wyszli na swoje.

– No cóż, moje dzieci – powiedział pułkownik Gordiejew tego ranka, otwierając rutynową odprawę operacyjną. – Przestępcy okazali się lepsi od nas. Z powodu upału robimy bokami, a oni czują się rześko.

Ciekawe, skąd biorą siły? Wczoraj Siełujanow miał dyżur w mieście i „załatwił” nam zabójstwo niejakiej pani Dudariewej, prezeski firmy... – Zajrzał do rozłożonych na biurku kartek. – ...firmy Turella. Biznes turystyczny. Kobieta była dobrze sytuowana, mówiąc oględnie. Dochodzenie wdrożono w okręgu, na razie nikt nas nie zaczepia, ale niewykluczone, że to porachunki biznesowe, więc jak nie dzisiaj, to jutro zostaniemy włączeni. Nie będzie mnie przez parę dni, wieczorem wyjeżdżam w delegację, stery przejmuje Korotkow. Dlatego zawczasu rozdaję cukierki. Jeśli nadejdzie rozkaz, by włączyć się do zabójstwa Dudariewej, zajmie się nim Siełujanow, przekażcie mu to, gdy odeśpi dwudziestoczworogodzinny dyżur. Zrozumiałeś, Korotkow? Bierz do galopu swojego kumpla i nie lituj się nad biedakiem. Wiem, że w najbliższych dniach się żeni, więc zaraz rzucicie się, żeby go wyręczyć. W tej kwestii to wszystko, teraz meldujcie, jak wyglądają bieżące sprawy. Docenko, zacznij od zabójstwa Wodoszczykowa...

Nastia ucieszyła się, że podczas jej nieobecności nikt nie zajął miejsca w rogu, które stale okupowała. Większość pracowników wydziału siadała przy stole konferencyjnym, a jeśli komuś zabrakło miejsca, zajmował jedno z krzeseł stojących przy ścianie. Tymczasem w rogu pokoju pułkownika Gordiejewa znajdował się stary, niski fotel z wyblakłym, wytartym obiciem, tak rozchybotany i rozeschnięty, że osoby ważące ponad osiemdziesiąt kilogramów wołały nie ryzykować i w nim nie siadały. Nastia Kamińska ważyła mniej, dlatego chętnie i bez obaw go zajmowała.

Po naradzie zajrzała do Korotkowa.

– Chyba niezręcznie wyszło z Kolą, jak sądzisz? – powiedziała. – Chłopak musi się szykować do ślubu, a tymczasem wisi nad nim realne niebezpieczeństwo, że ugrzęźnie w zabójstwie pani z branży turystycznej. Może porozmawiasz z Pączkiem? Niech wyda inną dyspozycję.

– Aleś wymyśliła. – Jurij się uśmiechnął. – Pączek miałby zmienić zdanie? Przecież to jasne jak słońce, że wychowuje Kolana.

– W związku z czym? – zdziwiła się Nastia. – Co znowu nawywijał?

– To, co zwykle. Dwa tygodnie temu po raz kolejny poleciał bez pytania do Woroneża, co prawda tylko na jeden dzień. Rano poleciał, a wieczorem wrócił, nikt by się nawet nie zorientował. Ale nasz Pączek jest za cwany na te numery.

– I znowu pił po powrocie?

– Nic z tych rzeczy. – Korotkow pokręcił głową. – Teraz Kolka prawie w ogóle nie pije, chyba że na imprezie, wtedy nie wypada odmawiać. Ale tak jak dawniej, żeby przez trzy dni na okrągło, to już nie. Lady Walentina całkowicie go odmieniła. Trzeba kochać swoje dzieci, mówi, to nie ulega wątpliwości, ale pić po każdym spotkaniu z nimi to przesada. Przecież nie doszło do żadnej tragedii, którą należałoby zalewać wódką, dzieci są szczęśliwe, zadbane, zadowolone i zdrowe, żyją w pełnej rodzinie z mamą i nowym tatą, więc taka komfortowa sytuacja nie jest uzasadnionym powodem do pijaństwa. A skoro Nikołasza pije nie z litości nad dziećmi, ale z litości nad sobą, to tym bardziej powinien się wstydzić, bo prawdziwy facet musi być twardy. Może albo postępować słusznie i szanować się za to, albo wyrzucać sobie błędy i od razu je naprawiać, co z kolei pozwoli mu poczuć do siebie szacunek za umiejętność dokonywania samokrytyki. To wszystko, trzeciego wyjścia nie ma. Wbijała mu do głowy tę głęboką myśl, wbijała, no i wbiła. Tak więc nasz przyjaciel Siełujanow znalazł się w kropce. Nawiasem mówiąc, co kupimy na prezent? Masz jakiś pomysł?

– Na razie nie. A ty?

– Też nie. Nie szkodzi, mamy jeszcze prawie tydzień, coś wykombinujemy. A przy okazji – Jura się ożywił – zaświtała mi pewna myśl. Skontaktuję się z okręgiem i dowiem się, jak stoją sprawy z Dudariewą. Może nie wszystko stracone i Kolce uda się wywinąć.

Wyjął książkę telefoniczną i zaczął wybierać numer. Nie od razu udało mu się połączyć, najpierw abonent był zajęty, potem się okazało, że potrzebnej osoby nie ma na miejscu, ale w końcu Korotkow się dowiedział, że burza nad głową pana młodego, Kolki Siełujanowa, chyba przeszła obok. Zatrzymano już męża zabitej. Zdaje się, że chodzi o zwyczajne zabójstwo na tle obyczajowym. No może nie całkiem zwyczajne, zostało bowiem popełnione nie po pijaku czy w ferworze rodzinnej kłótni, ale na zlecenie. Motyw pozostaje jednak obyczajowy: rozwód i pieniądze. Żadnych porachunków biznesowych, w które zaangażowane są firmy i ludzie przebywający w różnych końcach miasta, a zatem Pietrowka ma wolne.

– Obywatelu Dudariew, do kogo należy samochód marki Skoda Felicia, numer rejestracyjny R 590 SU?

– To mój samochód, już mówiłem.

– Jest zarejestrowany na pana i to pan jest jego właścicielem?

– Nie, samochód jest zarejestrowany na żonę, korzystam z niego na podstawie upoważnienia.

– Pańska żona często jeździ tym samochodem?

– Często. Gdy ją wożę.

– A bez pana?

– Beze mnie jeździ z kierowcą. Nie umie prowadzić, nie ma nawet prawa jazdy. Niech pan weźmie pod uwagę, że jeśli ktoś chciał zabić Elenę, nie podłożyłby ładunku wybuchowego pod skodę, bo to ja przeważnie nią jeżdżę.

– Racja. W takim razie dlaczego właśnie dzisiaj, gdy w pańskim samochodzie była bomba, pańska żona otworzyła drzwi i usiadła na miejscu kierowcy? Jak pan to wyjaśni?

– Nie wiem. Nie rozumiem, co mam wyjaśniać.

– No proszę, nie rozumie pan? W takim razie ja to zrobię. Obywatelu Dudariew, jak się układają pańskie stosunki z żoną?

– Normalnie. Co to ma do rzeczy?

– Gdy stosunki są normalne, małżonkowie nie kłócą się niemal codziennie, w dodatku tak głośno, że słyszą ich sąsiedzi.

– Wszyscy ludzie się kłócą, a mimo to żyją normalnie. Czego pan ode mnie chce?

– Powiem później. Jedźmy dalej. Obywatelu Dudariew, jest pan osobą zamożną?

– Raczej tak.

– Proszę opisać w przybliżeniu swój majątek.

– No... Samochód, mieszkanie, dom za miastem, garaż... Wystarczy?

– Wystarczyłoby, gdyby to wszystko należało naprawdę do pana. Ale przecież to majątek pańskiej małżonki, a nie pana. Samochód i nieruchomości są zapisane na nią i zostały nabyte, zanim się pobraliście, więc nie można ich uznać za wspólny dorobek. Co jest pana osobistą własnością?

– ...

– Jasne. Nic. Jakie są pana obecne dochody?

– Pobieram emeryturę wojskową.

– To wszystko?

– Wszystko? A czego się pan spodziewał? Że jestem milionerem i uchylam się od płacenia podatków?

– Nie, tego się nie spodziewałem. Proszę powiedzieć, czy żona pana zdradzała?

– Oszalał pan?!

– Bynajmniej. Mam informację, że nawiązała romans, w dodatku na tyle poważny, że postanowiła się z panem rozstać i założyć nową rodzinę. Chce pan powiedzieć, że o niczym nie wiedział?

– Pierwsze słyszę. To jakaś bzdura!

– No cóż, za chwilę usłyszysz pan jeszcze jedną bzdurę. Ale nie uda się panu zachować milczenia. Będzie pan musiał skomentować moje słowa. A więc pańskie relacje z Eleną Pietrowną układały się nieciekawie. Ona pana zdradzała, co stanowiło pretekst do ciągłych kłótni. W dodatku, gdy się pobieraliście dwa lata temu, była dość zamożną właścicielką dobrze prosperującego biura podróży, a pan, Gieorgiju Nikołajewiczu, był emerytowanym oficerem, ze wspaniałą wojskową przeszłością, ale niestety, bez przyszłości i dochodów. Zakładam, że do małżeństwa popchnęło pana namiętne uczucie, potrafię to uszanować. Wtedy, dwa lata temu, ani pan, ani pańska narzeczona nie zastanawialiście się nad tym, jak będą wyglądać wasze stosunki finansowe. Był pan jeszcze dość młody, lekko po czterdziestce, i sądził pan, że wszystko się ułoży. Ale okazało się, że nie jest pan nikomu potrzebny ze swoją wojskową profesją, toteż utrzymywał się pan z emerytury oraz z tego, co dawała panu Elena Pietrowna. Przyzna pan, że sytuacja była upokarzająca. Zasięgnąłem języka i wiem, że wiele razy próbował pan się gdzieś zaczepić, ale się nie udało. W cywilu nie ma pan żadnego zawodu. Najlepsza oferta, jaką pan otrzymał, była następująca: miał pan handlować na bazarze i dostawać po pięćdziesiąt rubli od każdej sprzedanej marynarki. Nie odpowiadało to panu z uwagi zarówno na pieniądze, jak i na status. Z czasem namiętne uczucie wygasło i Elena Pietrowna znalazła sobie innego mężczyznę, lepiej przystosowanego do życia. Stał się pan w obliczu realnej groźby rozwodu. Cały majątek należy do pańskiej małżonki, więc w razie rozstania nic panu nie przypadnie. O wiele wygodniej zostać wdowcem, prawda? Potem wszystko jest proste.

Umieszcza pan ładunek wybuchowy pod samochodem, który kupiła panu żona i z którego korzysta pan na podstawie jej upoważnienia, po czym wysyła ją pan pod wiarygodnym pretekstem, żeby przyniosła coś z auta. Co to było?

– ...

– Pytam, po co pańska żona otwierała samochód, skoro nim nie jeździ?

– Chciała zabrać dokumentację.

– Jaką?

– Z firmy budowlanej.

– A dokładnie?

– Chcieliśmy... Elena chciała przebudować nasz dom za miastem i zamówiła projekt w firmie budowlanej. W piątek miałem tam pojechać i zabrać dokumentację.

– Dlaczego Elena Pietrowna otworzyła drzwi od strony kierowcy, skoro chciała wyjąć dokumentację ze schowka? Prościej było otworzyć drzwi od strony pasażera.

– Zamek się popsuł. Prawe drzwi można otworzyć tylko od środka.

– Dlaczego zostawił pan dokumentację w samochodzie, a nie przyniósł jej do domu?

– Zapomniałem.

– Bardzo sprytnie! Zapomniał pan? Czy zostawił specjalnie, żeby mieć powód, by wysłać żonę do samochodu?

– Naprawdę zapomniałem! Włożyłem do schowka i zapomniałem. Dlaczego pan mi nie wierzy?

– No cóż, bardzo trudno uwierzyć w to, co pan mówi. Żaden śledczy na moim miejscu by nie uwierzył. Wróćmy jednak do dokumentacji. Skoro żyliście z żoną w zgodzie i miłości, jak pan twierdzi, to dlaczego nie zachował się pan jak dżentelmen i nie poszedł po dokumentację sam? Dlaczego musiał pan wysłać żonę?

– Ma pan rację...

– A widzi pan.

– Ma pan rację, rzeczywiście pokłóciliśmy się tamtego ranka. Byłem przeciwny przebudowie domu...

– Dlaczego?

– Uważałem, że tego nie wymaga. Próbowałem przekonać Elenę, oboje zaczęliśmy mówić podniesionymi głosami... Zażądała, żebym pokazał

dokumentację, więc powiedziałem, że jest w samochodzie i jeśli jej potrzebuje, to niech sama po nią zejdzie. Elena wzięła kluczyki od samochodu i ruszyła na dół. To wszystko.

– Nie, Georgiju Nikołajewiczu, nie wszystko. Nie tylko podniósł pan głos na żonę, ale też sprowokował kłótnię. Specjalnie zostawił pan dokumentację w samochodzie, a potem wywołał sprzeczkę, chcąc nakłonić Elenę Pietrownę do obejrzenia przygotowanego projektu.

– Ma pan wyobrażać wyobraźnię...

– Wie pan, ile razy w życiu to słyszałem? Dokładnie tyle, ilu podejrzanych oddałem pod sąd. Dlatego pańska ocena to dla mnie żadna nowość i zapewniam, że nie jest mi z jej powodu przykro. Gdybym nie miał wyobraźni, nie doprowadziłbym żadnej sprawy karnej do końca. Niech mi pan wierzy, że nie urodził się jeszcze taki przestępca, który chętnie by opowiadał, jak wszystko się naprawdę odbyło. Muszę posługiwać się wyobraźnią, żeby zrozumieć, co się stało. Wróćmy jednak do pańskiej małżonki. Po obejrzeniu miejsca wybuchu i uszkodzeń samochodu eksperci doszli do wniosku, że bomba była zdalnie sterowana. Mam do pana jeszcze tylko jedno pytanie, na które chcę otrzymać odpowiedź. Kto aktywował ładunek? Zrobił pan to własnoręcznie, wychodząc na balkon albo wyglądając przez okno? Czy wynajął kogoś w tym celu? Chciałbym, żeby odpowiedział pan na to pytanie. Jeśli jednak postanowi pan milczeć, nie ma zmartwienia. W pańskim mieszkaniu właśnie trwa przeszukanie. Jeżeli nie znajdziemy pilota, z którego wysłał pan śmiercionośny sygnał, zaczniemy szukać pańskiego współnika. Może zaoszczędzi nam pan czasu i sił i od razu się przyzna?

– Nie mam do czego się przyznawać. Nie podkładałem żadnego ładunku i nie chciałem zabić Eleny. Nie mam też współnika. Myli się pan, stał się pan zakładnikiem swojej wyobraźni...

– Dosyć, Georgiju Nikołajewiczu, niech pan sobie daruje. Kto prócz pana mógł przypuszczać, że to nie pan wsiądzie do samochodu? Nikt. Bo na miejscu kierowcy siadał tylko pan, sam pan mi o tym powiedział. Pańska małżonka nie prowadziła samochodu. Kto prócz pana wiedział, że drzwi od strony pasażera nie otwierają się z zewnątrz? Nikt. I nikt prócz pana nie podjąłby próby zabicia Eleny Pietrowny w tak dziwny sposób, wykorzystując pański samochód i podkładając ładunek wybuchowy na wysokości siedzenia kierowcy.

Znajdziemy albo pilota, albo człowieka, którego pan wynajął. Trzeciego wyjścia nie ma. Wydaję postanowienie o pańskim zatrzymaniu.

– Niech pan posłucha...

– Tak?

– Co mam zrobić, żeby mi pan uwierzył?

– Niestety, nie potrafię udzielić panu żadnych wskazówek. Potrafię tylko doradzić, jak może pan ulżyć swojemu losowi.

≡

Pod koniec dnia upał nie zelżał, trochę chłodniej zrobiło się dopiero przed świtem. Olga Jermiłowa nie spała całą noc, ale nie tylko z powodu upału. Poprzedniego wieczoru w *Patrolu drogowym*, który regularnie oglądała, usłyszała straszliwą nowinę: nie żyje Elena Dudariewa, a podejrzany o popełnienie zbrodni mąż, Gieorgij Dudariew, został zatrzymany. Umysł Olgi odmawiał przyjęcia tego faktu do wiadomości i zamiast konstruktywnych rozwiązań podsuwał jej dziwne myśli o synu, któremu też pewnie jest gorąco w obozie pionierskim, i o zimowych rzeczach, które już dawno należało oddać do pralni. Powoli w głowie zaczęło się rozjaśniać i odzyskała zdolność logicznego myślenia. Musi zadzwonić do Gieorgija, żeby się dowiedzieć, czy to prawda. Już sięgała po telefon, ale w ostatniej chwili uświadomiła sobie, że jeżeli mężczyzna został zatrzymany, jak podano w telewizji, to w mieszkaniu mogą znajdować się milicjanci, którzy zaczną pytać, kto dzwoni i po co, a sami w tym czasie ustalą numer abonenta. Olga mogłaby, oczywiście, zadzwonić z automatu, ale to też niebezpieczne. A nuż pełniący dyżur mąż zapragnie porozmawiać z nią akurat w tym momencie? Zadzwoni, a w domu nikt nie podniesie słuchawki. Pora jest późna, dochodzi pierwsza, trudno będzie po raz kolejny kłamać, gdzie była.

Olga Jermiłowa jedno wiedziała na pewno: Gieorgij nie jest zabójcą. Ma wiele wad, jak każdy człowiek, ale nie mógł zabić. Nastąpiła jakaś pomyłka i ona, Olga, musi mu pomóc się z tego wyplątać.

Przez całą noc przewracała się w wilgotnej pościeli, nie zmrużywszy oka, a rano zaczęła się szykować na powrót męża z dyżuru. Wiedziała, że musi być gotowa na wszystko, musi znaleźć w sobie siły i wytoczyć wszelkie możliwe argumenty, nawet najbardziej niebezpieczne, byle

tylko uratować Georgija.

O dziewiątej zadzwoniła do pracy i powiedziała, że się rozchorowała, dzisiaj zostanie w łóżku, ale jutro na pewno przyjdzie. W odpowiedzi usłyszała słowa współczucia i zalecenie, żeby się kurowała i o nic nie martwiła.

Michaił wrócił do domu dopiero koło południa. Do tego czasu Olga wzięła się jakoś w garść i przygotowała do rozmowy. Ale na widok męża, bladego po dobie spędzonej w pracy i wyczerpanego upałem, znowu straciła głowę.

– Zjesz coś? – zapytała nieśmiało. – Czy wolisz od razu się położyć?

– Idę pod prysznic – wymamrotał Michaił, zrzucając przepoconą koszulę. – Najpierw kąpiel, później reszta.

Zniknął w łazience, a chwilę później Olga usłyszała szum lejącej się wody. Nie, nie potrafi dłużej czekać. Teraz albo nigdy. Stanowczym ruchem otworzyła drzwi do łazienki. Michaił stał pod prysznicem i, zacisnąwszy powieki, mył głowę szamponem.

– Misza, słyszałam wczoraj w telewizji, że zabito niejaką Dudariową i aresztowano jej męża podejrzanego o morderstwo. Czy to prawda?

– Prawda – odparł, nie otwierając oczu. – Czemu pytasz? Znasz ją?

– Nie, jej nie znałam.

– Więc o co chodzi?

– Znam jej męża. To jakaś pomyłka, Misza. On nie jest zabójcą.

Michaił szybko zmył pianę z włosów i twarzy, otworzył oczy. Twarz miał spokojną, ale malowało się na niej zaniepokojenie.

– Znasz Dudariową?

– Owszem.

– Skąd? Dlaczego nic nie wiem o tej znajomości?

– Co za różnica, Misza. Znam go i tyle. Przecież nie o to chodzi.

– A o co? Wytłumacz, jeśli łaska.

– Znam Georgija. Nie mógł zabić swojej żony.

– Niby czemu?

– Nie mógł. Jestem tego pewna. To porządny człowiek i prawdziwy mężczyzna, nie podniósłby ręki na kobietę bez względu na okoliczności.

– Prawdziwy mężczyzna, powiadasz? – Michaił zmrużył oczy. – No to przyjmij do wiadomości, że prawdziwi mężczyźni nie siedzą na garnuszku żony i nie rozbijają się samochodami kupionymi za nie

swoje pieniądze. Prawdziwi mężczyźni pracują i nawet jeśli nie zarabiają tyle, ile by chcieli, to zajmują się czymś pożytecznym i przynajmniej w ten sposób udowadniają swoją wartość. A twój przyjaciel Dudariew, odkąd został zwolniony w wyniku redukcji etatów, utrzymuje się z emerytury wojskowej. Żona nieraz próbowała mu coś załatwić, ale on jest, w mordę jeża, oficerem, absolwentem wyższej uczelni, honor nie pozwala mu sprzedawać ciuchów na bazarze. Jeśli ktoś zwróci się do niego z propozycją, na przykład, objęcia katedry w akademii wojskowej, wtedy ewentualnie się zastanowi. Czy prawdziwy mężczyzna zachowuje się tak jak on? Zresztą pewnie nie znasz tych wszystkich szczegółów, i dlatego go bronisz. A jednak ciekaw jestem, skąd go znasz.

Zakręcił wodę i sięgnął po ręcznik. Przez chwilę Olga przyglądała się w milczeniu, jak mąż wyciera się, owija ręcznik wokół bioder, wychodzi z kabiny i myje zęby.

– Nie pracujesz dzisiaj? – zapytał, rozczesując mokre włosy.

– Nie.

– No to może skoczmy do Walerki? Zawieziemy mu jakieś przysmaki i parę butelek wody. W taki upał pewnie wciąż czuje pragnienie. Co ty na to?

– Myślałam, że jesteś zmęczony i wolisz odpocząć – odparła Olga z wahaniem.

Nie miała ochoty odwiedzać syna na obozie kondycyjnym, zanim nie porozmawiają o tym, co najważniejsze. Tymczasem Michaił widocznie nie uznał rozmowy za istotną i pobiegł myślami ku swoim sprawom.

– Ile można odpoczywać? Prześpię się ze trzy, cztery godzinki i wystarczy. Zjawimy się u niego akurat o szóstej, między ciszą poobiednią a kolacją. Aha, zapłaciłaś za mieszkanie?

– Wczoraj była przecież niedziela...

– No tak, zapomniałem przez ten dyżur. Idź dzisiaj, bo zaczną naliczać odsetki. I nie zapomnij uregulować rachunku za prąd. Przepraszam. – Odsunął lekko Olgę i zdjął wiszące na drzwiach krótkie, jedwabne kimono, w którym lubił chodzić po domu, zwłaszcza podczas upału.

Wyszedł z łazienki i ruszył do kuchni. Olga powlokła się za nim, nie wiedząc, jak wrócić do przerwanej rozmowy.

– Tak – mruknął Michaił, zaglądając do lodówki. – Co by tu wrzucić

na ruszt?

– Chcesz, to podgrzeję pieczeń – zaproponowała.

– O nie, nic gorącego w taki skwar. Zjadłbym coś na zimno. Na przykład jakąś sałatkę.

– Już robię. – Zakrzętnęła się. – Posiedź pięć minut, zaraz przyszykuję.

Wyjęła z lodówki pomidory, ogórki, sałatę i cebulę, po czym zaczęła je szybko kroić. Michaił usiadł obok przy stole, wyciągnął nogi, westchnął błogo i zapalił papierosa.

– Boże, jak dobrze być w domu – powiedział powoli, z uczuciem. – Zawsze było mi żal facetów, którzy nie wiedzą, co to za rozkosz wrócić do domu po pracy. Zwłaszcza gdy żona nie pracuje i na ciebie czeka. Chyba jestem bardzo szczęśliwy, Olu. Nie sądzisz?

Olga poczuła niemal fizyczny ból. Michaił ją kocha, a ona zamierza mu powiedzieć... Przez te wszystkie miesiące, gdy była kochanką Dudariewa, z lękiem myślała, co się stanie, gdy mąż się dowie. Nie przeżyje tego. Tak bardzo ją kocha i jej wierzy... Olga Jermiłowa nie bała się samego rozwodu, myśl, że zostanie z dziesięcioletnim dzieckiem, jej nie przerażała, była kobietą przedsiębiorczą i samodzielną, nieźle zarabiała i nie zależało jej na adnotacji w dowodzie. Bała się jednak zadać mężowi cios, na który nie zasłużył. Gdyby mogła, teraz też by go oszczędziła... Ale chyba będzie musiała się przyznać.

– Misza, ja znowu o Dudariewie – powiedziała, nie obracając się i udając, że pochłonięta jest krojeniem warzyw na sałatkę. – Może tamten śledczy, który go aresztował, nie rozważył wszystkiego?

– Niewykluczone – przyznał. – I co dalej?

– No... może jeszcze rozważy i go wypuści, jak sądzisz?

– To mało prawdopodobne. Zbyt dużo dowodów świadczy przeciwko twojemu znajomemu. Śmierć żony była mu na rękę. Poza tym, służąc w wojsku, miał do czynienia z materiałami pirotechnicznymi i nabrał wprawy w pracy z urządzeniami wybuchowymi. Dlatego twój przyjaciel nie może na nic liczyć. Nadal mi jednak nie powiedziałaś, skąd go znasz.

– To nic ważnego, poznałam go na targach książki w Olimpijskim^[1]. Szukałam książek dla Walerki, a Gieorgij też coś wybierał. Zaczęliśmy rozmawiać. Poradził mi, do której części hali powinnam się udać. To

wszystko.

– I na podstawie tej przypadkowej znajomości wyciągasz poważne wnioski, że to dobry człowiek i że nie mógł nikogo zabić? Moim zdaniem, kochanie, próbujesz uprawiać dobroczynność. Słuchaj, jestem piekielnie głodny. Długo jeszcze?

– Już gotowe.

Olga doprawiła sałatkę majonezem i umieściła talerz na stole przed mężem. Michaił wziął kromkę chleba i zaczął z apetytem pochłaniać świeże warzywa.

– Zrobić ci kawę? – zapytała.

– Bądź tak dobra.

Olga wsypała ziarna do młynka i wcisnęła guzik. Miała nerwy napięte jak postronki, ledwo znosiła głośne buczenie tuż koło ucha. Z trudem się powstrzymała, żeby nie cisnąć na podłogę wibrującego i dudniącego młynka i nie zacząć krzyczeć.

– A więc mówisz, że on bywa na targach książki? – zapytał nagle mąż.

– Tak.

– Dobrze, że o tym wspomniałaś. Trzeba będzie poszukać tam jego kontaktów.

– Jakich kontaktów, Misza? On nie jest przestępcą! – zawołała Olga z rozpaczą. – Nikogo nie zabił.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? Bronisz go, jakby to był ktoś bliski. Dziękuję. – Odsunął pusty talerz. – Było bardzo smaczne.

– Na zdrowie. – Olga nabrała powietrza do płuc, jak przed skokiem do wody. – Dobrze znam Gieorgija. Boję się mówić ci o tym i jest mi wstyd, ale znam go bardzo dobrze. I doskonale wiem, że nie jest zabójcą.

– Tak. – Michaił wyprostował się i z niepokojem popatrzył na żonę. – Co to znaczy, że się boisz i jest ci wstyd? Co was łączy?

– Nasze relacje są bliskie, Misza. Bardzo bliskie. No cóż, teraz wiesz o wszystkim. – Olga bezsilnie osunęła się na krzesło i wybuchnęła płaczem. – Proszę cię, błagam... Zrób coś, porozmawiaj ze śledczym, masz przecież kontakty... Wytlumacz mu, że Gieorgij nie mógł zrobić niczego złego. Wiem, że teraz nie zechcesz ze mną być, że masz święte prawo kazać mi się wynosić. Dobrze, niech tak będzie, każ mi się wynosić, tylko go uratuj!

Już nie myślała o bólu, jaki sprawia mężowi, w głowie kołatała się tylko jedna myśl: musi uratować Gieorgija, który nie jest niczemu

winien, nie może być winien, nie mógł zabić żony! Michaił siedział blady, ręce mu drżały.

– A więc to tak... Olu, ale dlaczego...? Zdzira! – krzyknął nagle. – Obłudna dzira! Jak długo to trwa?

– Pół roku – odparła Olga przez łzy.

– Pół roku mnie okłamywałaś! Pół roku biegałaś do niego, a mnie plotłaś o przychodni i sklepach, tak? Pół roku chodziłaś z nim do łóżka, a potem wracałaś do domu i mnie obejmowałaś, tak? Tak? Tak właśnie było?

Olga kiwnęła głową.

– Miszeńka, kochanie, masz rację, masz całkowitą rację, jestem bezwstydną, obłudną zdzirą, możesz mi wymyślać i mnie obrażać, tylko go uratuj!

Rozszlochała się głośno i rozpaczliwie.

– Niby jak miałbym uratować twojego kochanka? – zapytał mąż, niespodziewanie odzyskując zimną krew.

– Porozmawiaj ze śledczym, poproś go... Skoro orientujesz się w sprawie, to znaczy, że wiesz, kto ją prowadzi. Powiedz mu, że Gieorgij nie jest winien, on ci uwierzy. Proszę, Misza! Błagam cię! Chcesz, to uklęknię przed tobą!

– Nie trzeba. – Jego usta wykrzywiły się w szyderyczym uśmiechu. – Obejdziemy się bez patosu. No dobrze, załóżmy, że spowoduję, by zwolniono twojego gacha. I co potem? Wyjdiesz za mąż za bogatego wdowca i rzucisz mnie razem z moją milicyjną pensyjką, tak? I zabierzesz syna, żeby rósł w cieplarnianych warunkach, w luksusie i przepychu? No jak wyobrażasz sobie przyszłość?

– Nie wiem, Misza... Będzie, jak zechcesz, tylko go uratuj. Każesz, to odejdę. Każesz, to zostanę.

– Zostaniesz? I będziesz wierną żoną? Czy nadal będziesz mnie okłamywać i biegać na spotkania ze swoim Dudariewem?

– Daję ci słowo, przysięgam, że nigdy więcej go nie zobaczę, jeśli powiesz, żebym została. Nie będę cię okłamywać. Tylko zrób coś...

Michaił bez słowa wyszedł z kuchni. Parę minut później Olga zobaczyła go w przedpokoju ubranego do wyjścia, w jasnych spodniach i cienkiej koszuli z krótkimi rękawami.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała z nadzieją. Może Michaił wysłuchał jej błagań i zaraz pójdzie do tamtego śledczego, żeby się dogadać.

– Do pracy.

– Zrobisz to, o co cię proszę?

– Nie wiem. To ja zatrzymałem Dudariewa. Teraz jednak, gdy się okazało, że jest twoim kochankiem, nie wolno mi prowadzić sprawy. Muszę zawiadomić zwierzchników i przekazać ją innemu śledczemu.

– Ale z nim porozmawiasz? – nalegała Olga.

– Nie sądzę. Nie mam zwyczaju bronić przestępców, zwłaszcza zabójców. Nawiasem mówiąc, czy twój kochanek wie, gdzie pracuję?

– Oczywiście.

– To znaczy, że miał świadomość, kto go przesłuchuje, a mimo to nie puścił pary z gęby. Cóż za dżentelmen, brawo. Ale jest głupi. Gdyby powiedział od razu, natychmiast trafiłby do innego śledczego i może miałby więcej szczęścia. Do miłego, Olgo Wasiljewna!

Z furią trzasnął drzwiami. Olga stała nieruchomo w przedpokoju, tępo wpatrując się w miejsce, gdzie przed chwilą stał mąż, jakby nadal z nim rozmawiała. Zrób coś, przekonywała go w myślach, zrób wszystko, co trzeba, żeby uratować Gieorgija, a wtedy będę ci wierna aż do śmierci.

[1] Chodzi o kompleks sportowo-widowiskowy w Moskwie (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Rozdział 2

Boris Witaljewicz Gmyria przejął od śledczego Jermiłowa sprawę karną dotyczącą zabójstwa obywatelki Eleny Pietrowny Dudariewej. Dowody przeciwko mężowi zabitej wydały mu się niezwykle ważne, więc nie śpieszył się, by zwolnić zatrzymanego. Wprawdzie przeszukanie mieszkania Dudariewów nie przyniosło istotnych rezultatów, nie znaleziono żadnych śladów, które by potwierdziły, że skonstruowano tutaj urządzenie wybuchowe i że właśnie stąd został wysłany śmiertelny sygnał. Mimo to Gmyria całkowicie podzielał opinię swojego poprzednika, Jermiłowa: guzik mógł nacisnąć ktokolwiek, niekoniecznie sam Dudariew. Należało więc przesłuchać wszystkich mieszkańców domu numer osiem oraz sąsiednich posesji i dowiedzieć się, czy nie zauważyli w pobliżu samochodu podejrzanych osobników, którzy kręcili się bez celu i czekali nie wiadomo na co. A może ktoś widział, jak małżonek Eleny Pietrowny wychodzi na balkon w chwili wybuchu? W końcu fakt, że w mieszkaniu nie znaleziono pilota, o niczym jeszcze nie świadczył. Minęło sporo czasu, zanim zjawiała się milicja, więc sprawca zamachu na ukochaną żonę mógł wyrzucić dowód, na przykład do zsypu, który, nawiasem mówiąc, też należało sprawdzić. Jednocześnie badano grono znajomych Georgija Nikołajewicza Dudariewa, próbując ustalić, komu podejrzany mógł zaproponować udział w tak delikatnej sprawie jak pozbycie się własnej małżonki.

Wywiadowca Siergiej Zarubin, sprytny, ruchliwy chłopak nikczemnego wzrostu, wykonywał zadanie polegające na przepytaniu mieszkańców dzielnicy, w której doszło do tragedii. Odwiedzając lokal po lokalu, przeważnie natykał się na osoby nieobecne w mieście tamtego upalnego niedzielного poranka. Dziwna sprawa, myślał, wspinając się po schodach na kolejne piętro i naciskając kolejny

przycisk dzwonka, wszyscy narzekają, że są biedni, a tymczasem, gdziekolwiek się obrócić, każdy ma domek letniskowy. W najgorszym razie samochód, którym wyjeżdża za miasto, jak najdalej od dusznych murów.

Było mu gorąco, koszula przylepiła się do pleców, a spodnie – do nóg, więc po skończeniu obchodu jednej klatki schodowej ruszył do pobliskiego kiosku, żeby kupić puszkę pepsi z lodówki. Po drodze wpadła mu do głowy myśl, że jeśli ktoś obcy był tutaj i musiał długo czekać, niewykluczone, że też poszedł do kiosku po jakiś orzeźwiający napój. To oczywiste, że jeśli przestępca był starym wyjadaczem i znał się na swojej robocie, nie pchałby się tak głupio przed oczy, ale przecież nie wszyscy kryminaliści są doświadczeni i mądrzy, bywają wśród nich rozmaici, również niezbyt przezorni.

– Co mogę dostać z lodówki? – zapytał senną sprzedawczynię.

– Mamy wszystko – wycodziła dziewczyna. – I wszystko jest wystawione w witrynie, niech pan wybiera.

– I naprawdę wszystko, ale to wszystko jest schłodzone? – zapytał Siergiej z niedowierzaniem.

– Tak – odparła twardo.

– Niegazowana woda mineralna też?

– Wiera i Swiatoj istocznik. Którą podać?

– Istocznik. Ile płacę?

Kobieta podała cenę. Siergiej długo gmerał w portfelu, odliczając należną kwotę. Jednocześnie żartował, popatrując chytrze na wyczerpaną skwarem dziewczynę, i w końcu wciągnął ją w rozmowę. Zaczęli oczywiście od omówienia kwestii handlu w upale, potem płynnie przeszli do stałych klientów – pracowników okolicznych firm. A później Siergiej, widząc, że jego rozmówczyni przestała traktować go z rezerwą, wyznał swoje prawdziwe pobudki.

– Ojej, z milicji! – Dziewczyna nie wiedząc czemu klasnęła w dłonie i się roześmiała. – Że też przyjmują tam takich liliputów!

– Oczywiście, że przyjmują. Specjalnie, żeby nikt się nie domyślił, że są z milicji – oznajmił Zarubin poufnym tonem. – To co, Lulu, przypomnisz sobie jak wyglądał wczorajszy dzień?

– A co tu sobie przypominać? – Dziewczyna westchnęła z przygnębieniem. – Dzień należał do martwych, biura były zamknięte, wszyscy mieszkańcy wyjechali za miasto. Dzielnica jest wyludniona,

i dlatego interes nie idzie.

– Tym bardziej. – Wywiadowca się ożywił. – To znaczy, że klientów było niewiele i możesz ich sobie przypomnieć. Zwłaszcza tych porannych, sprzed wybuchu.

– Był pewien smarkacz, dobrze pamiętam, na krótko przed tym, zanim rozległ się huk – powiedziała Lala stanowczo.

– Co to za smarkacz? Mały?

– Nie, nie, miał z osiemnaście lat, może nawet więcej. Bardzo szczupły, drobny. Ale gdy się nachylił do okienka, zauważyłam, że jest starannie ogolony. To nie była gładka twarzyczka dziecka, rozumiesz? Zauważyłam też napięcie na twarzy, dzieci nie robią takiej miny.

– Wspaniale! – Siergiej się ucieszył. – Co jeszcze możesz o nim powiedzieć? Jak był ubrany?

– Zwyczajnie, w jasne szorty i koszulkę z jakimś napisem, ale się nie przyglądałam. Aha, w palcach obracał piłeczkę. Nawet pomyślałam, po co mu ona.

– Jak wyglądała?

– Była czerwona.

– Duża?

– Nie, o taka. – Kciukiem i palcem wskazującym Lala pokazała średnicę piłeczki. – Chyba plastikowa.

– Zręcznie nią obracał?

– I to jak! – Lala westchnęła z zazdrością. – Gdybym ja tak potrafiła, nie siedziałabym tutaj, tylko występowała w cyrku. Jak Akopian^[2].

A więc Akopian, pomyślał Zarubin z satysfakcją. Żeby tak manipulować piłeczką, trzeba trenować na okrągło, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. To znaczy, że można mówić o nawyku. To już coś.

Stojąc przy kiosku, wypił duszkiem małą butelkę zimnej wody, kupił jeszcze jedną, po czym udał się na poszukiwania. Znaki szczególne nie są obiecujące, ale stanowią jakiś punkt wyjścia. Chłopak z piłeczką mógł być zabójcą, ale mógł też być zwyczajnym przechodniem. Tak czy inaczej, trzeba go znaleźć, zwłaszcza że prawdopodobnie widział mordercę.

I znowu wszystko od początku. Schody, piętro, drzwi, dzwonek, pytanie: „Nie zna pan szczupłego chłopaka, który ma zwyczaj obracać piłeczkę w ręce?”. Słowa podziękowania, kolejne drzwi, dzwonek,

pytanie, schody, drzwi... Nogi mu ciążyły, koszula i spodnie przyłgnęły do ciała niczym skóra, która chyba już nigdy się nie odklei.

Przed dziesiątą Siergiej musiał przerwać obchód, bo późnym wieczorem ludzie nie kwapią się, by otwierać drzwi nieznanym, nawet okazującym oficjalną legitymację. Denerwują się i usiłują odpowiedzieć cokolwiek, nie myśląc i się nie zastanawiając, byle tylko nieproszony gość jak najprędzej sobie poszedł.

Zarubin podjął przerwane czynności następnego ranka, a ponieważ większa część mieszkańców była w pracy i nikt nie otwierał mu drzwi, w porze obiadu przeniósł się do sąsiedniej dzielnicy. Wszedł na podwórze domu i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Tuż przed nim na ławce siedzieli dwaj młodzieńcy. Jeden, wysoki i barczysty, czytał coś na głos, a drugi, szczupły i niższy, ubrany w jasne szorty i koszulkę, uważnie go słuchał, obracając w palcach czerwoną piłeczkę. I kto teraz powie, że w życiu nie można mieć farta? – pomyślał Siergiej.



Nie byli braćmi, ale nie łączyła ich zwyczajna przyjaźń. Byli dla siebie wszystkim.

W wyniku urazu porodowego Artiom Kipiani zaczął cierpieć na atrofię obu nerwów wzrokowych. Najpierw źle widział z daleka, potem z bliska, potem pole widzenia zaczęło się zawężać. Pojawiły się kłopoty z czytaniem i pisaniem, oczy szybko się męczyły, konieczne były długie przerwy, żeby odpocząły. Początkowo Artiom radził sobie w szkole, jednakże w piątej klasie problem się nasilił. Chłopiec po raz pierwszy musiał powtarzać rok. Był niesłychanie zdolny, bez wątplenia miał talent i uczył się w domu całymi godzinami, nawet kosztem snu. Ale jeśli chodzi o prace klasowe... Ich czas był ograniczony, a on, zmuszony odrywać się od pisania, żeby oczy mogły odpocząć, nie nadążał notować rozwiązania zadania, które rozwiązał już w pamięci. To samo działo się na klasówkach z rosyjskiego i angielskiego.

Rodzice Artioma stanęli przed podjęciem odpowiedzialnej decyzji. Oddać chłopca do specjalnego ośrodka dla słabowidzących czy zostawić w normalnej szkole? Właściwie nie musieli się o to spierać, oboje byli zgodni co do tego, że należy, jak to się mówi, nie ustępować ani na krok, żeby zapewnić synowi zdobycie solidnego wykształcenia.

W ośrodku dla słabowidzących program nauczania jest, jak wiadomo, okrojony i nie do wszystkich przedmiotów ogólnokształcących opracowano podręczniki brajlowskie. Ale czy Artiom poradzi sobie z rosnącymi wymaganiami normalnego programu? I co zrobić ze wspomnianymi pracami klasowymi?

Problem klasówek został rozwiązany raz na zawsze. Chłopiec musi zdobyć wykształcenie, a nie oceny, więc może przynosić trójki, a nawet dwójki, nie ma w tym nic strasznego. Żeby go jednak nie relegowano ze szkoły za brak postępów, musi się bardzo przykładać i dostawać same piątki z odpowiedzi oraz z prac domowych. Jekatierina i Tiengiz Kipiani poświęcili cały swój wolny czas na ołtarzu tej decyzji, czytali Artiomowi na głos podręczniki, dyktowali dane z zadań oraz przykłady. W ten sposób chłopiec przebrnął przez kolejne dwie klasy, a potem znowu został na drugi rok. Zadecydowały o tym wyniki egzaminów. Przedmiotów obowiązkowych było coraz więcej, toteż rodzice nie mieli dość czasu, żeby pomagać synowi. Musieli znaleźć kogoś, kto mógłby poświęcić Artiomowi cały swój czas od trzeciej po południu. Tiengiz poszedł do kierowniczkii szkoły, żeby przeprowadzić poważną rozmowę.

– W ośrodku specjalnym będzie mu lepiej – zapewniała. – Artiom nie potrafi sprostać naszym wymaganiom.

– Przeciwnie – zaproponował ojciec. – Nauka przychodzi mu bez najmniejszego trudu. Syn łapie wszystko w lot i rozwiązuje w pamięci skomplikowane zadania z matematyki i fizyki. Jedyne, z czym sobie nie radzi, to czytanie i pisanie, potrzebuje na to dziesięć razy więcej czasu niż inni. Czy z tego powodu pozbawi go pani możliwości zdobycia gruntownego wykształcenia?

– Chętnie pójde państwu na rękę. – Kierowniczka westchnęła. – Jeśli mi pan powie, co mogę zrobić dla Artioma. Zapewniam, że ja też nie chciałabym się z nim rozstawać, to wspaniały chłopiec i rzeczywiście bardzo zdolny. Po prostu martwię się o niego, proszę zrozumieć. W ośrodku specjalnym będzie mu łatwiej.

– Nie chcę, żeby było mu łatwiej. Niech będzie ciężko, byle nie czuł się niepełnosprawny. I był taki jak wszyscy.

– Chce pan, żeby mu było ciężko – powtórzyła kierowniczka z uśmiechem. – A czego chce sam Artiom? Jest pan pewien, że tego samego?

– Oczywiście – odparł Tiengiz stanowczo. – Artiom to dziecko

o niezwyklej sile woli i ducha, nie chce, żeby obniżano mu wymagania, bo jest ułomny i słaby. Chce dorównać widzącym rówieśnikom, a nie być pierwszy wśród niewidomych.

– Jakie więc widzi pan wyjście?

– Syn potrzebuje kogoś do pomocy. Kogoś, kto by się nim zajął po szkole. Nie chodzi jednak o osobę dorosłą. Nie mam na myśli guwernera czy korepetytora, ale pomocnika. Musi to być chłopak, który chce sobie dorobić. Albo dziewczyna – dodał po chwili zastanowienia.

– Wiem, kto mógłby pomóc – powiedziała kierowniczka. – Do naszej szkoły uczęszcza bardzo inteligentny chłopiec. Jest młodszy o trzy lata od Artioma, ale uczy się w klasie tylko o rok niżej. Chce go pan poznać?

Tak w życiu rodziny Kipianich pojawił się Denis Bażenow. Rano wpadał po Artioma i szli razem do szkoły. Po lekcjach razem wracali. Podgrzewali przygotowany przez Jekatierinę obiad i zabierali się do nauki. Denis robił wszystko, co trzeba, żeby Artiom mógł odrobić lekcje, i znajdował jeszcze czas, żeby odrobić swoje. Jego zadania, co prawda, rozwiązywał przeważnie Artiom, robiąc to w pamięci i dyktując przyjacielowi. Poza tym w drugim roku znajomości problem odrabiania lekcji przez Denisa stał się niesłychanie prosty, bo przecież rok wcześniej chłopak przerobił cały materiał ze starszym kolegą. Artiom nauczył swojego pomocnika nut i tamten pomagał mu nawet w muzyce. Podczas trzydziestodniowej terapii wzmacniającej, której Artiom musiał regularnie się poddawać, Denis woził go na zastrzyki.

Chłopcy stali się nierozłączni, tęsknili do siebie tak, jak tęsknią rozdeleni nawet na krótko bliźniacy. Rodzice Artioma nie mogli się nachwalić odpowiedzialnego ponad swój wiek, dobrego i rozsądnego Denisa i codziennie dziękowali losowi za to, że go im podarował. Traktowali Bażenowa jak drugiego syna, zabierali ze sobą na wakacje, kupowali mu prezenty i ubrania, nie robiąc różnicy między nim a Artiomem. Sami chłopcy zaś jakby zapomnieli o tym, że wcale nie są rówieśnikami. Tego lata Denis kończył dziesiątą klasę, Artiom jedenastą, ale Artiom miał już dziewiętnaście lat, podczas gdy jego kolega zaledwie szesnaście. Zresztą nie tylko oni zapomnieli o różnicy wieku. Denis był wyrośnięty i barczysty, więc przy szczupłym, niewysokim Artiomie wyglądał nawet na trochę starszego.

Artiom nie zdawał egzaminów końcowych, Jekatierinie udało się załatwić zwolnienie ze względu na stan zdrowia. Chłopcy mieli zatem całe dni dla siebie i nie mogli się doczekać, aż w sierpniu wszyscy razem pojedą nad morze.

Tamtego dnia siedzieli na podwórzu w cieniu rozłożystego drzewa. Denis czytał na głos kolejny tom Rogera Zelaznego, Artiom zaś słuchał uważnie, jak zwykle obracając w dłoni piłeczkę, żeby ćwiczyć palce, gdy podszedł do nich nieznajomy mężczyzna.

– Dzień dobry – powiedział uprzejmie.

– Dzień dobry – odparli jednocześnie i od razu parsknęli śmiechem, rozbawieni swoją zgodną odpowiedzią.



Siergiej Zarubin też się roześmiał. Dojrzali chłopcy mówiący chórem wydali mu się pocieszni. Czyżby byli braćmi?

– Mieszkacie w tym domu? – zainteresował się.

– Tak. – Jednoczesne kiwnięcie głowami.

– Zawsze odpowiadacie chórem?

– To zależy – odparł szczupły. – A dlaczego?

– Tak tylko pytam. Słyszeliście o wybuchu?

– Oczywiście – odparł od razu drugi, silniej zbudowany. – To przecież było niedaleko.

– A sami nie widzieliście?

Zapadła cisza. Chłopcy wymienili dziwne spojrzenia. To się nie spodobało Zarubinowi.

– Ja nie widziałem – powiedział barczysty chłopak. – On też. A dlaczego pan pyta?

– Szukam kogoś, kto był tam krótko przed wybuchem. Albo podczas niego – wyjaśnił Siergiej, zwracając się do szczupłego. Odniósł wrażenie, że jest on pod wpływem postawniejszego kolegi, i miał ochotę rozdzielić ich w trakcie rozmowy. – Jestem z milicji. Urządzenie wybuchowe, które umieszczono pod samochodem, było zdalnie sterowane, więc zamachowiec musiał nacisnąć guzik, rozumiecie? To znaczy, że był na miejscu i ktoś go widział. Nie mógł pozostać niezauważony. Ty przecież byłeś tam tuż przed wybuchem, prawda?

– Zgadza się. – Szczupły chłopak kiwnął potakująco głową.

– Co tam robiłeś?

– Stałem. Czekałem na niego. – Ruchem głowy pokazał kolegę.

– I co widziałeś?

Znowu cisza. Siergiej próbował uchwycić spojrzenie szczupłego chłopaka, ale mu się nie udawało, bo ten wciąż uciekał gdzieś wzrokiem.

– Był tam mężczyzna – powiedział wreszcie.

– Jaki? Co robił?

– Siedział na ławce. Słuchał *Symfonii Szkockiej* Mendelssohna. Noga go bolała, nie mógł chodzić, więc poprosił, żebym mu kupił wodę w kiosku. Kupiłem. To wszystko.

Bardzo ciekawe. Mężczyźnie tak bardzo doskwierała noga, że nie mógł chodzić. I nikt z przesłuchanych świadków, którzy podbiegli do samochodu zaraz po wybuchu, o nim nie wspomniał, mimo że facet siedział rzekomo na ławce, a więc powinien zwrócić na siebie uwagę. To znaczy, że szybko zmył się z miejsca zdarzenia. Dziwnym trafem noga od razu przestała go boleć. Czyżby to był strzał w dziesiątkę?

– Powiedz, jak wyglądał, jak był ubrany – poprosił.

Znowu zapadła cisza. Tym razem Siergiej nie snuł żadnych domysłów.

– Co się dzieje, chłopcy? Dlaczego boicie się odpowiadać?

– Musi pan wiedzieć, że Artiom prawie nie widzi – powiedział barczysty chłopak. – I nie lubi, gdy ktoś się tego domyśla.

– Jak to nie widzi? – Zarubin osłupiał. – W ogóle?

– Prawie w ogóle. Cierpi na taką chorobę, która sprawia, że widzi tylko rozmytą sylwetkę w bardzo wąskim polu.

– No to czemu nie nosisz okularów? Wstydzisz się? – zapytał Siergiej Artioma.

– Nie. – Tamten uśmiechnął się nieśmiało. – Okulary nie pomagają w tej chorobie.

– A więc nie możesz niczego powiedzieć o tamtym mężczyźnie?

– Mam dobry słuch, więc zapamiętałem jego głos. Ale nie wiem, jak wyglądał. Nie mogę nawet określić wieku.

– Miał magnetofon?

– Odtwarzacz.

– No to skąd wiesz, jakiej muzyki słuchał? Musiał przecież mieć na uszach słuchawki – zdziwił się Zarubin.

– Mam dobry słuch. Gdy stoję blisko, słyszę nawet przez słuchawki. To chyba jakiś poważny facet – powiedział Artiom w zamyśleniu.

– Skąd ten wniosek? – zapytał Siergiej czujnie.

– Młódzież nie słucha Mendelssohna, to niemodne. Tylko starsze pokolenie lubi klasykę. A to było dobre nagranie.

– Co to znaczy „dobre”? – uściślił wywiadowca. – Masz na myśli jakość?

– Nie, orkiestrę. Nigdy jeszcze nie słyszałem tego nagrania. Mam *Symfonię Szkocką* w wykonaniu orkiestry berlińskiej, wiedeńskiej i naszej, Wielkiej Symfonicznej. Słyszałem też inne nagrania, chociaż ich nie mam. Ale to, czego słuchał tamten facet, to coś wyjątkowego. Pewnie jakiś wybitny dyrygent.

– Jak rozróżniasz takie rzeczy? – zdumiał się Zarubin. – Dla mnie orkiestra to orkiestra, muzyka też jest taka sama.

– Chyba nigdy nie uczył się pan muzyki, dlatego nie potrafi pan słuchać. – Artiom znowu uśmiechnął się lekko.

– A co powiesz o głosie tego mężczyzny? – zapytał Siergiej. – Skoro tak dobrze słyszysz, może wpadło ci w ucho coś szczególnego?

– Szczególnego... – Artiom się zamyślił. – Mówił wolno. Ale uznałem, że to normalne, bo było bardzo gorąco, przy takiej pogodzie wszyscy stają się ociężali. Tak, zgadza się, wolno i jakby z trudem, wie pan, jakby spuchł mu język i ledwie nim poruszał. Pewnie dlatego uznałem, że to ktoś starszy. Czyżbym się pomylił?

– Nie wiem – przyznał Zarubin. – Gdybym wiedział, tobym cię nie pytał. Bardzo mi pomogłeś, Artiomie, ale będziesz musiał jeszcze raz porozmawiać albo ze mną, albo z moimi kolegami. To, co powiedziałeś, stanowi ważną informację, trzeba ją należycie omówić i przemyśleć. Jak mogę się z tobą skontaktować?

Siergiej zapisał adres i telefon Artiomu, po czym podał mu kartkę ze swoim numerem telefonu.

– Jeśli coś sobie przypomnisz, od razu dzwoń, dobrze? Nazywam się Siergiej Kuźmicz albo zwyczajnie Siergiej.

– Zadzwonimy – odezwał się drugi chłopak. – Artiom, musimy już iść do przychodni.

W jego głosie Siergiej usłyszał nutę niezadowolenia. Dziwne. Co takiego powiedział albo zrobił, że wzbudziło to niechęć postawnego chłopaka? Trzeba ratować sytuację, świadek powinien lubić

wywiadowcę, to fundamentalne prawo pracy detektywa.

– A ty jak się nazywasz? – zwrócił się do chłopaka.

– Denis.

– Jesteś bratem Artioma?

– Jego przyjacielem. Przepraszam, Siergieju Kuźmiczu, na nas pora. Artiom musi iść na zastrzyk, pielęgniarka się gniewa, gdy się spóźniamy.

≡

Wielodniowa fala upału męczyła każdego bez wyjątku, uniemożliwiała myślenie i podejmowanie decyzji, sprawiała, że wszyscy marzyli o jednym – o chłodzie, niechby nawet ze szkodą dla pracy czy innych ważnych rzeczy. Głównym tematem rozmów stały się nadawane w radiu i telewizji prognozy pogody, a także ocenianie stopnia ich wiarygodności.

Nastia Kamieńska siedziała w pokoju Korotkowa i razem z nim układała plan najpilniejszych czynności, które należało podjąć w sprawie podwójnego zabójstwa popełnionego ubiegłej nocy. Mimo otwartego na oścież okna nie było czym oddychać, więc co pewien czas otwierali drzwi na korytarz, żeby się trochę ochłodzić w przeciągu.

– Dranie, przecież obiecywali wczoraj, że dzisiaj będzie pięć stopni mniej. Znowu nas oszukali, szubrawcy – burczał Jurij, rozpinając jeszcze jeden guzik koszuli i dmuchając na spoconą pierś. – Słupek rtęci wciąż idzie w górę. Rano pokazywał już dwadzieścia dziewięć stopni. Aż strach pomyśleć, ile jest teraz.

– W pogodzie też panuje inflacja. – Nastia się uśmiechnęła.

O dziwo, upał jej nie doskwierał. Jedyne problemy stanowiły spuchnięte nogi, bo nie mogła wkładać sandałów i musiała się męczyć w tenisówkach.

– Obiecywali też burzę wczoraj. – Korotkow nie przestawał narzekać.

– No i gdzie ona jest? Mija kolejny dzień, a jej wciąż nie widać. Za nic mają rodaków, oj, za nic!

– Wezwij na ratunek Armię Czerwoną – mruknęła Nastia. – Słuchaj, Małoszka-Złoszka^[3], przestań jęczeć, co? Nie mogę zebrać myśli.

– W porządku, przepraszam. – Korotkow podniósł ręce. – Czy z milczeniem mi do twarzy, Asiu?

– I to jak.

– W takim razie przez jakiś czas będę powabny.

W tej samej chwili zadzwonił telefon.

Skończywszy rozmawiać, Jura odłożył słuchawkę i westchnął ze smutkiem.

– Co się stało?

– Nie udało nam się ocalić Kolki – powiedział. – Przyszło polecenie, żebyśmy w ramach pomocy praktycznej włączyli się do sprawy obywatela Dudariewa.

– Szkoda. Ale nic na to nie poradzimy. Kogo tam wyznaczono na śledczego?

– Borkę Gmyrię.

– Gmyrię? – zdziwiła się Nastia. – Wczoraj podałeś mi przecież inne nazwisko. Jermakow czy jakoś podobnie...

– Jermiłow. Wszczął sprawę, bo akurat miał dyżur, ale potem przekazał ją Borce. Och, napłacze się Kolka przez Gmyrię. Boris Witaljewicz nie cierpi prowadzić spraw, które wszczął ktoś inny. Chodzi zły jak osa i burczy na wszystkich bez wyjątku. Nawiasem mówiąc, moja kochana, ciebie też nie minie ten los. Siełujanow nam nie wystarczy, będziesz musiała popracować.

– To dla mnie nic nowego. – Roześmiała się. – Zawsze do usług. Bylebym tylko nie musiała nigdzie jeździć ani wlec się pieszo. No i co, moje słoneczko, miło jest rozkazywać, he? Nie musisz biegać po mieście w taką pogodę. Siedzisz sobie w pokoju i wydajesz polecenia.

– Miło – przyznał Korotkow. – Zwłaszcza w obliczu nadchodzącej przyjemności, kiedy to naczelstwo zacznie mnie rozliczać za waszą, państwo podwładni, fuszerkę. Wy macie to w nosie, dostaniecie ode mnie burę, ale się nią nie przejmiecie, bo jestem jednym z was, znacie mnie od niepamiętnych czasów i się nie boicie. W razie czego poślecie do diabła w imię starej przyjaźni. A dla wysoko postawionego towarzystwa jestem młodym, niedoświadczonym szefem, którego trzeba wychowywać i musztrować, zwłaszcza gdy tuż po objęciu stołka został pozostawiony samopas, to jest bez Pączka. No dobra, poszukajmy naszego pana młodego.

Siergiej Zarubin spodobał się Siełujanowowi. Chłopak był energiczny, rzutki i ciekawski, więc Nikołaj pomyślał, że jeśli popracuje w milicji ze cztery lata, będzie dobrym wywiadowcą. Wprawdzie panuje opinia, że dobrym wywiadowcą można zostać dopiero po jakichś dziesięciu latach, ale osób, które spędziły tyle czasu w wydziale kryminalnym, dzisiaj ze świecą szukać. Trzeba być Pączkiem Gordiejewem, żeby stworzyć zespół i nie pozwolić, by się rozpadł po roku. Ale takich szefów jak on jest jeszcze mniej niż doświadczonych wywiadowców.

Wbrew obawom śledczy Gmyria wcale nie był zły, że przydzielono mu czyjąś sprawę.

– Sytuacja, gdy dostaję materiały, z którymi ktoś sobie nie poradził, i wiem, że trzeba poprawiać cudze błędy, to nie to samo co rzeczywista konieczność zawodowa, a nawet prawna – wyjaśnił Siełujanowowi. – Nie ma w tym winy Miszki Jermiłowa, że podejrzany okazał się kochankiem jego żony. To dobry śledczy i na pewno świetnie poprowadziłby sprawę. Ale przepisy zabraniają, nie da się ich nagiąć.

Po wysłuchaniu informacji Zarubina o Artiomie Kipianim Gmyria się zamyślił.

– Co to za chłopak? – zapytał mgliście.

– Porządny – odparł Siergiej stanowczo. – Rozgarnięty i bardzo sympatyczny.

Wywiadowcy wiedzieli, nad czym głowi się teraz Boris Witaljewicz. Informacja Jermiłowa, że Dudariew często odwiedza targi książki w Olimpijskim, zmuszała wywiadowców do szukania możliwych kontaktów podejrzanego również w tym olbrzymim tłumie. Pracy jest do licha i trochę, a ludzi brakuje. Dlatego podczas wyjaśniania sprawy przestępstwa trzeba uciekać się do chytrych sztuczek, żeby zmniejszyć zakres zadań. Wyjście nasuwało się samo: zamiast bezmyślnie szukać nie wiadomo kogo po całej Moskwie, lepiej wypuścić Dudariewa z celi, dobrze czymś nastraszyć i zobaczyć, kogo pobiegnie uprzedzić o niebezpieczeństwie.

– Borisie Witaljewiczu, Artiom prawie nie widzi – powiedział Zarubin spokojnie. – Czy mamy prawo wciągać go w nasze sprawy?

– Ile ma lat, mówisz? – zainteresował się śledczy, zamiast odpowiedzieć.

– Dziewiętnaście.

– No widzisz, jest pełnoletni. I nikt nie zamierza go w nic wciągać. Po

prostu nikomu nie powiemy, że jest niewidomy, a jego poprosimy, żeby był czujny i nikomu nie wspominał o swojej chorobie. To wszystko.

Siełujanow mruknął coś pod nosem. Gmyria, podobnie jak każdy człowiek, miał swoje wady, ale wywiadowcy lubili z nim pracować, bo w przeszłości też był detektywem, i dlatego rozumiał ich problemy. Poza tym, w odróżnieniu od wielu śledczych, nierzadko tolerował naruszenie przepisów, niezbyt rażące oczywiście, nieprzynoszące szkody interesom wymiaru sprawiedliwości.

– Trzeba porozmawiać z rodzicami Artioma – zaproponował Siergiej.

– Słusznie. – Gmyria kiwnął głową. – Musimy, jak to się mówi, mieć ich po swojej stronie. Ale poza tym, chłopcy, trzymajcie buzie na kłódkę. Jak góra się dowie, nie pogłaszcze nas po głowach.

– Zrozumiałem, nie jestem idiotą – oznajmił Siełujanow wesoło.

– A przy okazji, słyszałem, że Kamińska wróciła – powiedział śledczy niespodziewanie. – To prawda?

– Święta prawda.

– Możesz ją poprosić, żeby odwiedziła rodziców tego chłopca?

– Sam mogę ich odwiedzić, to żadna filozofia – powiedział Siełujanow ze zdziwieniem.

– No pewnie. Jak zobaczą twoją kretyńską gębusię, nawet nie zechcą z tobą rozmawiać. Siergieja też nie możemy posłać, jest jeszcze młody, nie da rady właściwie poprowadzić rozmowy w sytuacji, gdy rodzice się uprą. A Kamińska ich przekona. Zresztą, jeśli dobrze zrozumiałem, pojawiła się tam jakaś kwestia muzyczna. Ani ty, ani Zarubin nie macie o tym pojęcia. Ja tym bardziej. Ale wasza Anastazja to muzykalna osoba, pamiętam jeszcze ze sprawy Aliny Waznis. Analizowała wtedy libretto operowe.

– Nie ma problemu, Borisie Witaljewiczu, tylko może sam pan zadzwoni do naszych zwierzchników? Moja prośba znaczy dla Aśki tyle, co dla psa mucha. Ale jeśli szefostwo jej każe, dziewczyna zrobi wszystko.

– Zadzwonię. Kto tam u was teraz dowodzi?

– Korotkow.

– Kto?!

Siełujanow z trudem powstrzymał śmiech. Nikt i nic na świecie nie mogło go powstrzymać przed robieniem żartów i urządzaniem kpin z kolegów albo ich podpuszczaniem. Dlatego z nieopisaną

przyjemnością patrzył teraz, jak przekonany o swojej wyższości śledczy Gmyria staje przed koniecznością zwrócenia się z prośbą do Jurki Korotkowa, którego tyle razy traktował jak nieopierzonego młokosa.

– Dlaczego Korotkow? – zapytał z niezadowoleniem. – Czyżby nie było na miejscu nikogo z przełożonych?

– On właśnie jest przełożonym. Mianowano go tydzień temu.

– A co z Żeriechowem?

– Odszedł na emeryturę. Na własną prośbę.

Boris Witaljewicz roześmiał się nagle i klepnął Siełujanowa po ramieniu.

– Ale z ciebie szczwany lis, Nikołaju! Mnie nie nabierzesz, byłem taki sam, gdy pracowałem jako wywiadowca. Wszystko bym zrobił, byle tylko dopiec śledczemu. No dobrze, zadzwonię, korona mi z głowy nie spadnie. Jak Korotkow nazywa się po ojcu?

– Wiktorowicz – skwapliwie podpowiedział Siełujanow.

Gmyria wybrał numer i odchrząknął.

– Juriju Wiktorowiczu, Gmyria zawraca panu głowę. Mogę wystąpić z prośbą?



Nastia postanowiła pojechać w mundurze na spotkanie z Jekatieriną i Tiengizem Kipianimi. Uznała, że dzięki temu rozmowa będzie łatwiejsza. W końcu nie przychodzi jakaś smarkata, ale starszy oficer milicji.

Jej rachuby okazały się słuszne. W spodniach od munduru, ściągniętych w cienkiej talii, oraz w koszuli z naramiennikami podpułkownika wyglądała niecodziennie i ujmująco i budziła przy tym zaufanie.

– Nie pozwolę wikłać mojego syna w szemraną sprawę – już na wstępie oznajmiła matka Artioma. – To przecież jeszcze dziecko.

– Chłopak nie jest już dzieckiem – zaprzeczył natychmiast Tiengiz. – Ma już dziewiętnaście lat, jest pełnoletni. Gdyby nie wzrok, odbywałby teraz służbę wojskową i niewykluczone, że znalazłby się tam, gdzie trwa strzelanina. Pora, żeby stał się mężczyzną.

– Co z niego za mężczyzna?! Dopiero skończył szkołę! Nie, nie i jeszcze raz nie.

Jekatierina wydawała się nieugięta, ale Nastia domyśliła się, że kobieta nie dyskutuje z funkcjonariuszką milicji ani nawet z własnym mężem, tylko z samą sobą.

– Przecież nikt nie wymaga od Artioma czegoś nadzwyczajnego, Katieńko – przekonywał ją Tiengiz. – Prawda, Anastazjo Pawłowna?

– Oczywiście – przytaknęła Nastia. – Nie próbujemy wciągać go do naszej pracy. Moglibyśmy niczego państwu nie mówić, ale uznaliśmy, że będzie lepiej, jeśli rodzice zostaną poinformowani. Powiemy tylko podejrzanemu, że jego wspólnika widziano na miejscu zdarzenia i że jest chłopak, który go zapamiętał i może rozpoznać. Nie zdradzimy nikomu jego nazwiska ani tym bardziej adresu. Jedyne kłamstwo, do którego dojdzie, to przemilczenie informacji o tym, że Artiom wprawdzie tam był, ale niczego nie widział. Dlatego zwrócimy się z prośbą do państwa syna, żeby w towarzystwie nieznanymi osobami nie zdradzał się z tym, że źle widzi. I to wszystko. Szczerze mówiąc, nie dostrzegam tu żadnego niebezpieczeństwa. Ale jeśli pani jest przeciw, nie będę nalegać.

– Nie – znowu odezwała się Jekatierina, ale już mniej stanowczo. – Boję się o syna. Lepiej od razu gdzieś go wywieźmy. Weźmiemy urlop i wywieziemy.

– Pleciesz bzdury! – Mąż się uniósł. – Po co w takim razie męczyliśmy się przez tyle lat i robiliśmy, co w naszej mocy, żeby żył wśród osób widzących i prowadził normalne życie – takie jak wszyscy? Po to, by w obliczu pierwszych kłopotów uznać go za inwalidę i rozpiąć nad nim parasol ochronny? Artiom jest mężczyzną i powinien zachowywać się po męsku. Pora, byśmy przestali chować go pod kloszem.

– Ale przecież on nie widzi... – zaprotestowała słabo matka.

– No dobrze, rozważmy to spokojnie. – Tiengiz westchnął. – Co byś powiedziała, gdyby Artiom widział albo gdyby sprawa dotyczyła na przykład Denisa?

– To samo. Dla przestępcy nie ma znaczenia, czy świadek widzi, czy jest ślepy. Znajdzie chłopca i spróbuje go zabić. Boję się.

– Brzmi rozsądnie – zauważył mąż. – Co pani na to, Anastazjo Pawłowna?

Nastia zorientowała się, że Tiengiz przyjął rolę arbitra między żoną a milicjantką. Panuje nad sytuacją, nie pozwala na rozmowę we troje, osobno dyskutuje z Jekatieriną, osobno z gościem, stara się zająć

pozycję lidera. Prawdziwa głowa rodziny, pomyślała Nastia z uśmiechem.

– Sądzę, że nie ma takiego niebezpieczeństwa – odparła łagodnie. – Poinformujemy podejrzanego, którego zamierzamy zwolnić, że jest pewien świadek. W tej sytuacji będzie musiał powiedzieć o tym innemu przestępcy, temu, który rozmawiał z pańskim synem. Będziemy obserwować wszystkie kontakty podejrzanego i gdy tylko spotka się ze swoim współnikiem, obaj zostaną zatrzymani. Nawet nie będą mieli czasu, żeby się zastanowić, gdzie i jak szukać pańskiego syna.

– Przekonała mnie pani – powiedział Tiengiz stanowczo.

– A pańską żonę?

– Ją też.

– Odniosłam inne wrażenie – zauważyła Nastia taktownie.

Chciała otrzymać zgodę obojga rodziców, w przeciwnym razie mogły się pojawić nieprzewidziane komplikacje.

– Katia zawsze podziela moje zdanie – powiedział Tiengiz twardo. – Mówimy jednym głosem.

Jekatierina kiwnęła głową na znak zgody, ale w jej oczach malował się popłoch.

– W takim razie muszę porozmawiać z państwa synem. Ostatnie słowo należy do niego. Może sam odmówi.

≡

Artiom stał, przyciskając ucho do drzwi, i przekazywał szeptem przyjacielowi to, co usłyszał.

– Ojciec się zgadza, ale mama jest przeciwna – oznajmił.

– A czego chce ta baba? – zapytał Denis cicho.

Siedział na kanapie w samych szortach, przeupocona koszulka wisiała na oparciu krzesła przed wentylatorem.

– Chce komuś powiedzieć, że widziałem tamtego mężczyznę na ławce.

– Po co?

– Żeby go nastraszyć.

– A jak się dowie, że to on? Przecież go nie widziałeś i nie potrafisz rozpoznać...

– Ciszej! Porozmawiamy później, bo nic nie słyszę.

Przez jakiś czas w pokoju panowała cisza. Denis wstał z kanapy

i podszedł na palcach do wentylatora. Strumienie ciepłego powietrza owiewały nagie ciało, więc poczuł chwilową ulgę. A jednak są pewne zalety bycia nastolatkiem. Można paradować w szortach podczas upału, nie jak dorośli, którzy, zmuszeni chodzić do pracy, pocą się w garniturach.

Nagle Artiom odskoczył od drzwi i opadł na kanapę, robiąc znudzoną i niefrasobliwą minę. W tej samej chwili drzwi pokoju się otworzyły.

– Chodźcie tutaj, chłopcy – rozległ się głos Tiengiza. – Nasz gość chce z wami porozmawiać.

Denis od razu ruszył do drzwi, ale Artiom go powstrzymał.

– Włóż koszulkę – powiedział szeptem. – Nie wypada paradować z nagim tarsem w obecności obcej kobiety.

Denis posłusznie wciągnął wilgotną koszulkę i się skrzywił. Same przykrości przez tę milicję.

[2] Rafael Akopian – artysta cyrkowy, akrobata i klaun.

[3] Negatywny bohater *Bajki o tajemnicy wojskowej, o Małoszce-Śmiałoszce i jego twardym słowie* A. Gajdara.

Rozdział 3

Denis Bażenow patrzył niespokojnie na gościa. Kobieta mu się nie podobała. Choćby dlatego, że rozumiała, o czym mówi Artiom. On, Denis, nie rozumiał, a ona rozumiała.

– Posłucham nagrań berlińskiej i wiedeńskiej orkiestry, a także Wielkiej Symfonicznej – powiedziała. – Ale przecież na pewno są jeszcze dziesiątki innych nagrań *Symfonii Szkockiej*. Potrzebuję jakichś wyróżników, żeby wybrać spośród dziesiątków nagrań to, które słyszałeś.

– Zna pani tekst muzyczny? – zapytał Artiom.

Denis poczuł złośliwą satysfakcję. On akurat wie, co to jest tekst muzyczny, Artiom mu wytłumaczył, ale ta baba może tego nie wiedzieć.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się.

– W takim razie mogę zagrać pani parę fragmentów z pierwszej części, pomogą rozpoznać tamto nagranie.

Podniósł klapę fortepianu, usiadł na obrotowym krześle i wziął parę akordów.

– Właśnie w tym miejscu – zagrał parę taktów – słychać wyraźnie instrumenty blaszane. W innych nagraniach przebijają smyczkowe, rozumie pani?

– Tak. – Kamińska kiwnęła głową. – Zapamiętam.

– I jeszcze coś. – Artiom znowu zaczął grać. – Tutaj jest na odwrót, blaszanych jakby w ogóle nie było, słychać tylko skrzypce.

– Zrozumiałam. Od dawna zajmujesz się muzyką?

– Całe życie. Odkąd pamiętam.

– A więc gdy zaczynałeś, widziałeś lepiej niż teraz?

– O wiele lepiej. Dlatego granie nie sprawia mi kłopotu, palce znają każdy klawisz. Problemem są nuty.

Denis omal nie pękł ze złości. Jak ona śmie! Że też ma czelność

rozmawiać z Artiome o jego chorobie! Ani Artiom, ani jego rodzice, ani Denis nie pozwalali o niej wspominać, wszyscy udawali, że problem nie jest wart dyskusji. Trzeba żyć i pracować, a nie myśleć o bolączkach. Tak uczyli Artioma rodzice, tak myślał sam Artiom i właśnie tak przyzwyczał myśleć swojego przyjaciela. Ale Artiom też jest dobry! Dlaczego odpowiada milicjantce, zamiast gwałtownie uciąć rozmowę i przywołać ją do porządku, jak to robił z natrętami w szkole?

– A co z nutami? – zapytała Kamieńska. – Pewnie nie możesz czytać ich z kartki i musisz radzić sobie jak w pierwszej klasie?

– To zależy. Przez jakieś dziesięć minut mogę czytać z kartki, później muszę odpocząć z pół godziny, bo oczy bardzo się męczą i przestają cokolwiek widzieć. W tym czasie Denis mi pomaga, czyta na głos partyturę. Idzie to wprawdzie wolno, bo przecież ja wszystkie znaki muzyczne widzę naraz, a on wymienia je po kolei. Ale nie szkodzi, dajemy sobie radę. Najbardziej lubię grać z pamięci, do tego nie trzeba żadnych nut. Gram dla własnej przyjemności.

– A jakie są perspektywy? Jest szansa, że się wyleczysz?

Nie, tego Denis nie potrafił już znieść. Nawet z nim, ze swoim najbliższym przyjacielem, Artiom nigdy nie rozmawia na ten temat, mimo że Denis został we wszystko wprowadzony. Wujek Tiengiz na samym początku opowiedział mu o chorobie Artioma i raz na zawsze zabronił poruszać tę kwestię. Trzeba stosować się do zaleceń lekarzy, ale ich nie omawiać, bo nie ma się nad czym rozwodzić. Trzeba żyć i pracować, a nie mieć językiem.

– Perspektywy są żadne – powiedział Denis głośno i nerwowo, próbując osłonić przyjaciela, który nie lubił o tym mówić. – Nigdzie na całym świecie nie ma lekarstwa na tę chorobę. Atrofia nerwu wzrokowego prowadzi do całkowitej ślepoty. Niektórzy mają szczęście, stan się stabilizuje, chory widzi źle, ale z biegiem lat sytuacja się nie pogarsza. Choroba się zatrzymuje.

Kamieńska popatrzyła na niego uważnie. Jej spojrzenie sprawiło, że Denis poczuł się nieswojo.

– Dobrze się orientujesz w chorobie Artioma – zauważyła. – Czy, twoim zdaniem, jest nadzieja, że jego stan się ustabilizuje?

Denis złagodniał. Od razu wybaczył tej obcej babie, bo teraz rozmawiała tylko z nim i pytała o to, czego sama nie wiedziała. Tym samym uznała jego przewagę i wyższość. Teraz gotów był opowiadać jej

godzinami o tym, czym jest atrofia nerwu wzrokowego i do czego prowadzi. Wiedział mnóstwo o tej chorobie.

– Jeszcze nie wiadomo – odparł. – Te rzeczy wyjaśniają się w wieku jakichś dwudziestu pięciu lat, gdy organizm ostatecznie się ukształtuje. Jeśli, oczywiście, do tego czasu chory całkowicie nie straci wzroku. Przez ostatnie dwa lata stan Artiomia się nie pogarsza, więc nadzieja jest, mimo że niewielka.

– Niech oczy nie widzą, jak przedtem. Ważniejsza od wzroku jest nadzieja – powiedziała Kamińska w zamyśleniu.

– Co pani powiedziała? – Artiom się ożywił.

Oczy mu zapłonęły, odwrócił się na swoim krzeselku, na którym siedział przed fortepianem, i zaczął kręcić głową, żeby Kamińska znalazła się w mocno ograniczonym polu jego widzenia.

– To nie ja.

– A kto?

– Irina Astapkina, poetka i piosenkarka. Nie słyszałeś o niej?

– Nie. Nie znam się na współczesnej sztuce.

– I nawet się nią nie interesujesz?

Denisowi nie spodobało się, że rozmowa znowu zaczęła się toczyć obok niego, jakby go tutaj w ogóle nie było. Musi położyć temu kres.

– Artiom nie przepada za współczesną estradą – powiedział oschle. – Woli klasykę.

– No cóż, to godne pochwały. Ale wcale nie oznacza, że nie należy interesować się innymi prądami. A nuż znajdzie się w nich coś, co ci się spodoba?

Denis już miał arogancko zauważyć, że Kamińska nie musi ich pouczać, czym mają się interesować, ona jednak nagle zmieniła temat rozmowy.

– Więc jesteśmy umówieni, Artiomie? Dzisiaj wieczorem wypuszczamy na wolność mężczyznę, którego podejrzewamy o zabójstwo żony. Sądzymy, że sam nie podłożył ładunku wybuchowego, ale miał współnika. Liczymy więc na to, że zechce się z nim spotkać i uprzedzić go o niebezpieczeństwie. Powiemy mu, że znalazł się świadek, który widział i dobrze zapamiętał tamtego osobnika na ławce. Twoje zadanie polega na tym, żebyś unikał kontaktu z nieznanymi, a w razie czego nie zdradził się, że źle widzisz. Mam nadzieję, że twój przyjaciel ci pomoże. Najlepiej bądźcie przez cały czas razem.

- I tak jesteśmy wciąż razem – rzucił Denis ostro.
- To świetnie. Jeszcze jedno. Dopóki nie schwytały przestępcy, zrezygnuj z ćwiczeń z piłeczką.
- Dlaczego? – zdziwił się Artiom.
- Dlatego że to cię wyróżnia. Niewykluczone, że tamten mężczyzna, który siedział na ławce, nie zapamiętał twojej twarzy. Nie wszyscy mają dobrą pamięć wzrokową, więc może nie przypomnieć sobie twojego wyglądu. Ale piłeczkę na pewno widział i zapamiętał. Dzięki niej my cię znaleźliśmy i zapamiętała cię ekspedientka, u której kupowałeś wodę .
- Artiom musi ćwiczyć palce – włączył się znowu Denis. – A poza tym musi bez przerwy obracać coś w dłoni, to pomaga mu się skoncentrować.

Kamieńska wstała i Denis z niezadowoleniem odnotował, że jest prawie tego samego wzrostu co on, może trochę niższa, ale zaledwie o parę centymetrów. A on chętnie popatrzyłby na nią z góry.

- Proszę jednak, żebyście nie lekceważyli tego, co powiedziałam. Skoro Artiom zgodził się nam pomóc, musicie słuchać naszych rad. Nie wychodźcie nigdzie z piłeczką, tak będzie lepiej.



Odkąd mąż wrócił z dyżuru w poniedziałek rano, Olga Jeremiłowa powtarzała sobie, że będzie uczciwą żoną, jeśli Michaił jej wybaczy. Ale telefon od Gieorgija w środowy poranek sprawił, że zapomniała o wszystkich składanych obietnicach.

- Gdzie jesteś? – zapytała, gdy tylko usłyszała jego głos.
- W mieście. Przed chwilą mnie wypuścili.
- A więc uznali, że to nie twoja wina?
- Bynajmniej, wypuścili mnie za pisemnym zobowiązaniem. Muszę zająć się pogrzebem, bądź co bądź jestem mężem, a w milicji pracują wielcy humaniści. Możesz się ze mną spotkać, Olu?
- Gdzie i kiedy?
- Natychmiast.

Olga pobiegła, oczywiście, do starszego administratora, żeby się zwolnić z pracy, i pół godziny później siedziała na długiej, półokrągłej ławce koło pomnika Puszkina. Gieorgij zjawił się parę minut po niej. Twarz miał wymizerowaną i nieogoloną, pod oczami pojawiły się

ciemne sińce. W milczeniu pocałował ją w policzek i usiadł, patrząc w bok.

– Jak się czujesz? – zapytała Olga, nie wiedząc, od czego zacząć.

– Chyba widzisz. Nie najlepiej.

W tej chwili Gieorgij wydał jej się tak obcy i nieznajomy, że ogarnął ją strach. Dlaczego jest przekonana o jego niewinności? A jeśli...? W dodatku nie patrzy jej w oczy, odwraca głowę.

– Powiedz... – zająknęła się.

– Co?

– Wiesz, kto to zrobił?

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami. – Czyżbyś myślała tak samo jak ten ograniczony śledczy? Sądzisz, że zabiłem żonę, by nie dopuścić do podziału majątku?

– Ależ skąd – odparła pośpiesznie. – Wcale tak nie sędzę, wierzę ci. Wiem, że nie zabiłeś Eleny.

– No właśnie. W każdej chwili mogę trafić z powrotem do celi, więc cała moja nadzieja w tobie. Musisz mi wierzyć, słyszysz, Olu? Musisz mi wierzyć i pomóc.

– Oczywiście, oczywiście, tylko się nie denerwuj. – Olga łagodnie chwyciła go za rękę. – Zrobię wszystko, co zechcesz.

– Znajdź dobrego adwokata. Niech zajmie się moją sprawą.

– Ale skąd mam go wziąć? – zapytała zmieszana. – Mogę jedynie pójść do kancelarii adwokackiej i poprosić. Przecież nie wiem, który adwokat jest dobry.

– Nie udawaj głupiej!

Gieorgij zaczął się denerwować, więc Olga się przestraszyła, że zaraz wstanie i sobie pójdzie.

– Twój mąż jest śledczym. To znaczy, że wśród waszych przyjaciół są też śledczy. Oni na pewno znają adwokatów. Nie możesz ich po prostu zapytać? Albo zwróć się do męża.

– Nie mogę – niemal wyszeptała.

– Dlaczego?

– Wie o wszystkim.

– Skąd?

– Powiedziała mu.

– Na głowę upadłaś? Po co to zrobiłaś?

– Prosiłam, żeby ci pomógł. To przecież on cię aresztował. Byłam

gotowa na wszystko, żeby ci pomóc.

Gieorgij wreszcie się do niej odwrócił, z trudem opanowując zdumienie.

– Więc to był on?

– Tak.

– To dlatego dzisiaj wypuścił mnie inny śledczy. Coś takiego! Ale się porobiło... Nawet nie podejrzewałem, że to twój szanowny małżonek mnie załatwił. Ciekawe, czy on wiedział?

– Nie, on też nie wiedział. Powiedziałam mu dopiero w poniedziałek, gdy wrócił z dyżuru.

– I jak zareagował? Bardzo krzyczał?

– Nie. – Uśmiechnęła się słabo. – Prawie wcale. Tylko trochę. Później się ubrał i poszedł do pracy.

– I co potem?

– Nic. Teraz ze mną nie rozmawia. Wchodzi i wychodzi bez słowa. Śpi w pokoju Walerki.

Przez pewien czas siedzieli, nie odzywając się do siebie. Olga ze smutkiem myślała, że teraz wszystko będzie chyba inaczej, a niebawem w ogóle się skończy. Biegła na to spotkanie, wyobrażając sobie, że rzucą się sobie w objęcia, Gieorgij będzie ją całował i trzymał za ręce, jak po długiej rozłące. Ale wyszło inaczej. Jej ukochany siedzi obcy i daleki, rozmawia niechętnie, cedzi słowa, jakby miał do niej pretensje.

– Pewnie jesteś głodny? – zapytała nieśmiało.

– Niespecjalnie. Jest gorąco, nie chce mi się jeść.

– Ale przecież niedawno wyszedłeś z więzienia. Musisz coś zjeść. Chodźmy na obiad – zaproponowała.

Gieorgij wstał w milczeniu i ruszył w stronę wyjścia ze skweru. Olga pośpieszyła za nim, zastanawiając się gorączkowo, gdzie by tu pójść, żeby kuchnia była smaczna, a okolica go nie drażniła.

Szli w dół Twerskiej, nadal się do siebie nie odzywając. Gieorgij nie prowadził jej pod rękę, jak zwykle, więc Olga poczuła się jak przybłąkany pies, który przyczepił się do przechodnia i boi się, że tamten go zauważy i przepędzi.

Koło pomnika Jurija Dołgorukiego stały stoliki z parasolami. Olga wiedziała, że mimo niepozornego wyglądu lokalu można tu było dobrze zjeść, bo potrawy przywożono z restauracji Aragwi.

– Usiądźmy – powiedziała, dotykając dłoni towarzysza.

Georgij w milczeniu skręcił w stronę stolików. Gdy podszedł kelner, złożyli zamówienie, a potem znowu zapadła cisza.

– Dlaczego ze mną nie rozmawiasz? – Olga w końcu nie wytrzymała. – Czyżbyś uważał, że to ja jestem winna tego, co cię spotkało?

– Nie jesteś niczemu winna – odparł z rozdrażnieniem. – Ale liczyłem na twoją pomoc. Jesteś jedyną osobą, na którą mogę liczyć. A raczej myślałem, że mogę. Tymczasem okazało się, że jesteś całkiem bezradna i nie chcesz nawet przez pięć minut ruszyć głową, żeby wymyślić sposób, jak znaleźć dobrego adwokata. Czy w takiej sytuacji mogę mieć do ciebie zaufanie?

– Znajdę ci adwokata – obiecała Olga stanowczo. – Najlepszego. Zrobię wszystko, żebyś nie trafił do więzienia. Przecież nie zabiłeś Eleny, prawda?

Georgij cisnął widelec i wypił duszkiem wino z plastikowego białego kubeczka.

– Wspaniale. Wygląda na to, że jednak masz wątpliwości. Jak więc mogę ci teraz ufać, skoro ty mi nie ufasz?

– Wybacz mi. – Olga wyciągnęła ku niemu rękę, ale Georgij gwałtownie się odsunął. – Wierzę ci, kocham cię, nie gniewaj się, że zapytałam. Zrobiłam to bezmyślnie. Nie chciałam cię obrazić. Jedz, proszę.

– Nie chcę. Najadłem się. Kończ i idziemy.

– Dokąd?

– Ja do domu, a ty – gdzie chcesz. Szukaj adwokata, jeśli naprawdę mi wierzysz i chcesz pomóc.

Olga zostawiła niedojedzoną potrawę i oboje ruszyli do metra. Georgij wciąż milczał, a ona miała ochotę się rozplakać. Tak bardzo czekała na to spotkanie... Lepiej, żeby w ogóle do niego nie doszło.

Na peronie się rozstali. Georgij jechał na stację Krasnyje Worota, a Olga musiała przejść na Teatralną.

– Już mnie nie kochasz? – zapytała przybita na pożegnanie.

– Nie pleć głupstw – odparł szybko i wszedł do wagonu.

Drzwi się zamknęły, Georgij odwrócił się i popatrzył na nią przez szybę. Olga ledwie zauważalnie pokiwała mu ręką i wykrzywiła usta w sztucznym uśmiechu.

W drodze do pracy z trudem powstrzymywała łzy. Pod koniec dnia

podjęła jednak decyzję: zrobi wszystko, żeby pomóc Gieorgijowi, ale nie będzie się z nim więcej spotykać, tak jak spotykają się kochankowie. Z miłością koniec. Zostanie z Michaiłem. Nawet jeśli mąż jej nie wybaczy i zażąda rozwodu, ona i tak nie wróci do Gieorgija. Pomóc mu pomoże, stanie na uszach, żeby znaleźć dobrego adwokata, znajdzie też pieniądze na jego usługi. Jeśli będzie trzeba, da nawet łapówkę, żeby zapewnić Gieorgijowi spokój. Skoro jej zaufał, nie ma prawa go zawieść. Nie wolno odwracać się od tych, których dotknęło nieszczęście i którzy pokładają w tobie całą nadzieję. Tylko jak wyrzucić go z serca?



Denis często nocował u Kipianich, dzisiaj też został. Rodzice Artioma poczęstowali go kolacją i poszli gdzieś z wizytą, zapowiedziawszy chłopcom, że mają nie wychodzić na ulicę i zająć się czymś w domu. Denis lubił wieczory, gdy zostawali z Artiomem tylko we dwóch, a odchodzący dzień jakby osnuwał ich zasłoną prawdziwej i niedostępnej innym bliskości.

Pod wieczór upał prawie nie zelżał, nadal nie było czym oddychać. Artiom kręcił się nerwowo po mieszkaniu w poszukiwaniu miejsca, do którego docierałby chociaż słaby, orzeźwiający podmuch powietrza.

– Chcesz, to poczytamy? – zaproponował Denis.

– Nie, dziękuję.

– W takim razie zajmijmy się muzyką.

– Nie mam ochoty.

– A na co masz ochotę?

Artiom milczał przez chwilę, potem nagle zapytał:

– Jaka ona jest?

– Kto? – Denis osłupiał.

– Ta kobieta z milicji.

– Kamieńska?

– Tak. Jak wygląda?

– Zwyczajnie. Czemu pytasz?

– Tak sobie. Chcę wiedzieć, jaką ma twarz. Nie wypadało mi stanąć tuż przed nią. Ile ma lat?

– Jest stara, mniej więcej w wieku twoich rodziców.

– Niemożliwe. Chyba źle się przyjrzałeś.

Denisa ogarnęła złość. Z jakiej racji Artiom interesuje się kobietą z milicji? Kim ona dla niego jest? Co niby znaczy? Jedyłą osobą, którą jego przyjaciel ma prawo się interesować, jest on, Denis.

– Przyjrzałem się doskonale. To stara baba. Nie może być młoda, skoro ma stopień podpułkownika.

– Racja. Jest ładna?

– Zwariowałeś? – Denis roześmiał się z przymusem. – Raczej odrażająca. Brzydka jak noc.

Artiom znowu umilkł. Potem powiedział w zamyśleniu:

– Ma oryginalny głos. Niski, lekko ochrypli.

– Nic w nim oryginalnego – przerwał Denis przyjacielowi. – Głos jak głos.

– Nie, jest oryginalny. – Artiom uśmiechnął się z rozmarzeniem. – Brzmi ładnie, spokojnie. Jakby nuciła kołysankę.

– Czemu w kółko o niej mówisz?! Lepiej znajdziemy sobie jakieś zajęcie. Twój tata przyniósł nowe książki fantasy. Może przejrzymy?

– Nie chcę. Posiedźmy i pomilczmy, dobrze?

Artiom ulokował się na szerokim parapecie, podciągając kolana pod brodę i obejmując je rękami. Zasepiony Denis usiadł na podłodze przy oknie. Pierwszy raz od trzech lat Artiom nie chciał zrobić czegoś wspólnie, a Denis Bażenow stracił poczucie, że jest jego prawą ręką. Serce przeszył mu dotkliwy ból, którego istnienia nawet nie podejrzewał. I wszystko przez jakieś wstrętne babsko z milicji!

– Pójdę do domu – oznajmił stanowczo, wstając z podłogi.

Miał nadzieję, że Artiom zacznie go odwozić od tej decyzji, przecież się umówili, że dzisiaj będą spać razem.

– Dobrze – odparł Artiom spokojnie. – Zadzwoń, gdy dotrzesz na miejsce. Jest już późno, będę się niepokoił.

– Nie musisz się o mnie martwić! – krzyknął Denis, tracąc panowanie nad sobą. – Martw się o swoją Kamieńską!

Wypadł z mieszkania, trzasnąwszy drzwiami, i pognał schodami w dół, nie czekając na windę. Drogę do domu, który znajdował się trzy przecznice dalej, pokonał biegiem, starając się nie myśleć o przyjacielu. Wystarczyło jednak, że przekroczył próg mieszkania, a wszystko znowu się na niego zważyło...

Matka miała gości. Podobnie jak wczoraj i przedwczoraj. Jak zawsze. Jeszcze jedna kobieta i trzech mężczyzn, wszyscy nieźle wstawieni.

– O, synuś raczył się zjawić! – zawołała matka po trosze z radością, po trosze ze zdziwieniem.

Chwiała się na nogach, źle nałożony makijaż się rozplątał, na sukience widać było plamy po jakimś płynie – chyba po sosie pomidorowym. Denis próbował przekraść się do swojego pokoju, ale matka zastąpiła mu drogę.

– Tam nie wolno, kochanie. Zajęte.

– Znowu? – zapytał z niezadowoleniem.

– Jak to znowu? Co znaczy znowu? Sam przecież powiedziałaś, że nie wrócisz na noc. Powiedziałaś? Powiedziałaś – odparła sama sobie. – Więc po co wróciłaś? Nigdy nie pozwalasz matce prowadzić życia osobistego. Wiecznie mam przez ciebie kłopoty. Idź lepiej do kuchni i coś zjedz.

Denis powlókł się do ciasnej kuchni, która była nieposprzątana i przesiąknięta zapachem wczorajszego jedzenia. Nie czuł głodu, zjadł kolację z Artiomem. Ale nie miał gdzie się podziać, jego pokój był zajęty. Nalał sobie zimnej herbaty i zaczął ją sączyć, niemrawo pogryzając zeschnięte herbatniki. Z pokoju matki dobiegały nieprzyzwoite żarty i salwy pijackiego śmiechu.

Nikomu nie jestem potrzebny, myślał ze smutkiem. Matce zawsze przeszkadzałem, szukała tylko okazji, żeby się mnie pozbyć. A teraz przestałem być potrzebny Artiomowi. Woli tę babę z milicji, poświęca jej więcej uwagi niż mnie. Dlaczego jestem taki pechowy?

W kuchni pojawił się jeden z gości. Denis wiedział, że nazywa się Wołodia i pracuje razem z matką w DEZ-ie^[4].

– Nudzisz się? – zainteresował się.

– Nie – odparł Denis spokojnie. – Wcale.

– Może dziabniesz jednego, co? Jesteś już dorosły, wypijmy razem, po męsku.

– Nie chcę, niech się pan odczepi – odparował Denis.

– Jak to „odczepi”? – oburzył się gość. – Jak ty rozmawiasz ze starszymi? Alewtina! – wrzasnął. – Chodź no tutaj i przywołaj do porządku swojego gówniarza! Na co on sobie pozwala?

Matka natychmiast wypadła z pokoju, potykając się o własne nogi.

– Co się stało? Jak ty się zachowujesz, synu?

Denisa ubodło, że matka nawet nie chciała wiedzieć, co się wydarzyło, tylko od razu zaczęła go oskarżać. No tak, nikomu nie jest

potrzebny, wszystkim zawadza, jak stara porzucona lalka z oderwanymi nogami. Dla matki na pierwszym miejscu są jej faceci i codzienne libacje, dla Artioma – Kamieńska. A co z nim, z Denisem?

– Idźcie wszyscy do diabła!

Zerwał się z miejsca i rzucił do wyjścia. Gdy znalazł się na ulicy, wolno ruszył w stronę skrzyżowania. No i co dalej? Dokąd pójdzie? Komu jest teraz potrzebny?

W gardle czuł ucisk, który nie pozwalał oddychać, myśleć, a nawet iść. Było jeszcze całkiem jasno, w czerwcu zmierzch zapadał późno, więc Denis miał wrażenie, że wszyscy przechodnie widzą jego stan i śmieją się z niego, niepotrzebnego i niekochanego. Nigdy przedtem nie zaznał takiego smutku i nie miał pojęcia, co powinien zrobić. Czy odtąd straszliwy ciężar będzie bez przerwy przygniatał mu serce, a radość i chęć do życia już nie powrócą?

W pewnej chwili przestał cokolwiek widzieć, ale nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Dlaczego płaczesz? – Usłyszał czyjś głos i dopiero wtedy zauważył, że oczy przesłaniają mu łzy.

Chciał wytrzeć twarz, ale silna ręka ścisnęła go za nadgarstek. Denis usiłował się wyrwać, ale ręka go nie puszczała.

– Czego pan chce? – Chlipnął jak małe dziecko.

– Niczego. Ale mogę ci pomóc. Chcesz? Nawet nie zapytam, kto ci wyrządził przykrość i dlaczego płaczesz, zamiast tego sprawię, że przestaniesz płakać i znowu zaczniesz się cieszyć.

W końcu Denis powstrzymał łzy i odzyskał zdolność widzenia. Przed nim stał niesłychanie chudy, niezgrabny chłopak w okularach z grubymi szklami.

– Próbujesz wcisnąć mi prochy? – zapytał podejrzliwie.

Rodzice Artioma tysiące razy ostrzegali chłopców przed takimi „pomagierami”, którzy niby wyciągają pomocną dłoń w trudnej chwili, a później uzależniają od dragów i koniec, wszystko przepadło. Denis wykuł tę lekcję na blachę. Bardzo się martwił o swoją przyszłość. Niepokój ogarnął go już w dzieciństwie, kiedy to matka na jego oczach oddała do domu dziecka najpierw młodszego braciszka, a później siostrzyczkę. Oboje cierpieli na zespół Downa, ale Denis nie miał żadnych wątpliwości, że było to bezpośrednim rezultatem rozwiązłego stylu życia, jaki prowadziła ich matka. Każdego dnia dziękował losowi

za to, że zdążył się urodzić wcześniej, zanim matka na dobre przepiła swoje zdrowie, i starał się zrobić wszystko, żeby nie powtórzyć jej drogi: dobrze się uczyć, zdobywać wiedzę, dostać się na studia i własnymi rękami ukształtować swoje życie. Wyrwać się z zakłętego, zamkniętego kręgu, w którym nadużywający alkoholu rodzice płodzą dzieci, one zaś rosną bez nadzoru, nie uczą się, nie znajdują swojego miejsca i w końcu też zaczynają pić i płodzić dzieci... W rodzinie Bażenowów pili wszyscy: dziadek matki, jej ojciec, ona sama, nie mówiąc już o tamtym przypadkowym facecie, który został jego ojcem. Denis robił wszystko, co tylko podsunął mu jego dziecięcy umysł, żeby się nie stoczyć i do czegoś dojść. Słowo „narkotyki” naprawdę go przerażało, bo stanowiło zagrożenie dla tego, co z tak ogromnym trudem osiągnął przez wszystkie lata.

– Prochy? – Chłopak w okularach nie krył zdumienia. – Nie, niby po co? Jest coś lepszego.

– Co? – zapytał Denis nieufnie.

– Klucz.

– Jaki klucz? Od mieszkania, w którym są pieniądze?

– Od ciebie. Od twojej duszy i twojego umysłu. Jest sposób, dzięki któremu zapanujesz nad sobą i nigdy nie będziesz płakał, jeśli sam tego nie zechcesz. Jesteś zainteresowany?

– Nie chodzi o tabletki? – Denisa nie opuszczały wątpliwości.

Choć właściwie i tak nie ma gdzie się podziać. Artiom już na niego nie czeka, a w domu jest zbędny i niemile widziany. Może naprawdę powinien posłuchać?

– Nie, nie mówię o tabletkach. Jeżeli masz pół godziny, pokażę ci najprostsze rzeczy, żebyś wyrobił sobie ogólne pojęcie. No więc jak?

– W porządku, pokaż – ustąpił Denis bez entuzjazmu.

– Wobec tego chodźmy gdzieś...

– Gdzie? – Denis znowu się zaniepokoił. – Nigdzie nie pójdę.

– Nie bój się! – Chłopak się roześmiał. – Nie ciągnę cię przecież do mieszkania. Możemy poćwiczyć tutaj, ale pełno tu przechodniów. Będziesz czuł się niezręcznie. O, tam jest skwer, to dobre miejsce.

Skwer może być, uznał Denis. Za rogiem, na skrzyżowaniu, jest kabina milicjanta kierującego ruchem, w razie czego wezwę go na pomoc.

Gdy dotarli do skweru, Denis od razu opadł na ławkę.

– No to pokaż swój klucz.
– Coś się tak rozsiadł? – Chłopak w okularach zapytał kpiąco. – Myślisz, że będziesz sobie siedział, a ja ci zdradzę tajemnice świata? Nic z tego. Wstawaj.

– Po co?

– Wstawaj, wstawaj. Każda pożyteczna sprawa wymaga wysiłku. Wstań i zrób rozgrzewkę.

– Jaką rozgrzewkę? – Denis się zmieszał.

– Zwyczajną. Skłony, rozciągania, przysiady. Jak na lekcji wychowania fizycznego.

– Po co?

– Chcesz dostać klucz czy nie? Więc rób, co mówię.

No cóż, w rozgrzewce nie było niczego złego ani niebezpiecznego. Denis wstał i z ociąganiem wykonał parę ćwiczeń.

– A teraz stań prosto, wyciągnij ręce przed siebie i się skoncentruj. Wyobraź sobie, że rozkładasz ręce na boki jak skrzydła.

– Po co? – znowu zapytał Denis.

– Nie pytaj, tylko rób, jeśli chcesz sobie pomóc. Staraj się jednak nie poruszać rękami. To ruchy ideomotoryczne, na wpół automatyczne. Myśl o tym intensywnie, nawet każ im się rozłożyć, ale nie napinaj mięśni.

Denis wyciągnął ręce przed siebie i spróbował się skupić. Ręce nie poruszyły się ani o milimetr.

– I co dalej? – zapytał z niezadowoleniem.

– Nic. Stój i każ rękom, żeby rozłożyły się na boki.

– Nie potrafię.

– Nie szkodzi. Za pierwszym razem nikomu się nie udaje. Trzeba ćwiczyć. Pokaż, sprawdzę, czy masz rozluźnione mięśnie.

Chłopak położył ręce na ramionach Denisa, tuż przy szyi, i zaczął je lekko uciskać.

– Coś ty taki sztywny? Zrób jeszcze parę ćwiczeń albo poskacz trochę, jakbyś tańczył rock and rolla, pozbądź się napięcia.

– Czemu się do mnie przyczepiłeś? – zapytał Denis z gniewem.

– Ja się przyczepiłem? To ty szedłeś ulicą i płakałeś, jakbyś stracił całą rodzinę. Sam zapragnąłeś sobie pomóc. Tak szybko dajesz za wygraną? Wydawało mi się, że jesteś bardziej uparty.

Denis się zmieszał. To prawda, nie powinien rezygnować tak szybko.

W końcu nigdzie mu się nie śpieszy. Zrobił parę energicznych skłonów w przód i na boki, potem zabrał się do przysiadów.

– Wystarczy? – zapytał po dziesiątym przysiadzie.

– Wystarczy. Teraz wszystko od początku. Stój prosto i swobodnie, ręce przed siebie.

Denis znowu stanął na baczność i wyciągnął ręce. Chwilę później zauważył, że ich nie czuje. Stały się lekkie i nieważkie, więc bez trudu utrzymywał je w tym położeniu. Nawet się nie zdziwił, gdy zauważył, że zaczęły wykonywać nieokreślony ruch.

– Brawo, brawo – odezwał się chłopak w okularach. – Jest ruch! Nie przerywaj, kontynuuj.

Ręce płynnie rozjechały się na boki.

– A teraz każ im od razu wrócić do poprzedniego położenia! Ręce wracają, wracają.

Ręce wracają, powtarzał w myślach Denis, i ręce rzeczywiście ruszyły z powrotem.

– Wspaniale! I znowu polecenie „na boki”.

Tym razem ręce z łatwością wykonały ruch, a Denis odniósł wrażenie, że był on silniejszy i szybszy, w każdym razie na koniec nawet łopatki się ściągnęły. Chłopak nie miał pojęcia, co się z nim dzieje, ale ogarnął go zachwyt na widok owego lekkiego, a zarazem szerokiego ruchu, wywołanego jedynie siłą woli, a nie pracą mięśni. Kolejny ruch rękami tam i z powrotem sprawił, że poczuł się, jakby leciał. Ręce płynęły jak skrzydła, a w głowie nie było niczego prócz myśli o tych płynących bez najmniejszego wysiłku rękach.

– Dostyc, przestań – polecił chudy okularnik. – Zrób znowu parę ćwiczeń rozgrzewających.

– A konkretnie? – zapytał Denis.

Poczuł ciekawość, więc pragnął robić wszystko zgodnie z regułami.

– Nie ma znaczenia. Ciało samo ci podpowie, jakie ćwiczenia powinieneś wykonać. Wystarczy, że się w nie wsłuchasz.

Denis stanął swobodnie, po czym odchylił się do tyłu, jakby próbował zrobić mostek. Plecy wygięły się lekko, co go zdziwiło. Na wuefie nigdy nie przepadał za gimnastyką, mostek robił tylko na żądanie nauczyciela, o wiele większą przyjemność sprawiały mu gra w siatkówkę i bieganie na długie dystanse.

– No widzisz – skomentował jego nowy znajomy. – Twoje ciało

podpowiedziało ci, że musisz zająć się kręgosłupem, bo to w nim nagromadziło się całe draństwo.

Denis wykonał ćwiczenie parę razy, później zrobił głęboki skłon w przód, starając się dotknąć kolan czołem.

– Co teraz?

– Teraz stań prosto, ręce trzymaj luźno wzdłuż ciała. Skup się i każ im się podnieść. Wszystko tak jak przedtem, tylko ruch nie do przodu i do tyłu, ale w górę i w dół.

Denis nie potrafił wykonać zadania i okropnie się zdenerwował.

– Poćwiczę i na pewno dam radę – zapewnił gorliwie.

– To akurat nie jest konieczne. – Okularnik oznajmił niespodziewanie.

– Jak to? Sam przecież powiedziałeś, że potrzebny jest upór.

– Nie w tym sensie. Idea klucza polega na tym, że człowiek robi to, co mu wychodzi i sprawia przyjemność. Istnieje parę rodzajów ruchów, musisz wykonać każdy z nich i zdecydować, który jest najłatwiejszy. To on stanie się twoim kluczem. Przez całe życie ulegamy naciskom, musimy robić to, co nam się nie podoba albo nie udaje, bo inni wmawiają nam, że to konieczne i że dzięki temu wyrabiamy silną wolę. Ale to nie jest słuszne podejście. Życie powinno sprawiać radość.

– To już przesada – prychnął Denis. – Nie spotykają nas same przyjemności. Gdyby można było do niczego się nie zmuszać, wszyscy byliby nieukami i nikt by nie pracował. Co, może zaprzeczysz?

– Nie zaprzeczę. Chodzi jednak o to, żeby wszystko robić z radością, a to, co niezbędne, bez wysiłku i przymusu. Pamiętasz, jak nas uczono w szkole? Wolność to uświadomiona konieczność. Gdy tylko zrozumiesz, że musisz coś zrobić i nie możesz tego uniknąć, zrobisz to z łatwością, bo nie będziesz mógł inaczej. Sam to sobie uświadomiłeś i sam doszedłeś do wniosku, że bez tego się nie da. A to już jest zupełnie inna forma przymusu. To już wolność. Sam podejmujesz decyzję i sam wcielasz ją w życie. Ale to filozofia. My zaś mówimy teraz o kluczu i o tym, jak ci pomóc. A przy okazji, zauważyłeś, co teraz robisz?

– No co?

Denis rozejrzał się, popatrzył na swoje ręce, nie rozumiejąc, o czym mówi dziwny okularnik, i stwierdził, że kołysze się miarowo na boki. Nawet nie zauważył, kiedy zaczął to robić. Wydawało mu się, że to

naturalny stan ciała.

– Kołysziesz się. To oznacza, że osiągnąłeś ów stan lekkości, w którym można uświadomić sobie swój problem i znaleźć nowe, nieszablonowe rozwiązanie. Trzeba tylko usiąść, rozluźnić się i trochę odpocząć. Decyzja przyjdzie sama.

– Ściemniasz! – orzekł Denis. – Takie rzeczy się nie zdarzają.

– No to spróbuj. Oczywiście, że od razu nic się nie stanie, ale za trzecim czy czwartym razem się uda. Zapamiętaj kolejność: krótka rozgrzewka, potem lataasz, potem znowu rozgrzewka, znowu lataasz, ale trochę dłużej, potem stoisz i się kołysziesz, potem siedzisz i odpoczywasz.

– Jak długo trzeba latać?

– To zależy od ciebie. Sam decydujesz, co i jak robić. Jeśli masz ochotę, lataj. Jeśli masz ochotę, kołysz się. Pamiętaj, że twój organizm sam wie, jak długo powinien latać. Musisz nauczyć się go słuchać. Ćwiczenie należy wykonywać dopóty, dopóki sprawia przyjemność. Gdy tylko organizm uzna, że już wystarczy, sam zapragniesz przerwać.

– I po co to wszystko? Jak to może mi pomóc?

– Nauczysz się kierować emocjami. Nie będziesz się złościł ani irytował z powodu głupstw, gdy to przeszkadza w normalnej pracy. Nauczysz się nie męczyć. Umówmy się tak: poćwiczysz parę dni i jeśli dojdiesz do wniosku, że chcesz się dowiedzieć i nauczyć czegoś więcej, zjawisz się tam, gdzie prowadzimy specjalne zajęcia. Jeśli nie zechcesz, będziesz korzystał tylko z tego, czego cię nauczyłem. To też bardzo dużo, sam poczujesz, gdy zaczniesz ćwiczyć. Chcę, żebyś zapamiętał jedno: jeśli nie nauczysz się sobą kierować, inni będą to robili za ciebie. – Zerknął na zegarek i pokręcił głową. – Wpół do dwunastej. Wracamy do domu, kolego. Tutaj masz wizytówkę. Jak się namyślisz, to przyjdź. – Wsunął Denisowi małą, prostokątną tekturkę i pomachał ręką na pożegnanie.

– Ej! – krzyknął za nim Denis. – Jak ci na imię?

– Wadim. Cześć.

Znowu machnął ręką i ruszył szybkim krokiem na przystanek trolejbusowy. Denis powlókł się chodnikiem i dopiero teraz zdał sobie sprawę, że podczas spotkania z dziwnym chłopakiem ani razu nie pomyślał ani o zdradzie przyjaciela, ani o matce alkoholice, ani o tym, że nikt go nie potrzebuje. W dodatku nagle zrozumiał, że wcale

nie pragnie tego roztrząsać.

No i co ma ze sobą zrobić? Do domu nie pójdzie, to oczywiste. Ale niedługo północ, na ulicy nie będzie bezpieczny. Może Artiom jeszcze się nie położył?

Denis szybko pokonał kilkaset metrów dzielących go od domu przyjaciela i spojrzał w okna. Były ciemne – Artiom pewnie już śpi. Usiadł na ławce przed wejściem. Teraz naprawdę nie ma dokąd pójść. Może powinien zaczekać tutaj do rana? Przypomniawszy sobie nowego znajomego i się uśmiechnął. Bardzo zabawne to wszystko: ręce same latają, ciało samo się kołysze, istne czary. Złość minęła jak ręką odjął, smutek też się ulotnił. Jutro musi opowiedzieć Artiomowi o spotkaniu i pokazać mu ćwiczenie. Teraz znowu będą mieli temat do rozmowy i wspólne zajęcie. Żadna Kamieńska z milicji nie może się z tym równać.

– Denis? – Tuż obok usłyszał głos Tiengiza. – Co ty tutaj robisz? Dlaczego nie jesteś z Artiomem?

– Ja... – Zmieszał się i usiłował na poczekaniu wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo. – Zadzwoiłem do matki, a ona poprosiła, żebym przyszedł jej pomóc... No więc poszedłem, a gdy wróciłem, było późno i w oknach nie paliły się światła. Pomyślałem, że Artiom już śpi, nie chciałem go budzić. Siedziałem tutaj i czekałem na państwa.

– Chodźmy, chodźmy. – Jekatierina pociągnęła go za rękę. – Już późno, pora spać. Całe szczęście, że nic ci się nie stało. Wieczorami tylu chuliganów włóczy się po ulicach...

Te słowa sprawiły, że Denisowi zrobiło się ciepło, a zarazem smutno na sercu. Rodzice Artiona troszczą się o niego, martwią się, żeby nic mu się nie przytrafiło. Chyba naprawdę go lubią. Niepotrzebnie rozpaczał i myślał, że nikt go nie potrzebuje i nie kocha. Głupiec z niego.

Gdy weszli do mieszkania, Denis podbiegł na palcach do pokoju Artiona i cicho uchylił drzwi.

– To ty, mamó? – Artiom odezwał się od razu.

– To ja – odparł półgłosem Denis i szybko wślizgnął się do środka.

– Wróciłeś? Myślałem, że się obraziłeś. Tak szybko wyszedłeś bez wyjaśnienia.

– Musiałem skoczyć do domu i coś załatwić. Obudziłem cię?

– Nie, jeszcze nie spałem. Kładź się. Jesteś jakiś inny. Co się stało?

Denis po raz kolejny ze zdziwieniem odnotował niesłychaną, wręcz mistyczną wrażliwość swojego przyjaciela. Artiom kiepsko widział, za to wyczuwał ludzi jak radar, na podstawie jednego słowa odgadywał nastrój.

– Wydarzyło się coś ciekawego. Jutro ci opowiem.

– Nie, teraz – zażądał Artiom.

Ukucnął na łóżku i włączył światło. Radość Denisa nie знаła granic. Artiom znowu się ku niemu zwrócił, chce z nim rozmawiać, jest ciekaw jego opowieści. Co tam jakaś Kamieńska! Zaraz całkiem wywietrzeje mu z głowy.

Denis wyciągnął z kieszeni wizytówkę, którą dostał od Wadima. Widniały na niej słowa: „Doktor Hasaj Alijew. Centrum Ochrony przed Stresem. Telefon 180-27-27”.

– No więc tak... – zaczął, ciesząc się na myśl o długiej, nieśpiesznej rozmowie, która potrwa pół nocy i skończy się może dopiero nad ranem. Przedtem właśnie tak bywało i właśnie te godziny były najszcześniejsze w jego życiu.

[4] DEZ (direkcja po eksploatacji zdani) – administracja domów mieszkalnych.

Rozdział 4

Na ulicy panował upał, ale w biurze było cicho i chłodno za sprawą potężnego klimatyzatora. Warfołomiejew chętnie przychodził tutaj każdego dnia, a wychodził z oporami, starając się ograniczyć spotkania poza biurem. Dzisiaj też, nie bacząc na ryzyko, umówił się tutaj z klientem, mimo że rozum mu podpowiadał, by tego nie robić. Ale co poradzić, nieprzyzwyczajeni do upału w miejskich warunkach moskwianie musieli czasem znosić humory pogody i postępować wbrew rozsądkowi.

– I co ten twój dureń narobił? Zdekonspirował się przed chłopakiem jak żółtodziób. Ratuuj teraz sytuację, skoroś taki mądry.

Warfołomiejewa ogarnął niepokój. Nie próbował dowcipkować, bo ten typ nie zna się na żartach, w dodatku jako osoba mundurowa nie aprobuje też niewykonania rozkazu. Ma oczywiście rację, Kostik postąpił źle, no ale czego się spodziewać po narkomanie? Klient powinien wiedzieć, z kim się zadaje. Chociaż, szczerze mówiąc, zadawał się nie z narkomanem Kostikiem, ale z nim, Warfołomiejewem. Tyle że on, Warfołomiejew, nikogo prócz narkomanów nie mógł mu zaproponować... Nie, to nie do końca prawda, sam się okłamuje, mógł poszukać normalnego chłopaka, ale ogarnęła go chciwość, normalnemu trzeba by sporo zapłacić za wykonanie zadania, no a ćpun zadowolili się znacznie mniejszą sumą. Ćpuni się nie targują, wszystkie pieniądze przeliczają na działki. Cała Rosja na dolary, a oni na działki. Gdy usłyszą kwotę, szacują, ile tygodni albo miesięcy będą mogli spędzić na haju, i się zgadzają. Potrafią myśleć z wyprzedzeniem najwyżej dwu-, trzymiesięcznym, nie mają dość silnej woli, ważne, żeby teraz było im dobrze, jutro się nie liczy, a nad tym, co będzie za rok, w ogóle się nie zastanawiają. Na tym opiera się narkotykowy biznes, człowiek uzależniony niby wie, że w końcu się stoczy i umrze,

w dodatku niedługo, nie zdąży się nawet obejrzeć, ale pragnienie, by zaliczyć odjazd, jest o wiele silniejsze od smutnych i nieprzyjemnych perspektyw, o których zresztą łatwo zapomnieć po zażyciu działki.

Z samego rana, po telefonie od klienta, Warfołomiejew kazał odszukać Kostika i zapytać, co wywinał. Klient nie podał żadnych szczegółów, powiedział tylko, że Kostik zepsuł robotę i się zdekonspirował. Ten nawet się nie wypierał, przepełniało go uczucie całkowitego błogostanu i nie miał zielonego pojęcia, o co tyle hałasu. Zadanie wykonał? Wykonał. Był upały, dręczyło go straszliwe pragnienie, ale nie mógł przecież opuścić stanowiska. No więc poprosił smarkacza, który się kręcił w pobliżu. Jak on wyglądał? A licho wie, za bardzo mu się nie przyglądał, dzieciak obracał piłeczkę w ręce, w dodatku niczym cyrkowiec. Powiedział, że chce zostać pianistą. Dlaczego mu się nie przyjrzał? Ano dlatego, że skupił uwagę na samochodzie, obiekt mógł przecież zjawić się w każdej chwili, więc nie wolno mu było się rozpraszać. A zresztą skąd miał wiedzieć, że powinien zapamiętać twarz? Nie dostał takiego polecenia. Krótko mówiąc, Warfołomiejew szybko zrozumiał, że nie dojdzie z Kostikiem do ładu.

– Racja – wykrztusił. – To moja wina. Gotów jestem zrobić wszystko, żeby to naprawić.

– No właśnie. – Klient kiwnął posępnie głową. – A więc tak, mój kochany. Był tam jakiś siedemnastoletni smarkacz, nie wiemy, jak wyglądał, ale twój Kostik, parszywy ćpun, powinien go pamiętać. Chłopak bawił się czerwoną piłeczką, podobno trenował palce. Trzeba go znaleźć i uciszyć. Kostika zresztą też. Zrozumiałeś, Warfołomiejew?

– Tak jest, zrozumiałem. Zrobimy, co trzeba.

– I żebyście nie dali ciała tym razem.

Warfołomiejew odprowadził gościa do drzwi, po czym wrócił na swój fotel, posiedział w nim chwilę, w zamyśleniu paląc cienkie czarne cygaro. Później wcisnął guzik na pulpicie. W drzwiach od razu pojawiła się gęba ochroniarza.

– Przyprowadź mi Witę, tylko migiem – rozkazał Warfołomiejew.

Ochroniarz znikł. Równo czterdzieści minut później przed Warfołomiejewem stanął Wiktor – odpowiedzialny za wybór ulicznych sprzedawców.

– Wzywał mnie pan, Antonie Fiodorowiczu?

– Zgadza się. Każ tym, co pracują dla ciebie na ulicy, rozejrzeć się za siedemnastoletnim chłopakiem z czerwoną piłeczką w ręce.

– Co to za piłeczka?

– Nieduża, o średnicy mniej więcej pięciu centymetrów. Chłopak ćwiczy palce, chce zostać pianistą. Bez przerwy obraca ją w dłoni. Jak ktoś go zobaczy, niech natychmiast rusza za nim i niech się dowie, co to za jeden i gdzie mieszka. Obiecuj dobrą nagrodę. Za wszelką cenę trzeba znaleźć tego pianistę, i to jak najprędzej. I jeszcze jedno, Witia. Jeśli chodzi o Kostika...

≡

Raporty z obserwacji Dudariewa regularnie spływały na biurko Korotkowa i gołym okiem było widać, że z każdym dniem roboty przybywa. Szkoda, że w takim samym tempie nie przybywało rąk do pracy... Georgij Nikołajewicz prowadził nader ruchliwy tryb życia, zajmował się nie tylko pogrzebem zamordowanej małżonki, bywał w wielu miejscach i spotykał się z mnóstwem osób. Jedna z nich była tą, którą wywiadowcy chcieli namierzyć. Tylko która?

Korotkow przeglądał listę firm i biur odwiedzonych przez Dudariewa i po telefonach od Siełujanowa i Zarubina odhaczał sprawdzone. Okazało się, że jest wśród nich firma budowlana. Siełujanow dowiedział się, że Dudariew pojechał tam rozwiązać umowę na przebudowę domu za miastem. Inne biuro zajmowało się organizowaniem usług związanych z pogrzebem. Niepocieszony wdowiec zamówił w nim autobusy, które miały przewieźć zwłoki i żałobników z kostnicy na cmentarz. W pozostałych instytucjach Georgij Nikołajewicz zjawiał się w poszukiwaniu pracy. Tak w każdym razie twierdzili urzędnicy.

– Gdzieś nie powiedziano nam prawdy – podsumował Korotkow. – Albo coś przegapiliśmy. Dudariew musiał spotkać się ze swoim współnikiem, żeby go uprzedzić. Przejrzyjmy raporty jeszcze raz. Kiedy i gdzie figurant dzwonił z automatu?

Zarubin przekartkował spięte spinaczem raporty z obserwacji zewnętrznej.

– Jest tylko jedna wzmianka na temat automatu, zaraz po wyjściu z aresztu. Czterdzieści pięć minut później Dudariew spotkał się ze

swoją kochanką, Olgą Jermiłową, to znaczy, że dzwonił na pewno do niej. Inaczej skąd by wiedziała, że go wypuszczono i że czeka na nią koło pomnika Puszkina?

– A potem ani razu nie korzystał z automatu? – uściślił na wszelki wypadek Korotkow.

– Obserwacja tego nie wykazała.

– Może ktoś przeoczył? – zasugerował Siełujanow.

– Niewykluczone. – Jurij westchnął. – Ale musimy oprzeć się na tym, co mamy. Sierioża, przejrzyj jeszcze raz raporty techników, tylko uważnie. Do kogo Dudariew dzwonił z domu?

Siergiej Zarubin znowu zaczął szeleścić kartkami.

– Cztery razy do rodziców Eleny Pietrowny. Do jej firmy raz, dwa, cztery... w sumie dziewięć razy. Chodziło o sprawę pogrzebu, wszelkie wydatki bierze na siebie Turella, uzgadniano więc, ile osób będzie na stypie, wybierano restaurację i menu. Dudariew dwukrotnie dzwonił do biura Jermiłowej, pytał, czy znalazła adwokata. Był niemile zdziwiony, że to tak długo trwa.

– Patrzcie no – prychnął Siełujanow. – Ależ wszyscy są teraz wyedukowani, jak w Ameryce. Ledwie facet popełnił przestępstwo, a już martwi się o adwokata.

– Dzwonił też do trzech kolegów z wojska, poinformował o nieszczęściu. Wszyscy zamierzają wziąć udział w pogrzebie.

– Robi się ciekawie. – Korotkow podniósł głowę. – Z naszych informacji wynika, że w ostatnich latach służby Dudariew miał dostęp do materiałów wybuchowych. Jeśli ci koledzy, podobnie jak on, byli w Czeczenii, a nasze państwo potraktowało ich równie surowo jak Dudariewa, niewykluczone, że zajęli się kryminalnym biznesem, w szczególności zabójstwami na zlecenie. Wszyscy zjawią się na pogrzebie?

Zarubin przebiegł wzrokiem tekst raportu i skinął głową.

– Tak, wszyscy trzej.

– Wspaniale. Pogrzeb, jeśli dobrze pamiętam, jest jutro o jedenastej. Kola i Sierioża, to wasza działka. Zobaczcie, co i jak. A biurami, które odwiedził nasz szanowny figurant, będzie musiała się zająć pani podpułkownik.

– Zaraz, zaraz! – zawołał Siełujanow. – A co ze mną? Jutro biorę przecież ślub, czyżbyście zapomnieli? O jakim pogrzebie więc mowa?

– Ależ, Kola, ślub masz kiedy? O trzeciej. Pogrzeb na pewno skończy się wcześniej. A na stypie w restauracji cię zastąpię. Poradzimy tam sobie we dwóch z Sieriożą.

– Nie, chłopaki, to nie przejdzie – oznajmił Siełujanow z uporem. – Skoro będziecie sterczeć do późna na stypie, kto zjawi się na moim ślubie? Aśka, jesteś tutaj najstarsza stopniem, chociaż raz w życiu wykorzystaj władzę dla dobra ogółu.

Nastia uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę i zmierzwiła włosy Nikołaja.

– Mamy podbramkową sytuację, Koleńka, nie da się niczego zmienić. Nie możemy zażądać, żeby Dudariew odwołał pogrzeb własnej żony, prawda? Nie możemy też zaproponować ci, żebyś zmienił termin ślubu. Jedyne wyjście, istniejące wszakże tylko teoretycznie, jest takie, żeby znaleźć jeszcze dwóch wywiadowców, którzy będą jutro przez cały dzień pomagać Sierioży obserwować Dudariewa. Dzięki temu ty i Jurik zabawicie się na weselu.

– A ty? – Nikołaj zapytał z niepokojem.

– Ja też, rzecz jasna. Tak więc pytanie musisz skierować nie do mnie, ale do naszego szefa, Korotkowa. Czy ma w wydziale dwóch wywiadowców, których można zwolnić z obowiązków i wysłać jutro na cmentarz oraz do restauracji?

– Marzenie ściętej głowy. – Jura się uśmiechnął. – Skąd ich wziąć? Nasza pani podpułkownik ma rację, wyjście jest wyłącznie teoretyczne. Ale z doświadczenia mogę powiedzieć, że jeśli pogrzeb zaczyna się o jedenastej i nie poprzedza go ceremonia pożegnania przy trumnie, to zazwyczaj koło pierwszej procedura pochówku się kończy, po czym wszyscy zgodnie ruszają na stypę, która trwa mniej więcej do siódmej. Maksymalnie. To znaczy, że ty, Nikołasza, zdążysz na ślub o trzeciej, a ja zjawię się na weselnym przyjęciu najpóźniej o ósmej.

– Przecież masz być moim świadkiem! – zawołał Siełujanow z rozpaczą. – Ależ z was... brak mi słów... sadyści! Człowiek żeni się w końcu po latach męczarni, a wy chcecie wszystko zepsuć.

– Może ja będę twoim świadkiem, Koleńka? – zaproponowała Nastia. – Co to za różnica?

– Zwariowałaś? Nie wypada! Świadkiem panny młodej musi być kobieta, a pana młodego – mężczyzna.

– Kto tak powiedział? – zapytała. – Gdzie to jest napisane?

– Taki panuje zwyczaj – oznajmił Kola bezapelacyjnie. – Wszyscy tak

robią.

– No to ty zrobisz inaczej. Nie regulują tego żadne przepisy.

– Wala się zdenerwuje. – Siełujanow machnął ręką ze smutkiem. – Lubi, żeby wszystko było zgodnie z obowiązującymi zasadami.

– Nie oszukuj się, Kola – powiedział Korotkow. – Twoja Walentina pracuje przecież w milicji, więc doskonale rozumie nasze problemy. W końcu młoda dziewczyna, która nauczyła się prowadzić samochód, zanim zaczęła chodzić i mówić, i która jeździ jak wytrawny kierowca rajdowy, też odbiega od normy. Nawiasem mówiąc, przyjacielu, dlaczego Wala nie przeniesie się do GAI^[5]? Dogonić i zatrzymać gościa naruszającego przepisy to dla niej pestka. Marnuje się w biurze paszportowym.

– Jeszcze czego! – zawołał Siełujanow z oburzeniem. – Nie dość, że pozwoliłem jej tam pracować? Niech lepiej siedzi w biurze, wtedy jestem spokojniejszy. Nie muszę się martwić, czy coś jej się stało. No dobrze, dranie, urobiliście mnie. Ale jeśli pogrzeb nie skończy się przed drugą, zmyję się stamtąd, bo muszę się jeszcze przebrać przed uroczystością.

– Skończy się, nie ma obawy – uspokoił go Korotkow.



Nastia Kamieńska wzięła listę firm oraz instytucji, które odwiedził wypuszczony z aresztu Gieorgij Dudariew, po czym sporządziła harmonogram pracy. Najpierw obdzwoniła wszystkie firmy i dowiedziała się, które pracują w soboty i w niedziele, które tylko w soboty, a które otwarte są wyłącznie w dni powszednie. Okazało się, że w weekendy nieczynne są przedsiębiorstwa państwowe, więc musiała się z nimi uporać jeszcze dzisiaj, w piątek. Zerknąwszy na zegarek, doszła do wniosku, że nie pojedzie do domu, by się przebrać i zrobić makijaż, bo straci mnóstwo czasu i nie wykona planu. Nie wypadało jednak odwiedzać biur w stroju, w którym chodziła do pracy. Nie ten wizerunek. Nastia ponownie przejrzała adresy, pod które musiała się udać koniecznie dziś, i uznała, że najrozsądniej będzie skorzystać z pomocy Daszeńki. Gdyby się u niej przebrała i pomalowała, zaoszczędziłaby co najmniej godzinę, a to już coś.

– Znajdziesz dla mnie jakieś ciuchy? – zapytała bratową przez telefon.

– To zależy, gdzie się wybierasz.

Dasza była osobą niezwykle solidną i bardzo poważnie traktowała kwestię ubioru. Z wykształcenia stylistka, świetnie znała się na sprawach mody, makijażu i dress code'u, w dodatku przed zamążpójściem była ekspedientką w drogim butiku z damską odzieżą.

– Muszę wyglądać na kobietę, która szuka pracy jako sekretarka albo asystentka.

– A co masz teraz na sobie?

– Jak zwykle: džinsy, koszulkę i tenisówki.

– Jakie džinsy?

– Grekoff.

– Czarne?

– Nie, granatowe.

– Nie pasują – oznajmiła Dasza stanowczo. – Pytam, bo pomyślałam, że włożyłaś coś przyzwoitego i wystarczy zadbać o dodatki. Ale w tej sytuacji trzeba skompletować cały strój. Kiedy przyjedziesz?

– Za jakieś czterdzieści, góra czterdzieści pięć minut.

– No to czekam – odparła krótko i rzeczowo.

Czterdzieści pięć minut później Nastia stała przed szerokim łóżem małżeńskim w mieszkaniu przyrodniego brata i podziwiała starannie rozłożone topy, lekkie żakiety i wąskie spódnice. Dasza biegła jak szalona po ogromnym mieszkaniu, pilnując jednocześnie obiadu, trzyletniego syna Saszeńki, który swoją energią i dociekliwością prześcignął oboje rodziców razem wziętych, oraz Nastii. Była bowiem przekonana, że Nastia na pewno ubierze się niewłaściwie, jeśli zostawić ją samą sobie.

– Zdejmij ten top – dyrygowała, wymachując chochlą, którą przed chwilą próbowała barszcz. – Za bardzo odsłania biust. Lepiej przymierz tamten.

– Tamten mi się nie podoba – zaproponowała Nastia.

– Nikt cię nie pyta o zdanie. Chodzi o to, żebyś ty spodobała się pracodawcy, a nie bluzka tobie, jasne? Sasza! Odejdź od kuchenki, niczego tam nie ruszaj!

Dasza pomknęła jak strzała do kuchni, ale chwilę później stała już koło Nastii.

– Do tego topu pasuje bordowa spódnica.

– Wolę czarną – zaprotestowała Nastia.

– Nieważne, co wolisz. Czarna spódnica sprawi, że będziesz wyglądać ponuro, a nie ubiegasz się przecież o pracę w zakładzie pogrzebowym. Bordowy kolor jest elegancki i surowy, a przy tym szykowny. I w ogóle przyjmij do wiadomości, że nosi nazwę kiszanej borówki.

– Twoja kiszona borówka jest bardzo krótka. Będę w niej wyglądać jak puszczalska.

– Nie mów bzdur, dobrze? Kobiety robią wrażenie puszczalskich nie dlatego, że noszą krótkie spódniczki, ale dlatego, że mają oczy prostytutek.

Nastia zaniósł się serdecznym śmiechem.

– Jakie oczy?

– Daj spokój, Nastiu, nie zmuszaj mnie, żebym powtarzała nieprzyzwoite słowa. Sama wiesz, jakie one mają oczy. Spójrz tylko, wyglądasz w tej spódnicy wspaniale. Masz przecież bardzo zgrabne nogi, szkoda, że je ukrywasz pod dżinsami. Teraz zajmijmy się żakietem.

– Może nie będzie potrzebny? – zapytała Nastia z wahaniem. – Ugotuję się w nim w tym upale.

– Ciekawy tok rozumowania! Przyzwoita asystentka w przyzwoitym biurze zawsze powinna wyglądać przyzwoicie, bez względu na pogodę. Twój strój powinien świadczyć o tym, że rozumiesz i podzielasz tę opinię. Jeśli się zjawisz w bluzce z dekoltem do pasa, wszyscy od razu pomyślą, że właśnie tak zamierzasz chodzić do pracy. To niepoważne.

Nastia westchnęła ciężko, po czym przymierzyła parę żakietów i wybrała jeden, z krótkimi rękawami.

– Ten jest odpowiedni?

– Owszem. – Dasza kiwnęła głową z aprobatą. – Zrób teraz makijaż, a potem zjemy obiad. Przed wyjściem poszukamy ci sandałów i cała naprzód.

– Obawiam się, Daszuniu, że z obiadu nici. Nie mam już czasu.

– Nie chcę tego słuchać. – Dasza energicznie pokręciła głową, wskutek czego jej gęste włosy w kolorze miodowego blondu zawirowały wokół delikatnej twarzyczki z olbrzymimi niebieskimi oczami.

Nastia spojrzała na zegarek i doszła do wniosku, że jeśli pośpieszy się z makijażem, będzie mogła zjeść obiad, by nie zdenerwować Daszy. W końcu makijaż nie musi zmienić jej nie do poznania. Powinna jedynie doprowadzić twarz do porządku, żeby nie była blada i mało

wyrazista.

– Przekonałaś mnie. – Uśmiechnęła się. – Tylko raz-dwa.



– Jakie są pani umiejętności? – pytano ją.

Nastia odpowiadała gorliwie:

– Pięć języków obcych, w tym angielski i francuski, obsługa komputera ze znajomością podstaw programowania, mogę zająć się statystyką albo redakcją.

Wyglądała na kobietę w „odpowiednim wieku” – nie na smarkulę, ale też nie na starszą panią. Była atrakcyjna i elegancko ubrana.

– Jakiego wynagrodzenia pani oczekuje?

– Co najmniej sześćset dolarów – odpowiadała, zdając sobie sprawę, że suma wydaje się raczej śmieszna.

O to jednak chodziło, żeby wydawała się śmieszna. Nastia pragnęła zrobić wrażenie osoby niewymagającej i nieświadomej swoich zalet. Musiała zadać ważne pytanie, to jednak wymagało dłuższej rozmowy i zainteresowania ze strony pracodawców. Gdy uznawała, że nadeszła odpowiednia chwila, mówiła:

– Jesteśmy z mężem uciekinierami z Kazachstanu. Rosjanie nie są tam lubiani, więc oboje straciliśmy pracę. Może znajdzie się u was coś dla niego?

– A co mąż potrafi?

– To zawodowy wojskowy, niedawno przeszedł do rezerwy, ale zachował doskonałą kondycję fizyczną. Był w Afganistanie i Czeczenii, zna sztuki walki i jest specjalistą w zakresie ochrony.

W odpowiedzi najczęściej słyszała:

– Niestety, nie potrzebujemy takiego pracownika.

Albo:

– Niedawno znaleźliśmy odpowiednią osobę, trochę się pani spóźniła.

No cóż, to zrozumiałe, profesjonalistów, którzy odeszli z wojska albo z milicji i chcą znaleźć pracę w sektorze komercyjnym, jest o wiele więcej niż młodych atrakcyjnych kobiet z długimi nogami, znających pięć języków obcych i obsługujących komputer.

O ósmej, gdy ostatnie wybrane na dziś biuro zostało zamknięte, Nastia była ledwie żywa. Miała wrażenie, że spuchnięte w upale stopy

już na zawsze zrosły się z sandałami, a jedwabny żakiet waży co najmniej trzy pudy i całym swoim ciężarem przygniata jej ramiona.

Przestąpiwszy próg mieszkania, cisnęła na podłogę reklamówkę, w której przez pół dnia taszczyła dzinsy, koszulkę i tenisówki, po czym pokuśtykała do kuchni i opadła na krzesło. Nie była w stanie się ruszyć.

– Co to niby ma znaczyć? – Aleksiej zapytał ze zdumieniem, wychodząc z pokoju. – Jak ty wyglądasz?

Zdjął nawet okulary, żeby lepiej się przyjrzeć żonie. Był dalekowiedzem, więc wkładał je, gdy czytał albo pracował przy komputerze.

– No jak? Według mnie przyzwoicie.

– Rzeczywiście. – W zamyśleniu obejrzał ją od stóp do głów. – Jeśli jednak dobrze pamiętam, rano wyglądałaś inaczej. Chyba że się mylę?

– Nie, słoneczko, ty się nigdy nie mylisz, zawsze masz absolutną rację, co niekiedy doprowadza mnie do rozpacz.

– Jasne. – Uśmiechnął się i usiadł przy stole. – Czyje to fatałaszki? Bo na pewno nie twoje.

– Daszeńki. Nie miałam czasu, żeby przyjechać się przebrać, więc wpadłam do niej, to o wiele bliżej.

– Z jakiego powodu ta maskarada?

– Szukam pracy. Jestem głodna, Losza. Chciałabym też zdjąć sandały. Pomożesz?

– Oczywiście, że pomogę, moja ty kochana inwalidko. – Nachylił się, żeby rozpiąć rzemyki, i jęknął z przejęciem: – Obtarłaś nogi do krwi. Czyżbyś nic nie czuła?

– Czuję, że mnie bołą. Ale nie będę się nimi przejmować. Jutro włożę coś luźniejszego.

– Jutro znowu zamierzasz szukać pracy?

– Obawiam się, że pojutrze też. Może nawet w poniedziałek, jeśli szczęście mi nie dopisze. Jutro idziemy na ślub Siełujanowa. Pamiętasz?

– Na śmierć zapomniałem – przyznał Czistiakow szczerze. – Mamy już prezent?

– Jeszcze nie. Ale jutro będziemy mieli całe pół dnia, więc damy radę.

– No tak. Przypuszczam, że jego kupno spadnie na mnie, skoro ty się wybierasz na poszukiwanie pracy.

– Loszeńka! – jęknęła Nastia. – Jestem nieszczęśliwa, zmęczona, głodna i mam nogi obtarte do krwi. Zlituj się, dobrze?

Aleksiej zlitował się nad nią, rzecz jasna, jak zawsze. Delikatnie oddzielił skórę sandałów od skóry nóg, posmarował obtarte miejsca maścią, pomógł Nastii się przebrać, żeby nie musiała wstawać z krzesła, i przygotował kolację. Nakarmiwszy żonę, znowu uważnie obejrzał jej nogi i pokręcił głową.

– Jutro chyba daleko nie zajdziesz. To się nie zagoi do rana.

– Nie mam wyjścia – odparła Nastia obojętnie. – Będę musiała.

– Może weźmiesz samochód? – zaproponował. – Jutro nie będzie dużego ruchu, rano wszyscy ruszą za miasto, więc po jedenastej ulice zrobią się puste.

– E tam. – Leniwie machnęła ręką. – Pojadę metrem.

– Nie metrem, tylko weźmiesz samochód – powiedział Aleksiej surowo. – Inaczej pojutrze nie będziesz mogła zrobić kroku nawet w kapciach.

Nastia wiedziała, że Czistiakow jak zwykle ma słuszość. To, że ona nie znosi prowadzić samochodu, w żadnej mierze nie odbierało mu racji.



Olga Jermiłowa znalazła wreszcie adwokata. Nie takiego, oczywiście, jakiego potrzebowała, ale przynajmniej takiego, który udzielił porady. Telefon dała jej koleżanka z pracy, zaznaczając przy tym, że prawnik specjalizuje się w sprawach nieletnich, ale ponieważ pracuje w adwokaturze od niepamiętnych czasów, może jej podpowiedzieć, do kogo powinna się zwrócić.

Adwokat okazał się postawnym starszym panem z dobrymi manierami i miłym głosem. Zgodził się przyjąć Olę i jej wysłuchać.

– Potrzebuje pani dobrego specjalisty czy osoby pragmatycznej? – zapytał bez owijania w bawełnę.

Olga milczała, przygnębiona, nie potrafiąc zmusić się do tego, żeby powiedzieć głośno to, co chodziło jej po głowie. Usiłowała nawet przepędzić te myśli, ale one wciąż powracały.

– Rozumiem. – Stary adwokat się uśmiechnął. – Nie jest pani przekonana o niewinności przyjaciela?

Olga przytaknęła słabym skinieniem głowy.

– Wobec tego potrzebuje pani kogoś, kto podważy sprawę. Dobrze panią zrozumiałem?

Olga, ogarnięta palącym wstydem, znowu przytaknęła. Wątpliwości co do winy Georgija dręczyły ją coraz bardziej. Czuła przez to niesmak do samej siebie.

Stary pan przekartkował notes i podyktował jej nazwisko oraz numer telefonu.

– Sądzę, że ten człowiek pani pomoże. Proszę z nim porozmawiać, prowadzi praktykę adwokacką od niedawna i może się pani wydać mało doświadczony, ale kiedyś pracował w milicji, więc doskonale wie, do jakich uchybień dochodzi w trakcie śledztwa.

– Dziękuję – powiedziała Olga. – Mogę stąd do niego zadzwonić? Nie chciałabym tracić czasu.

Miała szczęście, dodzwoniła się za pierwszym razem i nieznany mężczyzna z wysokim, chłopięcym głosem zgodził się z nią spotkać.

Musiała jechać na drugi koniec Moskwy, ale droga minęła niepostrzeżenie, bo wszystkie myśli krążyły wokół Georgija. Po co wpakowała się w ten romans? Dlaczego nie pomyślała o tym, że gdy Michaił się dowie, będzie to dla niego potworny wstrząs? Jak to się stało, że chwile czułych, romantycznych spotkań przekreśliły wszystko, co łączyło ją z mężem?

Drzwi otworzył jej młody mężczyzna, wyglądający bardzo niepoważnie. Miał mokre włosy, krople wody lśniły na opalonych dłoniach. Widocznie przed chwilą brał prysznic. Zauważył jej spojrzenie i uśmiechnął się wesoło.

– Jedyne sposoby walki z upałem w warunkach domowych to prysznic, po którym nie trzeba się wycierać. Wystarcza na jakieś czterdzieści minut. Próbowала pani?

– Nie. – Olga nie wytrzymała i też się uśmiechnęła.

– Zapraszam do środka. Olga Wasiljewna, jeśli się nie mylę?

– Zgadza się. A pan to Anatolij Leonidowicz?

– We własnej osobie. Proszę usiąść i powiedzieć, z czym pani przyszła.

Mimo zdenerwowania Olga zrobiła, co mogła, by jej relacja była logiczna i zrozumiała. Odniosła wrażenie, że Anatolij słuchał nieuważnie, bo błędził gdzieś wzrokiem i niczego nie zapisywał. Nie

budził jej zaufania, wydawał się niekompetentny i niedoświadczony, zbyt młody i lekkomyślny. Rekomendował go jednak ceniony adwokat...

– Zrozumiałem panią. – Anatolij przerwał jej w pół słowa. – Proszę nie kończyć. Na razie wystarczy. Proszę powiedzieć, tylko szczerze: czy Dudariew jest zabójcą? Czy to on zabił żonę?

Olga się zawahała. Teraz Anatolij patrzył badawczo, nie spuszczać z niej oczu, więc zrozumiała, że – czy tego chce, czy nie – będzie musiała odpowiedzieć.

– Nie wiem – wybąkała z trudem. – Mówi, że tego nie zrobił.

– A pani mu wierzy?

– Nie wiem. Czasami wydaje mi się, że wierzę, a czasami, że nie. Nie wiem. Ale powinnam mu pomóc, rozumie pan? Powinnam zrobić wszystko, żeby nie trafił do więzienia.

– A co się stanie, jeśli jednak tam trafi? Nie przeżyje pani rozstania? – zapytał Anatolij.

– Przeżyję. Ale Gieorgij nie powinien zostać osądzony. Liczy na mnie, więc nie mogę go zawieść. Oprócz mnie nie ma w Moskwie nikogo, na kim mógłby polegać.

– No cóż. – Anatolij znowu się uśmiechnął, tym razem bardzo poważnie, wcale nie jak chłopiec. – Jestem absolutnie przekonany, że kobieca intuicja to najlepsze źródło wiedzy. Jeśli wątpi pani w niewinność ukochanego, to znaczy, że najprawdopodobniej popełnił zbrodnię. Wątpliwości zakradają się do kochającego serca nie przypadkiem, ale w sytuacji, gdy istnieją do tego uzasadnione podstawy. Dlatego przyjmijmy, że są powody, by posłać Dudariewa za kratki. Nasze zadanie polega na tym, żeby do tego nie dopuścić. To będzie bardzo łatwe, jeśli mi pani pomoże.

– Jak? – Olga się ożywiła.

Nie spodziewała się takiej odpowiedzi, była raczej przygotowana na stwierdzenie, że uratowanie Gieorgija okaże się trudne, a wręcz niemożliwe.

– Mamy dwie drogi, Olgo Wasiljewna. Pójdziemy obiema jednocześnie. Jaki jest główny argument milicji? Motyw. Dudariew miał motyw, żeby zabić żonę. Elena wdała się w poważny romans, zamierzała rozwieść się z mężem i puścić go z torbami, ponieważ cała nieruchomość należy do niej, a on nie ma nawet mieszkania w Moskwie. Ta logiczna

przesłanka zawiera dwa ogniwa. Pierwsze to kwestie własności, których pod żadnym pozorem nie możemy podważyć, bo zostały oficjalnie zagwarantowane. Drugie ogniwo – zamiar nieżyjącej żony, by wziąć rozwód i poślubić kochanka – można podać w wątpliwość. Na pewno nie ma oficjalnego zapisu, który to reguluje, są tylko słowa, czyli zeznania świadków. Tego rodzaju rzeczy zawsze można zakwestionować. Jeśli uda nam się to zrobić, może się okazać, że małżeństwu nic nie zagrażało. Dzięki temu zniknie motyw zabójstwa. To będzie nasza pierwsza droga. Zgadza się pani?

– Tak – szybko odparła Olga, zadowolona, że adwokat bez zbędnej zwłoki przystąpił do rzeczy i zaczął planować, co i jak trzeba zrobić. Nie, chyba jednak nie jest lekkomyślnym żółtodziobem, za jakiego wzięła go na początku. – A co z drugą drogą?

– Druga droga może się pani wydać mniej przyjemna, ale ona też jest konieczna, jeśli chce pani uratować przyjaciela. Udowodnimy, że pani mąż od dawna wiedział o zdradzie, w dodatku znał nazwisko mężczyzny, z którym go pani zdradzała.

– Ależ to nieprawda! – oburzyła się Olga. – O niczym nie wiedział, póki mu nie powiedziałam.

– Co z tego?! Musimy wykazać, że było inaczej. I zrobimy to.

– W jakim celu? Co to da?

– Bardzo dużo, droga Olgo Wasiljewna. Jak pani myśli, dlaczego mąż musiał przekazać sprawę innemu śledczemu? Z powodów osobistych? Nic podobnego. Tego wymaga prawo. Przepisy jasno mówią, że śledczy prowadzący postępowanie przygotowawcze nie może pozostawać w jakimkolwiek związku z podejrzanym. Ani rodzinnym, ani przyjacielskim. A zwłaszcza nie w tak pikantnym, w jakim znalazł się pani małżonek. Dochodzenie musi być bezstronne, a o jakiej bezstronności można mówić w sytuacji, gdy śledczy jest oszukanym mężem, a podejrzany – szczęśliwym rywalem? W tego typu wypadkach śledczy ma obowiązek dobrowolnie zrezygnować, co też pani mąż uczynił. Ale najpierw przez całą dobę pracował nad sprawą, zbierał dowody, przesłuchiwał świadków, wysuwał hipotezy i je uzasadniał. Oboje wiemy, że był najzupełniej bezstronny, ponieważ nie wiedział, kto przed nim siedzi. Ale o tym wiemy tylko my oraz pani mąż. Reszta powinna myśleć, że było inaczej, że od samego początku wiedział, co w trawie piszczy, i prowadził dochodzenie w sposób niekompetentny,

a przede wszystkim – w obranym przez siebie kierunku. Mamy podstawy podejrzewać, że śledczy Jermiłow, wiedząc, że mąż zabitej Dudariewej jest kochankiem jego żony, Olgi Jermiłowej, ukrył ten fakt i prowadził dochodzenie, zamierzając zebrać albo nawet sfabrykować dowody winy Dudariewa, by się na nim zemścić. Innymi słowy, możemy podejrzewać śledczego Jermiłowa o tendencyjność oskarżenia. Rozumie pani mój wywód?

– Niezupełnie – przyznała Olga. – Jaki to ma związek z oskarżeniem Gieorgija? Jak może pomóc udowodnić, że nie jest zabójcą?

– Związek jest oczywisty. Podajemy w wątpliwość materiały postępowania przygotowawczego. Jeśli w sądzie się okaże, że większą część dowodów zebrano z naruszeniem prawa, konieczne będzie postępowanie dodatkowe. A więc sprawa trafi z powrotem do śledczych. Minie sporo czasu, zanim do tego dojdzie, i nikomu już nie uda się zebrać na nowo zeznań świadków w tej formie, w jakiej zdażył to uczynić pani mąż. Ktoś wyjedzie albo o czymś zapomni, inny przemyśli coś i przedstawi zupełnie inaczej. My ze swojej strony wspomóżemy ten proces, idąc pierwszą wytyczoną drogą.

– To znaczy, że trzeba czekać na rozprawę? – zapytała Olga ze strachem. – Naprawdę nie da się niczego zrobić, żeby przerwać wszystko już teraz?

– Droga Olgo Wasiljewna, żąda pani ode mnie rzeczy niemożliwej. Sprawa jest już w toku, dochodzenie trwa, Gieorgij został uznany za podejrzanego, więc nikt i nic nie zdoła zatrzymać machiny prawa, chyba że zjawi się ktoś, kto przyzna się do winy. Jeśli dobrze rozumiem, taka osoba nie istnieje. Gdyby mi pani powiedziała, że Dudariewą zabił nie jej mąż, ale ktoś trzeci, a pani dobrze wie, kto to jest albo przynajmniej z jakich pobudek to zrobił, podjąłbym inne działania. Wtedy moje zadanie polegałoby na tym, by udowodnić, że pani przyjaciel nie popełnił zabójstwa, i nie dopuścić do skazania niewinnego człowieka. Ale ponieważ przestępstwa dopuścił się Dudariew, nie mogę pozwolić, by go skazano, innymi słowy, muszę podważyć oskarżenie. Nie mogę kwestionować jego winy, mogę tylko podać w wątpliwość materiały śledztwa i dołożyć wszelkich starań, żeby ponowne dochodzenie nie było w stanie zebrać dowodów jego winy. Niech więc pani decyduje, czy będziemy pracować razem. Wybór należy do pani.

Wybór... Jakby naprawdę go miała! Ledwo znalazła tego adwokata, nie ma przecież żadnych kontaktów i znajomości w prawniczym świecie. I chociaż nie podoba jej się to, co proponuje młodziutki Anatolij Leonidowicz, zdaje sobie sprawę, że mężczyzna ma rację. Będzie jednak musiała znieść olbrzymie poniżenie i wstyd, udowadniając w sądzie, że Michaił od dawna wiedział o jej zdradzie! Nie tylko publicznie wypierze swoje brudy, ale też zaszkodzi mężowi w karierze. On przecież o niczym nie wiedział, tymczasem ona będzie się starała go oczernić. Czy zasłużył na taki los? W czym zawinił? Mniejsza o nią, Olgę, sama jest sobie winna, i dlatego zostanie ukarana, zresztą już została, ale Michaił...

– Musi pan wiedzieć – zaczęła niepewnie – że nie chciałabym zaszkodzić mężowi. Będzie miał nieprzyjemności w pracy, jeżeli wszyscy pomyślą, że od początku wiedział o Georgiju, ale nie zrezygnował ze sprawy?

– Skądże. – Anatolij się roześmiał. – Żadne nieprzyjemności nie wchodzi w grę. Po pierwsze, wszyscy potraktują to ze zrozumieniem i będą obwiniać podłego adwokata i sędziów asekurantów, a nie pani męża. Milicja z reguły nie zna litości dla adwokatów i sądu, gotowa jest zwalić na nich wszystkie grzechy. Po drugie, sytuacja jest po ludzku zrozumiała i wzbudzi jedynie współczucie. Po trzecie, śledczy nie rodzą się na kamieniu, zwłaszcza tacy jak pani małżonek, z długoletnim stażem pracy. Wie pani, ile trzeba włożyć wysiłku, żeby go zwolnić albo podstawić mu nogę? Jego koledzy poruszą niebo i ziemię, żeby tylko dalej pracował. I na pewno wybaczą mu zwyczajne ludzkie uczucia, takie jak banalna zazdrość. Jednakże prawo to nie współpracownicy, ono nie rządzi się sentymentami. Dlatego materiały, które zebrał pani małżonek, zostaną uznane za nieprawdziwe i szkalujące, a tego właśnie potrzebujemy.

Serce pękało Oldze z bólu. Musi uratować Georgija, to nie podlega dyskusji, ale za jaką cenę? Nie potrafiła podjąć decyzji na poczekaniu.

– Muszę się zastanowić – powiedziała. – Mogę?

– Ależ oczywiście. Jak się pani namyśli, proszę zadzwonić, wtedy przystąpimy do pracy.

Odprowadził ją do drzwi. Później jego kroki szybko się oddaliły, więc chyba znowu pobiegł wziąć prysznic. Olga powlokła się do metra, próbując zebrać myśli. Dwaj mężczyźni: mąż i kochanek. Jeden

potrzebuje jej pomocy, drugi nie. Mogłoby się wydawać, że wszystko jest proste. Ale ocalając jednego, skrzywdzi drugiego. Ocalić męża oznacza nie uratować Gieorgija. Ocalić Gieorgija oznacza zaszkodzić Michaiłowi. Kogo powinna wybrać? Nie ma pojęcia. Mogłaby, oczywiście, oprzeć swoje rachuby na miłości. Mąż się od niej odwrócił, w każdym razie teraz, w dodatku nie wiadomo, czy zamierza jej wybaczyć. Gieorgij poprosił ją o pomoc, ale jest taki... obcy. Wycofany. Stał się arogancki i szorstki. I chyba jest zabójcą. Olga nie potrafi darzyć go wciąż tym samym czułym uczuciem. Ale nie może też nie pomóc mężczyźnie, którego kochała, niewykluczone zresztą, że nadal kocha, skoro zwrócił się do niej o pomoc. Jednakże Michaił też ją kochał, może nawet nie przestał kochać. Nie zasłużył na to, co mu szykuje. Mąż jest jednak silny i pewny siebie, ma mieszkanie, pracę i przyszłość, a Gieorgij nie ma niczego, ani pracy, ani przyszłości. Zresztą co to za życie, nawet w luksusowym mieszkaniu albo w okazałym domu za miastem, bez pracy, żony i dzieci. Został bogatym wdowcem, lecz jest bardzo samotny, Olga również zamierza go porzucić.

Ależ wszystko się poplątało! I bardzo trudno podjąć właściwą decyzję. Olga usiadła na ławce przed metrem, wyjęła papierosy, pstryknęła zapalniczką. Przeważnie paliła niedużo, nawet nie codziennie, ale po tym, co się stało, wypalała półtorej paczki na dobę. Na dobę, a nie w ciągu dnia, bo prawie nie spała.

Co nią kierowało, gdy obiecała sobie, że za wszelką cenę pomoże Gieorgijowi, mimo że postanowiła z nim zerwać? Poczucie, że nie powinna zawieść jego zaufania i podważyć wiary, którą w niej pokłada. Gieorgij jej wierzy i na nią liczy. Michaił już jej nie wierzy i na nic nie liczy. To znaczy, że Olga nie oszukuje męża. Oto decyzja.

Wyrzuciła niedopałek i ruszyła do holu metra. Odszukała automat, wsunęła do niego kartę telefoniczną i, spoglądając na zaciśniętą w dłoni kartkę, wybrała numer. Gdy po drugiej stronie odezwał się męski głos, powiedziała:

– Mówi Olga Wasiljewna. Zgadzam się.

Rozdział 5

Sobotnia wyprawa w poszukiwaniu pracy też nie przyniosła efektu. Nastia sumiennie sprawdziła około dziesięciu firm, dziękując w myślach mężowi, że zmusił ją, by wzięła samochód, i przed trzecią pognęła do urzędu stanu cywilnego, który znajdował się w Chamownikach na ulicy Pluszczicha. Zrobiła, co się da, żeby się nie spóźnić, i była na miejscu za dwie trzecia. Siełujanow w letnim, jasnym garniturze spokojnie palił papierosa przed drzwiami, a Walentyna w eleganckiej sukni ślubnej przechadzała się nerwowo tam i z powrotem, rozglądała się wokoło i przygryzała wargi. Na widok Nastii od razu do niej podbiegła.

– Nareszcie!

– Aleś ty niemądra – rzucił Nikołaj dobrodusznie. – Po co było się denerwować? Sto razy ci powtarzałem, że nasza Asia nigdy się nie spóźnia.

– Nie tego się bałam. Co byśmy zrobili, gdyby coś jej się stało?

– Nic się nie stało, jest cała i zdrowa. Zawołaj swoją przyjaciółkę i możemy iść.

Nastia dzielnie przebrnęła przez uroczystość, złożyła podpis jako świadek pana młodego i przypomniała sobie swój ślub sprzed trzech lat. Oraz to, jak się skończył. W chwili, gdy podpisywali się z Aleksiejem w księdze, ktoś zamordował pannę młodą w tamtym urzędzie. I cały urlop okolicznościowy upłynął na poszukiwaniach tajemniczego zabójcy. W końcu go, oczywiście, namierzono i ujęto, ale zbyt późno...

Gdy młodzi razem ze świadkami i gośćmi wyszli na ulicę, Siełujanow głośno oznajmił:

– Zanim orszak ślubny ruszy do nakrytego stołu, ogłaszam przerwę na papierosa.

Goście, którzy zebrali się o wpół do trzeciej i czekali posłusznie w holu, gdzie palenie było zabronione, zaczęli ochoczo pstrykać zapalniczkami. Rodzice panny młodej od razu zawołali córkę i zaczęli coś z nią żywo omawiać, a Siełujanow odciągnął Nastię na bok.

– Co tam u ciebie? – zapytał półgłosem.

– Jak w dominie: mydło–mydło. A u ciebie?

– Pochowaliśmy Elenę Pietrownę – oznajmił rzeczowo. – Korotkow miał rację, przed pierwszą wszystko się skończyło, więc mnie zmienił i pojechał obserwować stypę.

– A kontakty Dudariewa?

– Namierzone. Po pierwsze, trzech koledzy z wojska. Po drugie, facet utrzymuje dziwnie bliskie związki z pracownikami firmy, którą kierowała jego zabita małżonka. Wpadła mi nawet do głowy absurdalna myśl, że na jej śmierci zależało nie tylko Dudariewowi, który chciał zostać bogatym wdowcem, ale też pracownikom firmy. I że była to ich wspólna akcja. Dwie zainteresowane strony dogadały się, żeby usunąć trzecią, która im przeszkadzała.

– Czemu nie? – Nastia kiwnęła głową w zadumie. – To wyjaśnia, dlaczego nie zauważyliśmy tamtego kontaktu Dudariewa, kiedy to powinien był uprzedzić współnika. Wspólnicy są w firmie Turella, a z nimi kontaktował się telefonicznie i nawet pojechał tam parę razy.

– Rzekomo w sprawie organizacji pogrzebu i stypy – dodał Nikołaj.

– Rzekomo. Ciekawe... Trzeba powiedzieć Gmyri, niech przemysli ten kierunek.

– Kola! – rozległ się dźwięczny głosik Walentyny. – Wszyscy już skończyli palić i chcą ruszać na przyjęcie.

– No to jedziemy, Asiu. – Nikołaj stanowczym ruchem chwycił Nastię za ramię.

– Może wpadnę później, Koleńka, dobrze? Odwiedzę jeszcze ze dwie, trzy firmy, póki są jeszcze otwarte.

– W porządku. – Siełujanow skinął przyzwalająco głową. – Pamiętasz adres?

– Oczywiście. – Roześmiała się. – Byłam przecież u ciebie parę razy.

– Tylko się nie ociągaj – poprosił. – Obiecujesz?

– Gdy zamkną ostatnie biuro, będę wyłącznie twoja.

Wsiadała już do samochodu, gdy usłyszała głos Siełujanowa.

– Tylko nie zapomnij przywieźć swojego profesora!

Nastia wróciła do sprawdzania figurujących na liście instytucji. „Nie, nie mamy, niestety, niczego dla pani męża.” „Nie, nie potrzebujemy referentów.” „Rozpatrzmy pani podanie.”

– Ojej, potrzebujemy właśnie kogoś takiego – powiedziała z przejęciem kobieta, do której skierowano Nastię w kolejnej firmie. – Od dawna nie możemy znaleźć szefa ochrony. Mamy przecież olbrzymie magazyny, więc musimy zatrudnić osobę, która zna się na rozstawianiu posterunków, umieszczaniu sygnalizacji i tego typu rzeczach. Czy pani mąż podjąłby się tej pracy?

– Ma się rozumieć. – Nastia nie musiała udawać radości. Czyżby znalazła to, czego szukała? – To doprawdy dziwne, że macie państwo problemy ze znalezieniem takiego pracownika. Odwiedziłam już ze dwadzieścia firm, ale nigdzie nie potrzebują byłych wojskowych. Właściwie straciłam już nadzieję... Mąż też jeździ, pyta o posadę, no i wciąż powtarza, że tacy jak on przychodzą do każdej firmy po trzy razy dziennie.

– Może gdzieś rzeczywiście przychodzą, ale nie do nas. – Kobieta westchnęła. – Z jakiegoś powodu wojskowi unikają firm handlowych. Pewnie uważają, że handel przynosi ujmę. W każdym razie u nas się nie pojawiają.

– No cóż, to znaczy, że miałam szczęście. – Nastia się uśmiechnęła. – Chociaż, szczerze mówiąc, na nic u państwa nie liczyłam. To znaczy miałam nadzieję, że znajdzie się praca dla mnie, ale na pewno nie dla męża.

– Dlaczego?

– Musi pani wiedzieć, że tutaj, w Moskwie, jest dużo osób z naszego garnizonu. Kontaktujemy się telefonicznie, dowiadujemy, kto znalazł pracę. Akurat wczoraj jeden z kolegów męża powiedział, że był w państwa firmie i go nie przyjęto.

– Niemożliwe! – zawołała stanowczo kobieta. – Pracowałam przez cały tydzień, ale nie pamiętam żadnego wojskowego. Może pomylił nazwę i był gdzie indziej?

– Nie, nazwa się zgadza, adres też. Może nie rozmawiał z panią?

– A niby z kim? Chociaż... chwileczkę! Zaraz sprawdzę i jeśli ta trzpiotka znowu coś pokręciła, natrę jej uszu.

Zaczęła wybierać numer telefonu.

– Jest u nas pewna pyskata smarkula, która uwielbia udawać

świetnie poinformowaną, odpowiada na wszystkie pytania petentów, nawet jeśli nie ma o niczym pojęcia, zamiast wysłać ich do kompetentnego pracownika. Halo, Alona? Jest tam Gala? No to ją zawołaj. Galu, czy ostatnio nie zgłaszali się do pracy jacyś wojskowi? Nie? Jesteś pewna? Mam na myśli byłych wojskowych. Wiesz chyba, że szukamy pracownika ochrony. Nie było nikogo takiego? No to dziękuję.

Odłożyła słuchawkę i ze zdziwieniem spojrzała na Nastię.

– Pani znajomy musiał się pomylić, u nas na pewno go nie było.

– Nie szkodzi, teraz to i tak nieważne. – Nastia niefrasobliwie machnęła ręką. – Może rzeczywiście się pomylił. Najważniejsze, że znalazłam pracę dla męża. Jakie oferujecie wynagrodzenie?

Zadała jeszcze parę pytań, żeby okazać zainteresowanie, zapytała, kiedy mąż może przyjechać na rozmowę, podziękowała i się pożegnała. Zrobione. Może jechać do Siełujanowa.

Po wyjściu z firmy odszukała automat i zadzwoniła do domu.

– Jak tam prezent, Loszyk?

– Kupiłem. A ty gdzie się podziewasz?

– Na końcu świata. Gdzieś w Czertanowie, ale jestem już wolna. Jakie masz dla mnie dyspozycje?

– Tak sobie myślę, że może byś wpadła do domu i zostawiła samochód – zaproponował Czistiakow. – Potem razem pojedziemy do Koli.

– A czemu? – zapytała głupio.

– Jak to czemu? Nie wypijesz nawet kieliszka na weselu przyjaciela? Nic ci przecież nie dolega. Ja też wypiję. Jak potem prowadzić samochód?

– Słusznie. Nie pomyślałam o tym. Ale może lepiej nie będę pić, nie jestem amatorem mocnych trunków, zresztą i ja mam powód. Picie w taki upał to samobójstwo.

– W sumie racja. Mów, gdzie mam przyjechać.

– Na plac Rewolucji. Będę czekać na parkingu przy Maneżu.

Nastia odwiesiła słuchawkę i od razu wybrała kolejny numer, do śledczego Gmyri.

– Borisie Witaljewiczu, znalazłam firmę, w której Dudariew zjawił się nie w sprawie pracy. Tak, Zarubin ją sprawdzał, powiedziano mu, że facet interesował się posiadką. A mnie przed chwilą oznajmiono, że w ostatnim czasie żaden wojskowy nie ubiegał się u nich o pracę.

Podyktowała nazwę firmy i adres. Teraz to naprawdę wszystko. Może odpocząć.



Podczas upalnych dni można zaobserwować następujące zjawisko: człowiek nie wytrzyma i pije schłodzoną wodę albo, co gorsza, mleko z lodówki. W efekcie zapada na anginę. To właśnie przydarzyło się Artiomowi Kipianiemu. Wieczorem temperatura skoczyła mu do 38,8, a gardło bolało go tak, jakby w środku miał rolkę nasączonego pieprzem papieru ściernego. Wczesnym rankiem przyszedł Denis i Jekatierina udzieliła mu szczegółowych instrukcji: jakie tabletki i kiedy podawać, z czego robić płukania, nie wychodzić na ulicę, nie robić przeciągu i najlepiej nie pozwalać Artiomowi wstawać, ponieważ angina z gorączką może doprowadzić do powikłań sercowych. Matka bez wahania zostawiła syna pod opieką kolegi, ponieważ była absolutnie pewna, że odpowiedzialny i obowiązkowy Denis nie zlekceważy zaleceń i zrobi wszystko, co trzeba. W ciągu trzech lat ich przyjaźni nieraz się o tym przekonała.

Gdy tylko za rodzicami zamknęły się drzwi, Artiom od razu odrzucił kołdrę i spuścił nogi na podłogę.

– Ty dokąd? Ciocia Katia powiedziała, że nie wolno ci wstawać. – Denis się przestraszył.

– Też coś! Czuję się znakomicie.

– Masz gorączkę.

– No i co z tego? Nie mogę wciąż leżeć jak kłoda. Poćwiczmy trochę. Co dzisiaj wypróbujemy?

Denis postanowił się nie opierać. Byłoby, oczywiście, lepiej, gdyby Artiom nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą i leżał w łóżku, a on, Denis, troskliwie by się nim zajął, wtedy Artiom zrozumiałby, że jego przyjaciel jest niezastąpiony. Ale propozycja, żeby poćwiczyć, też mu odpowiadała, bo zakładała, że będą ćwiczyć to, czego Denis nauczył Artioma. Już od trzech dni na okrągło eksperymentowali. Najpierw wykonywali podstawowe ćwiczenia ideomotoryczne, które pokazał okularnik Wadim, a potem wypróbowywali różne ruchy, żeby po raz kolejny przekonać się o własnej sile. Wystarczy tylko wydać polecenie dowolnej części ciała i się rozluźnić, a ona je posłusznie wykona.

Wprawiało to chłopców w nieopisany zachwyt i budziło chęć, by podejmować nowe próby.

– Spróbujmy podnosić nogi. A nuż się uda? – zaproponował Denis.

Położyli się na podłodze i zabrali do ćwiczeń. Z nogami na razie szło kiepsko, więc Artiom niebawem opadł z sił. Gorączka dała o sobie znać, mimo że chłopak dowcipkował i udawał zdrowego. Denis pomógł mu się położyć, a sam usiadł w fotelu obok.

– Chcesz, to ci poczytam.

– Nie trzeba. Lepiej pomilczmy – poprosił Artiom.

Denis się zaniepokoił. Czyżby znowu się zaczęło? Zdaje się, że nie na długo starczyło ciekawych sztuczek, które zademonstrował przygodny znajomy. Artiom na powrót mu się wymyka i pogrąża w swoich myślach. Denis nadąsał się i sięgnął po książkę. Trudno, poczyta sam.

– Ważniejsza od wzroku jest nadzieja – powiedział Artiom cicho. – Prawda, że to poruszająca myśl? Ale mnie nie dotyczy.

– Dlaczego?

– Bo nie mogę mieć nadziei. Nawet jeśli całkowicie nie stracę wzroku, nigdy nie będzie lepiej niż teraz. Ludzie zwykle liczą na cud, na to, że coś samo się zrobi albo ktoś inny zrobi coś dla nich. Ja jednak muszę wytrwale pracować i cieszyć się każdym przeżytym dniem, cieszyć się, że jeszcze cokolwiek widzę i nie spędziłem dnia w pełnym mroku. Są takie komputery, które, podłączone do instrumentu, same zapisują nuty. Grasz sobie, a komputer zapisuje. Potrzebny mi taki komputer, zamierzam komponować muzykę.

– Myślałem, że chcesz zostać pianistą – powiedział Denis ze zdziwieniem.

– Daj spokój, jaki ze mnie pianista? Sam pomyśl. Gram rzeczywiście dobrze, ale nie możesz przez całe życie siedzieć koło mnie i czytać mi nut.

„Będę, będę siedział koło ciebie!” – pragnął zawołać Denis. „Gotów jestem siedzieć z tobą całe dni i noce, żeby ci pomagać. Dlaczego mnie odtrącasz?”

– To zabierze mnóstwo czasu – ciągnął Artiom. – Potrzeba miesięcy, żeby opanować partyturę, a przecież nie mogę czytać jej z kartki. Ale jestem biegły w grze na fortepianie, potrafię odtworzyć z pamięci, co tylko przyjdzie mi do głowy. Tata mówi, że moje improwizacje są niezłe. Jeśli będę dużo pracować, może uda mi się zostać kompozytorem, jak

sądzisz?

A ja? – zapytał w myślach Denis. – Co ze mną? Ty będziesz korzystał z komputera, więc nie będę ci już potrzebny.

– Żeby zostać kompozytorem, trzeba studiować w konserwatorium – oznajmił, starając się mówić pewnym i nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Tam sobie nie poradzisz.

– Poradzę.

– Tak jak dotychczas w szkole? – zapytał Denis z nadzieją.

– Raczej nie. Przecież nie będziesz mógł mi pomagać, znajdę inny sposób.

– Dlaczego nie będę mógł ci pomagać? Sądzisz, że jestem aż tak tępy? Pomagałem ci przez cały czas, nawet wtedy, gdy byłeś w klasie o rok wyżej. Przecież radziłem sobie z twoim materiałem.

– Nie o to chodzi, Denisku – powiedział Artiom łagodnie, ale zdrobnienie niemile dotknęło chłopaka. – Nie możesz bez przerwy być ze mną.

– Niby czemu? Dam radę, zobaczysz.

– Nie. Musisz mieć swoje życie i swoją pracę. Nie możesz mnie niańczyć. I nie powinienes.

– Powiedz od razu, że się mną znudziłeś – oburzył się Denis. – Chcesz się mnie pozbyć?

Artiom uniósł się na łóżku i zaczął poruszać głową, żeby umieścić kolegę w polu widzenia.

– Czemu tak mówisz? – powiedział z wyrzutem. – Jesteś moim przyjacielem, najbliższym i jedynym. Ale niebawem wszystko się zmieni. We wrześniu wrócisz do szkoły, a ja już nie. Do września jeszcze będziemy razem, ale potem przyjdzie czas na rozstanie, rozumiesz? Minie rok, potem kolejny, poznasz jakąś dziewczynę, zapragniesz mieć dużo wolnego czasu na spotkania. Będziesz się uczył, żeby zdobyć zawód. Potem się ożenisz i zajmiesz własną rodziną. Pewnie jeszcze to do ciebie nie dociera, ale tak właśnie będzie. Stanę się dla ciebie ciężarem.

– Nigdy! – zapewnił Denis żarliwie. – Nie waz się tak myśleć. Nie potrzebuję żadnej dziewczyny, rodziny też nie. Nigdy nie będziesz dla mnie ciężarem, zawsze z największą chęcią...

– Zostawmy to – przerwał mu Artiom. – Takie jest życie. Lepiej powiedz, czy nie widziałeś gdzieś płyt albo kaset z piosenkami Iriny

Astapkiny.

Masz ci los, pomyślał Denis z przygnębieniem. Znowu Astapkina. Wszystko na nic, zaraz Artiom przypomni sobie o Kamieńskiej. Wciąż się ode mnie odsuwa, myśli, że może się beze mnie obejść. Jak mam go przekonać?

– Nie – odburknął. – W ogóle nie słyszałem o takiej wykonawczyni.

– Chciałbym posłuchać jej piosenek. Nie mógłbyś ich poszukać? Może są gdzieś w sprzedaży.

– A gdzie tam, nawet nie słyszałem tego nazwiska.

– Niemożliwe. – Artiom z uporem pokręcił głową. – Zadzwoń do Kamieńskiej i ją zapytam, na pewno wie, gdzie można ich posłuchać. Albo przynajmniej poczytać wiersze. Kamieńska zostawiła przecież swój telefon, no to do niej zadzwonię.

Denis wpadł w panikę. Jak to zadzwonić do Kamieńskiej? Miał już nadzieję, że Artiom wymazał ją z pamięci, a tymczasem okazuje się, że wciąż o niej myśli.

– To nie wypada – powiedział stanowczo. – Ona ma bardzo odpowiedzialną pracę, a ty chcesz jej zawracać głowę głupstwami. Rozgniewa się.

– Nieprawda. – Artiom uśmiechnął się z rozmarzeniem. – Ma taki głos... Niezwykły. Sama też jest niezwykła. Nie widziałem jej dobrze, ale wyczuwam, że nie jest podobna do innych milicjantów. Wiesz, co mi przypomina jej głos?

– Głos jak głos – mruknął Denis, sztywniejąc.

No i proszę, zaczęło się, tak jak przewidywał. Artiom przypomniał sobie o Kamieńskiej i gotów jest rozmawiać o niej godzinami. Co w niej zobaczył? To stara baba, rówieśnica rodziców.

– Przypomina mi *Światło księżycy* Debussy'ego. Pamiętasz, w ubiegłym roku często to grałem.

– Nie widzę związku – oznajmił Denis głośnie.

– Jak możesz tego nie dostrzegać? W *Świetle księżycy* nic nie jest namacalne i klarowne, nie wyłania się żaden konkretny obraz, wszystko jest przytłumione, jakby lada chwila miało się rozpuścić. Z głosem Kamieńskiej jest podobnie. Bądź tak dobry i poszukaj na moim biurku kartki z jej telefonem, musi tam gdzieś leżeć.

Nie, do tego Denis nie mógł dopuścić. Artiom nie powinien rozmawiać z Kamieńską, w ogóle nie powinien nawiązywać jakichkolwiek

kontaktów z pominięciem Denisa i za jego plecami.

– No dobra, niech ci będzie – powiedział, siląc się na obojętność. – Ona jest naprawdę bardzo zapracowana, po co ją niepokoić głupstwami? Pójdę poszukać nagrań Astapki, skoro aż tak ci na tym zależy.

– Idź. – Artiom kiwnął głową. – Ale najpierw daj mi jakąś tabletkę na zabicie gorączki, bo znowu mam dreszcze.

Denis pośpiesznie rozpuścił w szklance gorącej wody proszek zostawiony przez Jekatierinę i podał przyjacielowi.

– Prześpij się, póki nie wrócę.

– Dobrze. Rzeczywiście czuję się senny.

Artiom zawinął się w kołdrę, a Denis posiedział chwilę w fotelu, czekając, aż przyjaciel zaśnie. Upewniwszy się, że oddycha spokojnie i miarowo, zaczął się zbierać do wyjścia. Jego wzrok padł na czerwoną piłeczkę, która leżała na biurku. Oto, co musi zrobić. To świetny pomysł. Wtedy Artiom zrozumie, że Denis potrafi nawet to, czego nie potrafiła Kamieńska. Udowodni, że jest mądrzejszy, silniejszy i lepszy od tej baby z milicji, która, może nieświadomie, zaczęła wypierać go z myśli i serca Artioma.

Już w dzieciństwie Denis Bażenow wiedział, że matka go nie kocha. To znaczy, pewnie kochała go po swojemu, ale jemu nie odpowiadała taka miłość. Wciąż czuł, a nawet doskonale wiedział, że jej zawadza. Alewtina urodziła syna w wieku siedemnastu lat i oczywiście nie w głowie jej były pieluchy i kaszki. Zanim skończyła dwudziestkę, pijackie orgie stały się już normą. Dwa lata później na świat przyszło jeszcze jedno dziecko, a po trzech kolejnych – następne. Dzieci były z jej strony desperacką próbą utrzymania przy sobie mężczyzn i stworzenia ogniska domowego. Jednakże partnerzy ją porzucali, a dzieci rodziły się chore. Alewtina oddała je pod opiekę litościwego państwa i pozbyła się wszelkich hamulców, uznając, że Denis jest już dość duży i nie wymaga opieki, w razie czego zrozumie i pójdzie na spacer albo pobawić się do kolegi.

Mimo młodego wieku Denis podjął dojrzałą decyzję: sam będzie się wychowywał. Uczył się pilnie, a ponieważ nie miał gdzie odrabiać lekcji, do późna przesiadywał w szkole – albo w bibliotece, albo w świetlicy, dokąd go zawsze wpuszczano, albo nawet w pustej klasie, na co szkolne sprzątaczkę patrzyły przez palce. Nauczyciele znali jego

sytuację rodzinną i mu współczuli, ale nie potrafili pomóc. Właśnie dlatego kierowniczką podała jego nazwisko, gdy ojciec Artioma się do niej zwrócił.

Denis z entuzjazmem przyjął propozycję pomocy Artiomowi. Po pierwsze, było to, bądź co bądź, jakieś kieszonkowe, którego nie mógł się doprosić od matki, gotowej wydać każdą kopiejkę na pijackie libacje dla swoich znajomych. Po drugie, dzięki temu nie musiał siedzieć w świetlicy, w której na okrągło hałasowały maluchy, ale uczył się w normalnych warunkach. Po trzecie, otwierała się przed nim możliwość, by przerobić materiał starszej klasy, to zaś było dla niego ważne. Chciał przecież zostać prymusem. A to, co było po czwarte, niezauważenie, ale bardzo szybko stało się najistotniejsze, kluczowe i decydujące. Denis widział, że jest lubiany, i czuł się potrzebny. Rodzina Kipianich nie potrafi się bez niego obejść. Artiom za nim tęskni. Bez niego jest właściwie bezradny. Potrzebuje go tak samo, jak potrzebują ciocia Katia i wujek Tiengiz. Wszyscy go rozpieszczają. Troszczą się o niego. Leczą, gdy się przeziębi. Nie zapominają (w odróżnieniu od matki pijaczki) złożyć mu życzeń z okazji urodzin i kupują prezenty nie na odczepne, ale wkładając w nie serce i biorąc pod uwagę jego gust oraz zainteresowania. Tutaj, w rodzinie Kipianich, Denis znalazł swój dom, drugich rodziców i starszego brata. W tym domu nie jest żalosnym darmozjadem, ale kimś mile widzianym. Świadomość, że jest ważny i potrzebny, dawała mu radość. Sprawiała, że czuł się szczęśliwy.

I nagle wszystko to może zostać mu odebrane.

Duszę Denisa opanowało nieznane wcześniej dojmujące, bolesne uczucie. Jeszcze nie wiedział, że nosi ono bardzo prostą nazwę: zazdrość.



– Źle się dzieje w państwie duńskim – rzekł śledczy Gmyria. – A w firmie Turella jeszcze gorzej.

Biuro podróży Turella było zamkniętą spółką akcyjną. Na zebraniu akcjonariuszy udziałowcy w liczbie ośmiu (będący zarazem pracownikami firmy) wybrali radę dyrektorów. Dyrektorem generalnym została Elena Pietrowna Tumakowa, która po poślubieniu Dudariewa

przyjęła nazwisko męża. Do niej należał pakiet kontrolny akcji. Dywidendy na akcje były naliczane na podstawie uzyskanego dochodu, a dochód, jak wiadomo, określany jest na podstawie dokumentów finansowych. Jednakże od pewnego czasu akcjonariusze zauważyli, że szanowna Elena Pietrowna, lubiąca bawić się w demokrację i zajmować osobiście najważniejszymi i najzamożniejszymi klientami, obraca lewą gotówką i nie księguje części pieniędzy. Ponieważ w sprawozdaniach finansowych pojawiają się mniejsze kwoty, osiągnął też mniejszy dochód, a zyski akcjonariuszy nie są takie, jakie być powinny. Akcjonariusze nie mogli, rzecz jasna, zaakceptować tego stanu rzeczy. Dali Elenie Pietrownie do zrozumienia, że dostrzegli jej machinacje, a wtedy ona z niewinną miną wyjaśniła, że potrzebuje gotówki w interesie samej firmy. Trzeba na przykład dać łapówkę strażakom albo pracownikom sanepidu. Przeprowadzić pilny remont, wzywając hydraulika Pietię albo elektryka Saszę. Udać się gdzieś szybko w sprawach biznesowych, gdy samochód służbowy jest w trasie i nie pozostaje nic innego, jak wziąć taksówkę. Kupić mniej lub bardziej kosztowne prezenty, żeby pozyskać względy odpowiednich urzędników, od których zależy zabukowanie biletów na właściwy lot albo wydanie wizy w sytuacji, gdy pojawiają się problemy, ale nie wolno stracić twarzy przed ważnym klientem. Wymieniła ze trzydzieści powodów, które usprawiedliwiały konieczność posiadania gotówki. Trudno je było zakwestionować, wydawały się prawdziwe, a nie wydumane. Akcjonariusze to rozumieli, ale nie byli w stanie sprawdzić, ile lewych pieniędzy Elena Pietrowna rzeczywiście wydaje na firmę, a ile wkłada do własnej kieszeni. Narzekania ucichły, co pobudziło inwencję oraz aktywność pani Dudariewej. Rozzuchwiała się i rozpanoszyła w firmie, po cichu pozbywając się niepokornych. Przez dłuższy czas tolerowano jej zachowanie, ponieważ jednym z warunków regulaminu było to, że cały pakiet akcji mógł należeć tylko do pracowników firmy. Jeśli ktoś odchodził, musiał sprzedać akcje firmie Turella, żeby nikt z zewnątrz ich nie przejął. Ludzie nie chcieli pozbywać się akcji, ale warunki pracy stawały się nie do zniesienia. Elena Pietrowna niszczyła najgłośniej protestujących, nie podobało jej się, że walczą o swoje zyski.

Rosja jest jeszcze, niestety, krajem mało cywilizowanym. Tylko doświadczeni i znający się na rzeczy finansiści potrafią walczyć z wrogami, wykorzystując instrumenty ekonomiczne. Zdecydowana

większość obywateli, doświadczywszy sowieckiej biedy, dorwała się teraz do przyzwoitych pieniędzy, nie ma jednak ani ekonomicznej, ani prawniczej wiedzy, toteż posługuje się może prymitywnym, ale starym, dawno wypróbowanym sposobem. Wiadomo jakim. Jeżeli ktoś ci przeszkadza, trzeba się go pozbyć. Jeśli nie da się tego zrobić, wypowiadając magiczne słowa: „Odejdź, proszę, bądź tak miły”, można go po prostu zlikwidować. Mówiąc krótko: zabić.

– Można założyć, że ktoś z Turelli zaplanował zabójstwo znienawidzonej Dudariewej i delikatnie zasugerował Gieorgijowi Nikołajewiczowi, że zostanie z pustymi rękami, jeśli małżonka go porzuci i zażąda rozwodu. Pozbycie się Eleny oznaczałoby rozwiązanie problemu zarówno męża, jak i akcjonariuszy. To ich połączyło – powiedział Siełujanow, który, wbrew oczekiwaniom, wcale nie wyglądał na skacowanego i zmarnowanego. Widocznie w ciągu dwóch i pół roku znajomości Walentina całkowicie oduczyła go picia na umór i nie udzieliła dyspensy nawet z okazji ślubu.

– A co z akcjami? – zapytał Siergiej Zarubin. – Przecież jeśli Dudariew odziedziczy majątek nieżyjącej żony, akcje przejdą na niego. Gdzie gwarancja, że nie wykorzysta pakietu kontrolnego, żeby wprowadzić swoje porządki w firmie?

– Dobre pytanie. – Gmyria kiwnął głową. – Postaramy się na nie odpowiedzieć. Pracownicy Turelli odwiedzają męża Eleny Pietrowny z propozycją radykalnego rozwiązania swoich problemów. Organizują spotkanie z osobami, które podejmą się wykonania planu albo pomogą w jego realizacji, przy czym kontaktują Dudariewa bezpośrednio z nimi, sami zaś pozostają z boku. I zawierają dżentelmeńską umowę: Dudariew gwarantuje im zwrot akcji, w przeciwnym razie go wystawią. „Albo oddasz nam akcje, albo my oddamy cię w ręce milicji”. Dlatego przyjmujemy następujące kierunki działania. Pierwszy: Dudariew, na razie nie zdejmujemy obserwacji. Drugi: firma Turella, przyglądajcie się wszystkim pracownikom bez wyjątku, żeby ujawnić nieformalne kontakty z Dudariewem i niezidentyfikowaną osobą trzecią. Trzeci: tamto biuro, w którym wasza Kamieńska wpadła na trop. Trzeba koniecznie się dowiedzieć, do kogo i po co przyszedł Dudariew, i dlaczego skłamano, że ubiegał się o posadę. Czwarty: szukamy figuranta o nieznannej powierzchowności, który ma jakieś mgliste nagranie jakiejś mglistej muzyki. Figurant ma wprawdzie jeszcze głos,

który rzekomo może rozpoznać niewidomy chłopak, ale wątpię, czy to przejdzie w sądzie, choć byłoby bardzo pomocne. Siełujanow, złożyłem ci gratulacje czy zapomniałem?

– Zapomniał pan, Borisie Witaljewiczu. Ale nie żywię urazy.

– Tego jeszcze brakowało, żebyś się na mnie obraził – burknął Gmyria. – Zwłaszcza że przecież sobie przypomniałem. No dobrze, Nikołaju, przyjmij moje najlepsze życzenia i ruszajcie do roboty ze śpiewem na ustach.

Wywiadowcy wstali i skierowali się ku drzwiom.

– Kola – rozległ się głos Gmyri – słuchaj no...

– Tak, Borisie Witaljewiczu? – Siełujanow się odwrócił.

– Czy wasza Kamieńska naprawdę potrafi rozpoznać to mgliste nagranie spośród innych, opierając się tylko na słowach chłopca?

– Potrafi – odparł Nikołaj stanowczo. – Ma pan to jak w banku.

Gmyria w zamyśleniu przesunął ręką po policzku i powiedział niejasno:

– Diabelska sprawka...



W niedzielę, nazajutrz po ślubie Siełujanowa, Nastia z pomocą Aleksieja sumiennie przeczesywała miejsca, w których sprzedawano płyty kompaktowe i kasety audio. Szukała nagrania *Symfonii Szkockiej* Mendelssohna. Muzyka klasyczna nie cieszy się obecnie dużym wzięciem, na stoiskach ulicznych można kupić nagrania współczesnej estrady, zarówno rodzimej, jak i zagranicznej, ale klasykę sprzedaje się rzadko. Są w Moskwie, co prawda, takie miejsca, w których wybór nagrań muzyki symfonicznej jest bardzo przyzwoity, jednakże prym wiodą tam Bach, Beethoven, Czajkowski, Rachmaninow, Chopin, nie brak też płyt z koncertami Pavarottiego. Znalezienie Mendelssohna okazało się więc rzeczą niełatwą.

– Czego szukamy? – Czistiakow w końcu nie wytrzymał. – Przeglądasz to płyty, to kasety.

– Sama nie wiem, co to było – przyznała się Nastia. – Chłopak, który słyszał symfonię, nie widział odtwarzacza. Więc może to być zarówno kaseta, jak i płyta.

Wrócili do domu ze skromną zdobyczą. Udało im się znaleźć tylko

jedną wersję *Symfonii Szkockiej*, na płycie kompaktowej, w wykonaniu orkiestry Filharmonii Berlińskiej pod batutą Jamesa Levine'a. Nastia wykorzystała jednak okazję i nie odmówiła sobie przyjemności kupienia okazałej liczby płyt Pavarottiego i Chopina.

W domu od razu rozpakowała cenny nabytek i zabrała się do słuchania. Dobrze pamiętała, na jakie fragmenty powinna, zdaniem Artioma, zwrócić uwagę, więc z napięciem wsłuchiwała się w muzykę. Jednakże ze smutkiem stwierdziła, że to chyba nie to. Artiom też, oczywiście, powinien posłuchać, ale najprawdopodobniej potwierdzi jej opinię. Szkoda.

W poniedziałek rano Nastia skontaktowała się z pracownikami, którzy od jakiegoś czasu zajmowali się walką z różnego rodzaju piractwem, zarówno wideo, jak i audio. Zaproponowali jej, żeby do nich wpadła i poszperała w stercie zajętych kaset, ponieważ nikt z nich nie zna się na muzyce symfonicznej i nie potrafi na poczekaniu stwierdzić, czy wśród nagrań jest Mendelssohn. Nastia straciła dwie godziny, przeglądając kasety, ale nie znalazła tego, czego szukała. Wzięła więc kartkę i niebieskim flamastrem napisała drukowanymi literami: „Felix Mendelssohn-Bartholdy, *Symfonia Szkocka*”.

– Gdzie to przypiąć? – zapytała.

– Umieść gdzieś na widoku – odpowiedziano jej. – Żeby rzucało się w oczy, bo zapomnimy. Jeśli się pojawi, damy ci znać.

Nastia musiała zadowolić się obietnicą.

≡

Gdy Denis wyszedł z chłodnego budynku na ulicę, żar, duchota i palące słońce zwały się na niego z taką siłą, że omal nie oślepl. W mieszkaniu panowały jednak bardziej komfortowe warunki. Kiedy rano biegł do Artioma, nawet nie podejrzewał, że koło południa na dworze robi się gorąco jak w piekle. Pierwszą tchórzliwą myślą było, żeby wrócić i wyjaśnić Artiomowi, że z powodu upału nigdzie nie pojechał i że pojedzie innym razem, gdy się trochę ochłodzi. Ale od razu przepędził tę myśl. Jak to wrócić? Artiom powinien wiedzieć, że Denis jest jego prawą ręką, jego drugim ja. On na pewno nie przestraszyłby się skwaru i udałby się na poszukiwania potrzebnej płyty. A zatem Denis powinien postąpić tak samo. Poza tym istnieje

ryzyko, że jeśli nie znajdzie nagrania i go nie przywiezie, Artiom zadzwoni do Kamieńskiej, a to jest niepożądane. Trzeba więc jechać, nie ma wyjścia.

Najbliżej położonym miejscem, w którym znajdowały się stragany z kasetami, było metro. Denis, ostentacyjnie bawiąc się czerwoną piłeczką, podszedł do stoiska i zapytał o nagrania Iriny Astapkiny. Pośepny sprzedawca nawet nie podniósł wzroku, burknął pod nosem, że tego nie mają. Denis przejechał jeden przystanek metrem, wszedł na górę i ruszył w stronę kolejnego stoiska. Potem pojechał na następną stację, potem na jeszcze jedną... Właściwie powinien był od razu pojechać do DK[6] imienia Gorbunowa, zwanego potocznie Gorbuszką, gdzie można dostać wszystko albo prawie wszystko, a to, czego nie ma, można zamówić. Ale to daleko, poza tym, kierując się w stronę Gorbuszki, i tak wysiadał na wszystkich pośrednich stacjach w nadziei, że znajdzie żądane nagranie. Przyświecał mu jeszcze jeden cel i, właśnie dlatego myślał nie tylko o Astapkinie oraz jej piosenkach, ale też o tym, żeby odwiedzić jak największą liczbę miejsc. Chciał, żeby go zauważono.

Właśnie odchodził od kolejnego stoiska, zmierzając do tunelu metra, gdy ktoś go zawołał.

– Ej, chwileczkę!

Denis odwrócił się i zobaczył chłopaka, na oko dwudziestopięcioletniego, cherlawego, ale z beczelną gębą. Uznał, że nie będzie się z nim patyczkował, i odparł niezbyt uprzejmie:

– Czego chcesz?

– Szukasz jakiegoś nagrania? – zapytał chłopak.

– Owszem.

– Jakiego?

– Iriny Astapkiny. Słyszałeś o niej?

Na twarzy chłopaka pojawił się nieznany Denisowi wyraz.

– Astapkiny... – powtórzył wolno. – To rzadkie nagranie. Rzadko ktoś o nie pyta, więc nie wykładamy go na stoisku. A ty, jak rozumiem, interesujesz się Astapkiną?

– Zgadza się – odparł Denis oschle. – Gdzie je można kupić?

– Teraz nigdzie. Był tylko jeden nakład, nieduży, zrobiono go w Niemczech, koneserzy stopniowo wykupili, a ponieważ nie ma popytu, to nie zamawiamy. Jeśli ci jednak zależy, mogę załatwić, tylko

wyjdzie trochę drożej. Co ty na to?

– Oczywiście. – Denis się ożywił. – Bardzo mi zależy. Zapłacę, ile zechcesz.

– W porządku. – Chłopak kiwnął głową. – Mam znajomego, jest w podbramkowej sytuacji, wyprzedaje po trochu cały majątek, żeby nie umrzeć z głodu. Cieszy się z każdej kopiejki. Wiem na pewno, że ma płytę Astapki. Sprzeda ją. Gdzie mieszkasz?

– Przy stacji Krasnyje Worota, a czemu?

– Spotkajmy się wieczorem, przywiozę ci płytę. Koło jedenastej pasuje?

– To bardzo późno – odparł Denis niepewnie. – Wcześniej się nie da?

– Nic z tego. Interes zamykam o dziewiątej, zdaję towar, potem muszę jeszcze pojechać do tego znajomego po płytę, a to kawałek drogi, no a później do ciebie na Krasnyje Worota. Przed jedenastą się nie wyrobię.

– No tak. Powiedz, gdzie mam czekać i ile to będzie kosztować.

– Przynieś pięćdziesiątkę, wydolisz?

– Pięćdziesiąt tysięcy? – uściślił na wszelki wypadek Denis.

– To po staremu, a po nowemu pięćdziesiąt rubli. Za drogo?

– Nie, nie, znajdę. A gdzie?

– Znasz podwórze za metrem?

– Znam.

– No to tam się spotkamy. A przy okazji, co to za piłeczka, którą wciąż się bawisz?

Jest jeszcze szansa, żeby się wycofać. Jeszcze można zawrócić z obranej drogi albo ominąć niebezpieczne miejsce. Powiedzieć, że znalazł piłeczkę w metrze pół godziny temu. Albo że kupił ją wczoraj w sklepie...

– Pozwala mi ćwiczyć palce.

– Po co? Chcesz występować w cyrku?

– Nie, zostać pianistą. No to cześć, do wieczora.

– Cześć – rzucił niedbale handlarz płyt.

Może zapytał bez powodu, myślał Denis w drodze do domu, w którym mieszkała rodzina Kipianich. Zwyczajna ciekawość, ja też bym zapytał, gdybym zobaczył kogoś, kto się bawi piłeczką. Każdy by to zrobił. Ten chłopak nawet się nie zainteresował, jak mam na imię i gdzie mieszkam. A zresztą widział przecież, że ja to ja, a nie Artiom. Chyba

że Kamińska ma rację i rzeczywiście nie zapamiętał twarzy, obaj z Artiomem ubrani jesteście bardzo podobnie, białe koszulki, jasne szorty. Szorty mamy jednakowe, ciocia Katia je nam kupiła.

Serce Denisa zamierało z trwogi. Nie był pewien, czy postępuje słusznie. Rozum mu podpowiadał, że samowola może pociągnąć za sobą poważne konsekwencje. Ale serce mówiło inaczej. Musi coś zrobić, żeby Artiom zrozumiał, że nie ma nikogo lepszego od Denisa. I że nikt nie będzie mu bardziej oddany. Nikt nie będzie go kochał i szanował bardziej niż on. Nikt nie zatroszczy się o niego lepiej niż on. Serce mówiło głośno i władczo, właściwie krzyczało na cały głos, wrzeszczało i łkało, zagłuszając spokojny i logiczny głos rozsądku.

Wiem, co trzeba zrobić, myślał Denis, idąc po schodach do mieszkania, w którym czekał na niego chory Artiom. Pożyczę od Artioma dyktafon i nagram tego chłopaka. Artiom odsłucha nagranie i zdecyduje, czy to on. A potem zadzwonię do Kamińskiej i powiem, gdzie można znaleźć tego chłopaka. Skoro pracuje w punkcie handlowym, to znaczy, że jest tam albo każdego dnia, albo co drugi dzień. Wtedy Kamińska powie Artiomowi o mojej odwadze. Tak, sam do niej zadzwonię. I sam jej o wszystkim powiem.

≡

– Cholera go wie, niby pasuje do opisu, koszulka, jasne szorty, na oko jakieś siedemnaście lat, tak jak mówił Kostik. I bawił się czerwoną piłeczką. Powiedział, że chce zostać pianistą.

– Gdzie niby mieszka?

– Przy stacji Krasnyje Worota.

– Krasnyje Worota... to całkiem możliwe. Właśnie tam powinien mieszkać. Jak się z nim dogadałeś?

– O jedenastej w zacisznym miejscu.

– Świetnie. Działaj.

– Witia...

– Nie martw się, w naszym kraju każda praca przynosi zaszczyt i jest dobrze opłacana. Nie wyroluję cię.

[6] DK (Dworzec kultury) – Pałac Kultury.

Rozdział 6

Właściciel pokoju był martwy mniej więcej od pół godziny. Oględziny zewnętrzne pozwoliły stwierdzić, że umarł w męczarniach, chociaż na ciele nie było żadnych śladów tortur ani obrażeń.

– Dlaczego nie wezwała pani pogotowia? – zwrócił się z wyrzutem młody milicjant do starszej kobiety, która mieszkała obok.

– Przecież wezwałam, wezwałam. – Sąsiadka odparła pośpiesznie. – Ale patrzę: minęła godzina, później jeszcze jedna, a ich wciąż nie ma. No to zajrzałam do Kostii, żeby zobaczyć, co z nim, ale on już nie dychał. Wtedy od razu pobiegłam, żeby do was zadzwonić.

– To znaczy, że miała pani klucze od jego mieszkania?

– Nie, skąd? Koło czwartej usłyszałam dzwonek do drzwi, otwieram, a on słania się na nogach i mówi: „Ciociu Kławo, wezwij pogotowie, kiepsko ze mną, umieram”. U niego nie ma telefonu. „Zaraz zadzwonię – mówię – a ty idź do siebie, połóż się, tylko nie zamykaj drzwi, zostaw otwarte, żeby można było wejść, bo a nuż nie dasz rady otworzyć”. Wrócił do mieszkania, a ja zadzwoniłam i czekam. Lekarzy wciąż nie ma i nie ma. Zajrzałam do Kostii raz, drugi, widzę, że wygląda coraz gorzej, nie otwiera już oczu, leży blady jak ściana, aż strach patrzeć. No a później, za trzecim razem, przełękłam się, że biedak umarł, i zadzwoniłam po milicję.

Milicjanci przyjechali od razu tylko dlatego, że patrolowali sąsiednią ulicę. W piątkowe popołudnie Moskwa była nieprzejezdna, wszyscy ciągnęli za miasto, nie chcieli spędzać weekendu w rozgrzanym mieście, liczyli na to, że pobyt wśród drzew i w pobliżu zbiorników wodnych przyniesie ulgę. To normalne, że pogotowie przyjeżdża nieprędko. Wszędzie tworzą się wielogodzinne korki, więc nie ma się czemu dziwić, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że przed Olimpiadą Młodzieży władze miejskie zaczęły gorączkowo doprowadzać do

porządku najważniejsze arterie komunikacyjne, akurat te, którymi moskwianie udawali się za miasto. Z powodu robót drogowych na szerokich drogach pozostały tylko wąskie gardła. Nieprzestrzegający kolejności kierowcy z trudem się wciskali, ignorowali elementarne prawa mechaniki i nie przepuszczali jeden drugiego.

Milicjanci obejrzeni pokój, po czym wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– To albo magazyn, albo podziemna produkcja – powiedział jeden, pokazując stosy pudeł, z których część była pusta, druga natomiast wyładowana kasetami audio.

– Raczej produkcja, zobacz, ile tu sprzętu. A napisy wskazują, że kasety są takie same – zauważył drugi. – Ścieżka dźwiękowa z *Titanica*. Czujesz, czym to pachnie? Film dopiero wszedł na ekrany, a oni już mają furę kopii. Pewnie to pirackie nagranie.

Obaj doszli do wniosku, że mężczyzna raczej nie padł ofiarą morderstwa, bo liczne ślady po igłach na rękach i biodrach dobitnie świadczyły o zamiłowaniu denata do narkotyków. Trzeba jednak wezwać kolegów zajmujących się audio- i wideopiractwem, nie ma bowiem wątpliwości, że to ich sfera działania.

W poniedziałek wieczorem funkcjonariusz porządkujący i opisujący kasety zajęte u zmarłego nagle Konstantina Wiatkina natknął się na słowa, które wydały mu się znane. Gdzieś już je widział, w dodatku całkiem niedawno. Kaset było dużo, oczy łzawiły, uwaga się rozpraszała, więc przymknął powieki i odchylił się na oparcie twardego krzesła, żeby odpocząć. Później pokręcił głową w prawo i w lewo, usiłując rozluźnić napięte mięśnie szyi, i jego wzrok prześlizgnął się po kartce przyklejonej taśmą do ściany. Grubym flamastrem nakreślono na niej te same słowa: „Feliks Mendelssohn-Bartholdy, *Symfonia Szkocka*”. A niżej numer telefonu i nazwisko osoby, z którą należy się skontaktować.

– Dzwonię w związku z Mendelssohnem – powiedział niewyraźnie do słuchawki, gdy usłyszał kobiecy głos.

– Tak, tak, słucham.

– Pojawiła się kasetka, więc proszę wpaść, jeśli to panią nadal interesuje.

– Jak długo będzie pan jeszcze na miejscu?

– Co najmniej półtorej godziny.

– Dziękuję, wpadnę na pewno.

Funkcjonariusz porządkujący kasety raczej nie uchodził za wzór obowiązkowości. W innej sytuacji może by nawet nie zadzwonił w sprawie kasety. Był jednak nieludzko zmęczony, potrzebował przerwy. Spełnienie czyjejś prośby stanowiło dobry przerywnik. A jednocześnie komuś się przydawało.

Jeszcze przez chwilę nie otwierał oczu, później westchnął i wrócił do długiego, tasiemcowego opisu.



Gdy Denis wrócił, Artiom już nie spał. Leżał w łóżku z rękami splecionymi za głową i sądząc po uśmiechu, marzył o czymś przyjemnym.

– Znalazłeś nagranie? – zapytał, gdy tylko przyjaciel wszedł do pokoju.

– Chyba tak. Poznałem pewnego chłopaka, który powiedział, że wie, kto ma nagranie, i że wieczorem przyniesie.

– Naprawdę? – Artiom się ucieszył. – To super.

– Jak się czujesz?

– W porządku.

– Zaraz przyniosę lekarstwo – powiedział Denis z naciskiem. – Musisz też wypłukać gardło i zmierzyć temperaturę.

– Do diabła z temperaturą, po co ją mierzyć? Czuję, że nie mam gorączki – zaoponował Artiom.

– Musisz – zawyrokował Denis. – Ciocia Katia powiedziała, żeby zmierzyć między czwartą a szóstą po południu. Jak wróci z pracy, to zapyta. Co jej wtedy powiem?

Serce Denisa skakało z radości. Odzyskał niepodzielną władzę nad przyjacielem, podawał mu lekarstwa i termometr, dyrygował nim, traktował surowo, każdą czynnością akcentując swoją przydatność. Zrobił nawet rzecz niewykonalną na pierwszy rzut oka – znalazł dla niego unikatową płytę, której już od dawna nie ma w sprzedaży. On jednak ją znalazł, bo przyjaciel go o to poprosił. Artiom jest mądry, dojrzały, wyjątkowy i zdolny, przebywanie koło niego i przyjaźń z nim to największe szczęście w życiu.

Gorączka oczywiście była, ale już nie tak wysoka jak poprzedniego

dnia. Denis poprawił poduszki i pomógł Artiomowi ułożyć się wygodniej, po czym ruszył do kuchni, żeby podgrzać obiad. Artiom zjadł go, siedząc przy stole, ale pod koniec posiłku znowu zrobiło mu się słabo, więc wrócił do łóżka.

– Możesz mi podać piłeczkę? – powiedział. – Poćwiczę trochę.

Denis miał piłeczkę w kieszeni. Nieśpiesznie podszedł do biurka, udając, że szuka jej wśród książek i zeszytów, gdzie zresztą leżała rano, i próbując ukradkiem wyjąć ją z kieszeni.

– Tam nie szukaj, bo jej tam nie ma – zauważył Artiom. – Szukałem podczas twojej nieobecności. Gdzie mogłem ją wetknąć?

– Chyba jest w drugim pokoju – zasugerował Denis z ulgą.

Wyszedł i po chwili wrócił z piłeczką w dłoni. Artiom wziął ulubioną zabawkę, wykonał parę ruchów palcami, później znieruchomiał i ze zdziwieniem przysunął piłeczkę do twarzy.

– Dziwnie pachnie.

– Pachnie? – Denis nie zrozumiał. – Niby czym?

– Czymś słodkim... Lodami. I trochę się lepi. Zabrałeś ją ze sobą?

Denis już miał skłamać, ale pomyślał, że to nie ma sensu. Trudno oszukać Artioma, który odznacza się wręcz niesłychaną intuicją. I tak się domyśli, że Denis kłamie, nawet gdyby ten zapierał się w żywe oczy, w dodatku się obrazi.

– Tak, zabrałem. A czemu nie? Spałeś, gdy wychodziłem, więc pomyślałem, że nie będzie ci potrzebna.

– Przecież Kamińska powiedziała, żebyśmy się nie bawili piłeczką na ulicy. Zapomniałeś?

Artiom się zdenerwował i Denis poczuł satysfakcję. Przyjaciel niepokoi się o niego, boi się, żeby coś mu się nie stało. Ale znowu sobie przypomniał o tej Kamińskiej... Do diabła, gdziekolwiek człowiek się obróci, wszędzie się na nią natyka! Trzeba będzie zdradzić Artiomowi plan.

– Wziąłem ją specjalnie. Może ktoś naprawdę cię szuka? Szuka ciebie, a znajdzie mnie i w ten sposób go przyłapiemy – odezwał się podekscytowany. – Wydaje mi się, że chłopak, który obiecał przynieść płytę Astapkiny, zauważył piłeczkę, nawet zapytał, dlaczego obracam ją w rękach. Wieczorem się z nim spotkam, nagram jego głos na dyktafon i dam ci posłuchać. Jeśli to ten, z którym wtedy rozmawiałeś, sami go wytropimy i zatrzymamy. Przyznasz chyba, że to świetny pomysł.

– Oszalałeś! – Artiom zaniósł się ochryplym kaszlem. – Coś ty wykombinował? Wytropimy go i zatrzymamy? Czy my jesteśmy detektywami? Trzeba zadzwonić do Kamieńskiej i powiedzieć jej o wszystkim.

– Też coś! – obruszył się Denis. – Na razie nie ma o czym. Najpierw trzeba się upewnić, że to rzeczywiście on, a dopiero potem zadzwonić. Wszyscy tam mają na głowie poważne sprawy, nie powinniśmy się naprzykrzać z głupstwami.

Argument, którym już wcześniej się posłużył, wydał mu się dość mocny, więc postanowił znowu go użyć. Rachuby okazały się słuszne, tym razem Artiom też ustąpił.

– Właściwie masz rację – powiedział w zadumie. – Może ci się wydawało i ten chłopak ze zwykłej ciekawości zapytał o piłeczkę. Trzeba to sprawdzić. Tylko obiecaj, że będziesz ostrożny.

– Nie martw się – powiedział Denis stanowczo. – Wszystko będzie dobrze. Dasz mi dyktafon?

– Oczywiście, weź.

Postanowili, że koło wpół do jedenastej Denis pójdzie niby do domu i nie wróci po spotkaniu do Kipianich. Inaczej trudno będzie wytłumaczyć rodzicom Artioma wieczorną wyprawę.

– Przenocuję u siebie, a rano przybiegnę – obiecał Denis. – Tylko...

– Co?

– Chłopak chce pięćdziesiąt rubli za płytę. Nie mam tyle.

– To nic, poproszę rodziców, gdy przyjdą.

O wpół do siódmej z pracy wróciła Jekatierina, chwilę później zjawił się Tiengiz. Oboje z satysfakcją zauważyli, że pod umiejętnym i odpowiedzialnym nadzorem Denisa ich syn wyraźnie wraca do zdrowia. Podali chłopcom kolację i, o nic nie pytając, wyłożyli żadaną sumę na płytę dla Artioma.

Wyczerpany gorączką i lekarstwami chłopak z trudem walczył z osłabieniem i ze snem, więc Denis musiał wyjść wcześniej, niż planował. Skoro nie zostaje tutaj na noc, nie ma sensu, żeby siedział dłużej, Artiom już i tak śpi.

Powrót do domu mu się nie uśmiechał, więc włóczył się bez celu krętymi uliczkami w okolicy Sadowego Kolca, rozmyślając o czekającym go spotkaniu i o tym, jak złapie przestępcę. Artiom zacznie go jeszcze bardziej szanować, a wtedy żadna Kamieńska nie

będzie mu straszna.



Odebrawszy kasetę, Nastia pojechała do domu. Umierała z ciekawości, więc gdy tylko weszła do mieszkania, wsunęła kasetę do magnetofonu.

– Rezygnujesz dzisiaj z kolacji? – zapytał Aleksiej ze zdziwieniem.

– Cśśś. – Przyłożyła palec do ust. – Najpierw przesłucham, dojdę do wniosku, że to nie to, i rzucę się na jedzenie jak wilk.

– A co to jest?

– Mendelssohn.

– Wczoraj kupiliśmy przecież jakiegoś Mendelssohna.

– Zgadza się. Ale orkiestra jest inna, dyrygent też inny. Wczoraj był Levine, a dzisiaj Zubin Mehta.

– A o co właściwie chodzi? Wczoraj nic mi nie powiedziałaś.

– Człowiek, którego szukamy, słuchał Mendelssohna. Sądzimy, że to zabójca. Musimy znaleźć to samo nagranie, którego słuchał, i wytypować krąg osób mogących je mieć.

– Kto by pomyślał, do czego doprowadzi postępek. – Czistiakow z ironią pokręcił głową. – Zabójcy słuchają muzyki symfonicznej. A ja sądziłem, że Mendelssohn to przede wszystkim *Marsz weselny*.

– Nie, słoneczko. Mendelssohn to głównie to, czego teraz słucham. *Marsz weselny* jest raczej żartem geniusza, ścieżką dźwiękową.

Aleksiej spojrzał na nią zaskoczony.

– Nie rozumiem. Czemu ścieżką dźwiękową?

– Dlatego że to muzyka do sztuki Szekspira *Sen nocy letniej*.

– Tak? Nie wiedziałem.

– Pomilczmy chwilę, Losza. – Nastia powiedziała szybko i cicho. – Muszę uważnie posłuchać dwóch fragmentów.

Zgadza się, wszystko brzmi chyba tak, jak opisywał Artiom. W tym fragmencie na pierwszy plan wysuwają się skrzypce... A w tym grupa instrumentów blaszanych. Trzeba porównać dokładniej.

Nastia wyjęła dwa inne nagrania *Symfonii Szkockiej* i zaczęła je przesłuchiwać. Chyba wszystko pasuje. Teraz pozostaje Artiom. Powinien posłuchać tego wykonania i powiedzieć, czy to właśnie ono dolatywało ze słuchawek nieznanego. Nastia zerknęła na zegarek. Pięć po dziesiątej. Jeszcze wypada zadzwonić.

- Skończyłaś? – Z kuchni dobiegł głos Aleksieja. – Mogę podgrzewać?
- Zaraz, słoneczko, jeszcze jeden telefon i będę cała twoja.



Artiom to zapadał w ciężką drzemkę, to się z niej budził i leżał w ciemności, nie zapalając światła i nie otwierając oczu. Telefon stał przy wezgielciu, więc gdy rozległ się dzwonek, od razu chwycił słuchawkę. Miał wrażenie, że spał dość długo i że jest już koło północy. Może to Denis? Dobrze, żeby to był on, bo Artioma nie opuszcza niepokój.

- Dobry wieczór. – Usłyszał spokojny, lekko zachrypnięty głos, który sprawił, że serce zaczęło mu walić jak młotem. – Mówi Kamińska. Nie za późno dzwonię?

Poczuł dławienie w gardle, więc nie mógł od razu odpowiedzieć, ale w tym samym czasie rozległ się głos matki, która, przekonana, że syn śpi, podniosła słuchawkę w drugim pokoju.

- Dobry wieczór, Anastazjo Pawłowna. Słucham.
- Mogę porozmawiać z pani synem?
- Jest chory, teraz śpi...
- Nie śpię! – odezwał się Artiom szybko. – Jestem przy telefonie.
- Witaj, Artiomie.
- Dzień dobry – wybąkał, bojąc się, że Kamińska usłyszy drżenie w jego głosie.
- Możemy jutro się spotkać? Nie jesteś zajęty?
- Nie, nie, skąd, przez cały dzień będę w domu.

Nagle ogarnął go silny lęk. Dlaczego Kamińska dzwoni do niego późnym wieczorem? Może chodzi o Denisa? Czuł, że nie powinni tego robić! Wyciągnął rękę, sięgnął po leżący na stoliku budzik elektroniczny i przysunął go sobie do oczu. Zielone cyfry pokazywały dwudziestą drugą dziesiątą. Czyżby było tak wcześnie? To znaczy, że Denis jeszcze się nie spotkał z takim typem i nie doszło do żadnego nieszczęścia. Trochę mu ulżyło.

- A co się stało? – zapytał już spokojniej.
- Znaleźliśmy pewne nagranie Mendelssohna. Wydaje mi się, że pasuje do twojego opisu. Ale chciałabym, żebyś posłuchał. Mogę przyjechać do ciebie koło dziesiątej?

– Tak, oczywiście... – Zawahał się. – A gdzie pani dostała to nagranie? Jest wyjątkowe, ja też chciałbym je mieć. W którym sklepie je pani kupiła?

– Nie pochodzi ze sklepu.

– A skąd?

– Od pewnej osoby.

– Może pani spytać, gdzie je kupiła?

– Nie chcę cię straszyć, Artiomie, ale ta osoba nie żyje. To narkoman, bardzo trafnie opisałeś sposób, w jaki się wysławiał. Uznałeś, że to ktoś starszy, ale okazało się, że był młody. To efekt narkotyków połączonych ze środkami uspokajającymi.

Nie żyje... Ciarki przeszły Artiomowi po plecach. Nie żyje. Tydzień temu żył, siedział na ławce, rozmawiał, słuchał muzyki. Młody. I nie żyje. Artiom poczuł ukłucie strachu. Ale zaraz potem przypomniał sobie o Denisie. Jak to nie żyje? Z kim w takim razie spotyka się Denis? Czyj głos zamierza nagrać? Kto mu wyznaczył spotkanie późnym wieczorem na pustym, obskurnym podwórzu? Strach o Denisa natychmiast przerodził się w panikę.

– Anastazjo Pawłowna...

– Tak? Słucham, Artiomie.

Jej głos, przypominający kołysankę, a zarazem muzykę Debussy'ego, uspokoił go, jak chłodna maść, która przynosi ukojenie palącej skórze.

– To chyba nie on – zaczął niepewnie.

– O kim mówisz?

– O tym, co nie żyje... To chyba nie tamten człowiek, który siedział wtedy na ławce.

– Dlaczego? – Kamieńska się zaniepokoiła, Artiom wyczuł napięcie w jej głosie. Potrafił zauważyć każdą modulację głosu, nawet najmniejsza zmiana, lepiej niż wyraz twarzy, mówiła mu o wahaniach nastroju rozmówcy.

– Dlatego że dzisiaj Denis chodził z piłeczką po mieście. Szukał dla mnie płyty Astapkiny... Jeden chłopak mu powiedział, że ma tę płytę, i wyznaczył spotkanie na jedenastą wieczorem. Pytał też Denisa, co to za piłeczka i dlaczego się nią bawi. A on odparł, że chce zostać pianistą. No więc pomyślałem, że jeśli tamten człowiek naprawdę nie żyje, to Denisowi nic złego się nie przydarzy. Jeżeli jednak to on wyznaczył mu spotkanie, to znaczy, że wciąż żyje.

– Zaczekaj, zaczekaj. – Teraz głos Kamieńskiej był oschły i lodowaty.
– Co to znaczy, że Denis chodził z piłeczką po mieście? Przecież zabroniłam wam tego robić.

– Wiem, ale on nie posłuchał. Wyszedł, gdy spałem. Nie wiedziałem, że zabrał ze sobą piłeczkę.

– Zrobił to specjalnie?

– Chyba tak... Chciał, żeby przestępcy go znaleźli. Powiedział, że się nie boi, bo jest silny i wysportowany, i że sam ich złapie. A później odda w ręce milicji. Anastazjo Pawłowna, boję się o niego...

– Tak. – Kamieńska zrobiła pauzę, widocznie coś rozważając. – O tym, że twój przyjaciel postąpił niewłaściwie, porozmawiamy innym razem. Gdzie ma się odbyć spotkanie?

Artiom wyjaśnił, starając się podać jak najwięcej szczegółów.

– O której?

– O jedenastej.

– Dziękuję, że mi powiedziałaś.

Rzuciła słuchawkę, nie żegnając się, ale Artiom się nie obraził. Wiedział, że popełnili z Denisem piramidalne głupstwo, i wyrzucał sobie, że nie pojął tego wcześniej, gdy przyjaciel był jeszcze tutaj i mógł go zatrzymać, nie puścić, zniechęcić. Uległ stanowczości Denisa i jego młodzieńczej ekscytacji; zresztą, prawdę mówiąc, jego też ogarnęła ekscytacja na myśl, że złapią przestępcę. Prawdziwego przestępcę! Boże, co on sobie wyobrażał? To karygodne! Denisowi można jeszcze wybaczyć, ma dopiero szesnaście lat i pstro w głowie, ale Artiom skończył już dziewiętnaście. Ojciec nie mylił się, mówiąc, że gdyby nie wzrok, odbywałby teraz służbę wojskową, może nawet walczył. Co go opętało? A najgorsze jest to, że spokojnie położył się spać. Dobrze, że Kamieńska zadzwoniła i że w ogóle jest ktoś taki jak ona. Na pewno wpadnie na jakiś pomysł, nie dopuści do tego, żeby Denisa spotkało coś złego.

≡

Rozmowa z Gieorgijem Nikołajewiczem nie spodobała się Chramowowi, ale podczas pracy w milicji nauczył się nie zwracać uwagi na to, że ktoś nie darzy go taką sympatią, jakiej by sobie życzył. Klienci, to znaczy ludzie zwracający się o pomoc, przeważnie zachowują się,

oczywiście, trochę inaczej w obecności adwokatów, trzeba jednak zaznaczyć, że nie wszyscy, bynajmniej nie wszyscy. Są tacy (ostatnimi laty trafiają się coraz częściej), którzy traktują adwokata jak swoją własność, najemną siłę roboczą: ma robić, co mu się każe, nikogo nie interesuje jego zdanie. Dudariew się do nich zaliczał. Nie miał, rzecz jasna, nawyków cechujących niektórych biznesmenów, nie rzucał uwag typu: „Niech pan robi, co mówię”, ale jasno i dobitnie przedstawił swoje stanowisko: wynajęto pana, no to proszę się brać do roboty, nie moja sprawa, jakich sposobów pan użyje, dostał pan polecenie, więc niech pan działa. Jak w wojsku, gdzie rozkazu nie poddaje się pod dyskusję, tylko się go wykonuje. I to sumiennie.

Chramow uznał jednak spotkanie za niezbędne, ponieważ tylko sam Georgij Nikołajewicz mógł podać nazwiska osób, które wiedziały coś na temat romansów jego nieżyjącej żony, i pomóc w wytypowaniu chętnych do ewentualnej współpracy. Dudariew nie od razu zrozumiał plan adwokata, trzeba mu było tłumaczyć ze trzy razy, zanim się połapał. Chramow docenił bystrość umysłu Olgi Wasiljewny, która w jednej chwili zorientowała się w sytuacji. Przez dwie godziny, podczas gdy rozmawiali w cichej i pustej restauracji Palma, Anatolij Leonidowicz spod oka obserwował kochanków i nie przestawał się dziwić siłom niebios, którym udało się ich połączyć. Byli zupełnie różni i, zdaniem adwokata, w ogóle do siebie nie pasowali. Olga Wasiljewna wydawała się subtelna, emocjonalna i wrażliwa, wszystko przeżywała intensywnie i głęboko. Natomiast Dudariew robił wrażenie człowieka tępego, bezceremonialnego, nieelastycznego i niezbyt dobrze wychowanego. To może być jedynie teatralna poza, ofuknął się Chramow w myślach, w końcu nie przypadkiem zakochała się w nim nie tylko mądra, inteligentna Olga Jermiłowa, ale też – parę lat wcześniej – atrakcyjna i odnosząca sukcesy kobieta biznesu, Elena Tumakowa. Coś w nim musi być...

Tak czy inaczej, to, co Anatolij Leonidowicz widział na własne oczy, budziło w nim lekkie zdziwienie. Olga za wszelką cenę starała się zadowolić Dudariewa, spijała słowa z jego ust, on zaś traktował ją surowo i z góry, jakby była czemuś winna.

Cel spotkania został jednak osiągnięty. Anatolij Leonidowicz Chramow opuszczał restaurację z adresami, telefonami i nazwiskami osób, które miał wykorzystać w obronie pana Dudariewa, żeby

uniemożliwić jego skazanie. W ciągu całego służbowego obiadu Chramow próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, czy jego klient jest naprawdę niewinny, czy może to morderca. Nie zadał tego pytania wprost, ale prowadził rozmowę w taki sposób, żeby sprowokować Dudariewa do wypowiedzi. On jednak mówił niejasno.

- Chyba pan rozumie, że nie przyłożyłem ręki do tego zabójstwa.
- Naturalnie – przytakiwał adwokat.
- Chyba pan rozumie, że nie miałem powodu zabijać Eleny.
- Naturalnie – przyznawał Chramow.
- Chyba pan rozumie, że wszystko to jest wytworem chorej wyobraźni.

- Rozumiem – odpowiadał Anatolij Leonidowicz.

Ale rozumiał tylko jedno: takie stwierdzenie zazwyczaj oznaczało ukryte, zawoalowane przyznanie się do popełnienia zbrodni i zawierało jednocześnie polecenie dla obrońcy, żeby domagał się uniewinnienia. Gdyby sytuacja wyglądała inaczej, Dudariew oznajmiłby: „Niech mi pan wierzy, że nie zabiłem swojej żony”. Tego jednak nie powiedział.

Wieczorem tego samego dnia Anatolij Leonidowicz Chramow złożył pierwszą wizytę świadkom, których wymienił Dudariew. Rezultat go nie zadowolił, jako że przyjaciółka nieżyjącej Eleny Pietrowny nie potrafiła powiedzieć niczego konkretnego na temat zachowania śledczego oraz jego usiłowań, by zmienić jej zeznania.

- Ależ skąd, myli się pan – powiedziała nieco zdziwiona. – Śledczy nie wywierał na mnie nacisku i nie przeinaczał moich słów, przecież przeczytałam protokół i go podpisałam. Wszystko zostało zapisane tak, jak powiedziałam.

- A więc jest pani pewna, że Elena Pietrowna prowadziła burzliwe życie osobiste za plecami męża?

- Bez dwóch zdań – odparła stanowczo.

Anatolij Leonidowicz robił, co w jego mocy, ale nie udało mu się podważyć zeznań kobiety. Nie chciał działać obcesowo i otwarcie, to znaczy proponować pieniędzy za zmianę zeznań. To nie było w jego stylu. Z pracy w milicji pamiętał, że efekty każdego przesłuchania w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach zależą od sposobu formułowania pytań i kolejności ich zadawania – nie przypadkiem istnieje dyscyplina naukowa zajmująca się strategiami przesłuchań. Chramow nieźle ją poznał i często wykorzystywał swoje umiejętności

w praktyce adwokackiej. No cóż, pomyślał, opuszczając mieszkanie świadka, to nie koniec, muszę próbować dalej. Jeszcze nie pora na brudne metody.

Zegarek pokazywał dopiero wpół do dziewiątej wieczorem, więc uznał, że zdąży złożyć jeszcze jedną wizytę. Wsiadł do samochodu, zadzwonił z komórki pod kolejny, podyktowany przez Dudariewa numer i umówił się na spotkanie.

Trzydzieści pięć minut później wszedł do mieszkania na drugim piętrze, a po godzinie opuścił je zbity z tropu. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.



Za pięć jedenasta Denis Bażenow stał już w umówionym miejscu. Nagle poczuł, że się boi. Przez parę godzin, które minęły od spotkania z handlarzem płyt kompaktowych, myśl o zbliżającej się przygodzie sprawiała, że czuł ogromne podniecenie. Wydawało mu się, że jest mądry, sprytny, silny, i zupełnie nie myślał o niebezpieczeństwie. Ale teraz, stojąc w mroku na środku obskurnego podwórza, po raz pierwszy poczuł coś w rodzaju lęku. Owszem, jest barczysty i wysportowany, w razie czego na pewno poradzi sobie z handlarzem, ale kto powiedział, że mężczyzna przyjdzie sam? I dlaczego on, Denis, nie pomyślał o tym wcześniej?

Zresztą niewykluczone, że się tylko nakręca. Handlarz przyjdzie sam, musi się przyjrzeć Denisowi, żeby się przekonać, że to właśnie on – chłopak, który był wtedy w pobliżu wybuchu. Nie ma przecież stuprocentowej pewności, zechce sprawdzić swoje podejrzenia. Nawet jeśli nie przyjdzie sam, spotkanie nie musi się skończyć pobiciem albo czymś podobnym. Denis próbował się uspokoić, ale na próżno. Z każdą minutą oczekiwania odczuwał coraz większy strach. Przez głowę przeleciała mu nawet tchórzliwa myśl, że mógłby sobie pójść, póki nikogo nie ma. Ale ją przepędził. Jeśli się wycofa, Artiom nie będzie go szanował, a to oznacza katastrofę.

Handlarz płyt zjawił się koło wpół do dwunastej, gdy zrobiło się już niemal całkiem ciemno. Był sam, więc Denisowi od razu ulżyło.

– Cześć! – rzucił głośno, usiłując sprawiać wrażenie spokojnego i pewnego siebie. – Już myślałem, że zapomniałeś o naszej umowie. –

Wsunął rękę do wiszącej na ramieniu torby i wyjął pięćdziesięciorublowy banknot, wciskając jednocześnie klawisz dyktafonu. – Przyniosłeś płytę?

– Przyniosłem – odparł handlarz krótko. – Wyskakuj z forsy, już ja znam takich małolatów jak ty. Zaraz wyrwiesz mi płytę i w nogi.

– Nic z tego – odparł Denis lekkim tonem. – Najpierw pokaż płytę, bo wyjmę pieniądze, a ty mi je wyrwiesz i w nogi.

Był bardzo dumny z tego, że potrafił zażartować nawet w niełatwej sytuacji. Chyba nie grozi mu niebezpieczeństwo, chłopak nie mówi niczego szczególnego, przeciwnie, zachowuje się spokojnie i całkiem rozsądnie.

Handlarz wyjął płytę z reklamówki. W ciemności trudno było dojrzeć napis na pudełku, więc Denis musiał je podnieść do oczu. Tak, rzeczywiście, Irina Astapkina. Trzeba szybko zapłacić i się stąd wynosić. Ale chłopak powiedział zaledwie parę słów. Czy to wystarczy, żeby Artiom rozpoznał głos? Należy przeciągnąć jakoś rozmowę.

– A skąd mam wiedzieć, że w środku jest płyta Astapkiny, a nie jakaś inna? – zapytał podejrzliwie.

– To przecież płyta, bałwanie, a nie kasetka – rzucił chłopak z pogardą. – Jest na niej napis fabryczny. Zobacz, skoro mi nie wierzysz.

Denis otworzył pudełko, wyjął płytę i zaczął ją oglądać z dwóch stron. Był jeszcze bardzo młody i niedoświadczony, więc nie wiedział, że w sytuacji, gdy człowiek obawia się napaści, nie powinien mieć zajętych obu rąk. Przynajmniej jedna ręka powinna być wolna. W lewej trzymał otwarte pudełko, a w prawej płytę. I właśnie wtedy został ugodzony nożem.

Ocaliły go różnica wzrostu i silne mięśnie. Uderzenie dosięgnęło, oczywiście, celu, Denis poczuł ostry, przeszywający ból, zrobił krok w tył i zgiął się wpół, uświadamiając sobie, że napastnik zaraz go wykończy. Ale ze mnie głupiec, przecież myślałem... – przemknęło mu przez głowę. W następnej chwili usłyszał tupot nóg i czyjeś głosy.

Potem rozbłysło jaskrawe światło. Chłopak zamknął oczy.

– Denis – rozległ się tuż obok znajomy głos. – Słyszysz mnie?

Nie potrafił sobie przypomnieć, czyj to głos, więc uchylił powieki. Nie był już na ciemnym, obskurnym podwórzu. Leżał w jakiejś klitce, a obok niego siedziała Kamieńska. Boże, czy nigdy się jej nie pozbędzie?

– Gdzie ja jestem? – zapytał zdziwiony, z wysiłkiem poruszając ustami.

– Teraz w samochodzie, ale zaraz będziesz w szpitalu. Jak się czujesz?

– W porządku. Nic mi nie jest.

– Niezupełnie – zauważyła Kamińska spokojnie. – W końcu dostałeś nożem w brzuch. Kto był z tobą?

Miałby jej zdradzić? Za nic! W szpitalu go opatrzą, później wróci do domu, a jutro zanieśe Artiomowi nagranie, żeby je przesłuchał. I dopiero potem powie Kamińskiej. A może nie...

Zakręciło mu się w głowie, chwyciły go mdłości i poczuł strach. A jeśli jest ciężko ranny?

W tej samej chwili obok twarzy Kamińskiej pojawiła się twarz mężczyzny. Był w białym fartuchu. Chwycił Denisa za nadgarstek, żeby zmierzyć puls. Chłopak domyślił się, że jest w karetce pogotowia.

– Umrę? – zapytał szeptem.

– Wolne żarty! – Lekarz się uśmiechnął. – Przeżyjesz nas wszystkich.

Denis od razu przypomniał sobie podobne sceny z przeczytanych książek i obejrzanych filmów. Lekarze zawsze pocieszają śmiertelnie rannych i nieuleczalnie chorych i mówią im, że będą żyli jeszcze długo.

– Pan mnie oszukuje...

– Skąd znowu. Rana jest głęboka, ale utrata krwi nieznaczna, bo praktycznie niemal natychmiast udzielono ci pomocy. Chyba nie ma wewnętrznego krwotoku, rana jest szeroka, nóż był pewnie tępy. Gdybyś poleżał godzinę albo dłużej, straciłbyś mnóstwo krwi, wtedy mielibyśmy trudniejsze zadanie.

– A jak długo leżałem?

– Niecałą minutę. Podziękuj Anastazji Pawłownie, ona cię opatrzyła. Przekonałem cię? No to buzia na kłódkę aż do sali operacyjnej.

Denis zamknął oczy. Ogarnęła go rozpacz. Pragnął złapać przestępcę, żeby udowodnić wszystkim, zwłaszcza Artiomowi, że jest mądry, silny i odważny. A teraz umrze, w dodatku na darmo. Nie złapał też przestępcy, więc przyjaciel nie będzie go dobrze wspominał. W dodatku wszystko wydarzyło się na oczach Kamińskiej, tej samej, która odbiera mu Artiona. Czemu życie jest tak niesprawiedliwe?

Zatrzymanego nazwiskiem Łytkin odstawiono do najbliższego komisariatu milicji. Mężczyzna nie mógł wyprzeć się tego, że dźgnął nożem Denisa Bażenowa, ponieważ ujęto go na miejscu przestępstwa. Ale na pytanie, dlaczego chciał zabić Denisa, miał tylko jedną odpowiedź, i to całkiem przekonującą: nie zamierzał go zabić, lecz nastraszyć, żeby zadbać o własny interes.

– Chłopak wziął płytę i nie chciał zapłacić. No a ja muszę się rozliczyć, tak? Mam za darmo dawać płyty pierwszemu lepszemu? Mówię mu, żeby wykładał kasę, a on na to, że zaraz spuści mi łomot. Nie jest przecież ułomkiem, zaczął się popisywać swoimi mięśniami.

– A ty się przeląkłeś małolata, co? – zapytał drwiąco Siergiej Zarubin, mimo woli naśladowując styl Łytkina.

– Skąd niby miałem wiedzieć, że to małolat? – obruszył się tamten. – To kawał chłopca, mógł mnie załatwić jednym palcem. Mówię mu, żeby dał forszę, a on nie daje. Płytę wziął, a forsy nie daje...

I tak w koło Macieju.

– No dobra, szefie, zgoda, przypisz mi lekkie obrażenia cielesne, tylko nie zapomnij oskarżyć tego małolata o próbę rozboju. Chciał zabrać płytę i nie zapłacić, straszył użyciem przemocy fizycznej. To przecież czysty rozbój, nie?

– Dobrze, dobrze, uspokój się, jurysto. Trochę się chyba zagalopowałeś z tymi lekkimi obrażeniami, wymierzyłeś cios w organ niezbędny do życia.

– Czy ja myślałem, gdzie uderzyć? Noc, wokół pustka, nikogo nie ma, a on krzyczy, że się ze mną rozprawi, wymachuje pięściami. No to chyba musiałem się bronić?

Łytkinowi nie powiedziano, rzecz jasna, że w torbie Denisa znajdował się włączony dyktafon, że cała rozmowa się nagrała i nie było żadnych gróźb pod adresem pechowego handlarza. Po co mu o tym wspominać? Niech powtarza swoją bajeczkę i myśli, że milicjanci mu wierzą. Jutro rano Artiom Kipiani przesłucha nagranie i powie, czy to ten głos słyszał parę minut przed wybuchem samochodu. Jeśli tak, to zadanie znalezienia współnika zabójstwa Eleny Dudariewej można uznać za wykonane. Jeśli nie, trzeba będzie wrócić do kandydatury Konstantina Wiatkina, w którego mieszkaniu znaleziono nagranie Mendelssohna.

Jeśli oczywiście jutro rano, po wysłuchaniu symfonii, Artiom potwierdzi, że to właśnie jest owo wykonanie. A jeśli nie...

Dużo tych „jeśli”. Ale lepiej dużo niż wcale. Obserwacja zewnętrzna Dudariewa na razie niczego nie przyniosła, będą więc chociaż jakieś punkty wyjścia do poszukiwań.

Rozdział 7

– Mamy szczęście, że Pączek jest w delegacji, bo zebralibyśmy za Bażenowa takie cięgi, że do końca życia byśmy się nie pozbiali. – Młody żonkoś Siełujanow westchnął z ulgą, bo bał się jak ognia pułkownika Gordiejewa i nie potrafił na to nic poradzić.

– Nie zebralibyśmy żadnych cięgów – odparł spokojnie Jura Korotkow. – Pomyśl tylko. O spotkaniu Bażenowa z Łytkinem dowiedzieliśmy się niecałą godzinę wcześniej. I w ogóle podziękuj, że się dowiedzieliśmy. Co by się stało, gdyby Aśka nie zadzwoniła do Artioma? Denis przeleżałby całą noc na podwórzu i stracił morze krwi. Tak byłoby twoim zdaniem lepiej?

– Nie rób mi wody z mózgu. – Nikołaj się nie poddawał. – Gdybyśmy nie wiedzieli, to co innego. Ale wiedzieliśmy! Przyjechaliśmy w porę na Krasnyje Worota, mimo to nie potrafiliśmy zapobiec napaści. To dopiero dzielni gliniarze!

– Przesadzasz, Kola. Wyobraź sobie, że podbieglibyśmy do nich i złapalibyśmy Łytkina. Co dalej? Gość trzyma w rękach płytę, Bażenow pieniądze, obaj potwierdzają fakt umowy kupna-sprzedaży. Znalezlibyśmy się w nieciekawej sytuacji, a Łytkin byłby kryty. Jesteś przecież wywiadowcą, nie zmuszaj mnie, żebym ci tłumaczył oczywiste rzeczy. Zakładaliśmy, że Łytkin tylko nawiąże znajomość z Denisem, a gdy się pożegnają, wkroczymy do akcji i weźmiemy go w obroty. Kto mógł przypuszczać, że od razu sięgnie po nóż! Gdyby chociaż doszło do bójki...

– Nie jestem dzieckiem, świetnie to rozumiem – odparował Siełujanow. – Zjadłem na tym zęby. Ale za każdym razem czuję się głupio. Jakby to była moja wina.

– Nie ma w tym żadnej twojej winy. – Korotkow nie ustawał w wysiłkach, żeby przekonać przyjaciela. – Chłopcom wyraźnie

powiedziano: piteczka to znak rozpoznawczy, nie wychodźcie z nią na ulicę, nie zwracajcie na siebie uwagi. A jeśli ktoś się wami zainteresuje, natychmiast nas powiadomcie. I zostawiliśmy im numery telefonów. Nie możemy przecież ich niańczyć, prowadzić za rączkę. Gdyby Bażenow dał nam znać o spotkaniu, zorganizowalibyśmy wszystko tak, że włos by mu nie spadł z głowy. Dostyc tego samobiczowania się, Kola, trzeba się zająć robotą. Bądź łaskaw sobie przypomnieć, że jestem teraz twoim szefem, więc zamelduj regulaminowo, co się dzieje w tamtym biurze, do którego nasz przyjaciel Dudariew udał się rzekomo w poszukiwaniu pracy.

– Na razie nic się nie dzieje – przyznał Siełujanow, spuszcżając głowę.

– Jak to?

– Jeszcze tam nie byłem.

– Domyśliłem się, że nie byłeś. Dlaczego?

– Zlituj się, Jura! Omal nie zrujnowaliście mi ślubu, chociaż normalnie młodej parze przysługuje trzydniowy urlop. Myślisz, że jestem z żelaza? Ja też mam uczucia. A może sądzisz, że skoro ożeniłem się po raz drugi, to mi wszystko jedno?

– Teraz mówi się „to mnie nie rusza” – zauważył Korotkow. – Ustalmy coś raz na zawsze, Kola, i więcej do tego nie wracajmy. Podoba ci się, że to ja zostałem zastępcą Pączka, a nie ktoś obcy?

– Ma się rozumieć.

– W takim razie przestań mi ciosać kołki na głowie. Zapewniam cię, że bycie szefem kogoś, z kim wczoraj dzieliło się pokój, to żaden miód. Więc nie odwołuj się do moich przyjacielskich uczuć, bo zacznę myśleć, że jestem jakimś potworem i nie daję ludziom żyć.

Nikołaj nadał się i umilkł. Korotkow postanowił zignorować minę przyjaciela. Po co to roztrząsać? Od początku wiedział, że tak właśnie będzie. Zawsze tak bywa, gdy kolega zajmuje kierownicze stanowisko. Świadomie się na to zgodził, więc teraz musi wszystko znosić. Kola jest dopiero pierwszą osobą, która próbowała odwołać się do starej przyjaźni i udawać obrażoną.. Będą jednak następni. Igor Lesnikow, Misza Docenko, Asia... Chociaż ona raczej nie, ma inny charakter.

– A przy okazji, gdzie nasza pani podpułkownik? – zapytał, zmieniając nagle temat.

– Nie wiem, pewnie w szpitalu u Denisa – odparł Siełujanow. – Wczoraj siedzieliśmy razem, póki nie skończyła się operacja, później

odwiozłem ją do domu. Wspominała, że wróci tam rano.

– Po co? – zdziwił się Korotkow. – Pewnie nie wolno z nim jeszcze rozmawiać.

– Nie szkodzi. Aśka sobie posiedzi i podyżuruje.

– Nie ma nikogo innego?

– Nie ma. Mamusia Denisa raczej nie przejmie się synkiem i nie pobiegnie go odwiedzić. A ty i tak obiecałeś Aśce wolne za dwie poprzednie niedziele, więc właśnie je sobie wzięła.

– W porządku.

Korotkow westchnął i znowu zaczął rozważać, czy postąpił słusznie, przyjmując awans. Gdy był starszym oficerem operacyjnym, nie miał zielonego pojęcia, ile rzeczy spoczywa na barkach naczelnika. Weźmy choćby taki niby drobiazg jak konieczność nieustannego monitorowania, gdzie w danej chwili znajduje się każdy podwładny. Szef musi być w pełnej gotowości, bo a nuż któryś wysoko postawiony zwierzchnik zapyta: „Gdzież to się podziewa twój Iksiński?”. Podkablowanie wywiadowcy nie wymaga wiele zachodu, chętnych zaś nie brakuje. Mało to razy bywało, że w pokoju Pączka Gordiejewa rozlegał się dzwonek telefonu i głos w słuchawce oznajmiał, że jego podwładny jest uwikłany w układ korupcyjny i właśnie wyleguje się w łaźni w towarzystwie znanego bandziora. Albo że oddaje się pijaństwu w odwiedzanej przez kryminalistów restauracji. Albo że wdał się w jakąś inną aferę. Tego rodzaju informacje nie należą do przyjemności. Szef musi się więc jak piskorz i gorączkowo tłumaczyć, żeby osłonić podwładnego. Albo bezczelnie kłamać, że delikwent wykonuje zadanie specjalne, i czuć się przy tym jak kompletny idiota. Dzieje się tak, gdy szef naprawdę nie wie, gdzie jest pechowy podwładny i co tam robi. Dobry przełożony zawsze musi to wiedzieć, żeby z godnością odeprzeć ataki złośliwych oszczerców czy głupców posłusznych cudzej woli. Proszę, taka Kamieńska, pewnego razu wpadła, zawieszono ją w czynnościach i odsunięto od dochodzenia służbowego, a dlaczego? Dlatego że poszła do restauracji na spotkanie z groźnym mafiosem, nie zameldowała Pączkowi, no i od razu znalazł się jakiś życzliwy. Sfotografował ją i wysłał zdjęcia do kierownictwa GUWD^[7]. Zwierzchnicy wezwali Gordiejewa na dywanik i rozłożyli przed nim zdjęcia, mówiąc: „Drogi Wiktorze Aleksiejewiczu, niech się pan ponapawa widokiem pańskiej ulubienicy siedzącej przy jednym

stole ze znanym przestępcą. Tutaj gangster całuje ją w rączkę, tutaj przypala papierosa, a tutaj oboje miło sobie gawędzą”. Gdyby Gordiejew został uprzedzony o tym spotkaniu, zdążyłby wytoczyć ciężkie działa, on jednak musiał się czerwienić i zachowywać grubiańsko w gabinecie zwierzchnika. Wyszło nieciekawie. Gordiejew należy do tych szefów, którzy opiekują się swoimi podwładnymi jak dziećmi i nigdy nie wydają ich na pastwę wierchuszki, całą winę biorą na siebie, podobnie jak grzech kłamstwa. Co prawda, dzieci później nieźle obrywają. O ile, oczywiście, naprawdę coś przeszkrobały. Bo jeśli to tylko knowania życzliwych, szef może o tym nawet nie wspomnieć, żeby nie denerwować nikogo niepotrzebnie.

Gordiejew przebywa poza Moskwą, to znaczy, że on, major Korotkow, ponosi odpowiedzialność za każdego członka zespołu. Czy warto było przez tyle lat doskonalić warsztat wywiadowcy, żeby w efekcie zostać nadzorcą? To właśnie nie dawało spokoju Jurijowi. Ale, szczerze mówiąc, zastanawiał się nad tym niezbyt często, nawet nie każdego dnia.

≡

Cała rodzina Kipianich już o ósmej rano była w szpitalu. Gdy koło dziewiątej Nastia zjawiała się na korytarzu oddziału chirurgicznego, od razu zauważyła Artioma. Chodził tam i z powrotem pod drzwiami, kręcąc zabawnie głową. Nie poznał jej oczywiście i odsunął się, żeby ją przepuścić. Z odległości dwóch metrów nie potrafił rozróżnić rysów twarzy, widział tylko kontury postaci.

– Od dawna jesteś tutaj? – zapytała Nastia, zatrzymując się obok niego.

Artiom się odwrócił.

– To pani? Poznałem po głosie. Mama właśnie rozmawia z lekarzem.

– Przyszliście razem? – zdziwiła się.

– Tata też jest. Poszedł po wodę mineralną. Lekarz powiedział, że Denis powinien pić dużo wody. Jak pani sądzi, czy on wyzdrowieje?

– Na pewno – powiedziała Nastia stanowczo. – Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Ale niepotrzebnie tutaj przyszedłeś.

– Dlaczego?

– Dlatego że jeszcze wczoraj zapewniałeś mnie o swojej anginie.

Zapewniałeś czy nie?

– Co za różnica! Wielkie mi rzeczy: angina... Denis jest ciężko ranny, więc powinienem być tutaj. A w ogóle jestem już prawie zdrowy.

– To nikogo nie interesuje. Jesteś nosicielem wirusa, nikt cię nie wpuści do chorego po ciężkiej operacji.

– Nikt się o tym nie dowie, przecież nic nie powiem.

– Źle zrobisz, jeśli nie powiesz. Teraz Denisowi potrzeba do szczęścia tylko twoich bakterii. Rodzice o tym nie pomyśleli?

W tej samej chwili na schodach pokazała się Jekatierina.

– Artiomie, tata jeszcze nie wrócił? – Zauważyła Nastię i z roztargnieniem kiwnęła jej głową, nie poznając. Później chyba ją sobie przypomniała, bo gwałtownie się odwróciła. – Teraz pani widzi, do czego namawiała mojego syna? Podobno miało nie być żadnego niebezpieczeństwa. Nie wstyd pani? Wy, milicjanci, jesteście gotowi na wszystko, potraficie nawet narazić życie dzieci, byle tylko wykonać swoje zadania służbowe. Żadnego wstydu ani sumienia. I niech się pani nie waży rozmawiać z Artiomem, zabraniam!

– Mamo!

Artiom usiłował się wtrącić, ale matka go nie słyszała, kipiała ze złości wywołanej panicznym strachem o syna.

– Proszę wybaczyć, ale niczego nie może mi pani zabronić – powiedziała Nastia uprzejmie, ale chłodno. – Jeśli pani nie chce, żeby syn ze mną rozmawiał, proszę zabronić jemu, nie mnie. Denis wpadł w kłopoty tylko dlatego, że mnie nie posłuchał. Zrobił akurat to, czego nie wolno było robić, uprzedzałam go o tym. Pani syn znalazł się niedaleko miejsca przestępstwa i został zauważony. W dodatku na skutek zbiegu okoliczności rozmawiał z przestępcą. Ani pani, ani ja nie miałyśmy na to wpływu i nie zmienimy tego faktu, prawda? Moim zadaniem było zapewnić bezpieczeństwo Artiomowi na wypadek, gdyby ktoś zaczął go szukać. Udzieliłam chłopcom szczegółowego instruktażu, jak powinni się zachowywać. Ale Denis się nie podporządkował. Pani syn zrobił tak, jak radziłam, więc jest cały i zdrowy. Nadal ma pani do mnie pretensje?

– Mamo, przecież o niczym nie wiesz... Anastazja Pawłowna ma rację, było tak, jak mówi.

– Nie chcę tego słuchać! – prawie krzyknęła Jekatierina. – Nie waż się jej bronić. Ty też chcesz trafić do szpitala? Jedziemy natychmiast do

domu, słyszysz?

– Nie pojedę. – Artiom z uporem pochylił głowę. – Zostanę tutaj.

– Właśnie że pojedziesz.

Na schodach rozległy się kroki, chwilę później pokazała się czarnowłosa głowa Tiengiza Kipianiego. Szedł szybko mimo ciężkiej torby z butelkami wody Narzan.

– O, pani też tutaj? – Uśmiechnął się do Nastii. – Dzień dobry. Co powiedział lekarz, Katusza?

– Powiem ci w domu. Zanieś wodę do sali i jedziemy.

Jekatierina ostentacyjnie chwyciła Artioma za rękę i pociągnęła w stronę schodów. Chłopak wyrwał się matce i odsunął.

– Mamo, pozwól mi zostać, proszę. Zrozum, Denis to mój przyjaciel. Gdy tylko będzie można do niego wejść, muszę być pierwszą osobą, którą zobaczy.

– Lekarze zabronili go dzisiaj odwiedzać. A jutro tata cię przywiezie. Idziemy, synku.

Tiengiz postawił torbę z butelkami na podłodze, surowo popatrzył na żonę i syna.

– Nie rozumiem, co się tutaj dzieje. Co to za histeria w miejscu publicznym?

Nastia zauważyła, że na dźwięk jego głosu Jekatierina jakby przycichła. Chyba Tiengiz rzeczywiście jest głową rodziny i to do niego należy ostatnie słowo.

– Nie ma żadnej hysterii, wydawało ci się. – Jekatierina usiłowała się uśmiechnąć. – Po prostu tłumaczę Artiomowi, że dzisiaj lekarze nie wpuszczą go do Denisa, dlatego powinniśmy wracać do domu.

– Artiom zostanie tutaj – zawyrokował Tiengiz. – Powinien się zachowywać jak prawdziwy mężczyzna, a nie jak maminsynek. Tu jest jego przyjaciel, więc gdyby teraz pojechał do domu, straciłbym dla niego szacunek. Idź do samochodu, Katusza, i zczekaj na mnie, zaniosę wodę, a później pojedziemy.

Nastia z nieukrywaną ciekawością przyglądała się tej scenie. Tiengiz w jednej chwili rozwiązał wszystkie kwestie, nie podnosząc głosu nawet o pół tonu. Artiom stał purpurowy z gniewu, a może ze wstydu. Nastia szczerze mu współczuła. Dziewiętnastolatкови raczej nie jest wszystko jedno, gdy rodzice usiłują wyrzucić na niego nacisk, w dodatku w obecności obcej osoby. Jekatierina posłusznie ruszyła na dół,

posyłając Nastii nienawistne spojrzenie. Tiengiz skrył się za drzwiami prowadzącymi na oddział, a Nastia pozostała sam na sam z Artiome.

– Okropna sytuacja, prawda? – Chłopak uśmiechnął się słabo i znowu pokręcił głową, usiłując zobaczyć Nastię.

– Nic w tym okropnego, wszyscy przez to przechodzą. Rodzice z trudem godzą się z tym, że dziecko przestaje być dzieckiem i dorasta. Prawie zawsze chcą tego uniknąć, a ich opór przybiera różne formy. Trzeba być na to przygotowanym i okazać wyrozumiałość. I w żadnym razie się nie wstydić.

– Jak tu się nie wstydić... Sytuacja jest niezręczna... Nawet nie wiem, co powiedzieć.

– Nie musisz nic mówić. – Nastia łagodnie wzięła go za rękę. – Nigdy nie powinieneś wstydić się własnych rodziców, to grzech. Z rodziców należy być dumnym, bez względu na to, jacy są. Dali ci życie, więc to oni są dla ciebie najlepsi. I zachowują się całkiem naturalnie, inni rodzice postąpiliby tak samo.

– A więc nie gniewa się pani na mamę?

– Ani trochę. Rozumiem ją. Pewnie odniosłeś wrażenie, że odpowiedziałam jej zbyt ostro.

– No tak, pomyślałem, że się pani rozgniewała.

– To nie to samo, Artiome. Nie zgadzać się z kimś, gdy nie ma racji, to jedno. Gniewać się na niego za to, że nie ma racji, to zupełnie co innego. Może potraktowałam twoją mamę ostro, ale się na nią nie obraziłam.

Otworzyły się drzwi, znowu pojawił się Tiengiz.

– Jak długo chcesz tutaj siedzieć? – zapytał syna.

– Nie wiem. – Artiom się zmieszał. – Myślałem, że póki nie wejdę do Denisa. Ale mama powiedziała, że lekarze pozwolą mi go zobaczyć dopiero jutro.

– Dobrze. – Ojciec kiwnął głową. – Zostaniesz tutaj, to postanowione. Nie wiadomo, co jeszcze będzie potrzebne. Kiedy po ciebie przyjechać?

– Wrócę metrem.

– Dobrze. Nie zapomnij zadzwonić do matki, bo się denerwuje.

Klepnął lekko Artioma po ramieniu i zbiegł na dół. Nastii jak gdyby nie zauważył, mimo że wcześniej się z nią przywitał. Czyżby to była demonstracja poparcia dla żony? On też uważa, że Nastia jest czemuś winna? Chyba tak. Tylko w odróżnieniu od żony jest na tyle

opanowany, że nie urządza scen.

Milczeli, póki nie ucichły kroki i nie trzasnęły drzwi prowadzące na ulicę.

– Dobrze, że cię tutaj spotkałam – powiedziała Nastia. – Zaczekasz chwilę? Chciałabym porozmawiać z lekarzem.

– Oczywiście – odparł Artiom skwapliwie.

≡

Ona jeszcze pyta, czy zaczeka! Gotów jest na nią czekać godzinami, skoro cieszy się ze spotkania. A cieszy się, bo powiedziała: „Dobrze, że cię tutaj spotkałam”. Artiom mógł bez końca słuchać jej melodyjnego głosu.

Kamieńskiej nie było przez dłuższy czas, w każdym razie tak mu się wydawało, więc zaczął się niepokoić. Może z Denisem jest niewesoło? Postanowił, że zaczeka jeszcze chwilę i sam pójdzie na oddział, ale parę minut później się rozmyślił. Ani razu nie był w pomieszczeniu za tymi drzwiami, nie wie, gdzie co się znajduje. Żeby przeczytać tabliczki, musiałby szorować nosem po każdym drzwiach. Niezły obrazek! I tłumaczyć wszystkim, że nic nie widzi i szuka kobiety z milicji. To niepoważne! Trzeba uzbroić się w cierpliwość i czekać, aż Kamieńska wróci. Artiom zszedł na półpiętro i usiadł na parapecie.

Koło dziesiątej szpital się ożywił, na schodach wciąż ktoś się kręcił, drzwi na oddział chirurgiczny to się otwierały, to zamykały i za każdym razem Artiom się podrywał. Nie potrafił stwierdzić, kto idzie, jedynie na podstawie zarysu sylwetki określał, czy to osoba w fartuchu. Kamieńskiej wciąż nie było, więc zaczął rozmyślać o muzyce, usiłując zabić czas. Był to wypróbowany sposób, żeby minuty i godziny płynęły szybciej. W głowie rozbrzmiewały frazy muzyczne, Artiom od razu zamieniał je na znaki, powtarzając w myślach: prawa sol ćwierćnuta z kropką, pauza ósemka, triola la – si-bemol – la, lewa mi – sol – si-bemol... Czy Denis mpotrafiłby się nauczyć zapisywać partyturę? Zresztą ojciec obiecał kupić kiedyś komputer, który zapisuje nuty, gdy się go podłączy do elektronicznego instrumentu. Ciekawe, czy Artiomowi uda się zostać kompozytorem. Ojciec mówi, że na pewno, jeśli będzie dużo i wytrwale pracował. Ojciec święcie wierzy w siłę pracy i wytrwałość, uważa, że te cechy pozwalają pokonać każde trudności.

Drzwi znowu się otworzyły i Artiom był dziwnie pewny, że to Kamińska. I rzeczywiście to była ona.

– Naczekałeś się?

– Trochę. Jak tam Denis?

– Tak sobie. Jest w stanie średnio ciężkim, to normalne po interwencji chirurgicznej. Jak wszystko pójdzie dobrze, jutro przeniosą go na salę ogólną. Lepiej go jednak nie odwiedzać, póki całkiem nie wyzdrowiejesz. To niepotrzebne ryzyko.

– Jestem zdrowy... – zaczął Artiom, ale Kamińska mu przerwała.

– Wyjdźmy na zewnątrz, tam można swobodnie porozmawiać.

Wokół szpitala było coś na kształt skweru, gdzie zdrowi pacjenci mogli pospacerować albo posiedzieć na świeżym powietrzu. Właśnie rozpoczął się poranny obchód i wszyscy chorzy przebywali w salach, dzięki czemu bez trudu udało im się znaleźć wolną ławkę.

Kamińska wyjęła z torby odtwarzacz i kasety.

– Chcę, żebyś tego posłuchał. Tutaj są trzy wersje *Symfonii Szkockiej*.

Artiom nałożył słuchawki. Nagranie na pierwszej kasecie odrzucił od razu, drugiego słuchał nieco dłużej. Zgadza się, to właśnie jest nagranie, które dobiegało ze słuchawek nieznajomego w tamten niedzielny poranek. Już chciał powiedzieć o tym Kamińskiej, ale postanowił poczekać do końca pierwszej części. Muzyka urzekła go swoim surowym chłodem, aż mu ciarki przechodziły po plecach. Słuchał tej symfonii wiele razy, ale nigdy muzyka Mendelssohna nie brzmiała tak jak teraz. Przed oczami pojawiły się skaliste góry i głębokie jeziora. W lodowatej wodzie odbijało się ciężkie ołowiane niebo, na którym zbierały się burzowe chmury. Nadciągnął wiatr, jego porywy stawały się coraz silniejsze, aż przerodziły się w huragan, który łamał drzewa i zmiatał wszystko na swojej drodze. Ogromne rumowiska tonęły w zimnym, ulewnym deszczu... A później wszystko się skończyło, wiatr ucichł, deszcz ustał, słońce jednak nie wyjrzało.

– Rozpoznaję to nagranie – powiedział, zdejmując słuchawki.

– Dobrze. – Kamińska schowała kasetę do torby. – A teraz posłuchaj tego. To rozmowa Denisa z chłopakiem, który go zranił. Chcę, żebyś spróbował sobie przypomnieć, czy to z nim rozmawiałeś, gdy słyszałeś muzykę.

Nie, Artiom mógłby przysiąc, że nigdy nie słyszał tego głosu. Tamten mężczyzna na ławce mówił w inny sposób, inaczej modulował głos.

– Nie. – Pokręcił głową. – To nie on.

– Dobrze – powtórzyła Kamińska, Artiom zaś się zdziwił. Co w tym dobrego, skoro okazało się, że to nie ten człowiek?

– A dlaczego on chciał zabić Denisa?

– Nie wiem. Może rzeczywiście odniósł wrażenie, że twój przyjaciel chce mu zabrać płytę i nie zapłacić.

– Naprawdę można za to zabić? – zdumiał się Artiom. – Przecież chodziło raptem o pięćdziesiąt rubli...

– Dzisiaj zabija się nawet za mniejsze pieniądze. Teraz powtórz bardzo dokładnie, słowo w słowo, co Denis mówił wczoraj.

Artiom przystąpił do opowieści, starając się niczego nie pominąć. Źle widział twarz Kamińskiej, ale czuł zapach jej perfum i pragnął go zapamiętać. Czy to możliwe, że jest w wieku jego rodziców? Pewnie ma dzieci w jego wieku. Czym się zajmują, jakie są? A może córka Kamińskiej ma taki sam głos jak matka?

Myśli płynęły równolegle: jedna część umysłu Artioma śledziła szczegóły opowieści, a druga zajmowała się kobietą, która siedziała obok niego, jej perfumami i głosem. Artiom już dawno nauczył się myśleć o paru rzeczach naraz, nie gubiąc wątku, nie płacząc się i nie myląc.

– O czym myślisz? – zapytała nagle Kamińska.

Artiom drgnął i poczuł, że płoną mu policzki. Czy to aż tak widać?

– To aż tak widać? – powiedział na głos, zanim zdążył ugryźć się w język.

– Owszem. Twoje oczy są gdzieś... daleko. Niby ze mną rozmawiasz, ale myślisz o czymś innym. Zgadza się?

– Zgadza. – Uśmiechnął się. – Ma pani dzieci?

– Nie.

– A więc nie jest pani mężatką?

– Jestem. Dlaczego pytasz?

– Z ciekawości. Pomyślałem, że pani córka musi mieć taki sam głos jak pani. A jakich perfum pani używa?

– Skąd te dziwne pytania, Artiomie? Rozmawiamy o przestępcy, który napadł na Denisa, a nie o mnie.

Artiom usłyszał chłód w jej głosie. Jeszcze przed chwilą głos Kamińskiej przypominał cichą elegię fortepianową, a teraz pojawiła się w nim partia trąbki. Zimne, metalowe brzmienie.

– Przepraszam – wybąkał. – Postaram się skupić.



Wśród pracowników firmy Turella nie było jednomyślności, Siergiej Zarubin od razu to zauważył. Kwitły intrygi, głównym tematem rozmów były plotki. Każdy miał własną wersję dotyczącą zorganizowania zabójstwa Eleny Dudariewej. Ale nikt nie wątpił, że jeden z pomysłodawców zbrodni pracuje w firmie. Tak w każdym razie mówiono.

Kola Siełujanow dąsał się na szefa jakieś dziesięć minut, później udał się do najbardziej podejrzanej instytucji, gdzie szybko zawarł znajomość z Gałoczka, o której wspominała Anastazja. Gałoczka rzeczywiście wiedziała wszystko o wszystkich, ale najważniejsze, że lubiła o tym opowiadać. W ciągu pierwszych dwóch dni znajomości Nikołaj dowiedział się o pracownikach firmy handlowo-usługowej mnóstwa ciekawych rzeczy, które jednak nie miały żadnego związku ze sprawą. Nie chciał pytać wprost o Dudariewa, czas jednak mijał, a Gałoczka opowiadała o wszystkich, tylko nie o nim. W końcu Siełujanow postanowił zagrać *va banque*.

Spotkał się ze swoją nową znajomą po pracy i zaproponował jej wspólną kolację. Gala entuzjastycznie odniosła się do pomysłu.

– Dokąd pójdziemy? – zapytała z ciekawością.

– Jest taka sympatyczna knajpka, nazywa się U Timura. Może słyzałaś?

– Ale to przecież daleko – powiedziała zdziwiona dziewczyna. – Nie ma niczego bliżej?

– Jest, ale mam coś do załatwienia w tamtej okolicy. Dzisiaj jest rocznica śmierci pewnej osoby, której wiele zawdzięczam, więc chciałbym złożyć kwiaty na jej grobie. A restauracja jest akurat koło cmentarza.

– Aha-a – wycedziła Gala z rozczarowaniem. – No to jedźmy.

Przez całą drogę na cmentarz Siełujanow gratulował sobie w myślach dziwnego nawyku zbierania informacji „na wszelki wypadek, a nuż się przydadzą”. Podczas pogrzebu Eleny Dudariewej uważnie przyjrzał się sąsiednim grobom, starając się zapamiętać nazwiska i daty. Z doświadczenia wiedział, że takie rzeczy bywają bardzo przydatne

i często pomagają nawiązywać konieczne, choć z pozoru całkiem niewinne znajomości.

Kupił kwiaty od przekupki handlującej pod cmentarną bramą i pewnym krokiem poprowadził Galę ścieżką wzdłuż grobów. Miał znakomitą pamięć topograficzną, nie wiedział, co to znaczy „zapomnieć drogę” czy „zabłądzić”. Bez trudu znalazł świeży grób Dudariewej, tonący w wieńcach kwiatów, które szybko zwiędły w upale. Minął go jednak i skierował się ku nagrobkowi, który sobie upatrzył. Doskonale pamiętał, że Dudariewa została pochowana obok grobu, na którym wyryte zostały słowa: „Fiodor Innokientjewicz Koszelow, 19.02.1929 – 10.06.1992”. Mężczyzna umarł sześć lat temu akurat tego dnia, to znaczy dziesiątego czerwca. Nikołaj położył kwiaty, postać chwilę w milczeniu.

– Zobacz, niedawno kogoś tu pochowano. – Udał, że dopiero teraz zauważył grób Dudariewej. – A ja sądziłem, że w tej części nie dokonuje się już pochówków, bo nie ma tutaj miejsca. Pamiętam, że sześć lat temu, gdy umarł Fiodor Innokientjewicz, rodzina z wielkim trudem zdobyła to miejsce. Musiała uruchomić wszystkie swoje kontakty. Już wtedy nie wyrażano zgody na nowe pochówki. A teraz popatrz, komuś jeszcze się udało. Pewnie to jakiś macher finansowy z gatunku nowych Rosjan. – Nachylił się nad grobem, jakby chciał przeczytać napis na tabliczce. – Elena Pietrowna Dudariewa... Coś takiego, całkiem młoda, zaledwie trzydzieści sześć lat.

Gala stała pobladła, usta jej drżały.

– Zdenerwowałaś się? – zapytał Siełujanow. – Śmierć młodych kobiet przejmuje cię strachem?

– Nie o to chodzi – odparła dziewczyna gwałtownie. – Chodźmy stąd. Nie znoszę cmentarzy.

Nikołaj ruszył wolno w stronę wyjścia, ale nie tamtą drogą, którą przyszli, tylko inną, dłuższą, licząc na to, że dziewczyna się nie zorientuje.

– Wyobrażasz sobie, jak się czuje mąż tej Dudariewej, jeśli go miała? – ciągnął jak gdyby nigdy nic. – Pewnie jest mniej więcej w jej wieku, młody facet, został sam z dzieckiem, może nawet z kilkorgiem. Jak będzie żył dalej?

– Przestań wreszcie o niej mówić! – rzuciła Gala z rozdrażnieniem, usiłując przyśpieszyć kroku.

Nie mogła jednak iść szybciej, bo nie знаła drogi i przy każdym zakręcie musiała czekać na Nikołaja, który wcale się nie śpieszył.

– Nie porusza cię cudze nieszczęście? – Podstępny Siełujanow pokręcił głową z wyrzutem. – Pomyśl tylko, młody mężczyzna i młoda kobieta, mieszkali razem, kochali się, wychowywali dzieci, robili plany na przyszłość, może zamierzali wyjechać na urlop w tym roku... Zastanawiali się, jakie wykształcenie dać dzieciom, jak wyremontować mieszkanie, co kupić przyjaciołom na urodziny. I nagle bach! Wszystko się zawaliło. Żona nie żyje, młody wdowiec zostaje sam z dziećmi. Pomijam już fakt, że to dla niego straszne przeżycie, bo są też inne aspekty sytuacji. Może na przykład pracował na dwóch czy trzech etatach, żeby utrzymać rodzinę. Co teraz zrobi, żeby zapewnić dzieciom opiekę i nadzór? Odejdzie z pracy i umrze z głodu? Wynajmie pomoc domową? Ale będzie musiał jej płacić. Najprostsze wyjście to znaleźć nową żonę, która za darmo zajmie się domem i dziećmi, tylko skąd wziąć chętną? Dlatego nie ożeni się z miłości, a małżeństwo szybko przerodzi się w koszmar. Zazdrosne dzieci zaczną się awanturować, doświadczając nieustannej traumy, wdowiec będzie się męczył z niekochaną, ale potrzebną kobietą i w efekcie za dziesięć, piętnaście lat spotka go jeszcze jedna tragedia. Zimne, wyrachowane małżeństwo odbierze mu chęć do życia, żona też będzie się czuła niekochana i zamieni się w histeryczkę albo w kłótniwą babę, a dzieci przy pierwszej lepszej okazji uciekną z domu, niezdolne żyć w dusznej atmosferze. Nigdy nie będą wdzięczne ojcu za to, że się dla nich poświęcił. Wdowiec zostanie więc z niczym, porzucony i niekochany. A przecież jeszcze przed tygodniem wydawało mu się, że świat jest piękny, i sądził, że czeka go długie i szczęśliwe życie z ukochaną żoną i cudownymi dziećmi...

Siełujanow rozprawiał długo i rozwlekle, uważnie obserwując reakcję towarzyszkę. Ona zaś, gdy zdała sobie sprawę, że nie zdoła zmusić go do pośpiechu, szła koło niego z męczeńską miną, ostentacyjnie patrząc w bok i nie podtrzymując rozmowy. W końcu jednak nie wytrzymała.

– Zamknij się wreszcie! – krzyknęła ordynarnie. – Nie chcę już słuchać o tym wdowcu!

Siełujanow z łatwością udał, że go to dotknęło, po czym poprowadził dalszą rozmowę w taki sposób, że gdy dotarli do samochodu, Gala powiedziała oschle:

– Odechciało mi się restauracji. Odwieź mnie do domu, jestem zmęczona.

Nikołaj skwapliwie spełnił prośbę, pilnując się, by z jego twarzy nie zniknęła urażona mina. Wizyta w restauracji mu się nie uśmiechała. A mówiąc całkiem szczerze, w ogóle nie miał na nią ochoty. W domu czekała Waluszka, mistrzyni sztuki kulinarnej. Przygotowana przez nią kolacja była o niebo lepsza od jakichkolwiek restauracyjnych przysmaków. Waluszka, światełko w tunelu, ukochana dziewczyna, która stanęła na jego drodze w chwili, gdy niemal całkiem się stoczył. Waluszka, as kierownicy, wierna przyjaciółka, gotowa czekać do rana na jego powrót z pracy, co rusz podgrzewając kolację, żeby była ciepła. Waluszka, oddana i kochająca, wiotka jak trzcina, z talią, którą można objąć dłońmi, i z nogami do samej szyi. Żadna Gałoczka czy inna kobieta nie może się z nią równać.

Siełujanow wiedział, że nie będzie już musiał spotykać się z Galą, ale pragnął postawić kropkę nad i, żeby nie było wątpliwości. Dlatego zmienił nieco trasę.

– Nie pojedziemy przez Sadowoje Kolco, teraz panują tam straszliwe korki, spróbujemy przedostać się zaułkami – powiedział, przecinając skrzyżowanie, zamiast skręcić w lewo, w ulicę Sadowaja Karietnaja.

Niedaleko placu przy stacji metra Krasnyje Worota wykonał parę kolejnych manewrów i znalazł się na ulicy, na której mieszkał Dudariew. Tak się szczęśliwie złożyło, że akurat w miejscu, gdzie stała kiedyś jego fioletowa skoda felicia, silnik w samochodzie Siełujanowa nawalił. Nikołaj podniósł maskę i zaczął pozorować naprawę. Cierpliwość Galiny szybko się wyczerpała. Przez pierwsze trzy, cztery minuty nerwowo popatrywała na drzwi domu, później wyskoczyła z auta, wściekle trzaskając drzwiami.

– Tylko taki kretyń jak ty może wozić kobietę zepsutym samochodem. Naprawiaj go choćby do rana, pojedę taksówką.

Nikołaj pomachał brudnymi rękami i przesłał jej całusa w powietrzu.

– Szczęśliwej drogi, moja księżniczko! Szukaj głupców w limuzynach, oni uwielbiają zabierać takie ślicznotki jak ty!

Gala ruszyła biegiem, gniewnie stukając obcasami pantofelków, a Nikołaj odetchnął z ulgą. Niech dziewczyna myśli, że jest niewychowanym i nieokrzesanym gburem. Niech myśli, że się pokłócili na śmierć i życie. Niech sądzi, że to ona go rzuciła. Wcale nie musi

wiedzieć, że tak naprawdę to Nikołaj Siełujanow, funkcjonariusz wydziału kryminalnego, sprytnie się jej pozbył, gdy tylko przestała mu być potrzebna.

Bo rzeczywiście przestała. Stało się bowiem całkiem jasne, że Grigorij Nikołajewicz Dudariew odwiedził jej biuro, by się z nią spotkać. Jej nerwowa reakcja na wywody o życiu rodzinnym młodego wdowca świadczy o tym, że mężczyzna spotkał się z nią nie w sprawie zabójstwa, ale z powodów sercowych. Gałoczka nie potrafi nad sobą panować i nie robi wrażenia zbyt lotnej, więc to raczej mało prawdopodobne, że pan Dudariew wciągnął ją w zabójstwo żony i zrobił z niej swoją współpracowniczkę. Nasza Gala jest zbyt gadatliwa, nawet kompletny idiota to zauważy. Nie można na niej polegać. Trzeba ją jeszcze należycie sprawdzić, rzecz jasna, i niewykluczone, że Siełujanow będzie musiał się z nią pogodzić, co prawda, nie na długo. Ale raczej nie ma tu nic prócz flirtu albo krótkiego romansu. Ach, ten Dudariew, ach, ten bawidamek, mieć ładną, bogatą żonę i co najmniej dwie kochanki – nie każdy to potrafi.

W tej samej chwili Siełujanow pomyślał o Oldze Jermiłowej. Przecież to właśnie ją, a nie lekkomyślną, gadatliwą Gałoczkę, Dudariew poprosił przez telefon, żeby znalazła dobrego adwokata. W raportach z obserwacji można przeczytać, że Jermiłowa znalazła adwokata, a nawet spotkała się z nim razem z Dudariewem. Z jakiegoś powodu Dudariew nie obarczył tym zadaniem drugiej przyjaciółki. Dlaczego? Uważał, że Olga lepiej sobie poradzi? Wiedział, że Gala nie jest w stanie zrobić niczego rozsądnego? A może z jakichś innych powodów?

Wszystko jest proste jak w bajce o rzepce, uznał Siełujanow, podjeżdżając pod dom. Olga wie, że Dudariew był i jest podejrzewany o zabójstwo żony, więc nie ma sensu tego przed nią ukrywać. Dowiedziała się od męża. A Gala może nie wiedzieć. Nikt nie mógł jej o tym poinformować, z wyjątkiem samego Georgija Nikołajewicza, który chyba jednak tego nie zrobił. Dlaczego? To znowu bardzo proste. Jego sytuacja finansowa jest nie do pozazdroszczenia, Elena Pietrowna nie trzymała gotówki w domu, a tego, co było w sejfie biurowym, nikt mu nie da. Nie ma głupich. Biuro to własność firmy, podobnie jak wszystko, co się w nim znajduje. Najpierw udowodnij, że pieniądze należą do ciebie, a nie do firmy, i dopiero potem być może je dostaniesz. Ale nie od razu. Pieniądze, które leżą na kontach

bankowych, są przejmowane w spadku, to jednak wymaga sporo czasu. A z czego szanowny Gieorgij Nikołajewicz ma żyć? Nie przypadkiem zaczął na gwałt szukać pracy. Okazało się, że to nie takie proste, tymczasem on musi coś jeść i nie wystarczy mu jeden posiłek dziennie. Gałoczka jest przy forsie i należy do tej kategorii kobiet, które z miłości gotowe są rzucić cały majątek do stóp wybranka. Dudariew prawdopodobnie pożyczka od niej jakieś sumy, usprawiedliwiając się chwilowymi trudnościami z podjęciem gotówki. Zaciąga dług i ani słowem, oczywiście, nie wspomina, że w każdej chwili może wrócić do celi, tym razem na długo. No bo kto ci pożyczyci pieniądze, wiedząc, że możesz trafić do paki?

Po powrocie do domu Siełujanow z ulgą ściągnął przepecone ubranie i ruszył pod chłodny prysznic. Zapachy z kuchni rozchodziły się po całym mieszkaniu i docierały aż do łazienki. Lejąc szampon na włosy, Nikołaj próbował odgadnąć, jakie pierogi zrobiła Waluszka: z mięsem czy z grzybami. Bo w to, że będą właśnie pierogi, nie wątpił ani przez chwilę. Co za szczęście, myślał, splukując pianę, że mogę zastanawiać się nad tym, z czym żona zrobiła pierogi, a nie nad tym, czy pójdzie dziś na spotkanie z kochankiem, czy raczej wróci po pracy do domu. Tfu, znowu myślę o pierwszej żonie. Nie mogę wyrzucić jej z pamięci! Aż mi skóra cierpnie, gdy sobie przypomnę, w jakim koszmarze wtedy żyłem...

Okazało się, że pierogi są z jabłkami, i Siełujanow musiał przyznać, że kiepski z niego prognosta.



Gdy rozległ się dzwonek telefonu, Olga Jermiłowa akurat wkładała pościel do pralki. Na dźwięk głosu adwokata poczuła, że serce ściska jej się boleśnie. Z tonu Chramowa od razu wywnioskowała, że mężczyzna nie ma dobrych wieści. Czyżby pojawił się problem z obroną Gieorgija? Może Dudariew jest naprawdę winny i zgromadzono tyle dowodów, że nie uda mu się z tego wyplątać? Olga była zresztą niemal zupełnie pewna, że Dudariew jest zabójcą, liczyła tylko na to, że adwokat coś wymyśli i wyciągnie go z kłopotów.

– Olgo Wasiljewna, przykro mi to mówić, ale będzie pani musiała znaleźć innego adwokata – powiedział Chramow.

– Dlaczego? – Olga osłupiała.

Spodziewała się wszystkiego, tylko nie tego.

– No cóż, nie mogę dłużej zajmować się pani sprawą.

– Ale dlaczego?

– Z powodów rodzinnych. Muszę wyjechać na jakieś dwa miesiące, niewykluczone, że nawet na dłużej. Przepraszam, że tak niezręcznie się złożyło, ale naprawdę nie mogę teraz zajmować się pani sprawą. Proszę poszukać innego adwokata. Zaliczkę, którą dostałem, zwrócę w całości.

– Nie ma takiej potrzeby – odparła Olga apatycznie. – Przecież pan pracował, stracił czas... Proszę sobie zostawić przynajmniej część pieniędzy, uczciwie je pan zarobił.

– Nie, Olgo Wasiljewna, mam swoje zasady. Biorę pieniądze tylko wtedy, gdy doprowadzam sprawę do końca, to znaczy robię wszystko, co ode mnie zależy. Zostawmy ten temat, zwrócę zaliczkę. Naprawdę bardzo mi przykro, że muszę zrezygnować. Gdy znajdzie pani nowego adwokata, proszę go zapoznać z linią obrony, którą przyjąłem. Może uzna ją za obiecującą. Chociaż niewykluczone, że wpadnie na lepszy pomysł.

Olga bezsilnie opadła na kanapę w salonie. Ogarnęło ją straszliwe zmęczenie. Miała wrażenie, że ręce i nogi tak jej zdrętwiały, że już nigdy nimi nie poruszy. Musi poszukać innego adwokata... Ale gdzie? Może odwiedzić jeszcze raz tamtego starego prawnika i poprosić o kolejną konsultację? No i kogo on doradzi? Znowu jakiegoś młokosa, który przyjmie sprawę, a potem zrezygnuje, nie mogąc oprzeć się pokusie spędzenia urlopu nad ciepłym morzem. Olga nie miała żadnych wątpliwości, że Chramow zrezygnował ze sprawy właśnie z tego powodu. Lato, nieznośny moskiewski upał, żaden szanujący się człowiek nie będzie tkwił w mieście, gdy ma choć niewielką szansę popływać w chłodnej wodzie i poodychać górskim albo morskim powietrzem, a nie trującymi spalinami, od których drapie w gardle i łzawią oczy. Jedni, bogaci i szczęśliwi, pojedą wypoczywać, inni, na których spadło niespodziewane nieszczęście, pozostaną w moskiewskich mieszkaniach, nie będą spać po nocach, płacząc i czekając na cud. Który i tak się nie zdarzy.

Olga wyjęła notes i znalazła potrzebny numer, po czym na wszelki wypadek zadzwoniła do starego adwokata. Głos w słuchawce uprzejmie wyjaśnił, że prawnik wyjechał z Moskwy i nie będzie go do połowy

września. No oczywiście, pomyślała z goryczą, bogaci i szczęśliwi mogą sobie na to pozwolić.

Usłyszała, że Michaił wyszedł z pokoju syna i skierował się do kuchni. Podjęła szybką decyzję. Musi zrobić wszystko, co się da, żeby uratować mężczyznę, który jej zaufał. I schować dumę do kieszeni.

– Misza, mogę z tobą porozmawiać?

– Mów – rzucił Michaił obojętnie.

Stał na środku kuchni w dżinsach i z obnażonym torsem i robił sobie herbatę. Olga nie mogła oderwać zachwyconego wzroku od jego szerokich ramion. Nawet niewielka fałda tłuszczu w talii nie psuła wizerunku. Ale Gieorgij nie miał nawet małej fałdy na brzuchu, jego ciało było umięśnione i sprężyste. Po co ich porównuję? – ofuknęła się w duchu. Michaił jest moim mężem, od tej chwili będę mu wierna. Bez względu na to, jak bardzo podoba mi się Gieorgij.

– Wynajęłam adwokata dla Dudariewa. Ale on popracował tydzień, zebrał jakiś materiał, a teraz zrezygnował ze sprawy.

Przerwała, czekając na reakcję męża.

– No i co? – zapytał Michaił wciąż tym samym obojętnym tonem.

– Pomóż mi, proszę, znaleźć innego adwokata. Ale nie takiego smarkacza jak tamten, tylko kogoś poważnego, kto przyjmie sprawę i nie zrezygnuje z byle powodu.

– Szaleju się najadłaś? – W oczach Jermiłowa od razu zapłonął gniew.

– Na co ty sobie pozwalasz? Najpierw mnie zdradzasz, a później, gdy twój kochanek zabija żonę, a ja niemal wysyłam go do więzienia, najpierw prosisz, żebym go wypuścił, a teraz żądasz, bym mu poszukał adwokata? Za kogo mnie masz? Za kompletnego kretyna, który będzie tańczył, jak mu zagrasz? Nic z tego. Prze-nig-dy. Zapamiętaj to sobie.

Nalał herbaty do dużego kubka i odwrócił się, żeby wyjść z kuchni, ale Olga zastąpiła mu drogę.

– Proszę, Misza... Rozumiem cię. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo czuję się winna. Przeklinam się za to, co zrobiłam. Ale to się już stało i nie mogę tego cofnąć. Zrób ze mną, co zechcesz, tylko nie opuszczaj mnie w nieszczęściu, proszę cię. Muszę pomóc temu mężczyźnie, bo mnie o to poprosił. Na niego też spadło nieszczęście, nie mogłam mu odmówić. Obiecałam. A obiecać komuś, że mu się pomoże, a później zostawić go na pastwę losu – to podłość. Nie mogę tak postąpić. Nigdy więcej się z nim nie spotkam, nawet o nim nie

wspomnę, muszę jednak spełnić daną obietnicę.

– Zdradzanie męża to też podłość, ale ta myśl jakoś cię nie powstrzymała – zauważył Jermiłow zimno.

– Zaćmiło mi rozum. Wierz mi, Misza, to się zdarza każdemu przynajmniej raz w życiu. Jednym wcześniej, jeszcze przed ślubem, a innym później. Ale każdy to przeżywa. To coś w rodzaju odry albo ospy wietrznej, wszyscy na nią chorują, jedni w dzieciństwie – wtedy przechodzą ją łżej, inni w starszym wieku – wówczas chorują poważniej. Wszystko rozumiem, Miszeńka, sama wymierzam sobie karę, nie masz pojęcia, jak dotkliwą. To było i minęło. Pozostał tylko czysto ludzki obowiązek moralny. Nie wolno porzucać człowieka w nieszczęściu, nawet jeśli jest dla ciebie nikim.

– No dobrze, więc czego ode mnie oczekujesz? – zapytał Jermiłow ze znużeniem.

Wrócił do stołu, postawił kubek i usiadł.

– Pomóż mi znaleźć adwokata. Przyzwoitego.

– A czemu nie odpowiada ci tamten, którego sama znalazłaś?

– Odpowiada, ale przed chwilą zadzwonił i powiedział, że rezygnuje ze sprawy.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Podobno musi wyjechać na dłuższy czas z powodów rodzinnych. Myślę, że kłamie. Jest bardzo młody, więc woli przyjemne życie i rozrywki. Bardzo na niego liczyłam, kiedyś pracował przecież w milicji, dlatego od razu mi powiedział, co i jak należy robić, no a teraz... Pewnie dziewczyna go poprosiła, żeby spędził z nią urlop, a on nie uznał za stosowne odmówić dla jakiejś sprawy. Potrzebuję poważnego adwokata, a nie lekkoducha. Możesz mi pomóc?

– Jestem ciekaw, jak go znalazłaś.

– Kogo? – Olga nie zrozumiała.

– No tego... jak mu tam...

– Chramowa?

– Przecież nie wiem, jak się nazywa. Nie powiedziałaś.

– Anatolij Leonidowicz Chramow. Polecił mi go pewien stary adwokat.

– No to zwróć się do niego jeszcze raz, niech ci poleci kogoś innego.

– Próbowałam, ale wyjechał z Moskwy i wróci dopiero w połowie września. Nie mam innych kontaktów.

– No tak, oczywiście. – Michaił się uśmiechnął. – Za to ja mam, a ty

bezwstydnie chcesz je wykorzystać. Co to, to nie, moja droga. Kiedy biegałaś na schadzki z Dudariewem, nie prosiłaś o radę ani o pomoc. Byłaś bardzo mądra i niezależna, sama decydowałaś, jak ma wyglądać twoje życie. Czyżbyś w ciągu ostatnich dni zgłupiała? Teraz nie potrafisz zrobić kroku bez męża?

– Proszę cię, Misza...

– Przestań mnie o cokolwiek prosić! – Jermiłow się uniósł. – Myślisz, że mam kamień zamiast serca? Odkąd się przyznałaś, chodzę jak nieprzytomny. Nie wiem, jak dalej żyć, a ty żądasz, żebym pomagał twojemu kochankowi. Boże, jak to się dzieje, że jeszcze nie pękło mi serce!

Raptownie wstał i wybiegł z kuchni. Trzasnęły drzwi małego pokoju. Olga stała nieruchomo, utkwivszy wzrok w kubku z nietkniętą herbatą. Czuła, jak jej wnętrze wypełnia lodowata czerń.

[7] GUWD (Gławnoje uprawlenije wnutriennich dieł) – Główny Urząd Spraw Wewnętrznych.

Rozdział 8

Sytuacja wyjaśniała się szybko, każdego dnia pojawiały się nowe dowody, które potwierdzały wstępną hipotezę: Georgij Dudariew przygotował zabójstwo małżonki z pomocą osoby trzeciej. Pretendentów do tej roli było na razie dwóch: zatrzymany podczas napadu na Denisa Bażenowa Wasilij Łytkin, który, rzecz jasna, przyznawał się jedynie do napadu, oraz nieżyjący już Konstantin Wiatkin, narkoman, silnie uzależniony od heroiny, prowadzący w mieszkaniu podziemną produkcję pirackich nagrań.

Po przeprowadzeniu sekcji zwłok Wiatkina lekarze medycyny sądowej stwierdzili, że denat nie zadowalał się już czystą heroiną, ale łączył ją z barbituranami w celu wywołania lepszego efektu. To właśnie barbiturany mogły sprawić, że jego wypowiedź nie była płynna, jak u osób wstrzykujących sobie heroinę, lecz spowolniona i bełkotliwa. Tak właśnie Artiom Kipiani scharakteryzował sposób wystawiania się mężczyzny, z którym rozmawiał krótko przed wybuchem w niedzielny poranek. U Wiatkina znaleziono też symfonię Mendelssohna. Wszystko wskazywało na niego, ale nikt nie potrafił powiedzieć, co mogło łączyć byłego oficera Dudariewa z młodym narkomanem.

– Trzeba szukać związku – zawzięcie perorował Jura Korotkow, przekonując Nastię. – Dudariew nie mógł ni z tego, ni z owego zaprzyjaźnić się z pierwszym lepszym narkomanem i wciągnąć go w sprawę zabójstwa. To przecież normalny, rozsądny człowiek, nie ryzykowałby głupio. Trzeba chyba nie mieć w ogóle rozumu, żeby wciągać w zabójstwo niesprawdzonego współnika. No a Dudariew ma rozum, to nie ulega kwestii.

Nastia przyznawała mu rację. Na kasecie z *Symfonią Szkocką* daleko nie ujadą, to nie jedyny egzemplarz nagrania. Fakt, że znalazł się w mieszkaniu Wiatkina, może stanowić jedynie dowód poszlakowy,

a nie bezpośredni, potwierdzający jego udział w zbrodni. Co jeszcze milicja ma na Wiatkina? Jest ktoś, kto może z dużym prawdopodobieństwem rozpoznać jego głos, tylko co z tego? Świadek jest, ale nie ma głosu, który należy rozpoznać. Wiatkin nie rozmawiał z nikim innym. I wreszcie rzecz najważniejsza. To, że nieszczęsny Konstantin znalazł się przypadkiem niedaleko miejsca zabójstwa, o niczym jeszcze nie świadczy. Nawiasem mówiąc, Artiom Kipiani też tam był. Och, nie na darmo wszyscy śledczy lubią powtarzać, że łańcuch poszlak ma znacznie mniejszą wartość niż jeden dowód. Musi on być, co prawda, niepodważalny, to znaczy odnoszący się do przedmiotu rozprawy, i zdobyty legalnie, a nie z naruszeniem prawa. No ale skąd wziąć taki dowód? Trzeba go szukać.

A zatem związek. Kto mógł przedstawić Wiatkina Dudarielowi? Najbardziej prawdopodobne przypuszczenie: mężczyźni w ogóle się nie znali, Dudarielow przekazał zlecenie przez osobę trzecią, niewykluczone, że brał w tym udział ktoś jeszcze. Trzeba tego kogoś niezwłocznie namierzyć i odszukać, inaczej podejrzenia pod adresem Dudarielowa pozostaną jedynie podejrzeniami. Nie da się ich udowodnić.

Jak zwykle obrano różne kierunki. Pod lupę trafiły związki Dudarielowa, firma Turella oraz kontakty Kostii Wiatkina, który umarł zupełnie nie w porę. A także otoczenie Wasilija Łytkina, ponieważ to nie mógł być zwyczajny przypadek, że Wiatkin robił kopie nagrań, a Łytkin nimi handlował. Handlował w imieniu firmy o ładnej nazwie Melodia Plus.

Koledzy usiłujący walczyć z piractwem próbowali ustalić, kto odbierał od Wiatkina gotową produkcję i przywoził mu „surowiec”. W tym celu przemaglowano wszystkich sąsiadów nieżyjącego narkomana. Kto do niego przyjeżdżał, jakim samochodem, może zapamiętał pan numer rejestracyjny? Pierwszą i najwiarygodniejszą hipotezą był bezpośredni związek Wiatkina z firmą Melodia Plus, ale to jeszcze należało udowodnić. Firma, oczywiście, od wszystkiego się odżegnywała, tam też nie siedzieli głupcy.

– Gdybyśmy znaleźli chociaż jeden element łączący Dudarielowa z tymi dwoma firmami, turystyczną i muzyczną, od razu mielibyśmy ich na widelcu – oznajmił Siełujanow z westchnieniem, wpatrując się w płachtę papieru, na której Nastia kwadracikami i strzałkami oznaczała powiązania między interesującymi ich obiektami.

Z każdym dniem liczba strzałek i kwadracików rosła, ale na razie nie śpieszno im było się połączyć. Co zaś się tyczy świadków, którzy mogliby coś powiedzieć na temat osób odwiedzających mieszkanie Kostii Wiatkina, to ich liczba była żenująco mała. Można nawet powiedzieć, że znikoma. Nikt się niczym nie interesował i nikogo nie znał. Długi blok, w którym mieszkał Wiatkin, przypominał ludzkie mrowisko. Siergiej Zarubin ze smutkiem wspominał ciche, czteropiętrowe domy przy stacji metra Krasnyje Worota, gdzie całkiem niedawno, tuż po zabójstwie Eleny Dudariewej, przeprowadzał obchód mieszkań. Dwa lokale na piętrze, dziesięć na klatce schodowej, wszyscy się znają, praca w takich warunkach to czysta przyjemność. A na nowych osiedlach nic, tylko mordęga.

Jedynym w miarę przyzwoitym źródłem informacji na temat Wiatkina była sąsiadka, którą trupioblady Konstantin poprosił, by wezwała pogotowie. Kławdija Nikoforowna okazała się niewiastą gadatliwą i chętnie mówiła o Kostii. Co prawda niezupełnie to, czego oczekiwano. Nie zauważyła na przykład żadnych stałych gości, którzy by przynosili kartony kaset i je od niego wynosili.

– Pewnie przychodzili w nocy – zasugerowała. – Czasami słyszę, jak nocami trzaskają u niego drzwi. Ale w ciągu dnia niczego nie widziałam.

No cóż, to całkiem możliwe. W nocy mało kto biegnie do okna, żeby zobaczyć podjeżdżający samochód, ludzie przeważnie śpią. Chociaż jeśli proceder odbywał się późnym wieczorem, a nie w środku nocy, warto porozmawiać z właścicielami psów. Spacerują zazwyczaj o tej samej porze i zauważą, jeśli ktoś z godną podziwu regularnością będzie ładował kartony pod domem.

– Z kartonami nikogo nie widziałam – oznajmiła Kławdija Nikiforowna kategorycznie.

– A bez kartonów? – zapytał na wszelki wypadek Zarubin, na nic właściwie nie licząc.

– Bez kartonów owszem, zdarzało się, że widziałam.

– Kogo?

– Skąd mam wiedzieć, co to za jeden? Okazały, chodzi sprężystym krokiem i trzyma się prosto jak żołnierz.

– Proszę powiedzieć o nim coś więcej – powiedział Siergiej, nie mogąc uwierzyć we własne szczęście.

Czyżby wszystko miało się okazać tak niesłychanie proste? Szukają związku przez osoby trzecie, a tymczasem Gieorgij Nikołajewicz Dudariew sam zjawia się u Kostii Wiatkina. Nie do wiary! Kobieta go rozpozna, a wtedy będzie można wziąć faceta w obroty. Nie wywinie się.

– Więcej? – Kłwdija Nikiforowna zamyśliła się, popijając herbatę z ładnego porcelanowego kubka. – No więc jest wysoki, włosy ma ciemne, prawie nie widać siwizny. Przystojny. Brwi gęste, niemal zrosnięte u nasady nosa.

– Coś takiego – powiedział Zarubin przymilnie. – Zapamiętała pani nawet taki szczegół jak brwi. Jest pani bardzo uważnym świadkiem, Kłwdijo Nikiforowna. Co jeszcze pani sobie przypomina?

– Jeszcze? Ma małą bliznę na policzku przy uchu, o tutaj. – Pokazała pulchnym palcem miejsce, w którym wisiał duży kolczyk.

– Jaką bliznę? Okrągłą, podłużną?

– Dość długą, mniej więcej taką. – Rozsunęła kciuk i palec wskazujący na trzy centymetry.

– Jak był ubrany?

– Tak jak wszyscy, nie przyglądałam się.

– Ależ, Kłwdijo Nikiforowna, to niemożliwe. – Siergiej znowu uciekł się do pochlebstwa. – Zauważa pani drobiazgi, a nie zwróciła pani uwagi na ubranie? Nigdy w to nie uwierzę. Ma pani doskonały wzrok i świetną pamięć, jestem pod wrażeniem pani spostrzegawczości. Opiszmy więc dokładniej jego ubranie.

Babcia Kława wzniosła oczy ku sufitowi i zaczęła starannie wymieniać, w co był ubrany gość sąsiada. Jasnoszare spodnie, kremowa koszula z krótkimi rękawami. Niczego więcej nie potrafiła sobie przypomnieć, ale to zrozumiałe, w taki upał nikt nie ma na sobie wielu rzeczy, żeby zaś zwrócić uwagę na męskie obuwie, trzeba być specjalistą, a nie zwyczajnym świadkiem. Sprawa z damskimi butami jest łatwiejsza, bo różnią się fasonem i kolorem, dlatego świadkowie bardzo często przypominają sobie „srebrne sandałki na szpilce” albo „czerwone pantofelki”. Męskie obuwie nie jest tak wyszukane i różnorodne, więc żeby ktoś zwrócił na nie uwagę, musiałyby to być na przykład kowbojki ze srebrnymi ostrogami albo wyszywane hinduskie mokasyny z chwastami.

– Kiedy przychodził ten mężczyzna?

– Pierwszy raz widziałam go trzy tygodnie temu – oznajmiła Kłwdija

Nikiforowna rzeczowo.

– To znaczy, że był też drugi raz?

– I drugi, i trzeci. Właśnie dlatego go zapamiętałam. Pierwszy raz, jak mówię, trzy tygodnie temu, następny jakiś tydzień później.

– A trzeci?

– Prawie w tym samym czasie co drugi, nazajutrz. Jeszcze sobie pomyślałam, że zaczął często odwiedzać Kostika, ale zaraz potem przepadł. Więcej nie przyszedł.

Dwie wizyty mniej więcej tydzień temu, to znaczy w przeddzień wybuchu, w którym zginęła żona Dudariewa. Wysoki, sympatyczny mężczyzna w wieku około czterdziestu pięciu lat, z ciemnymi włosami, gęstymi brwiami i blizną koło ucha. To dokładny portret Dudariewa. Nie, takie szczęśliwe zbiegi okoliczności się nie zdarzają... Chociaż dlaczego szczęśliwe? Dwa tygodnie katorżniczej pracy to chyba niezbyt wygórowana cena za powodzenie.

≡

Nastia właśnie zbierała się do domu, gdy zadzwonił Aleksiej i uprzedził, że przez parę dni zostanie w Żukowskim. Ma pilną pracę, więc szkoda mu czasu na drogę do Moskwy i z powrotem.

– Nie siedź głodna – powiedział surowo. – Jedz coś oprócz kulek serowych.

– Wypadłeś z obiegu – zażartowała Nastia. – Kulki serowe już dawno zniknęły ze sklepów. Ale nie martw się, wezmę pod uwagę twoje naukowe wskazówki.

No cóż, pomyślała Nastia, nie ma potrzeby pędzić na gwałt do domu. Już dawno chciałam odwiedzić Tatianę i Stasowa, ale ciągle coś stało na przeszkodzie. Może powinnam zrobić to dziś wieczorem?

Sięgała już po słuchawkę telefonu, żeby zadzwonić do Tatiany, ale aparat znowu się odezwał.

– To ty, Nastazjo? – rozległ się wesóły głos Pawła Diużyna, kolegi z pracy u generała Zatocznego.

– Rano byłam sobą, ale teraz już nie wiem.

– Pracujesz?

– Nie, szykuję się do wyjścia.

– To świetnie! Przyjadę do ciebie – oznajmił Diużyn.

- Po co? - Nastia skrzywiła się i usiadła przy biurku.
- Pomożesz mi ułożyć program, co? Ja przecież nie potrafię.
- Nie jestem organizacją dobroczynną, Pasza. Idź do programistów i ładnie ich poproś.

Nie wstając z miejsca, usiłowała wyciągnąć spod szafy buty, które zwykle zdejmowała po przyjściu do pracy i zmieniała na inne, lżejsze. Wysiłki okazały się daremne, nie udało jej się dosięgnąć tenisówek, za to omal nie spadła z krzesła.

- Ej, jesteś tam? - zawołał Diużyn.
- Jestem. Nie zwracaj mi głowy, Pasza.
- Nie bądź nieużyta, długo mam cię prosić?! - Diużyna niełatwo było zniechęcić. Gdy czegoś chciał, dążył do tego z uporem, nie dbając o cudze emocje i lekceważąc zasady przyzwoitości. - Razem zaczęliśmy tę robotę, więc razem powinniśmy ją skończyć. Poza tym chciałem się ciebie poradzić w kwestii powiązań.

- Trzeba było mówić od razu - burknęła Nastia.

W końcu udało jej się zmienić obuwie, nie wstając od biurka. Przycisnąwszy słuchawkę ramieniem, spakowała torbę i schowała dokumenty do sejfu. Była gotowa do wyjścia.

- No to co, przyjechać?
- Dobrze. Tylko nie licz na kolację, jestem dzisiaj słomianą wdową.
- Przywiozę coś. - Diużyn zaproponował skwapliwie, zadowolony, że dostał zgodę na odwiedziny.
- Przywieź, ale tylko dla siebie, ja nie chcę.
- Zobaczymy. Na razie.
- Cześć - rzuciła Nastia z roztargnieniem.

No i proszę, wieczór z przyjaciółmi odwołany. Mogła, oczywiście, odmówić pomocy Diużynowi, teraz nie musi tego robić, już nie pracuje w resorcie u Zatocznego, ale w jednym Paweł ma rację: razem zaczęli inspekcję uczelni milicyjnych, więc to oczywiste, że Nastia powinna wziąć udział w podsumowaniu wyników pracy. To ona ułożyła program kontroli, więc jeśli teraz coś się nie uda, bo program okaże się nie dość dobry albo wadliwy, to jej wina, i musi zrobić wszystko, co tylko możliwe, żeby naprawić swój błąd.

Nie wiedzieć czemu, Paweł Diużyn przywodził jej na myśl Kota z Cheshire. Jego dobre samopoczucie i życzliwy stosunek do innych istniały niezależnie od tego, w jakim naprawdę był humorze. Każdy,

kto znajdował się w odległości trzech metrów od Diużyna, zaczynał ni stąd, ni zowąd cieszyć się życiem i kontynuował owo bezmyślne, zdaniem innych, zajęcie jeszcze przez pół godziny po rozstaniu z nim. Nastia nie miała pojęcia, na czym polegał ten fenomen, ale podejrzewała, że Paweł tak szczerze kocha i życie, i wszystkich ludzi na ziemi, że jego postawa musi rzutować na otoczenie. Zresztą niewykluczone, że były to tylko jej subiektywne odczucia. Lubiła Pawła i szanowała za umiejętność oraz chęć uczenia się, a także za racjonalne myślenie. Jego bezceremonialność i brak taktu drażniły ją, a czasami doprowadzały nawet do wściekłości, ale ponieważ Diużyn nie był oficerem operacyjnym, lecz sztabowcem, wzmiankowane cechy nie wpływały na efekty pracy. Jak lubił mawiać Kola Siełujanow, źle pomalowana karoseria samochodu nie ma wpływu na jakość jazdy, szkoda więc zawracać sobie nią głowę. Umiejętność analizowania dokumentów i cyfr oraz skłonność do analitycznego myślenia decydowały o jakości jazdy sztabowca, toteż niektóre cechy jego osobowości Nastia traktowała jak źle pomalowaną karoserię.

Paweł zjawił się nieco wcześniej, więc gdy Nastia stanęła pod domem, siedział już na ławce i z apetytem pochłaniał kawałek pizzy.

– Zdażyłem zjeść kolację, czekając na ciebie – oznajmił. – Wystarczy, jak dostanę herbatę.

W mieszkaniu od razu skierował się do kuchni, włączył czajnik, po czym wrócił do pokoju i zaczął rozkładać na podłodze przyniesione teczki. Nastia zrobiła mu herbatę, sobie zaparzyła kawę, przyniosła kubki do pokoju i usiadła koło niego na podłodze.

– Powiedz w dwóch słowach, co wyszło – poprosiła.

– Jedno wyszło, a drugie nie – odparł zagadkowo. – Jeśli w dwóch słowach, to na razie nie zaobserwowaliśmy procesu rozmyślnego wciągania naszych chłopców w czarne, mafijne sieci. Są wprawdzie na okrągło wykorzystywani, ale doraźnie, nie długofalowo.

– Z czym najczęściej mamy do czynienia?

– Na pierwszym miejscu jest odzyskiwanie długów. Ktoś wynajmuje niedoświadczonych smarkaczy w mundurach i prosi ich, żeby poszli nastraszyć niesumiennego dłużnika. Oni go straszą, niekiedy tak bardzo wczuwając się w rolę, że posuwają się do rękoczynów. Dobrze, jeśli delikwent zostaje tylko lekko poturbowany, czasem dochodzi jednak do ciężkiego pobicia. Na drugim miejscu plasuje się przerzut

samochodów, zarówno kupionych, ale bez urzędowych papierów, jak i kradzionych. Sposób myślenia jest podobny: jeżeli za kierownicą siedzi mężczyzna w mundurze, ryzyko znacznie się zmniejsza. Trzecie miejsce zajmują narkotyki. W grę wchodzi wszystko: ochrona podczas przewozu dużych partii, dilerka, handel detaliczny. Chłopcom brak jeszcze rozumu, kuszą ich pieniądze. Wszyscy wokół rozbijają się zagranicznymi wozami i paradują z telefonami komórkowymi, więc nie chcą być gorsi. Są oburzeni, że tego nie mają. Jednym słowem, krety. Ale kto nie ma rozumu, temu i kowal go nie ukuje. Ech, co to znaczy nasza rosyjska dusza, nawet przestępstwa popełniamy po rosyjsku, a nie tylko zarabiamy pieniądze.

Nastia się roześmiała.

– Masz na myśli chęć odniesienia natychmiastowej korzyści?

– No właśnie. Nie umiemy i nie chcemy czekać, planować i pracować w pocie czoła. Naiwni chłopcy to bardzo podatny materiał. Gdzie ci kryminaliści mają oczy? Gdyby się teraz trochę przyłożyli i ruszyli głowami, za trzy, cztery lata mogliby przejąć kontrolę nad organami ścigania w całym kraju. Ale trzy lata to dla nich za długo! Chcą mieć wszystko od razu, mogą nie przeżyć trzech lat. W piśmie „Interbiznes” znalazłem ciekawy artykuł o prywatnych szkołach w Anglii. Wiesz, co tam piszą? Rok nauki to koszt rzędu dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Dziecko musi się uczyć przez osiem lat i za każdy rok trzeba zapłacić. A nasi nowi Rosjanie proponują, że zapłacą z góry za osiem lat, chcą wyłożyć od razu dwieście tysięcy, chociaż mogą płacić co roku. W Anglii patrzą na nich jak na wariatów i nie rozumieją, że w Rosji człowiek z dwustoma tysiącami dolarów nie wie, czy jutro będzie jeszcze żył. A jeśli nawet pozostanie przy życiu, państwo może położyć łapę na jego kontach, zablokować je albo wymyślić jakieś inne draństwo w ramach walki z kryzysem ekonomicznym. No dobrze, to wszystko poezja, ale tutaj – wyjął z teczki plik tabel – jest proza życia. Kto, gdzie, kiedy, a także u kogo, co, za ile.

Nastia pochyliła się nad tabelami oraz ankietami i już pół godziny później poczuła lekkie ukłucie żalu. Bardzo lubi tę pracę, mogłaby ją wykonywać na okrągło, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Czyżby pośpieszyła się z powrotem na Pietrowkę? Czemu nie zagrzała miejsca u Zatocznego? Ale od razu sobie przypomniała, jak tęskniła za poprzednią pracą, gdy zajmowała się analityką. I tak źle, i tak

niedobrze. Człowiek to dziwna istota, wciąż mu czegoś brakuje do szczęścia.

Praca posuwała się szybko, Paweł miał ciekawe pomysły, więc przez pewien czas Nastia nie rozmyślała o sprawie Dudariewa. Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Ze zdziwieniem zerknęła na zegarek – wpół do dziesiątej, raczej późna pora na odwiedziny, zwłaszcza bez zapowiedzi.

– Może twój mąż wrócił? – zapytał Diużyn, nie podnosząc głowy znad tabel.

– Nie sędzę.

Otworzyła drzwi. Przed nią stała ładna młoda kobieta w długiej jedwabnej spódnicy i obcisłej bawełnianej bluzeczce.

– Anastazja Pawłowna? – zapytała ślicznotka.

– Zgadza się. W czym mogę pomóc?

– Muszę z panią porozmawiać.

– O czym?

– O pani mężu.

Bardzo ciekawe. Co młoda, urokliwa istota zamierza powiedzieć o Czistiakowie?

– Proszę mówić – zachęciła ją.

Nie zaprosiła dziewczyny do środka. Dobrze знаła te chwytły, lata pracy w wydziale kryminalnym nauczyły ją, że nieznanomych zaprasza się do mieszkania tylko wtedy, gdy nie da się tego uniknąć. W pozostałych przypadkach należy pozostawić sobie możliwość zatrzaśnięcia drzwi.

– Mogę wejść? – zapytała dziewczyna nieśmiało.

– Nie może pani. No więc słucham. A przy okazji, jak pani na imię?

– Jula.

– No więc, Julo, kim pani jest i gdzie pracuje?

– W tym samym instytucie co Aleksiej Michajłowicz.

– Na jakim stanowisku?

– Jestem... laborantką w pracowni analitycznej.

– Wspaniale. Co chce mi pani powiedzieć?

– Chciałam... Chcę... Jest pani pewna, że powinniśmy rozmawiać tutaj?

– Owszem. Jeśli nie odpowiada pani miejsce, nic na to nie poradzę. Albo pani mówi, albo się pożegnamy. Jestem bardzo zajęta.

Nastia była absolutnie spokojna i pewna, że Czistiakowowi nic złego

się nie stało, dziesięć minut temu rozmawiała z nim przez telefon, był ożywiony i wesoło żartował, więc dziewczyna nie mogła przynieść złych wieści.

– Skoro pani nalega... – Jula głęboko westchnęła. – Anastazjo Pawłowna, niech pani puści Aleksieja Michajłowicza.

– Gdzie mam puścić? W delegację?

– Nie. Do mnie.

– Gdzie, gdzie?

– Do mnie. Kocham go.

To dopiero historia! Nastia w ogóle się tego nie spodziewała. Ogarnęło ją rozbawienie.

– A on panią kocha?

– Tak.

– Jest pani pewna?

– Oczywiście. Kocha mnie, ale to dżentelmen, więc nie uważa za stosowne o tym wspominać, póki jest żonaty.

Nastia walczyła ze śmiechem, ale starała się zachować powagę. Były tylko dwie możliwości: albo ten, czyje sprawy dzisiaj analizuje, postanowił ją zdemoralizować i usiłował zrobić to w tak „morderczy” sposób, który pewnie okazałby się skuteczny w przypadku dziewięćdziesięciu pięciu procent kobiet, albo Jula jest rzeczywiście zakochana w Czistiakowie i uważa jego rycerskie zachowanie za przejaw głębokiego zainteresowania jej osobą.

– No cóż, niech się ze mną rozwiedzie i wyzna pani miłość. Czego pani ode mnie oczekuje?

– Niech go pani puści – powtórzyła Jula uparcie.

– Ależ ja go nie trzymam, kochanie! Aleksiej Michajłowicz jest dorosły, sam podejmuje decyzje i je wykonuje. Gdyby chciał się ze mną rozwieść, już dawno by to zrobił.

– Nie, nie chce sprawić pani przykrości, dlatego nie wspomina o rozwodzie. Nie może zacząć tej rozmowy pierwszy, rozumie pani?

– Co poradzić? – Nastia wzruszyła ramionami. – Skoro nie może, to trudno. Sam powinien rozwiązywać swoje problemy. Chce mi pani powiedzieć coś jeszcze?

– Anastazjo Pawłowna, proszę mnie nie traktować w ten sposób... Naprawdę kocham pani męża i dobrze wiem, że on też mnie kocha. Nie mówi o tym, ale ja to czuję, nie mogę się mylić, kobiety zawsze czują

takie rzeczy. Proszę, żeby pani sama podjęła tę rozmowę. – Oczy Juli wypełniły się łzami, wargi zadrżały. – Niech mu pani pomoże powiedzieć, że chce odejść. Jest pani wyrozumiała i rozsądna, przecież nie będzie pani zatrzymywać Aleksieja Michajłowicza, wiedząc, że już pani nie kocha, prawda?

– Owszem – przyznała Nastia. – Za nic tego nie zrobię.

– No widzi pani. Więc obiecuje pani?

– Skąd pani to przyszło do głowy? – zdziwiła się Nastia. – Niczego nie obiecywałam.

– Jak to? Sama pani przed chwilą powiedziała... – wybąkała zmieszana dziewczyna.

– Kochana Julu, nie mam zwyczaju wtrącać się w czyjeś życie, ta zasada dotyczy również mojego męża. Szanuję jego niezależność i nie chcę go zmuszać do rozmowy o czymś, o czym nie chce mówić. Ma prawo sam zdecydować, czy powiedzieć mi o swojej miłości do pani i czy poprosić o rozwód. Chyba rozumie pani moje stanowisko? Wezmę, oczywiście, pod uwagę to, co mi pani powiedziała, ale proszę się nie łudzić, że po powrocie do Żukowskiego zastanie pani mojego męża gotowego, by się do pani przeprowadzić. Chce pani coś dodać?

– Jest pani... okropna – wypaliła Julia.

– Naprawdę? – Nastia uniosła brwi.

Sytuacja zaczynała ją męczyć. Czego to czarujące dziewczę od niej chce? Żeby urządziła Czistiakowowi awanturę i wyrzuciła go z domu? Naiwna głuptaska, napatrzyła się filmów i naczytała książek o dżentelmenach, którzy kochają swoje młode przyjaciółki, ale nie mogą porzucić starych, niekochanych żon z całkiem zrozumiałych powodów (małe dzieci, ciężka choroba żony, dawne zobowiązania i tak dalej, wybór był szeroki, jako że scenarzyści i pisarze mieli bogatą wyobraźnię).

– Jest pani zimna i nieczuła... Nie kocha pani Aleksieja Michajłowicza. Tak, tak, nie kocha, tylko kurczowo się go trzyma, bo nikt inny się z panią nie ożeni! Przyczepiła się pani do niego...

– Wszystko w porządku? – Za plecami Nastii rozległ się głos Diużyna.

– Potrzebujesz pomocy?

– Nie trzeba, Pasza. Już idę.

Diużyn odsunął lekko Nastię, otaksował wzrokiem młodą ślicznotkę i wrócił do pokoju.

– A więc to tak! – Dziewczyna zmrużyła oczy. – Ma pani kochanka i spotyka się z nim podczas nieobecności Aleksieja Michajłowicza. Jak pani nie wstyd!

– Skoro mój mąż nie wstydzi się romansować z panią, dlaczego ja mam się wstydzić? – zaoponowała Nastia.

– Nie spotykam się z nim!

– Tak? A co, pisze pani listy do niego? Czy może dzwoni?

– Nie to miałam na myśli... Nie spotykam się z nim w ten sposób.

– Co to znaczy „w ten sposób”? Niech pani będzie łaskawa precyzyjnie formułować myśli, bo trudno mi je zrozumieć.

– Nie spotykam się z nim sam na sam, gdy pani wyjeżdża. I w ogóle nigdzie się z nim nie spotykam, widzimy się tylko w instytucie.

– No to niech się pani spotyka, kto pani broni?

– O to właśnie chodzi, że Aleksiej Michajłowicz nie chce tego robić, póki jest żonaty. Czyżby pani nie rozumiała? Nie jest kobieciarzem, nie chce pani zdradzać, chce, żeby wszystko było legalne.

– Nie ma pani wrażenia, że zbyt dużo wie na temat mojego męża? Jest pani pewna, że doskonale wie, czego on chce, a czego nie. Skąd to przekonanie? Mówił pani o tym?

– Nie, ale wiem.

– To żaden argument. Jestem prawniczką, moja droga Juleczko, a na dodatek milicjantką, to chyba pani wiadomo, dlatego nie odpowiada mi rozmowa w pensjonarskim stylu. Potrzebuję twardych dowodów i poważnych argumentów.

– Naprawdę jest pani milicjantką, a nie kobietą! Nie rozumiem, jak on z panią wytrzymuje!

Jula się rozszlochała, ale Nastia nie czuła dla niej ani litości, ani nawet zwykłego współczucia. Każdy powinien sam płacić za swoją głupotę, inaczej nigdy nie zmądrzeje.

– Niech go pani zapyta – poradziła beznamiętnie. – Myślę, że powie pani wiele ciekawych rzeczy.

Cofnęła się i zamknęła drzwi. Co za bzdury! Nie do wiary, zjawić się tutaj i zażądać od niej, żeby oddała męża. Ta dziewczyna chyba oszalała. Czyżby Czistiakow dał jej jakiś powód, by mogła sądzić, że taka wizyta przyniesie skutek? Co ich łączy? Czy to coś poważnego? Może niewinny flirt, który niedoświadczona dziewczyna potraktowała jako przejaw prawdziwego uczucia? Nastia wiele razy powtarzała

Czistiakowowi, że powinien zachowywać się powściągliwiej wobec kobiet i nie dawać im powodu... Loszka zawsze był ich ulubieńcem. Gdy chciał, potrafić sypać komplementami jak z rękawa i tak przymilnie zaglądać w oczy, że rozmówczyni łagodniała i traciła głowę. Miał też niebezpieczny zwyczaj dotykania ręki osoby, z którą w danej chwili rozmawiał. Faceci nie zwracali na to uwagi, ale panie często odbierały ów konwencjonalny gest jako niedwuznaczną sugestię. Losza za każdym razem ze śmiechem opowiadał Nastii o związanych z tym nieporozumieniach, a ona wciąż go uprzedzała, że to się może źle skończyć. No i wykrakała.

Wróciła do pokoju, myśląc, że Jula wytrąciła ją jednak z równowagi. Do serca zakradł się niepokój. A może... Może nie jest tak, jak sądzi? A nuż Jula ma rację? Do diabła, co za przykra sprawa!

Na jej widok Diużyn od razu zerwał się z podłogi.

– Co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. Złe wieści?

– Jeszcze nie wiem. Pasza, czy ty też jesteś zdania, że złe wieści należy od razu sprawdzać?

– Nie wiem. Czasami. To zależy od sytuacji. Możesz mi powiedzieć, co się stało? Emitujesz takie fale, Nastiu, że robi mi się słabo. Wiesz przecież, że potrafię to wyczuć.

– Zaraz, Pasza, zaraz, zaczekaj dwie minuty i nic nie mów, dobrze?

Usiadła w fotelu i ścisnęła palcami skronie, które w jednej chwili zaczęły pulsować. Ogarnęły ją mdłości. Póki rozmawiała z arogancką dziewczyną, jakoś się trzymała, ale teraz siły gwałtownie ją opuściły. Nie, dłużej tego nie zniesie, musi zadzwonić i poznać prawdę. W końcu jeśli dziewczyna się nie myli, lepiej pozwolić Czistiakowowi, żeby wszystko wyznał, i więcej do tego nie wracać. Może Aleksiej się męczy i denerwuje, Nastia zaś wcale nie chce, żeby się gryzł. No a jeśli Jula nie ma racji, lepiej od razu wyjaśnić sytuację i nie dręczyć się przykrymi podejrzeniami.

Nastia sięgnęła po telefon. Czistiakow podniósł słuchawkę zaraz po pierwszym dzwonku.

– Losza, kim jest Jula? – zaczęła Nastia bez wstępów.

– Jula? – powtórzył Aleksiej. – Jaka Jula?

Jego głos był spokojny, bez najmniejszych oznak niepokoju czy zdenerwowania.

– Pracuje u ciebie jako laborantka.

– Ach, Julka? Owszem, jest taka. I co?

– Była tu przed chwilą.

– Po co? Przecież wie, że jestem w Żukowskim, widzieliśmy się dzisiaj.

– No właśnie, Loszyk. Wiedziała, że cię nie ma, więc przyjechała porozmawiać ze mną podczas twojej nieobecności.

– Co to za bzdury?

Głos nadal spokojny, ale bardzo zdziwiony.

– O czym z tobą rozmawiała?

– O tobie.

– Nie rozumiem.

– Poinformowała mnie, że ją kochasz, i prosiła, żebym dała ci rozwód. Skomentujesz to jakoś?

– Co to za gierki, Asiu? A może wypiliście z Diużynem parę kieliszków za dużo?

– To nie są gierki, Czistiakow, mówię całkiem poważnie. Przed chwilą była tutaj Jula i powiedziała, że łączy was namiętne uczucie. Chyba rozumiesz, że muszę coś z tym zrobić.

– Boże, Asiu, nie wierzę własnym uszom! Czyżby to naiwne dziewczę uznało, że coś do niego czuję?

– O to zapytaj Julę, nie mnie. Dałeś jej powód, by mogła wyciągnąć taki wniosek?

– Asieńko, wszystkie kobiety traktuję tak samo jak ją, ale one mają dość rozumu, żeby nie dopatrywać się w tym oznak miłości. Skąd mogłem wiedzieć, że Jula jest tak naiwna?! Owszem, nazywam ją Juleńką, ale wszystkie panie w instytucie to dla mnie Aneczki albo Tanieczki i wszystkie dawno do tego przywykły. Owszem, parę razy zaprosiłem ją na obiad do naszej stołówki, ale za każdym razem towarzyszyły nam inne osoby, przeważnie kobiety, bo nie znoszę, gdy mężczyźni podczas obiadu rozprawiają z mądrymi minami o nauce. Z kobietami można pogadać nie tylko o pracy. Nie wierzę, Asiu, że ona na poważnie...

– Loszeńka, załatw to z nią sam, proszę – powiedziała Nastia ze znużeniem. – Nie zniosę jej kolejnej wizyty. Wrócisz w sobotę?

– O nie, moja droga, przyjadę natychmiast.

– Nie warto – zaoponowała apatycznie. – Będziesz musiał wstać wcześniej rano, a przyjedziesz po północy.

– Sam wiem, co muszę zrobić. Nie pozwolę, żebyś poszła spać z głową

nabita głupstwami. Jest jeszcze u ciebie Diużyn?

– Tak. Zostało nam roboty na jakąś godzinę.

– Poproś go, żeby na mnie zaczekał.

– Po co?

– Po to. Ktoś, komu w głowie załęgły się głupstwa, nie powinien zostać sam, to niebezpieczne dla zdrowia i dla przechowywanych w domu naczyń. Pa, Asieńko, całuję, jadę.

Nastia odłożyła słuchawkę i utkwiała niewidzący wzrok w rozłożonych na podłodze kartkach z kolumnami cyfr. Głos Diużyna wyrwał ją z odrętwienia.

– To prawda, Nastazjo?

– O czym mówisz?

– O tym, co powiedziałaś mężowi.

– Nieładnie jest podsłuchiwać, Pasza, a przyznawać się do tego, całkiem głupio. Gdzie cię wychowano?

– Na podwórzu i w radzieckiej szkole. Zostaw te morały, znalazł się Pestalozzi w spódnicy. Ta dziewczyna naprawdę zażądała, żebyś dała mężowi rozwód?

– Owszem.

– To jego kochanka?

– Mam nadzieję, że nie. Jest po prostu bardzo młoda i nie oparła się urokowi Loszki. Nie wykluczam, że zakochała się w nim po uszy i straciła głowę. Wierzę swojemu mężowi, więc skoro mówi, że między nimi niczego nie ma, to znaczy, że tak jest. Zostawmy ten temat, Pasza. Zajmijmy się pracą.

– Kto by teraz myślał o pracy?! – zawołał Paweł z oburzeniem. – Jak można pracować, gdy dzieją się takie rzeczy?

– Jakie rzeczy, Pasza? Robisz z igły widły. Zaraz przyjedzie Czistiakow, proszę, żebyś na niego zaczekała. Chcesz jeszcze herbaty?

– Chcę. A nie znalazłaby się jakaś kanapka?

– Poszukamy. – Nastia uśmiechnęła się słabo. – Ja też zrobiłam się głodna. Pewnie z nerwów.

Okazało się, że w lodówce jest sporo jedzenia. Przewrotny Czistiakow, zostawiając żonę na parę dni, zrobił spore zapasy. Nastia i Paweł przygotowali sobie kanapki z serem, szynką i wędzonym łososiem, umyli i pokroili ogórki. Diużyn miał wilczy apetyt, więc spałaszował niemal wszystko, bo Nastia nie mogła niczego przełknąć.

- A nie bałaś się, dzwoniąc do męża, że onwszystko potwierdzi?
- Bałam – przyznała Nastia.
- W takim razie po co dzwoniłaś?
- Żeby się od razu dowiedzieć.
- A jeśli on kłamie? Przecież i tak niczego się nie dowiedziałaś. No bo co niby takiego powiedział?
- Pasza, kiedyś miałam do czynienia z pewnym mężczyzną... To zabawne, ale on też miał na imię Paweł. Nie był jednak pracownikiem naszego ministerstwa, ale przestępcą. No więc któregoś dnia zastanawialiśmy się, jak odróżnić prawdę od kłamstwa. To nieważne, czy ktoś mówi prawdę, ważne, jakich słów używa w danej chwili. Decyzja, żeby coś powiedzieć, podyktowana jest określonymi pobudkami. To właśnie one stanowią prawdę. Rozumiesz?
- Bardzo pokrętny wywód – wymamrotał z pełnymi ustami niezadowolony Diużyn.
- Wcale nie, bo jeśli dobrze pomyśleć, wszystko jest niesłychanie proste. Pytam męża, kim jest Jula. I pozwalam mu zacząć rozmowę, na którą nie potrafi się zdobyć, bo ma słaby charakter. Zakładając, rzecz jasna, że łączy go z Julą poważne uczucie i rzeczywiście chce się ze mną rozstać. Jeżeli natomiast coś ich łączy, ale on nie chce rozwodu, wówczas zachowa się tak, jak się zachował, to znaczy będzie mnie zapewniał, że to wyssane z palca bzdury. Nigdy nie zdołam się dowiedzieć, co tak naprawdę jest między nim a Julą, ale właściwie nie wiem, czy tego w ogóle chcę. Jednej rzeczy dowiedziałam się na pewno: Losza nie skorzystał z okazji, żeby się do wszystkiego przyznać i oświadczyć, że ma zamiar się ze mną rozwieść, a to znaczy, że ceni sobie nasze małżeństwo i nasze relacje. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. I to właśnie jest prawda. Teraz zrozumiałaś?
- Owszem. Ale ja bym tak nie mógł.
- Bo nie próbowałaś. Nigdy nie byłaś o nikogo zazdrosny?
- A żebyś wiedziała! – oznajmił Paweł, z jakiegoś powodu wesoło. – Jeszcze się nie zdarzyło, żeby dziewczyna mnie rzuciła.
- Zawsze to ty byłeś pierwszy?
- Uhm. Szczerze mówiąc, jestem okropnie niestały, szybko się zakochuję, ale jeszcze szybciej odkochuję. Dlatego do tej pory się nie ożeniłem. Mam za mało czasu, żeby dotrzeć do urzędu stanu cywilnego.

Nastia parsknęła śmiechem. Nagle ciężar spadł jej z serca, poczuła się lekko i dobrze. A jednak Diużyn to zadziwiający człowiek, przy nim nie sposób długo się smucić. Może naprawdę wytwarza jakieś szczególne pole? Coś takiego, bezceremonialnie poruszył drażliwy temat, nie krępował się, nie dawał Nastii spokoju, wiercił jej dziurę w brzuchu i oto efekt – ona się śmieje, i to na cały głos, beztrosko, nie udaje.

– Kończ się opychać, Pasza, i wracamy do pracy – poleciła. – Gdy przyjedzie mój groźny mąż, będziemy musieli się zwijać, bo on jutro musi wstać skoro świt.

Gdy zazgrzytał klucz w zamku, właśnie kończyli. Nastii ścisnęło się serce. A jeśli...?

Gdy jednak Czistiakow wpadł jak burza do pokoju i zobaczyła jego oczy, zrozumiała, że niepotrzebnie się bała.

Rozdział 9

Olga patrzyła na Gieorgija i zachodziła w głowę, jak mogła tak nieprzytomnie się w nim zakochać. Teraz postrzegała go zupełnie inaczej, ale nie da się już odzyskać przeszłości ani jej zmienić. Zabrnęła na tyle daleko, że nie pozostaje jej nic innego, jak wypić piwo, którego nawarzyła.

– Diabli wiedzą, co to ma znaczyć – powiedział Gieorgij z rozdrażnieniem, wysłuchawszy jej opowieści o rezygnacji Chramowa i nieudanej próbie porozumienia się z Michaiłem. – W wojsku takie rzeczy nigdy by się nie zdarzyły. To nie do pomyślenia! Podjąć się sprawy i zrezygnować z niej z błahego powodu? Zachciało mu się urlopu, patrzcie go! To wszystko przez ciebie.

– Ale dlaczego, Gieorgiju? – zapytała Olga nieporadnie. – Co zrobiłam nie tak?

– Powinnaś była inaczej z nim rozmawiać, nie miałaś prawa przyjmować jego rezygnacji. Jesteś naiwną gapą, facet postawił cię pod ścianą, a ty od razu rączki do góry. Mogłaś walczyć, przybrać kategorię ton, przekonać go, nastraszyć, wydać mu polecenie. A ty od razu się wycofałaś. Gdyby zadzwonił do mnie, wiedziałbym, co mu powiedzieć. Chodziłby jak na sznurku.

Olga słuchała go i ze smutkiem zastanawiała się, gdzie do tej pory miała oczy. Tak było przecież od początku, ona jednak niczego nie widziała. Gieorgij zawsze szuka winnego i zawsze znajdzie kogoś, kogo mógłby oskarżyć o porażkę. I oczywiście będzie to każdy, byle nie on. Wszyscy dokoła są mu coś dłużni, wszyscy muszą wykonywać rozkazy, które wydaje na prawo i lewo, on zaś każdego surowo rozlicza i karze za brak subordynacji. Może służba wojskowa odcisnęła na nim piętno, chociaż to raczej kwestia charakteru. I dlaczego ona tego nie zauważała? Widziała co innego: zapalonego miłośnika książek

i subtelnego wielbiciela literatury, entuzjastę poezji. Lubiła spędzać czas w jego towarzystwie. Godzinami dyskutowali o Srebrnym Wieku, o futurystach i imażynistach, gdy tymczasem Michaił nie miał o nich zielonego pojęcia. Fascynacja Gieorgijem rozwinęła się w ciągu paru dni, a właściwie nie dni, ale godzin, tak niezwykle wydał jej się mężczyzna, z którym mogła porozmawiać o sztuce i który zawsze wiedział, kiedy puścić kobietę przodem, a kiedy to mężczyzna powinien wejść pierwszy. Miał nienaganne maniery, co dzisiaj rzadko się spotyka... I dopiero teraz, gdy wpadł w kłopoty, a ona na własne życzenie zniszczyła swoje małżeństwo, zaczęła rozumieć starą prawdę, która prędzej czy później do wszystkich dociera. Jeżeli chcesz porozmawiać o sztuce, zapisz się do klubu literatów, artystów albo muzyków, zajmij się tym profesjonalnie, a wtedy każdego dnia, od rana do wieczora, będziesz prowadzić takie rozmowy. Jeśli przykładasz wagę do dobrych manier, przeprowadź się do Anglii i zatrudnij w pałacu królewskim. Bo na co dzień masz do czynienia nie z gustami literackimi czy z manierami, ale z żywym człowiekiem, z jego charakterem i osobowością. To właśnie od jego natury i mentalności, a nie od upodobań literackich, zależy, jak się zachowa w podbramkowej sytuacji: udzieli ci wsparcia czy zostawi na pastwę losu, pomoże czy zdradzi. Szczęśliwi ci, którzy szybko to sobie uświadamiają, i dzięki temu unikają wielu błędów, niekiedy tragicznych. Ci, którzy zrozumieją to zbyt późno, nigdy nie będą szczęśliwi.

– Trzeba zrobić, co tylko się da, żeby nie pozwolić mu odejść – oznajmił Gieorgij stanowczo. – Facet przez cały tydzień strugał wariata i nic nie robił, a teraz chce rzucić wszystko jak gdyby nigdy nic i wyjechać. Niech nie myśli, że się wykupi od odpowiedzialności.

– Nie możesz mu niczego nakazywać, nie jesteś jego przełożonym – zaoponowała Olga.

– A właśnie że jestem! – skwitował Gieorgij kategorycznym tonem. – Gdyby pozwolić wszystkim, żeby robili, co im się żywnie podoba, nie licząc się z innymi, kraj w jednej chwili by się rozpadł. Należy przestrzegać elementarnej porządku, ludzie muszą choćby w minimalnym stopniu odpowiadać za to, co robią. Daj mi jego adres, pójdę i porozmawiam z nim po męsku.

– Nie trzeba – powiedziała cicho. – Po co niszczyć człowiekowi życie?

Ma swoje plany i zobowiązania. Nawet jeśli uda ci się go zmusić, żeby nie rezygnował ze sprawy, nie będzie się przykładał, bo zaczniesz go nienawidzić. Może właśnie decydują się jego losy i naprawdę musi wyjechać, a ty zamierzasz mu w tym przeszkodzić.

– No proszę, jaka z ciebie dobra Samarytanka! Właśnie dlatego niczego w życiu nie osiągnęłaś, że pozwalasz traktować się jak szmatę. Ludzie są egoistami i myślą tylko o sobie, a ty im wybaczasz i starasz się wczuć w ich sytuację, wymyślasz usprawiedliwienia. Twojego Chramowa nic nie tłumaczy, facet zachowuje się nieetycznie. Ludzie mu zaufali, liczą na niego, a on sobie rezygnuje. Żartowałem, kochani, nie mam zamiaru wam pomagać, a wyście naprawdę mi uwierzyli? Tak oto wygląda zachowanie twojego adwokata. Muszę mu to wyjaśnić, żeby nikogo nie zwodził i nie sądził, że wygląda przyzwoicie w cudzych oczach. Musi wiedzieć, że jest gnojkiem i że wszyscy wokół o tym wiedzą.

Olga podniosła na niego zbołały wzrok.

– Po co? Po co chcesz mu to powiedzieć? I tak nie będzie się zajmował twoją sprawą.

Pierwszy raz ujęła to w ten sposób: „twoją sprawą”. Nie naszą, jak dotąd mówiła, ale twoją. Nagle zdała sobie sprawę, że wyczerpała jej się limit sił przeznaczonych na to, co uważała za swój obowiązek. Dłużej nie zniesie widoku Gieorgija, nie da rady z nim rozmawiać ani mu pomagać.

– Wręcz przeciwnie. – Dudariew był niewzruszony. – Zmuszę go. Skoro ją przyjął, niech doprowadzi do końca. To kwestia zasad. Nikomu nie pozwolę się tak traktować.

Olga w milczeniu wyjęła z torby notes, wyrwała czystą kartkę i zapisała na niej telefon i adres Chramowa.

– Proszę. – Wręczyła kartkę Gieorgijowi. – Na mnie już czas.

Gieorgij złożył kartkę starannie na pół i schował do kieszeni na piersi.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał z niezadowoleniem.

– Do domu. Muszę jeszcze wstąpić na bazar. Jutro rano jadę do syna na obóz, chcę mu kupić trochę owoców i słodczy.

– Kiedy wrócisz?

– Wieczorem. Będę ci potrzebna?

Gieorgij wziął ją za rękę, pogłaskał palce, podniósł do ust.

– Zamęczyłem cię, Oleńko, prawda? Zwaliłem na ciebie swoje problemy, jakbyś mało miała własnych kłopotów... Żle wyglądasz, masz znużone oczy.

W pierwszej chwili Olga pomyślała, że zaraz wszystko wróci i będzie jak dawniej, gdy namiętnie, do szaleństwa się kochali. Ale zaraz potem sobie uświadomiła że już tego nie potrzebuje. Już nie wierzy Gieorgijowi. Wprawdzie nie przyznał otwarcie, że zabił żonę, mimo to mu nie wierzy. Gieorgij jej potrzebuje, to oczywiste, nikt prócz niej nie zajmie się poszukiwaniem adwokata i nie będzie usiłował wyciągnąć go z opresji. To dlatego, gdy tylko poczuł, że Olga się od niego odsuwa, uruchomił swój uwodzicielski wdzięk. Nigdy nie pozwolił mi odejść, pomyślała nagle ze strachem. Będzie mnie trzymał przy sobie i mną pomiatał. Ma rację, mówiąc, że pozwalam się traktować jak szmatę. Jemu też na to pozwalam. Ale zdaje się, że to mu na rękę, bo dzięki temu trzyma mnie w garści i zmusza do uległości.

– Tak, Gieorgiju, zamęczyłeś mnie. Powiem więcej: mam dość twoich pretensji i żądań. Żeby ci pomóc, posunęłam się nawet do tego, że wyznałam wszystko mężowi, i teraz moje małżeństwo stanęło pod znakiem zapytania. Czego jeszcze ode mnie chcesz? Znalazłam ci adwokata. Może nie spełnił twoich oczekiwań, ale tylko takiego udało mi się znaleźć. Znalazłam też pieniądze, żeby mu zapłacić. Na tym koniec, kochany, nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić. Dalej radź sobie sam.

Wstała, zamierzając wyjść. Gieorgij również się podniósł, gwałtownie odsunął krzesło. Metalowa noga zgrzytnęła po asfalcie tak głośno, że klienci przy sąsiednich stolikach odwrócili się i zaczęli im się przyglądać.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś taka sama jak ten adwokacina? Ty też porzucasz mnie w trudnej chwili? No to pięknie – powiedział ze złością.

– Nie porzucam cię. – Olga starała się mówić ciszej, żeby reszta gości jej nie słyszała. – Chcę tylko, żebyś nie obarczał wszystkim wyłącznie mnie i przyłożył rękę do swojego ocalenia. To nie ja wplątałam cię w historię zabójstwa, więc dlaczego sama muszę się zajmować twoim uwolnieniem? Tylko mi nie mów, że zrobiłeś to w imię naszej przyszłości.

– A więc tak stawiasz sprawę...

Na twarzy Gieorgija odmalowało się bezgraniczne zdumienie. Olga

wiedziała, że nie spodziewał się tego po niej. Zawsze widział w niej posłuszną owieczkę, gotową pobiec za nim na każde skinienie. A teraz jej słowa można było odczytać jako bunt. Bunt, który nie znajduje usprawiedliwienia. I który należy bezlitośnie stłumić. Nikomu nie wolno kwestionować władzy dowódcy.

Chwycił ją za rękę, przyciągnął do siebie i wyszeptał do ucha:

– Nie będziemy się kłócić przy ludziach. Zaraz sobie pójdę, a ty zastanów się nad swoimi słowami i nad tym, jak bardzo mnie uraziłaś. Wierzyłem ci, ale okazało się, że jesteś tchórzliwą zdrajczynią. Jutro, gdy wrócisz od syna, zadzwoń do mnie, wtedy wrócimy do tematu naszych relacji.

Odepchnął ją i szybkim krokiem ruszył bulwarem w stronę metra. Olga opadła z powrotem na krzesło, czując palący wstyd. Scena rozgrywała się na oczach gości, którzy obserwowali ich z ciekawością. Gdyby teraz opuściła kawiarnię w ślad za Gieorgijem, wyglądałoby to tak, jakby chciała go dogonić. Może powinna odczekać chwilę, stojąc? Ale to też niezręczna sytuacja. Stałaby jak idiotka i nie wiedziała, gdzie oczy podziać. Postanowiła posiedzieć z dziesięć minut i spokojnie wszystko przemyśleć. No cóż, nie wiadomo, jakim Gieorgij Dudariew jest graczem, ale jego taktyka okazała się doskonała. Uświadomiwszy sobie, że Olga zaraz wstanie od stolika, natychmiast przejął inicjatywę i zrobił to pierwszy. To on zostawił Olgę, a nie odwrotnie. On pierwszy, z własnej woli, przerwał rozmowę. Innymi słowy, dał jej do zrozumienia, że całkowicie kontroluje sytuację i że zawsze tak będzie. Niech więc Olga Wasiljewna się nie wysila i nie sądzi, że nie ma już żadnych zobowiązań. Wolna będzie dopiero wtedy, gdy Gieorgij na to pozwoli. Ani minuty wcześniej.

Czemu jestem taka głupia? – myślała Olga, zaciągając się papierosem i dziwiąc się, że patrzy na siebie z boku i ocenia, jakby była kimś obcym. Dlaczego zawsze łatwiej powiedzieć mi „tak” i zrobić coś wbrew sobie, niż powiedzieć „nie”? Podjęłam nieśmiałą próbę okazania sprzeciwu i od razu zostałam przywołana do porządku. Muszę coś z tym zrobić, tak dalej być nie może.

Zgasiła papierosa i szybko wstała. Nikt na nią nie patrzył, awantura się skończyła, więc Olga nie budziła już ciekawości.

– Dosyć tego – oznajmił śledczy Gmyria stanowczo. – Nasz Dudariew zdażył już się nacieszyć wolnością. Wszystko ma swój kres. Jego spacer po mieście nic nie wniosły, niech wraca do celi. Jutro rano przeprowadzę okazanie i jeśli wasza staruszka zidentyfikuje go jako mężczyznę, który trzykrotnie odwiedził Wiatkina, wydam postanowienie o zatrzymaniu. Zarubin, zawieziesz mu wezwanie i oddasz do rąk własnych. Niech tylko spróbuje się nie zjawić, wtedy wsadzę go do aresztu, nie czekając na wyniki okazania.

– Dobrze, Borisie Witaljewiczu – odparł Siergiej. – Na którą zaprosić świadka?

– Na jedenastą. Dudariewa wezwę na dziesiątą, pomęcę go z godzinkę, powypyuję o różne drobiazgi, a później przeprowadzimy okazanie. Są pytania?

– Mam pewien pomysł – odezwała się Nastia, która do tej pory siedziała w milczeniu.

– Mów – zażądał śledczy.

– Wciąż chodzi mi po głowie, że może ktoś chciał zabić Dudariewa, a nie jego żonę – powiedziała wolno, jakby zdziwiona własnymi słowami.

Ta myśl, mimo że absolutnie niedorzeczna, nie opuszczała jej od paru godzin. Komu potrzebny ten Dudariew? Nie prowadzi żadnego interesu, nie jest zamieszany w żadne poważne sprawy finansowe. Ale był w Czechenii i, zdaniem kolegów, nieźle sobie tam radził. Historia zna wiele przypadków, gdy odnoszący sukcesy na polu walki oficerowie są skazywani na śmierć przez przeciwnika, a wyrok podlega wykonaniu w każdych warunkach, nawet na obcym terenie i w czasie pokoju.

Nastia starała się zwięźle przedstawić swoje wnioski. Gmyria z wyrzutem pokręcił głową i pogrążył się w zadumie.

– A jak zamierzysz sprawdzić tę hipotezę? – zapytał w końcu. – Tylko nie zapominaj, proszę, że musisz uwzględnić fakt znajomości Dudariewa z Wiatkinem i obecność Wiatkina na miejscu zabójstwa.

– To nie zostało jeszcze potwierdzone – zaoponowała Nastia.

– Daruj sobie. – Boris Witaljewicz się skrzywił. – Nawet nie ma o czym mówić, jutro świadek go rozpozna i zdobędziesz swoje potwierdzenie.

– A jeśli nie rozpozna?

– Daj spokój – włączył się Zarubin. – Jak to nie rozpozna? Przecież

Kławdija Nikiforowna opisała dokładnie Dudariewa.

– Dobrze, przypuśćmy – ustąpiła Nastia. – A jeśli Wiatkin miał zabić Dudariewa, ale scenariusz przewidywał też etap ich znajomości? Ktoś ich sobie przedstawił, połączyły ich rzekomo wspólne interesy, Dudariew parę razy odwiedził Wiatkina. Mogło tak być?

– Teoretycznie mogło. – Gmyria kiwnął głową. – Ale nie praktycznie. Bo jeśli Wiatkin miał zabić Dudariewa, a nie jego żonę, toby go zabił. Co ma do tego nieszczęsna Elena? Twoja układanka nie trzyma się kupy, Kamieńska.

– Nie trzyma – powtórzyła Nastia z westchnieniem. – Ale jeszcze pomyślę.



Po pracy pojechała do szpitala odwiedzić Denisa. Na miejscu stwierdziła, że najpierw powinna porozmawiać z lekarzem.

– Dobrze, że pani wstąpiła – powiedziała tęgawa, niemłoda pani doktor. – Chciałam porozmawiać z matką chłopca, była tutaj raz, ale od razu zrozumiałam, że to nie ma sensu. Wprawdzie codziennie przyjeżdżają rodzice jego kolegi, ale ich bardziej interesuje aspekt czysto medyczny: lekarstwa, które należy kupić, i specjaliści, których trzeba zapewnić Denisowi.

– Czy coś się stało? – Nastia się przestraszyła. – Jakież komplikacje?

– I tak, i nie. Proszę usiąść – powiedziała lekarka, wskazując krzesło. – To długa rozmowa. Ze swojej strony robimy wszystko, żeby Denis wyzdrowiał, ale żaden lekarz nie może wyleczyć chorego bez jego udziału. Chory musi chcieć wyzdrowieć, tylko wtedy leczenie odnosi skutek. Jeśli zaś tego nie chce, wszystkie nasze wysiłki idą na marne. Każdy lekarz to wie. Denis Bażenow to chłopak bardzo zdrowy – mam na myśli serce i kondycję fizyczną. Nie cierpi na choroby przewlekłe, więc w zasadzie jego stan powinien szybko się poprawiać. Ale tak się nie dzieje. Przywieziono go z urazem, którego doznał podczas bandyckiej napaści, więc może pani, jako funkcjonariuszka milicji, orientuje się, o co tutaj chodzi. Miałam swoje podejrzenia, ale pani na pewno wie lepiej.

– A co pani podejrzewała? – zapytała Nastia z ciekawością.

– Często się zdarza, że pacjent nie chce opuszczać szpitala z obawy

przed porachunkami. Boi się, że następny zamach będzie skuteczniejszy. Chce jak najdłużej przebywać w szpitalu, a jego umysł nakazuje uszkodzonym organom, żeby nie zdrowiały. Niech mi pani wierzy, nieraz widziałam takie rzeczy. Może z Denisem dzieje się coś podobnego?

– Wątpię. Nie jest zamieszany w żadną aferę kryminalną. Ale przemyślę to, co pani powiedziała. Mogę go odwiedzić?

– Proszę. Jest tam jego kolega, przesiaduje u niego całymi dniami. Musi być mu niezwykle oddany.

W sali Nastia zastała niemal idylliczny obrazek. Od piątej do ósmej była pora odwiedzin, w tych godzinach wpuszczano każdego. W sali znajdowało się pięć łóżek i przy każdym na taboretach siedzieli goście w narzuconych na ramiona fartuchach. Przy łóżku Denisa siedział Artiom i, trzymając przyjaciela za rękę, o czymś z nim rozmawiał.

Denis pierwszy zobaczył Nastię i drgnął, Artiom zaś od razu to poczuł i odwrócił głowę, usiłując dojrzeć, co wywołało jego reakcję.

– To pani? – zapytał półgłosem, zanim Denis albo Nastia zdążyli się odezwać.

Skąd wiedziałeś? – chciała zapytać Nastia. – Podobno nie dostrzegasz twarzy z takiej odległości. Perfumy. Artiom poczuł zapach jej perfum i go rozpoznał. Ależ ten chłopak ma pamięć! I znakomity węch.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się, patrząc na Denisa. – Co słychać?

– W porządku – odburknął Denis i się odwrócił.

Twarz miał bladą, a nawet żółtawą, policzki i skronie zapadnięte... Artiom od razu puścił jego rękę i wstał.

– Proszę siadać, Anastazjo Pawłowna.

– Dziękuję.

Nastia postawiła torbę na podłodze i usiadła. Zdążyła już pożałować, że tutaj przyszła. Denis nie ucieszył się na jej widok i nawet nie próbuje tego ukryć. A właściwie dlaczego powinien się cieszyć z jej odwiedzin? Kim ona dla niego jest? Chyba tylko osobą, dzięki której udzielono mu natychmiastowej pomocy lekarskiej, no i nie pozwolono umrzeć. Ale widocznie Denis Bażenow nie bierze pod uwagę tego rodzaju argumentów.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Dobrze.

– Wiesz, że twoja lekarka ma inne zdanie na ten temat?

– Jak to? – wycedził Denis, wciąż odwracając wzrok.
– Uważa, że twój stan poprawia się zbyt wolno, i to ją niepokoi. Masz jakieś kłopoty?

– Nie.

– Potrzebujesz czegoś?

– Niczego nie potrzebuję! Niech mnie pani zostawi w spokoju! Czemu się pani do mnie przyczepiła?

Wybuch złości był tak niespodziewany, że Nastia osłupiała. Co takiego zrobiła, że chłopak się rozgniewał? Czyżby... Nie, to niemożliwe, to przecież kompletna bzdura! No cóż, chyba trzeba się zbierać. Nie ma sensu irytować i wyprowadzać z równowagi chorego.

– Nie ma sprawy – powiedziała pojednawczo. – Zostawię cię w spokoju. Do widzenia. Życzę powrotu do zdrowia. Artiomie, możesz mnie odprowadzić?

Chłopak posłusznie wyszedł za nią z sali.

– Niech się pani na niego nie gniewa, Anastazjo Pawłowna – powiedział, gdy tylko znaleźli się na ulicy. – Denis nie czuje się najlepiej, dlatego jest rozdrażniony.

– Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Lekarka uważa, że z Denisem coś się dzieje, najwyraźniej nie ma ochoty wyzdrowieć. Wiesz dlaczego?

– Nie – odparł Artiom po krótkim wahaniu.

Wie, pomyślała Nastia. Widać, że wie. Ale krępuje się o tym mówić. No cóż, to całkiem zrozumiałe. Temat wydaje się delikatny, a ja jestem na bakier z dyplomacją. Trudno, oprócz mnie nie ma nikogo, kto mógłby to z nim omówić.

– Przejdźmy się trochę – zaproponowała. – Oboje przez cały dzień siedzimy, przyda nam się ruch.

Z Sadowego Kolca dobiegał ich szum samochodów, powietrze było gęste i ciężkie, wpadało do płuc i nie chciało ich opuścić. Nastia skręciła w pierwszą napotkaną uliczkę i przeszła na zacienioną stronę.

– Przed wami ciężkie chwile – zaczęła. – Denis nadal będzie chodził do szkoły, a ty już nie musisz tego robić. Życie, do którego się przyzwyczailiście, ulegnie zmianie.

– Tak, wiem. – Artiom skinął głową. – Właśnie niedawno rozmawialiśmy o tym z Denisem.

– I jak mu się podoba ta perspektywa?

– No cóż... Uważa, że może spędzić ze mną całe życie. Przekonywałem go, tłumaczyłem, że będzie miał nowych przyjaciół, pozna jakąś dziewczynę, później się ożeni. Jego życie nie może się toczyć wyłącznie wokół moich spraw. Ale on nie słucha. Mówi, że nie potrzebuje żadnych przyjaciół ani dziewcząt. Rozumuje jeszcze jak dziecko, nie sądzi pani?

– Nie, Artiomie, Denis nie jest dzieckiem, to tylko ty jesteś dojrzały. Już zaczęłaś myśleć o czymś niezwiązanym z Denisem, a on się obraził, prawda?

– Tak mi się zdaje... Jak się pani domyśliła?

– Wszyscy przez to przechodzimy. Zawsze, prędzej czy później, następuje chwila, gdy drogi przyjaciół się rozchodzą. To dotyczy wszystkich, wiek nie ma tu nic do rzeczy. Rozmawiałeś z Denisem na mój temat?

Artiom się zaczerwienił, ale nie zwolnił kroku.

– Rozmawiałem.

– I to mu się nie spodobało?

Chłopak kiwnął głową w milczeniu.

– No widzisz, dzisiaj wspomniałeś o kimś obcym, a Denis już zrobił się zazdrosny. Co będzie jutro, gdy zechcesz się do kogoś zbliżyć? Jesteś od niego starszy, a to znaczy, że musisz być mądrzejszy i bardziej przewidujący. Na tobie spoczywa ciężar odpowiedzialności. Przykro mi to mówić, ale twój przyjaciel nie pragnie wyzdrowieć, bo nie chce żyć, rozumiesz?

– Co pani mówi? – Artiom zatrzymał się zdumiony. – Jak to nie chce żyć? Dlaczego?

– Dlatego że jego życie skupia się wokół ciebie. Ty jesteś sensem jego życia, przy tobie czuje się potrzebny, ważny, kochany i ceniony. Ale ty nagle zainteresowałaś się kimś innym. Denis zrobił wszystko, żeby poprawić swój wizerunek w twoich oczach, chciał ci pokazać, jaki jest wspaniały. Właśnie dlatego zabrał piłeczkę, gdy poszedł szukać kasety. Chciał, by przestępcy go zauważyli, zamierzał ich wytropić i wydać milicji. Chciał, żebyś dostrzegł w nim bohatera. Chyba się ze mną zgodzisz?

Artiom kiwnął głową. Wydawał się bardzo zakłopotany.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym, gdy ostatnio rozmawialiśmy? Nie zauważyłaś niczego?

– Nie sądziłem, że... Słowo daję, nie sądziłem, że Denis potraktuje to tak poważnie. Rzeczywiście rozmawiałem z nim o pani, trochę się boczył, ale nie zwróciłem na to uwagi. Anastazjo Pawłowna, słowo daję... Nawet mi do głowy nie przyszło. Gdy wpuszczono mnie do niego po operacji, powiedziałem, że żyje tylko dzięki pani, bo zdążyła pani na czas. A on nagle się rozplakał. I powiedział, żebym go zostawił samego. Dopiero wtedy się domyśliłem. Było mu przykro, że jego plan się nie powiódł i że pani go uratowała.

– Rozumiem. Ale to, że oboje wiemy, jaki Denis ma problem, niczego nie zmieni. Trzeba mu pomóc.

– Jak? – Artiom zatrzymał się i pochylił nieco głowę, żeby nie uronić ani jednego słowa. – Niech pani tylko powie, co mam robić, a zrobię wszystko. Dla Denisa jestem gotów skoczyć każdemu do gardła!

– Żeby mu pomóc, musiałbyś skoczyć do gardła mnie. – Nastia się uśmiechnęła. – A mówiąc serio, Denis jest w ogromnym stresie i musimy wyrwać go z tego stanu. Jego zazdrość wydaje nam się zabawna i bezpodstawna, bo jesteśmy starsi, ale dla niego to najprawdziwsza tragedia, z którą nie potrafi sobie poradzić.

– A co pomaga pokonać stres?

– To zależy. Miłość, troska, czułość. Niekiedy praca albo zmiana środowiska. Ale najlepiej zasięgnąć porady specjalisty.

– Chwileczkę! – zawołał Artiom i sięgnął do kieszeni.

Wyjął mały kartonik – wizytówkę – i podał Nastii.

– Co to jest?

Przeczytała napis na wizytówce: „Doktor Hasaj Alijew. Centrum Ochrony przed Stresem. Telefon 180-27-27”.

– Skąd to masz?

– Od Denisa. Poznał pewnego chłopaka, który nauczył go władać rękami i się odprężyć, i powiedział, że jeśli go to zainteresuje, może przyjść.

– Ciekawe. To chyba właśnie to, czego potrzebujemy. W każdym razie nie zawadzi spróbować. Jak nazywał się tamten chłopak?

– Wadim. Denis mówił, że wyglądał zabawnie, miał okulary z grubymi szklami.

– Dobrze. Lepiej, żeby Denisa odwiedził jakiś znajomy, a nie ktoś zupełnie obcy. Spróbuję go znaleźć. Odprowadzić cię do szpitala?

– Nie trzeba, dziękuję. Obiegłem już sklepy w okolicy i zbadałem

każdy centymetr chodnika. Robię zakupy dla wszystkich pacjentów z sali Denisa.

Dotarli razem do rogu Sadowego Kolca, po czym się rozstali.



Nastia jechała metrem i rozmyślała o doktorze Alijewie. Tak, tego akurat potrzeba Denisowi. Doskonale pamiętała programy telewizyjne z udziałem Hasaja Alijewa *Pomóż sobie sam*. Jąkające się dzieci przestawały się jąkać niemal natychmiast, a ludzie cierpiący na dotkliwe bóle głowy ożywiali dosłownie w oczach. Programy zrobiły na niej duże wrażenie, ale to stare dzieje, sprzed czternastu lat. Nastia była wtedy znacznie młodsza, zdrowsza i naiwniejsza. Dobrze zapamiętała wszystko, co mówił i pokazywał Hasaj Alijew, ale nigdy nie wypróbowała tego na sobie. Zaopatrzyła się nawet w podręcznik *Lekcje samokontroli*, przeczytała go jednak dawno temu i gdzieś wsunęła. Dwudziestoletnia dziewczyna raczej nie myśli o tym, że w jej życiu też mogą nadejść ciężkie chwile.

Gdyby znaleźć specjalistę z Centrum doktora Alijewa i poprosić go, żeby się zajął Denisem, można za jednym zamachem rozwiązać dwa problemy. Po pierwsze, Denis nauczy się radzić sobie z emocjami i nie będzie się im poddawał. Po drugie, umiejętność samokontroli pozwoli mu szybko stanąć na nogi po odniesionej ranie i operacji, na dodatek nastąpi to w mgnieniu oka, więc wszyscy będą się dziwić i pisać artykuły na jego temat. Chłopak znajdzie się w centrum uwagi, stanie się kimś niezwykłym, będzie się posługiwał metodą, której nie zna nikt z jego otoczenia, i w ten sposób odzyska poczucie własnej wartości. A to może mu pomóc zaakceptować nieuchronne zmiany w życiu, które nastąpią już jesienią.



Rano upał był nie do zniesienia. Każdego dnia synoptycy z maniackim uporem obiecywali, że niedługo nadejdą deszcze i burze, ale już dwa dni później zmieniali prognozy i przesuwali upragnione ochłodzenie jeszcze o parę dni. One jednak mijały, a upał ani myślał ustępować.

Kławdija Nikiforowna zjawiała się na okazaniu u śledczego ledwie

żywa. Męczyła ją zadyszka. Tęga, starsza kobieta oblewała się potem i miała najwyraźniej podwyższone ciśnienie.

Gmyria zaprosił ją do gabinetu i uprzedził o odpowiedzialności karnej za świadome składanie fałszywych zeznań. Kławdija Nikiforowna biadoliła, wzdychała, chwytając się to za serce, to za głowę i wyglądała na całkiem zmarnowaną. Nastia ją rozumiała, nawet ona, mimo że była znacznie młodsza i nie miała ani grama nadwagi, czuła się nieciekawie, zwłaszcza w dusznym gabinecie. Gmyria nie znosił przeciągów i prawie nigdy nie otwierał okna. Nastia mogła więc tylko się dziwić, jakim cudem do tej pory nie dostał udaru.

– A więc, Kławdijo Nikiforowna, zobaczy pani pięciu mężczyzn i będzie musiała powiedzieć, czy zna któregoś z nich.

Kobieta nieśpiesznie wodziła wzrokiem po obecnych. Wyglądała na bardzo zdenerwowaną. Dwukrotnie przeszła wzdłuż szeregu mężczyzn, po czym stanęła koło Dudariewa.

– To chyba ten.

– Gdzie i kiedy widziała pani tego mężczyznę? Skąd go pani zna?

– Nie znam go, ale odwiedzał mojego sąsiada Kostię.

– Dokładniej, proszę – powiedział Gmyria, szybko notując zeznania. – Jakiego Kostię, z którego mieszkania?

– Kostię Wiatkina z mieszkania numer sześćdziesiąt osiem. Ja mieszkam pod numerem sześćdziesiątym dziewiątym.

– Co ta baba wygaduje! – krzyknął Dudariew. – Nie znam żadnego Wiatkina!

– Proszę łaskawie się nie odzywać – przerwał mu Gmyria. – Później powie pan to, co uzna za konieczne. Kławdijo Nikiforowna, kiedy widziała pani tego mężczyznę?

– Już przecież mówiłam, pierwszy raz ze trzy tygodnie temu, później jeszcze dwa razy, mniej więcej po tygodniu. Dzwonił do mieszkania Kostii. Patrzyłam przez judasza.

– Jak go pani rozpoznała?

– Po twarzy, ma się rozumieć! – zawołała zdziwiona kobieta. – Zapamiętałam przecież jego twarz.

– To nie wystarczy. Musi pani wymienić znaki szczególne, na podstawie których go pani rozpoznała.

– Poznałam go po bliźnie – powiedziała wzburzona. – No i jeszcze po brwiach, są gęste, schodzą się u nasady nosa. Ma też małą bliznę na

policzku przy uchu, taką podłużną.

– Dobrze, Kławdijo Nikiforowna, dziękuję. Jest pani wolna, proszę tylko podpisać protokół.

Kobieta sztywno podeszła do biurka śledczego i pochyliła się nad protokołem. W tej samej chwili Dudariew zrobił krok w przód i chwycił ją za rękę.

– Ty stara jędo! – wrzasnął. – Czemu kłamiesz? Gdzie mnie widziałaś? U jakiego Kostika? Uduszę cię, uduszę gołymi rękami!

Wyglądał strasznie, twarz wykrzywiła mu złość, oczy błyszczały wściekle. Jeszcze chwila i chyba by uderzył starszą panią. Złapano go jednak i odciągnięto na drugi koniec pokoju.

– Dudariew, sam pan podpisał postanowienie o swoim zatrzymaniu – powiedział Gmyria, nie podnosząc głowy znad protokołu. – Nie mogę pozostawić na wolności kogoś, kto nad sobą nie panuje i może nawywijać diabli wiedzą co. Proszę tu podpisać, Kławdijo Nikiforowna.

Długopis wypadł jej z palców, twarz spurpurowiała. Kławdija Nikiforowna zaczęła chwytać powietrze ustami, po czym runęła na podłogę jak kłoda.

– Wyprowadźcie wszystkich – polecił szybko Gmyria. – I wezwijcie lekarza. A Dudariewa nie wypuszczajcie.

Czterdzieści minut później Kławdiję Nikiforownę umieszczono na noszach w karetce pogotowia i zawieziono do szpitala.

– Niech ktoś przywiezie z jej mieszkania przybory toaletowe, dwie koszule nocne, ręczniki, szlafrok i kapcie – poprosił lekarz.

Gmyria podszedł do noszy z torebką świadka w rękach.

– Słyszała pani, co powiedział lekarz?

Kiwnęła słabo głową, niezdolna do niczego więcej.

– Chce pani, żeby ktoś pojechał do mieszkania i przywiózł rzeczy?

Znowu ledwie zauważalne kiwnięcie.

– Klucze są w torebce? Mogę je wziąć?

Otrzymawszy milczące przyzwolenie, Gmyria wyjął z torebki klucze i położył ją na noszach.

– Niezły świr z tego Dudariewa – powiedział do Siergieja Zarubina, odprowadzając wzrokiem biały samochód z czerwonym pasem. – Coś takiego, wystraszył staruszkę na śmierć. Facet nie ma żadnych hamulców. Weź klucze i przywieź, co trzeba, z jej mieszkania. Ja tymczasem zajmę się Dudariewem. Teraz się nie wywinie.

Siergiej przekręcił klucz w zamku i ostrożnie otworzył drzwi. Wiedział, że w mieszkaniu nikogo nie ma, mimo to czuł się niezręcznie.

W środku rzeczywiście nikogo nie było. Kławdija Nikiforowna mieszkała sama. Siergiej wyteżył pamięć, usiłując przypomnieć sobie, co lekarz kazał przywieźć. Przybory toaletowe, czyli co? Szczoteczkę do zębów, mydło, pastę. Co jeszcze? Gdyby chodziło o mężczyznę, wzięłby maszynkę do golenia. Ale z kobietami... Kto je tam wie.

Zarubin starannie przeglądał liczne słoiczki i flakoniki, którymi zastawiona była półka nad umywalką i wanną. Co z tego może się przydać? A w ogóle po co kobietom tyle kosmetyków? Czyżby używały wszystkich naraz? Zabawne! Na wszelki wypadek wybrał dwa kremy: jeden z etykietą „na noc”, drugi – „na dzień”, i umieścił w reklamówce razem ze szczoteczką do zębów, pastą i mydłem.

Załatwiwszy sprawę przyborów toaletowych, wrócił do pokoju i zabrał się do poszukiwania koszul nocnych oraz ręczników. Kławdija Nikiforowna nieźle sobie żyje, myślał, oglądając czyste, schludne mieszkanie. Widać, że nie klepie biedy, chyba dzieci jej pomagają. Tu i ówdzie rzuca się w oczy emeryckie ubóstwo, ale są też drogie rzeczy, w dodatku wyglądają na nowe, niedawno kupione. Na przykład ten wazon na kwiaty, na pewno nie jest tani, Siergiej oglądał taki sam w GUM-ie^[8], chciał kupić swojej dziewczynie na Dzień Kobiet, ale nie wystarczyło mu pieniędzy. Tymczasem babci Kławie wystarczyło. A może ktoś go jej podarował? Telewizor jest olbrzymi, marki Panasonic, z emerytury się go nie kupi. Niemiecki mikser musiał tu trafić prosto ze sklepu, pudełko jest otwarte, ale sprzętu nie wypakowano, stoi w rogu kuchni. Proces analizowania cudzego majątku pochłonął uwagę Zarubina. Wywiadowca nie szperał w rzeczach, chodził i przyglądał się temu, co leżało na wierzchu. Lubił tworzyć obraz właściciela na podstawie jego rzeczy i umeblowania mieszkania.

O, tutaj stoją kubki, całkiem stare, w dzieciństwie pił z takich herbatę. Białe z niebieskim paskiem, niektóre z mocno wyszczerbionymi brzegami. A obok nich eleganckie kubki z porcelany, te, w których Kławdija Nikiforowna podała herbatę, gdy Siergiej

odwiedził ją niedawno. Pewnie są dla gości, gospodyni wyjmuje je tylko na specjalne okazje, a tamtych, z niebieskim paskiem, używa na co dzień, gdy jest sama.

Pościeli na pewno należy szukać w szafie. Zarubin otworzył drzwi i zlustrował wzrokiem jej zawartość. Nie, to nie to, na wieszakach wiszą sukienki, bluzki, spódnice, jesionka i płaszcz. Zaraz, a to co takiego? Uwagę Siergieja przyciągnął gruby brązowy pokrowiec zapinany na zamek błyskawiczny. W takich pokrowcach sprzedaje się okrycia wierzchnie w drogich sklepach. Zarubin rozsunął trochę zamek i włożył rękę do środka. No proszę, futro. A więc nasza staruszka sprawiła sobie futrzany płaszcz. Niech jej Bozia da zdrowie i pozwoli doczekać zimy, żeby zdążyła go ponosić, i nacieszyła się nim na starość.

Siergiej uśmiechnął się do swoich myśli, zamknął drzwi i przystąpił do inspekcji drugiej połowy szafy. Tutaj na półkach leżały równo poukładane prześcieradła, poszewki na poduszki i kołdry, ręczniki oraz bielizna. Co właściwie ma zabrać? Aha, dwa ręczniki i koszulę nocną. Nie, odwrotnie, dwie koszule i jeden ręcznik. A może jednak dwa ręczniki? Koszule nocne znalazł szybko i odłożył na kanapę. Który ręcznik spakować? Mały, do twarzy i rąk, czy większy? A może lekarz miał na myśli kąpielowy? Trzeba było od razu zapytać, teraz pozostaje tylko wróżyć z fusów.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Po chwili wahania podniósł słuchawkę.

- A gdzie Kława? - rozległ się energiczny kobiecy głos.
- Nie ma jej - odparł Zarubin uprzejmie.
- A pan to kto?
- Sąsiad.
- Co pan tam robi? Gdzie jest Kława?
- W szpitalu, mam przywieźć jej parę rzeczy. Niech się pani nie denerwuje, nie jestem złodziejem.
- Co za sąsiad? - zajazgotał podejrzliwie głos w słuchawce. - Kława mówiła, że on niedawno zmarł. Kiedy się pan wprowadził?

Zarubin pomyślał, że trafił na dobrze zorientowaną przyjaciółkę, z którą Kławdija Nikiforowna często się spotykała i rozmawiała o wszystkim, więc niełatwo będzie wywieść ją w pole. Kobieta nie da się zbyć byle czym i wezwie milicję, jeśli Siergiej nie rozwieje jej podejrzeń.

- Szczerze mówiąc, jestem z milicji - przyznał się. - Kławdija

Nikiforowna była dzisiaj u śledczego, zasłała w jego pokoju i karetka zabrała ją do szpitala. A mnie wysłano po rzeczy.

– Jak nazwisko? – zapytała wszystkowiedząca dama takim tonem, jakby była prokuratorem w szesnastym pokoleniu.

– Czyje? Moje?

– Śledczego.

– Gmyria.

– Zgadza się – skonstatowała z satysfakcją niewidoczna rozmówczyni.

– Wczoraj Kława wspominała, że śledczy Gmyria wezwał ją na okazanie. Jakie rzeczy chce pan zabrać?

– Przybory toaletowe, ręcznik, koszule nocne i kapcie. Aha, jeszcze szlafrok. Nie wie pani, jaki ręcznik się przyda: mały, średni czy duży?

– Każdy – odparła stanowczo. – Dzisiaj w szpitalach nie ma niczego, panuje permanentny deficyt. Dobrze, że nie żądają, żeby zabierać ze sobą prześcieradła. Weź jeden mały, do rąk, i jeden duży, pod prysznic.

– A średni?

– Średniego nie trzeba, dostanie na miejscu. A jeśli chodzi o szlafrok, to jeden wisi na haczyku za drzwiami, ale tego nie bierz, bo jest już stary i postrzępiony. Kława niedawno kupiła sobie nowy, weź ten, żeby nie było wstydu, bo jeszcze powiedzą, że to jakaś nędzarka.

– Dobrze, tak zrobię – odparł Zarubin z wdzięcznością. – A nie wie pani, gdzie znajdę nowy?

– Ja miałabym nie wiedzieć?! Wiem wszystko o Kławie – oznajmiła przyjaciółka z dumą. – Nowe rzeczy są w kanapie.

– W kanapie? – zdziwił się wywiadowca.

– No tak. Podnieś pokrywę, nowe rzeczy znajdziesz w pojemniku na pościel. Poszukaj szlafroka, jest różowy, bardzo ładny, wygląda jak królewski. Nie ociągaj się, zrób, co mówię. Gdy odwiedzę Kławę, sprawdzę, czy mnie posłuchałeś. Jak coś będzie nie tak, złożę na ciebie skargę. A właściwie dokąd ją zabrano?

Siergiej podyktował adres, po czym się pożegnał. Przyjaciółka starszej pani zadzwoniła w samą porę, bo nawet by mu nie przyszło do głowy, żeby szukać ubrań w kanapie. Znalazłby na haczyku za drzwiami stary, sfatygowany szlafrok i zawiózłby go do szpitala. I narobiłby wstydu Kławdie Nikiforownie.

Bez wysiłku podniósł siedzenie kanapy, ukląkł i zaczął ostrożnie przetrząsać wnętrze pojemnika. Przyjaciółka miała rację, były tutaj

tylko nowe rzeczy, nawet nierozpakowane. O, coś tam różowieje, chyba poszukiwany szlafrok. Siergiej wyciągnął reklamówkę, która leżała na samym dnie, ale narobił przy tym bałaganu. Na podłogę wysypały się inne reklamówki. Odłożył więc szlafrok na bok i zaczął wkładać rzeczy z powrotem. Nagle zobaczył zdjęcie, które skądś wypadło. Najpierw nie uświadomił sobie, co to takiego, i bezwiednie wsunął je z powrotem. Później znowu wyjął i podniósł do oczu.

Chyba mam halucynacje, pomyślał. Jak to się tutaj znalazło? Przymknął na chwilę oczy, potem je otworzył i znowu spojrzął na zdjęcie. Atrakcyjny mężczyzna w wieku mniej więcej czterdziestu pięciu lat, ciemne włosy, gęste brwi zrosnięte u nasady nosa. Ze zdjęcia spoglądał na niego Gieorgij Nikołajewicz Dudariew we własnej osobie.

[8] GUM (Gosudarstwiennyj uniewiersalnyj magazin) – Państwowy Dom Towarowy.

Rozdział 10

Zarubin usiadł przy biurku, położył przed sobą zdjęcie i wbił w nie wzrok, opierając brodę na rękach. Ale się urządził! Co teraz ma z tym zrobić? Pokazać śledczemu? Tyle tylko, że żaden sąd nie uzna zdjęcia za dowód, bo nie wiadomo, gdzie i w jakich okolicznościach je zdobyto. Nie ma świadków, których można by zaprzysiąc, ani kogoś, kto by zwyczajnie potwierdził, że Zarubin znalazł zdjęcie właśnie tutaj, a nie podrzucił nieszczęsnej staruszce. Mówiąc językiem fachowym, zdjęcie zdobyto niezgodnie z przepisami postępowania, więc nie ma żadnego znaczenia w procesie karnym. Może poprosić Gmyrię, żeby przyjechał tutaj i przeprowadził przeszukanie? Nie przyjedzie. Wcale nie dlatego, że nie uwierzy Siergiejowi, ale dlatego, że przeszukanie wymaga nakazu prokuratora, a z czym niby do niego pójdzie? Jakie ważne powody nakazują przesunąć chorą staruszkę z rangi świadka do rangi podejrzanego nie wiadomo o co? Nie ma takich powodów. Pojawia się dopiero wtedy, gdy zdjęcie zostanie znalezione drogą oficjalną. Każdy śledczy może, oczywiście, przeprowadzić przeszukanie bez nakazu, ale tylko w przypadkach niecierpiących zwłoki, tutaj jednak taki przypadek nie zachodzi. O przypadku niecierpiącym zwłoki można mówić na przykład wtedy, gdy przestępca ulatnia się z miejsca zdarzenia, po czym wpada do mieszkania i ścigający go funkcjonariusze milicji widzą go na własne oczy. Wówczas można się obejść bez prokuratora.

Jest jeszcze trzecie rozwiązanie, trzeba je będzie zastosować, nie ma innego wyjścia.

Siergiej przysunął sobie telefon i wybrał numer Gmyri.

– Borisie Witaljewiczu, niech mnie pan przesłucha w charakterze świadka – powiedział przybity.

– No tak, zaczyna się – wycedził Gmyria z niezadowoleniem. – Co tam

znowu?

– Jestem w mieszkaniu Kławdii Nikiforowny. Znalazłem coś ciekawego.

– Specjalnie szukałeś, detektywie od siedmiu boleści? – zapytał śledczy podejrzliwie. – Wiedziałeś, że coś jest, ale mi nie powiedziałeś?

– Przysięgam, że nie – zapewnił solennie Siergiej. – Znalazłem przypadkiem. Szukałem szlafroka naszej chorej, patrzę, a wśród rzeczy leży zdjęcie Dudariewa.

– Co?!

– Zdjęcie Dudariewa.

– Jasne. A całą resztę widziałeś?

– Rozglądam się. – Siergiej uśmiechnął się z ulgą, upewniwszy się, że śledczy od razu pojął jego intencję. – W asortymencie mamy nowe, drogie rzeczy.

– Aha. To znaczy, że ktoś przekupił naszą bożą prostaczkę. Wracaj, przesłucham cię zgodnie z przepisami.

– A zdjęcie?

– Zostaw tam, gdzie znalazłeś.

– A jeśli się zapodzieje?

– Wtedy pociągnę cię do odpowiedzialności za składanie fałszywych zeznań. Odłóż fotkę na miejsce i ruszaj do mnie na przesłuchanie – nakazał Gmyria.

≡

„Ja, Siergiej Kuźmicz Zarubin, urodzony w roku..., zamieszkały: Moskwa, ul...., oficer operacyjny wydziału kryminalnego UWD^[9] Centralnego Okręgu Moskwy, ... czerwca 1998 roku o jedenastej rano uczestniczyłem w okazaniu przeprowadzonym w pomieszczeniu... przez śledczego B.W. Gmyrię. W wyniku okazania świadek K.N. Romanowa rozpoznała obywatela G.N. Dudariewa jako tego, który wielokrotnie odwiedzał jej sąsiada K.A. Wiatkina. W trakcie okazania świadek K.N. Romanowa zaśląbla, w związku z czym wezwano karetkę pogotowia. Lekarz G.B. Tołbojew stwierdził, że K.N. Romanową należy pilnie hospitalizować, i poprosił, żeby przywieźć jej do szpitala przybory toaletowe oraz zmianę bielizny. Ponieważ K.N. Romanowa mieszka sama i śledczy B.W. Gmyria nie dysponował w danym momencie

informacjami o przebywających w Moskwie bliskich krewnych Romanowej, B.W. Gmyria wydał mi polecenie, żebym pojechał do jej mieszkania i przywiózł niezbędne rzeczy. K.N. Romanowa, będąc w stanie pełnej świadomości, wyraziła zgodę, po czym za jej zgodą i w jej obecności, a także w obecności lekarza G.B. Tołbojewa, felczera O.W. Iwanienki i kierowcy pogotowia I.I. Michajłowa śledczy B.W. Gmyria wyjął z torebki należącej do K.N. Romanowej klucze od jej mieszkania znajdującego się pod adresem: Moskwa, ul...., i mi je przekazał.

Po przybyciu do mieszkania K.N. Romanowej zacząłem szukać rzeczy, które wymienił G.B. Tołbojew. Akurat wtedy zadzwoniła niezidentyfikowana kobieta, która podała się za przyjaciółkę K.N. Romanowej. Dowiedziawszy się, że K.N. Romanowa jest w szpitalu, a ja pakuję jej rzeczy i przybory toaletowe, poradziła mi, żebym nie brał do szpitala niczego starego, ale zawiózł nowe rzeczy, i poinstruowała mnie, gdzie ich szukać. Z jej słów wynikało, że nowe rzeczy znajdują się w tapczanie. Gdy podniosłem pokrywę, znalazłem wśród rzeczy K.N. Romanowej zdjęcie przedstawiające G.N. Dudariewa.

Jednocześnie wyjaśniam, że przebywając w mieszkaniu K.N. Romanowej, nie wykonywałem obowiązków służbowych, ale udzielałem pomocy obywatelskiej kobiecie, która nagle zachorowała.

Wyjaśnienie napisano osobiście.

Zarubin S.K.

– Gładko ci poszło – mruknął Gmyria, przeczytawszy elaborat Siergieja. – Powinieneś pracować w gazecie, a nie w wydziale kryminalnym.

– Nie, w gazecie nie dałbym rady – odparł Zarubin. – Posługuję się oficjalnym stylem. Uczono nas pisać tylko protokoły.

– Za to z jakim rezultatem! Powinieneś zostać śledczym, to miejsce akurat dla ciebie. No dobrze, teraz opowiedz o dobytku babci.

– No cóż, Borisie Witaljewiczu, jej dobytek wygląda dosyć dziwnie – zaczął Siergiej w zamyśleniu. – Jest najwyraźniej nowy, ale nie sprzed trzech dni. Chodzi mi o to, że gdyby Kławdiję Nikiforownę przekupiono tylko po to, żeby wskazała żadaną osobę podczas okazania, doszłoby do tego najwyżej pięć dni temu i nie zdążyłaby nakupić fury drogich rzeczy. Telewizora, futra, mnóstwa fatałaszków, które przechowuje w kanapie. W kuchni stoi na przykład wypasiony mikser, nawet

niewyjęty z pudełka – nie ma żadnej wątpliwości, że prosto ze sklepu. A za telewizorem jest pełno kurzu, za dużo jak na pięć dni. Mogłem oczywiście poszperać w jej papierach, pewnie trzyma gdzieś kartę gwarancyjną telewizora albo paragon za futro, ale nie zaryzykowałem. To już pańska robota, jeśli zarządzi pan przeszukanie. Dlatego wnioski są tylko dwa: albo krewni przychodzą babci z pomocą, albo robi to ktoś inny w zamian za jakieś przysługi. W każdym razie proceder trwa nie od wczoraj.

– Nie od wczoraj – wycedził Gmyria, patrząc w okno. – A od kiedy? Dobrze, mój drogi, leć teraz do Siełujanowa i prześwietlcie babcię od stóp do głów. Poruszcie niebo i ziemię i nie wracajcie z pustymi rękami. Chcę jak najprędzej wiedzieć o niej, co tylko się da. Zamknąłem Dudariewa, ale przestaje mi się to już podobać. Ktoś chce go zrobić i robi to z rozmysłem, chytrze i skutecznie. Jedyna rzecz, która świadczy przeciwko niemu, sprowadza się do tego, że ofiarą okazała się jego żona, chociaż do samochodu wsiadła niby przypadkiem. Tylko sam Dudariew mógł przewidzieć i zaaranżować ten przypadek. Dlatego wciąż go podejrzewam, ale babcia ze zdjęciem też mi się nie podoba. Coś tu brzydko pachnie.

– A może ktoś podsunął jej zdjęcie, żeby podważyć wyniki okazania? – zasugerował nagle Siergiej. – Nie wpadłem na to od razu, ale przecież mogło tak być.

– Mogło. Ale to bardzo wątpliwe.

– Dlaczego?

– No bo gdzie gwarancja, że znajdziemy zdjęcie? Romanowa zasłała – tego nikt nie mógł przewidzieć. Pojechałeś do niej po rzeczy – to była moja osobista decyzja. Twoja zresztą też. Mogłeś się przecież nie zgodzić, nie musisz tego robić, w takich przypadkach zazwyczaj zwracamy się do pracowników DEZ-u^[10], przekazujemy im klucze i zobowiązujemy do udzielenia pomocy lokatorowi. Ale zrobiliśmy inaczej, tego również nie mogliśmy przewidzieć. A zresztą zdjęcie nie leżało na widoku, nie było żadnych gwarancji, że je w ogóle znajdziemy. Nie, Sierioża, pomysł z podrzuceniem dowodu jest do bani.

– A właśnie że nie. – Zarubin nie ustępował. – Dzisiaj znalazłem zdjęcie przypadkiem, nikt na to w ogóle nie liczył. Ale zostało podrzucone, żebyśmy je znaleźli, tylko w innych okolicznościach. Niech pan pomyśli. Romanowa jest świadkiem i rozpoznaje Dudariewa. Mówi

prawdę, rzeczywiście widziała go koło mieszkania Kostii Wiatkina. A później ktoś podsuwa nam informację, że babcia Kława jest zamieszana w jakąś brzydką, a nawet kryminalną aferę, i dostajemy takie potwierdzenie, że nie pozostaje panu nic innego, Borisie Witaljewiczu, jak tylko przeprowadzić przeszukanie w jej mieszkaniu. No i wtedy wypływa zdjęcie. Wina Dudariewa natychmiast staje pod znakiem zapytania. Ładnie?

– Owszem – przyznał Gmyria. – Ciekawie. Nie, Sierioża, na śledczego się nie nadajesz, powinieneś raczej kręcić kryminały. Można ci pozazdrościć wyobraźni. A więc tak: zajmijcie się babcią, dowiedzcie się wszystkiego, co tylko się da, przy okazji sprawdź też swoje dziwaczne przypuszczenie. Kto miał klucze do mieszkania, kto mógł podrzucić zdjęcie, kto bywał w domu i cieszył się tak dużym zaufaniem gospodyni, że zostawiała go samego w pokoju. Ile czasu zajmuje podniesienie siedzenia kanapy i wsunięcie zdjęcia pomiędzy rzeczy?

Siergiej zamyślił się, przypominając sobie ruchy, które wykonywał.

– No... jeśli na kanapie nie ma niczego, co najpierw należałoby odłożyć, to jakieś osiem, najwyżej dziesięć sekund. Ale tapczan skrzypi, Borisie Witaljewiczu. Jest już stary, słyhać go w całym mieszkaniu.

– Romanowa nie narzeka przypadkiem na słuch?

– Chyba nie. Słyszy dobrze.

– A więc ten, kto zostaje sam w mieszkaniu, musi albo mieć klucze, albo być bardzo zaufany. Szukaj, chłopcze, rozglądaj się i węsź. Twoja hipoteza jest pokrętna, ale ładna. Wiesz dlaczego?

– Dlaczego? Chyba się domyślam, ale proszę mi powiedzieć.

– Nie dlatego, że mam do ciebie słabość. Raczej dlatego, że bardzo nie lubię pana Dudariewa. Nie lubię i już! Podejrzewam go i z każdym dniem moje podejrzenia przybierają na sile. Rozumiesz?

– Owszem. – Zarubin się uśmiechnął. – I to doskonale, Borisie Witaljewiczu. Mnie też facet się nie podoba. Może właśnie z braku sympatii do niego wymyśliłem swoją hipotezę.

– Bystrzak z ciebie. – Gmyria westchnął błogo. – Ruszaj do roboty. Pracujemy razem po raz pierwszy, ale coś mi się wydaje, że nie ostatni. Spraw się dobrze.

– Postaram się.

Adres Centrum Ochrony przed Stresem był na wizytówce od Artioma Kipianiego, mimo to znalezienie organizacji okazało się niełatwe. Nastia przemierzyła wzdłuż i wszerz całą dzielnicę, zanim wreszcie odnalazła właściwe drzwi. Tuż za nimi ciągnął się długi korytarz, na który padało światło z pokoi. Widocznie nikt nie zamykał tutaj drzwi. Nastia zajrzała do pierwszego pokoju. Siedziała tam sympatyczna na oko kobieta w okularach i pisała coś w grubym zeszycie.

– Przepraszam, czy to Centrum Ochrony przed Stresem? – zapytała Nastia półgłosem. Kobieta wydawała się tak pochłonięta pracą, że niespodziewany dźwięk mógł ją przestraszyć.

Od razu podniosła głowę i popatrzyła przyjaźnie na Nastię.

– Tak. Słucham panią.

– Szukam Wadima.

– Wadima? – powtórzyła.

– Niestety, nie znam jego nazwiska, jest młody, szczupły, w okularach z mocnymi szklami.

– To Wadim Sokolnikow. Ma pokój na końcu korytarza po prawej stronie. Tam właśnie pracuje z maluchami.

– Dzieci też przeżywają stres? – zapytała Nastia z ciekawością.

– I to jaki. Nawet częściej niż dorośli. Są przecież całkiem bezbronni.

– Kobieta się uśmiechnęła. – Jeszcze nie potrafią radzić sobie z tym, co nam, dorosłym, wydaje się zupełną błahostką i z czym radzimy sobie dziesięć razy dziennie. Podam pani przykład: dzieci, które w wieku dziewięciu, dziesięciu lat przyjeżdżają do Moskwy ze wsi albo z małych miast, gdzie nie ma wielopiętrowych domów. A one boją się jeździć windą. I przechodzić przez ulicę. Każde skrzyżowanie i każdy przejazd windą to dla nich ogromny stres! Wstydzą się do tego przyznać i poprosić o pomoc, ale czują paniczny lęk. Negatywne emocje gromadzą się i przeradzają w różne dolegliwości. Jąkanie, chroniczne niedomagania, kłopoty w szkole.

Nastia poszła we wskazanym przez kobietę kierunku i znalazła Wadima w towarzystwie dziesięciorga siedmio-, ośmioletnich dzieci. Drzwi pokoju, podobnie jak pozostałych pomieszczeń, były otwarte, więc zatrzymała się na progu, zaintrygowana tym, co działo się w środku. Dzieci siedziały na krzesłach, tylko jeden chłopiec stał koło szczupłego młodego mężczyzny w okularach z grubymi szklami i głośno

o czymś opowiadał.

– No to, Aloszeńka, powiedz nam, co robiłeś wczoraj.

– O-odrabiałem lekcje. – Mały człowieczek odrzekł zwięźle, ale z ważną miną.

– Dobrze ci poszło?

– N-nie, n-nie m-mogłem n-nauczyć się w-wiersza.

– I co zrobiłeś?

– P-pokołysałem się t-trochę.

– Pokaż nam, jak to robiłeś.

Rudy Alosza wyciągnął ręce, które niemal od razu zaczęły płynnie poruszać się w przód i w tył. Po krótkiej chwili opuścił je i zaczął się kołysać z boku na bok. Na jego twarzy pojawił się wyraz głębokiej zadumy i odprężenia.

– A teraz, Aloszeńka, opowiedz nam od początku, co się wydarzyło wczoraj – poprosił łagodnie Wadim.

– Odrabiałem lekcje. Nie mogłem nauczyć się wiersza. Mieliśmy się go nauczyć, ale ja wciąż nie potrafiłem zapamiętać słów... No więc... pokołysałem się trochę, a później szybko się nauczyłem. Wiersz sam wszedł mi do głowy.

Nastia uznała, że chyba ma halucynacje. Chłopiec mówił całkiem płynnie, jąkanie zniknęło bez śladu. I była to jawa, nie sen.

– Powiedzcie, dzieci, czy Alosza się jąka? – Wadim od razu zareagował.

– Niecee – odparły chórem.

– A przedtem się jąkał?

– Taaak!

To niesłychane, pomyślała Nastia. Przecież tyle razy mi tłumaczono, że jąkanie jest wynikiem wewnętrznego napięcia. Znika, gdy człowiek odpręży się podczas śpiewu. Relaks jest wrogiem napięcia. Chłopiec nauczył się pokonywać napięcie i teraz się nie zacina. Nigdy bym w to nie uwierzyła, gdybym nie zobaczyła na własne oczy.

Wadim zauważył Nastię i podszedł.

– Pani do mnie?

– Tak. Zaczekam, aż będzie pan wolny. Mam do pana dłuższą sprawę.

– Chce pani zapisać syna albo córkę do grupy?

– Nie, nie, to coś zupełnie innego.

– W takim razie będzie pani musiała poczekać jakieś czterdzieści

minut, aż skończę zajęcia.

– Oczywiście. – Nastia skinęła głową. – Zaczekam na zewnątrz.

Ruszyła korytarzem w stronę wyjścia, zaglądając dyskretnie do mijanych pomieszczeń. W jednym pokoju trwały zajęcia z grupą dorosłych sportowców, w drugim znajdowali się mężczyźni w wojskowych mundurach, w jeszcze innym też byli dorośli, ale coś notowali, więc Nastia domyśliła się, że nie uczestniczą w terapii, są raczej psychologami, którzy uczą się, jak pracować z grupą. W ostatnim pokoju stały dwa biurka z komputerami, przy których siedziały dwie młode dziewczyny.

Gdy Nastia wyszła z chłodnego, nieco wilgotnego pomieszczenia na ulicę, w twarz buchnął jej lepki, ciężki i gęsty zaduch. Znalazła rozłożyste drzewo i stanęła w cieniu, opierając się o potężny pień. Tamtego dnia Artiom też pewnie tak stał. Panował taki sam upał, a on czekał na Denisa, który poszedł do kolegi po podręcznik. Stał oparty plecami o drzewo i obracał w palcach piłeczkę. A dziesięć metrów od niego siedział Kostia Wiatkin z odtwarzaczem przy pasku i ze słuchawkami na uszach, słuchał Mendelssohna i czekał na ofiarę. Kostia nie mógł opuścić swojego stanowiska, to oczywiste, dlatego poprosił Artioma, żeby ten poszedł po wodę do kiosku. Co za spokojny obrazek... Nastia miała wrażenie, że widzi wszystko na własne oczy. Artiom stoi koło drzewa. Wiatkin siedzi na ławce. W oddali majaczy kiosk, w którym można kupić papierosy, napoje i towary paczkowane. A tutaj szkoda felicia koloru bakłażana. W drzwiach budynku ukazuje się Elena Dudariewa. Podchodzi do samochodu i otwiera drzwi od strony kierowcy. Musi zabrać ze schowka dokumentację budowlaną, od strony pasażera łatwiej to zrobić, ale ona otwiera drzwi z lewej strony, bo z prawej popsuł się zamek, nie można go otworzyć od zewnątrz kluczykiem, Elena wie o tym doskonale, przecież to samochód jej męża, często nim jeździ. Otwiera drzwi i wsiada, by sięgnąć do schowka. Możliwe, że nawet przymyka drzwi, żeby nie zahaczyły o nie przejeżdżające auta. I w tej samej chwili dochodzi do wybuchu.

– Już jestem – dobiegł ją głos tuż obok. – Słucham panią.

Nastia oprzytomniała i zdziwiła się, że tak głęboko pograżyła się w rozmyślaniach. Naprawdę minęło już czterdzieści minut? Wydawało jej się, że najwyżej dziesięć.

– Ma pan na imię Wadim? – zapytała na wszelki wypadek.

– Tak.

– Ja nazywam się Anastazja Pawłowna. Proszę powiedzieć, Wadimie, czy dzieci i nastolatki mogą być zazdrosne?

– Chyba rozumiem. – Wadim się uśmiechnął. – Wychodzi pani ponownie za mąż i nie wie, jak poradzić sobie z dzieckiem, które stało się krnąbrne. Zgadłem?

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie mam dzieci, wyszłam za mąż tylko raz i wierzę, że następnego razu nie będzie. Pamięta pan chłopca, którego spotkał pan na ulicy mniej więcej tydzień temu? Jest wysoki i barczysty. Na imię ma Denis.

– Oczywiście, że pamiętam. Właściwie nie mam zwyczaju zaczepiać ludzi na ulicy, ale on szlochał i wyglądał na nieszczęśliwego... Zrobiło mi się go żal, pomyślałem, że może będę mógł mu jakoś pomóc.

– Denis płakał? – zdziwiła się Nastia.

– I to jak. Ale gdy się rozstawaliśmy, już się uśmiechał.

– Nie powiedział, dlaczego płakał?

– Nie. Nawet go o to nie zapytałem. Byłoby to głupie i nietaktowne z mojej strony. Chłopak jest już na tyle dorosły, że nie będzie rzucał się na szyję pierwszej napotkanej osobie i zwierzał ze swoich kłopotów. Dlaczego pani o niego pyta? Coś się stało?

– Widzi pan, Wadimie... Denis został ranny, przeszedł operację, teraz jest w szpitalu. Lekarz uważają, że jego stan powinien szybko się poprawiać, ale tak się nie dzieje. Są podstawy, by przypuszczać, że chłopak przeżywa silny stres, i dlatego utracił chęć do życia. Mógłby pan mu pomóc?

– Ranny... – powtórzył Wadim z zakłopotaniem. – Ale kto go...? Kumpel?

– A skąd. Ma tylko jednego przyjaciela, to bardzo miły chłopak. Zranił go przestępca. Właściwie Denis sam się wpakował w kłopoty, zrobił coś bardzo głupiego, żeby dobrze wypaść w oczach przyjaciela i odzyskać w ten sposób jego przychylność i szacunek. Odniósł bowiem wrażenie, że przyjaciel się od niego odsuwa i zaczyna interesować innymi, on zaś chce go mieć na wyłączność. W sumie klasyczna zazdrość. Można temu jakoś zaradzić?

– W sytuacji, którą mi pani opisała, będzie raczej trudno. Nasze metody skierowane są do osób uczących się radzić sobie z problemami,

które same potrafią zidentyfikować. Ktoś na przykład wie, że się jąka, i chce się nauczyć mówić płynnie. Ktoś inny wie, że ma kłopoty w nauce albo nie radzi sobie na uczelni czy w pracy. Ktoś widzi, że szybko się męczy, bołą go oczy, nie może się skupić, a tymczasem ma jeszcze dużo do zrobienia. Wie, że brak mu czasu, a musi szybko się czegoś nauczyć albo odzyskać formę fizyczną. Wie, że przed ważnym wydarzeniem dopadnie go biegunka i boi się wyjść z domu. Ale w każdym z tych przypadków delikwent dobrze wie, czego potrzebuje i czego mu brak. Siły, wytrwałości, aprobaty, spokoju i tak dalej. Gdy to wie, nasze metody okazują się skuteczne w stu procentach. Jeśli zaś tego nie wie, potrzeba najpierw psychologa, który nakreśli problem i pomoże go zrozumieć. Dopiero później można przystąpić do usuwania problemu metodą samokontroli.

– Ale przecież problem jest oczywisty. To zazdrość. Więc psycholog chyba nie jest potrzebny.

– Problem jest oczywisty dla pani – zauważył Wadim. – A dla Denisa? Czy chłopak zdaje sobie sprawę, że przeżywa męki zazdrości? Jeśli jest tak, jak pani mówi, może nie chodzi tutaj o utratę zainteresowania życiem. Może Denis chce być jak najdłużej chory, żeby znajdować się w centrum uwagi przyjaciela. Czy on odwiedza Denisa w szpitalu?

– To mało powiedziane. Przesiaduje tam dzień i noc.

– A widzi pani. Póki Denis jest chory, przyjaciel należy wyłącznie do niego. Gdy tylko jego stan się poprawi, wszystko wróci do normy i przyjaciel znowu zacznie się interesować innymi. To bardzo subtelny wybieg psychologiczny, z którym mamy do czynienia znacznie częściej, niż się pani wydaje. Setki tysięcy ludzi wciąż na coś choruje, choć tak naprawdę wszyscy są absolutnie zdrowi, adekwatnie do wieku, rzecz jasna. Nawet sobie nie uświadamiają, że chcą w ten sposób zwrócić uwagę bliskich albo uniknąć podjęcia jakichś decyzji, no bo czego wymagać od chorego? Jeśli zapyta ich pani o to wprost, nie będą wiedzieli, o czym mowa, bo są święcie przekonani, że nękają ich straszliwe choroby. Nie potrafią spojrzeć w głąb siebie i zrozumieć swoich prawdziwych pobudek. Jeżeli jednak zapyta ich pani o bliskich albo ogólnie o życie, zaraz powiedzą, że mają kupę problemów, ale z powodu choroby nie mogą ich rozwiązać, a w dodatku bliscy niezbyt przejmują się ich sytuacją.

– Rozumiem – powiedziała Nastia przygnębiona. – A więc nie może

pan w niczym pomóc?

– Obawiam się, że na tym etapie nie.

– A jeśli zaproponuję panu inny aspekt uczestniczenia w losie Denisa? Proszę mu powiedzieć, że może go pan nauczyć metody samokontroli, dzięki której odzyska zdrowie po operacji i pokaże całemu światu cuda autoterapii? Sądzę, że dostrzeże w tym sposób, by się wyróżnić i przyciągnąć uwagę przyjaciela.

– Niewykluczone – przyznał Wadim. – To niezły pomysł. Zwłaszcza że nasze metody pozwalają na takie rzeczy, ale nie cieszą się wzięciem wśród klientów. Nikt nie przywozi do nas pacjentów po operacji, widocznie nasza oficjalna nazwa zbija z tropu. Wszyscy uważają, że w Centrum Ochrony przed Stresem walczy się tylko ze stresem. Ale jeśli zmienimy nazwę na Centrum Nauki Samokontroli, wtedy w ogóle nikt do nas nie zajrzy. Nazwa będzie niejasna i nie wzbudzi zaufania, prawda?

– Fakt. No to jak, zajmie się pan Denisem?

– Spróbuję. Sukcesu nie gwarantuję, ale warto spróbować.

Nastia zapisała na kartce adres szpitala oraz numer oddziału i sali, gdzie leżał Denis Bażenow. Wadim obiecał, że odwiedzi go jeszcze wieczorem.

Pożegnawszy się z terapeutą, Nastia udała się do drugiego szpitala, tym razem odwiedzić Kławdiję Nikiforownę. Praca wywiadowcy bywa niekiedy całkiem zabawna, myślała, siedząc w pustym trolejbusie i wpatrując się w migające za oknem domy i reklamy. Nie ma ani zasadzek, ani nocnego czuwania i oczekiwania na czyjeś przybycie, ani niełatwych poszukiwań czy strzelanin. Są za to przejazdy od szpitala do szpitala i odwiedziny zupełnie nieznanym osobom. Bez żadnego ryzyka, a nawet bez widocznego napięcia. To jednak też walka o informacje. Czasami nazywana smykałką operacyjną.

W odróżnieniu od młodego i pełnego sił Denisa Kławdija Nikiforowna była najwyraźniej mocno zdeterminowana, by wyzdrowieć. Już wieczorem tamtego dnia, gdy zabrało ją pogotowie, wyglądała rześko i dopisywał jej humor.

– Nigdy nie daję za wygraną – oznajmiła Nastii w zaufaniu. – Taki atak to najwyżej dwa, trzy dni, w dodatku tylko wtedy, gdy trafię na bojaźliwych lekarzy. Niektórzy wypisują mnie już nazajutrz. Przywiozła pani moje rzeczy?

– Tak. Ale to nie ja, niestety, byłam w pani mieszkaniu.

– A kto?

– Siergiej Zarubin. Powinna go pani pamiętać, rozmawiał z panią.

– Sieriożenka? Pamiętam, a jakże, miły chłopak. Niech mu Bóg da zdrowie i dobrą narzeczoną. Ale dlaczego powiedziała pani „niestety”? – zapytała niespokojnie Romanowa. – Pewno coś rozbił albo zepsuł, tak?

– Nie, skąd znowu, proszę się nie martwić. – Nastia się roześmiała. – Wszystko jest w całkowitym porządku. Po prostu Sierioża wziął dla pani niewłaściwe kremy. Teraz jest lato, upał, potrzebne są kremy nawilżające, takie, które nie zatykają porów, a on wziął tłuste. Ale czego wymagać od mężczyzn?! Oni się na tym w ogóle nie znają. No bo nigdy nie uwierzę, że taka elegancka kobieta jak pani nie ma na półce żelu odmładzającego albo kremu przeciw zmarszczkom. Na miejscu Sierioży przywozłabym właśnie te kosmetyki. On jest jednak jeszcze bardzo młody...

Nastia przyciskała Romanową, patrząc na nią natarczywie swoimi szczerymi, jasnymi oczami i uśmiechając się przy tym łagodnie i porozumiewawczo, jakby mówiła: „Obie zjadłyśmy na tym zęby, więc doskonale wiemy, jak dbać o twarz. Ci, którzy tego nie wiedzą, powinni się zwyczajnie wstydzić”. Plotła o lekkich i tłustych kremach, chociaż nie była pewna swoich słów, liczyła jednak na to, że zdecydowany ton zrobi swoje. I okazało się, że miała rację.

– Ojej, co mam teraz zrobić? – Kłwdija Nikiforowna zdenerwowała się, jakby to była sprawa życia i śmierci. – To prawda, że chłopak wybrał niewłaściwe kremy. Co ja teraz pocznę?

Nastia milczała, ale zrobiła współczującą minę i kiwała głową życzliwie, jakby podzielała wzburzenie rozmówczyni wywołane katastrofą kosmetyczną.

– A pani mieszka daleko stąd? – zapytała Romanowa, najwyraźniej podjąwszy jakąś decyzję.

– Nie, rzut kamieniem. To dlatego Sierioża poprosił akurat mnie, żebym przywozła pani rzeczy.

– A klucze od mieszkania zostały u niego?

– Nie, proszę, oto one, oddaję je pani.

– Tak się zastanawiam, dziecko, może pojechałabyś do mnie? – zapytała nagle Kłwdija Nikiforowna żalonym głosem. – W łazience mam dobry krem, francuski, przeciw zmarszczkom. Trzeba się nim

codziennie smarować, inaczej nie będzie efektu. Zgódź się, gołąbeczko, będę ci bardzo wdzięczna.

Romanowa wpadła w zastawione sidła, Nastia nawet się nie spodziewała, że sprawa okaże się tak prosta. Wystarczyło tylko dać jej do zrozumienia, że młode pokolenie uważa ją za swoją, a ona od razu zapragnęła dotrzymać mu kroku.

Nastia ostentacyjnie popatrzyła na zegarek i pokręciła głową w zadumie.

– Sama nie wiem... Gdzie pani mieszka?

Romanowa podała adres. Nastia jeszcze przez chwilę milczała, udając, że się zastanawia, później westchnęła.

– Dobrze, pojedę. Ale dzisiaj już nie przywiozę kremu, nie zdążę. Jutro rano, dobrze? Sądzę, że jeśli tylko raz go pani nie użyje, nic strasznego się nie stanie.

– Oj, dziękuję ci, gołąbeczko, bardzo dziękuję! – zawołała Romanowa.

– Ratujesz mi życie.

Po wyjściu ze szpitala Nastia od razu odszukała budkę telefoniczną i wysłała Zarubinowi wiadomość na pager: „Za pół godziny będę u Romanowej. Przyjedź, jeśli możesz”.



Weszli do mieszkania razem. Po cichu otworzyli drzwi i równie bezgłośnie zamknęli je za sobą. Ciekawskich sąsiadów nie brakuje, zaraz zaczną gadać, że obcy ludzie odwiedzają Romanową, w dodatku przychodzą we dwoje. To niepotrzebne. Siergiej od razu ruszył dalej, a Nastia została w przedpokoju.

– Zaraz podniosę pokrywę tapczanu, a ty mi powiedz, czy słychać w przedpokoju – zapowiedział Zarubin.

– Dobrze.

Chwilę później rozległo się przeraźliwe skrzypienie.

– Słychać – skonstatowała Nastia. – I to bardzo.

– A teraz idź do kuchni i posłuchaj stamtąd.

W kuchni też było słychać, w dodatku całkiem wyraźnie. Nic dziwnego, w końcu dom jest z wielkiej płyty! Ściany są cienkie i przepuszczają wszystkie dźwięki.

– Dobrze, teraz posłuchaj w łazience – poprosił wywiadowca.

W łazience słyhać było trochę gorzej, jeśli zamknąć drzwi, ale i tak dźwięk dolatywał. Do kanapy właścicielki można było zajrzeć bez jej wiedzy tylko w sytuacji, gdy w toalecie spuszczano wodę, a w pokoju był włączony telewizor.

– Weźmiemy to pod uwagę. – Zarubin kiwnął głową z satysfakcją. – Jeśli znajdziemy tego, kto to zrobił, podczas przesłuchania można go będzie zagiąć znajomością szczegółów. Nie sądzisz? Ktoś mu na przykład powie: „W pokoju był włączony telewizor... Zaczekał pan, aż Kławdija Nikiforowna pójdzie do toalety, i w chwili, gdy spuszczała wodę...”. Zobaczysz, gość zrobi się blady ze strachu.

– Może to kobieta – zauważyła Nastia z roztargnieniem.

– Skąd ten pomysł?

– A kto powiedział, że musi to być koniecznie mężczyzna?

– Słusznie. Zobacz, tutaj jest zdjęcie, schowane wśród nowych rzeczy.

Przez chwilę Nastia obracała zdjęcie w rękach. To rzeczywiście Dudariew. Sfotografowany z profilu, nawet w trzech czwartych, blizna na policzku pod uchem jest wyraźnie widoczna. Nastia poczuła niepokój. Początkowo nie wiedziała, skąd się wziął. Odłożyła zdjęcie na stół i przeszła się po mieszkaniu. Gdzieś tutaj niepokój ogarnął ją po raz pierwszy, ale nie zwróciła uwagi, ale teraz, przyjrząwszy się fotografii, poczuła go bardzo wyraźnie... Gdzieś tutaj...

Wyszła do przedpokoju. No tak! Właśnie tutaj. Oczywiście.

– Sierioża, chodź tutaj – zawołała.

Zarubin zjawił się w przedpokoju i rozejrzał ze zdziwieniem.

– Co znalazłaś? Nic nie widzę.

– Popatrz przez wizjer.

Siergiej przywarł do drzwi.

– I co niby mam zobaczyć?

– Nic. Popatrz uważnie.

– Nie rozumiem, czego chcesz, Nastiu. Patrę przez wizjer i nic.

– Co widzisz?

– Drzwi.

– Jakie?

– Do sąsiedniego mieszkania, które zajmował Wiatkin.

– Zgadza się. A teraz popatrz na zdjęcie Dudariewa.

Siergiej wrócił do pokoju, chwilę później stanął ponownie przy drzwiach, tym razem ze zdjęciem w rękach.

– Patrzą. Ale nadal nie rozumiem.

– Blizna, Sierioża. Dudariew ma bliznę z lewej strony. A przez wizjer można zobaczyć tylko prawy profil osoby, która dzwoni do mieszkania Wiatkina. Skoro nasza Kławdija Nikiforowna twierdzi, że widziała tego mężczyznę trzy razy i zawsze w chwili, gdy dzwonił albo wchodził do mieszkania numer sześćdziesiąt osiem, to mogła widzieć tylko jego prawy policzek. Na pewno nie lewy.

– A może widziała Dudariewa, gdy wychodził? – zasugerował Siergiej.

– Zastanówmy się. Gdy ktoś wychodzi z windy, w mieszkaniu słychać dźwięk otwieranych drzwi. Ogarnięta ciekawością Kławdija Nikiforowna pędzi do przedpokoju i przywiera do wizjera. W tym samym czasie przybysz zatrzymuje się pod drzwiami, naciska przycisk dzwonka i stoi nieruchomo, aż mu ktoś otworzy. W tej sytuacji można dojrzeć detale twarzy, oczywiście pod warunkiem że ma się dobry wzrok. Wizjer Romanowej jest wysokiej jakości. Zgodzisz się ze mną?

– Tak.

– Idźmy dalej. Trzaskają drzwi sąsiedniego mieszkania, Kławdija Nikiforowna znowu biegnie zobaczyć, kto wyszedł od naszego Kostii. Ale nie ma skrzydeł, w najlepszym razie traci trzy, cztery sekundy. W tym czasie wydarza się, co następuje. Przybysz albo decyduje się zejść po schodach, wtedy dociera do stopni w ciągu owych paru sekund i Romanowa nie widzi go przez wizjer, albo, to druga możliwość, postanawia zjechać windą. Wtedy ją przywołuje i stoi. Odwrócony znowu prawym profilem do drzwi babci Kławy, bo winda znajduje się po tej samej stronie co drzwi mieszkania Wiatkina. Są inne możliwości? Zaproponuj, to je rozważymy.

– Dlaczego uznałaś, że mężczyzna stoi koniecznie przodem do windy?

– zaproponował Zarubin. – Może stał tyłem. Wtedy musiał być zwrócony lewym profilem do Romanowej.

– Sierioża, często zdarzało ci się widywać ludzi, którzy przywołują windę i stają do niej tyłem?

– A licho wie, nie zwracałem uwagi – przyznał Siergiej. – Ale jeśli można stać przodem do drzwi windy, to zgodnie z teorią prawdopodobieństwa można też stać tyłem.

– To zgodnie z teorią prawdopodobieństwa. Tymczasem psychologia mówi coś innego. Taki fenomen, rozumiesz? Na razie nikt go dokładnie nie wyjaśnił, ale faktem jest, że tylko jedna osoba na tysiąc staje tyłem

do windy. To się zdarza niezwykle rzadko. Ale ponieważ rzadko to jednak rzadko, a nie nigdy, przyjmijmy, że mamy jeszcze szansę, by znaleźć usprawiedliwienie dla starszej pani. Może rzeczywiście udało jej się zobaczyć Dudariewa z lewej strony. Przeszukajmy teraz papiery i zmywajmy się stąd. Aha, żebym tylko nie zapomniała kremu, muszę przecież wytłumaczyć jakoś swój pobyt w obcym mieszkaniu.

Pół godziny później Nastia i Zarubin opuścili lokum zagadkowej emerytki. Ruszyli po schodach, żeby w oczekiwaniu na windę nie natknąć się na jakiegoś sąsiada. Nie dotarli jeszcze do parteru, gdy rozległ się pisk pagera przypiętego do paska od spodni Siergieja.

– To Gmyria – burknął ze złością. – Czego może chcieć o dziesiątej wieczorem?

– Zadzwoń. Od razu zameldujesz o babci Kławie.

– Sądzisz, że mógłbym wrócić do mieszkania i zadzwonić stamtąd? – zapytał niepewnie. – To głupota szukać automatu, gdy pod ręką jest telefon stacjonarny.

– Wróc – orzekła Nastia. – Nie ma w tym nic złego. Nie jesteśmy przecież złodziejami. Biegnij, zaczekam na ulicy.

Zeszła na dół i z przyjemnością sięgnęła po papierosa. Już dawno miała ochotę zapalić, ale w mieszkaniu Romanowej nie wypadało tego robić.

Wieczór nie przyniósł spodziewanego ochłodzenia, nie było najłżejszego podmuchu wiatru. Wydawało się, że powietrze znieruchomioło i już nigdy nie drgnie ani o milimetr. Ani nie ostygnie. W takim skwarze nawet komary gdzieś się chowają, pomyślała Nastia. Nie do wiary, jest środek lata, a żaden jeszcze ani razu mnie nie ugryzł. Pewnie one też, niebożęta, nie mają siły latać i wysysać krwi. Ale dlaczego „też”? Ludzie, o dziwo, znajdują w sobie siły, by zabijać. Nic nie może powstrzymać zwierza noszącego miano człowieka, nawet męczący upał nie odbierze mu ochoty na mord. Jak powiedziała dzisiaj Romanowa, nigdy nie dajemy za wygraną. To święta prawda.

Trzasnęły drzwi prowadzące na klatkę schodową, zjawił się Zarubin. Twarz miał poważną i zatroskaną.

– No i co, zameldowałaś? – zapytała Nastia. – Gmyria nas pochwalił? Czy może się zdenerwował, że starsza pani okazała się oszustką i Dudariew nie odwiedzał Wiatkina?

– Zdenerwował się. Ale z innego powodu.

- Co znowu? – Nastia się zaniepokoiła.
 - Mamy trupa, Nastazjo. Może się, oczywiście, zdarzyć, że nie będzie nasz, ale to raczej wątpliwe.
 - Kto? – zapytała ochryple.
- Ogarnęły ją niepewność i lęk.
- Chramow. Adwokat, którego wynajął Dudariew.

[\[9\]](#) UWD (Uprawlenije wnutriennich dieł) – Urząd Spraw Wewnętrznych.

[\[10\]](#) DEZ (Direkcija po eksploatacii zdaniij) – administracja domów mieszkalnych.

Rozdział 11

Kola Siełujanow strzegł jak źrenicy oka takich ludzi jak Iwan Fiodorowicz Bułhakow. Mężczyzna współpracował z nim nie z obawy przed kompromitującymi materiałami i nie dla żalosnych kopiejek, które wypłacano konfidentowi za regularne dostarczanie mniej lub bardziej cennych informacji, ale wyłącznie z miłości do sztuki. W dodatku sztuki przez duże S. A wszystko dlatego, że przez całe życie marzył, by zostać aktorem. Ale marzenia nie zawsze przystają do szarej rzeczywistości i w odległym pięćdziesiątym siódmym roku, po ukończeniu przyśpieszonego kursu szkoły średniej i odbyciu służby wojskowej, Iwan Fiodorowicz nie został przyjęty do instytutu teatralnego. Odrzucono go już na pierwszym etapie, uprzejmie informując, że abiturient Bułhakow powinien spróbować swoich sił na innym polu. Nie przypasował, krótko mówiąc. Okazało się, że ma nie dość talentu.

Jak to się jednak często zdarza, komisja egzaminacyjna nie ustrzegła się błędu. Iwan Bułhakow miał niewątpliwie talent, i to niemały. Tyle że w chwili ubiegania się o przyjęcie na studia zabrakło mu najwyraźniej praktyki. A przynajmniej występów w jakimś kółku amatorskim. Urażony Iwan złożył papiery do instytutu pedagogicznego i został przyjęty z otwartymi ramionami, bo jak wiadomo, idą tam same dziewczęta i każdy przedstawiciel płci męskiej jest na wagę złota. W dodatku szkoły średnie cierpiały (i cierpią do dziś) na niedostatek mężczyzn nauczycieli. Po otrzymaniu dyplomu nauczyciela języka rosyjskiego i literatury Iwan Fiodorowicz udał się do jednej z moskiewskich szkół, żeby wcielić w życie swoje idee, a jednocześnie marzenia o teatrze. Już rok później zorganizował szkolny teatr poezji i przez dwadzieścia lat z hakiem, aż do chwili przejścia na emeryturę, pełnił funkcję jego kierownika i reżysera, nierzadko występował też

jako aktor. Teatr zyskał sławę w okolicy, a później w mieście, stale zdobywał nagrody i dyplomy na festiwalach oraz przeglądach. Udział w pracach teatru uważano za przywilej, a ponieważ Iwan Fiorodowicz stawiał aktorom bezwzględny wymóg otrzymywania dobrych ocen, twierdząc, że trójkowicz nie może tracić czasu na próby, lecz powinien siedzieć nad książkami, to poziom nauczania był wręcz znakomity.

Uczniowie są jednak tylko uczniami, nawet w najcudowniejszej szkole nie wszyscy stanowią wzór cnót. Trafiają się wśród nich i dwójkowicze, i chuligani, i nieletni przestępcy. Pod koniec lat sześćdziesiątych doszło do kolejnego CzP^[11], milicja zatrzymała trzech smarkaczy z dziewiątej klasy, którzy trudnili się kradzieżą torebek. Zaczęli od dobrze sobie znanego pokoju nauczycielskiego, a później rozszerzyli zakres działalności, obejmując nią inne urzędy, na przykład przychodnie czy ubezpieczalnie. Nawiązawszy kontakt z milicją, Iwan Fiodorowicz poczuł nagle ciężar odpowiedzialności pedagogicznej za uczniów i obiecał sobie, że odtąd będzie uważniej obserwował swoich wychowanków i wypatrywał w ich zachowaniu rodzących się oznak nikczemności. Niebawem nadarzyła się okazja i gdy na przegubie dziesiątoklasisty z ubogiej rodziny pojawił się drogi zegarek, Bułhakow niezwłocznie stawiał się w komisariacie, żeby omówić ów zagadkowy fakt. Stróże prawa należycie ocenili entuzjazm Iwana Fiodorowicza, podziękowali mu i poprosili, żeby kontynuował swoją działalność. Dziesiątoklasista, na szczęście, nie poniósł żadnych konsekwencji, bo wyjaśniło się, że kupił zegarek za bezcen w jakiejś bramie. Ale ponieważ rzecz okazała się kradziona, dzięki czujności nauczyciela namierzono paserów, a nawet paru złodziejasków.

Kolejny etap nastąpił jakieś dwa lata później, gdy milicjant z miejscowego komisariatu sam poprosił Bułhakowa o pomoc. Należało sprawdzić pogłoskę o nieuczciwości pracownicy szkolnego bufetu, która bezczelnie oszukiwała uczniów na wadze i w rachunkach, w związku z czym należało dokonać zakupu kontrolowanego. On zaś rządzi się szczególnymi prawami. Na przykład specjalnie podstawieni klienci muszą kupić parę rzeczy, a nie tylko jakieś parówki, a po uiszczeniu należności powinni pod byle pretekstem pozostać przy ladzie i nie pakować zakupów. Reszty też nie powinni wkładać do portfela, niech leży tam, gdzie ją położył sprzedawca. Klient może udawać, że szuka czegoś w torbie, do której zamierza spakować to, co

kupił. Może się wdać w rozmowę ze znajomymi. Może wymyślić cokolwiek, byle tylko nie przerwać zakupu. Musi jednak wyglądać naturalnie, żeby nie wzbudzić niepokoju sprzedawcy. Iwan Fiodorowicz chętnie zgodził się odegrać rolę klienta i zrobił to z takim zaangażowaniem i wirtuozerią, że milicjantom zaparło dech z wrażenia. Niedługo potem zwrócili się do niego ponownie i poprosili, żeby wykorzystał swój talent już w poważniejszym celu. Miał poznać młodą kobietę z sąsiedztwa i wyciągnąć od niej pewne informacje. No i oczywiście wyciągnął.

Dalej poszło jak po maśle. Bułhakow bez trudu wcielał się w różne postaci, zdobywał zaufanie, słuchał i zapamiętywał, nigdy niczego nie zapominał i nie mylił. Jego zdolności aktorskie rozkwitły i przynosiły pożytek, czuł się więc szczęśliwy.

Z milicjantem, który pierwszy sięgnął po jego pomoc, współpracował ponad piętnaście lat, póki tamten nie przeszedł na emeryturę. Za zgodą Iwana Fiodorowicza „przekazano” go innemu wywiadowcy, a później następnemu. Czwartym z kolei kuratorem okazał się Siełujanow, który od razu docenił i samego Bułhakowa, i jego możliwości. Chuchał i dmuchał na niemłodego już mężczyznę, współdziałającego z milicją, jak określano w oficjalnych dokumentach, na zasadach współpracy niejawnej.

Tym razem zadanie, które otrzymał Iwan Fiodorowicz, wydało mu się nietrudne. Miał pokręcić się wśród osób znających Kławdiję Nikiforownę Romanową i zebrać o niej jak najwięcej informacji. Przystojny starszy pan z włosami oprószonymi siwizną, będący doświadczonym pedagogiem i znawcą poezji rosyjskiej, z łatwością nakłaniał do mówienia każdego bez wyjątku: emerytkę, młodą mamusię z wózkiem, statecznego mężczyznę w podeszłym wieku czy małolata. Ze wszystkimi potrafił znaleźć wspólny język.



Anatolij Leonidowicz Chramow został zabity we własnym mieszkaniu. Znalazła go żona, gdy wróciła z letniska. Lekarz medycyny sądowej, który przyjechał razem z grupą dyżurną, stwierdził, że śmierć nastąpiła dziesięć, najdalej dwanaście godzin wcześniej, to znaczy między jedenastą a trzynastą. Przyczyna śmierci: asfiksja na skutek uduszenia

cienkim, mocnym sznurem.

– No i co, mądrale? – burknął Gmyria gniewnie, gdy Nastia i Zarubin przybiegli na miejsce zdarzenia. – Ruszcie głowami, bo sam nie zamierzam się męczyć. Dudariewa od razu skreślamy, od dziesiątej siedział w moim pokoju, później wysłałem go na dołek.

– A dlaczego od razu Dudariew? – zdziwiła się Nastia. – Tak bardzo go pan nie lubi, że gotów jest przypisać mu wszystkie zbrodnie w okolicy. Po co miałby zabijać własnego adwokata?

– A po to, bystra i litościwa pani detektyw, że Chramow zrezygnował z prowadzenia jego sprawy.

– Jak to zrezygnował?

– Tak to. Zrezygnował. Poinformowała mnie o tym *madame* Jermiłowa w rozmowie telefonicznej, którą zdażyłem z nią przeprowadzić, gdy przetrząsaliście mieszkanie Romanowej. Pan Chramow, niech mu ziemia lekka będzie, chciał sobie zrobić co najmniej dwumiesięczne wczasy, w związku z czym oznajmił Dudariewowi i Jermiłowej, że nie będzie się zajmował jego obroną... No a pan Dudariew nie dalej jak wczoraj rano zademonstrował nam wszystkim, że zupełnie nie potrafi nad sobą panować, zachowuje się jak wariat i od razu bierze się do rękoczynów. Omal nie wykończył naszej babci w moim gabinecie. Dlatego pierwszą i oczywistą myślą, która przychodzi do głowy takiemu śledczemu jak ja, jest to, że zabójstwo popełnił Dudariew. Szkoda, że ma alibi, którego nawet ja nie mogę zakwestionować. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że lekarz się pomylił i śmierć nastąpiła przed dziesiątą rano. Idź, Nastazjo, i porozmawiaj z żoną Chramowa, jest w pokoju obok i dochodzi do siebie. Jeszcze nie udało mi się jej przesłuchać, bo jest całkiem roztrzęsiona.

– Dobrze. – Nastia skinęła głową. – Spróbuję. Ale jeśli chodzi o lekarza sądowego, to chciałam powiedzieć...

– No?

– Od dłuższego czasu panuje upał. Procesy biologiczne zachodzą szybciej. Więc nawet jeśli lekarz się pomylił, to raczej zwiększył, a nie zmniejszył, przypuszczalny przedział czasowy zgonu. Chramow mógł zginąć grubo po dwunastej, ale na pewno nie wcześniej.

– Cóż za przenikliwość – odparował Gmyria. – Ruszaj wykonać zadanie.

Żona Anatolija Chramowa, a teraz już wdowa po nim, wyglądała rzeczywiście kiepsko, ale usiłowała wziąć się w garść. Przystojna młoda kobieta miała twarz pobladłą z przerażenia i na skutek niewydolności serca wywołanej szokiem.

– Tola pracował kiedyś w milicji, więc wiem, że musicie mnie przesłuchać – powiedziała przez łzy. – Proszę nie zwracać uwagi na to, że płaczę. Nie mogę się powstrzymać...

Nastia szczerze jej współczuła. Kobieta była młoda i ładna, jeszcze wczoraj wieczorem, dzisiaj rano, a nawet dzisiaj przed południem, zanim wróciła do domu, postrzegała życie zupełnie inaczej. Miała kochającego męża, oboje byli młodzi, pełni sił i chęci do życia, no i pewnie szczęśliwi. I nagle w jednej chwili wszystko się zawaliło. Nie ma już męża, sił, chęci do życia ani szczęścia. Nastia postanowiła nie przechodzić od razu do rzeczy, ale porozmawiać na inny temat, który pozwoliłby Chramowej ochłonąć i zaakceptować konieczność odpowiadania na pytania.

– Zamierzali państwo wyjechać na urlop? – zapytała łagodnie.

– My... Tak, w październiku... Planowaliśmy pojechać do Hiszpanii.

Kobieta się rozszlochała. Nastia już chciała powiedzieć coś uspokajającego, ale nagle coś ją tknęło. Jak to w październiku do Hiszpanii? Dlaczego w październiku? W takim razie dokąd Chramow zamierzał wyjechać już teraz? Musiała to być jakaś ważna i pilna podróż, skoro z tego powodu rozwiązał umowę z klientem.

– A gdzie Anatolij Leonidowicz zamierzał wyjechać w najbliższych dniach? – zapytała.

– Nigdzie.

– Jest pani pewna? Może wspominał o tym, ale pani zapomniała?

– O niczym nie wspominał. – Chramowa chlipnęła i wytarła twarz zaciśniętą w ręce chusteczką. – Nie wybierał się w żadną podróż. Nie zjawiał się nawet na lotnisku, miał dużo pracy.

Bardzo ciekawe! Jest też jednak inna hipoteza. Skoro żona przez parę dni nie przyjeżdża do Moskwy, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby gdzieś wyskoczyć i wrócić, o niczym jej nie informując. Inna sprawa, że z powodu krótkiego wypadu nie ma sensu rezygnować z klienta. Ale Jermiłowa mówiła coś o dwóch miesiącach, nie o paru dniach. Chyba że... Chyba że sama podróż rozwiąże jakąś ważną kwestię i nie będzie już konieczności powrotu do praktyki adwokackiej. Albo takiej

możliwości...

– Natalio Siergiejewna, czy pani mąż nie wspominał o zmianie pracy?
– zapytała delikatnie.

– Nie pamiętam.

– Może dostał jakąś ciekawą propozycję, na przykład związaną z waszym wyjazdem za granicę. Nie?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. – Chramowa pokręciła głową.

– Jest pani pewna, że orientuje się w sprawach męża? Może miał przed panią jakieś tajemnice?

– Oczywiście, że miał. Był przecież adwokatem, sama więc pani rozumie... Bardzo poważnie traktował swoich klientów, nigdy nie opowiadał o ich sprawach nikomu, nawet mnie.

– Nie czuła się pani dotknięta?

– Ależ skąd... Przecież pracował w milicji, już pani mówiłam. Wtedy właśnie mi wpoił, że ma tajemnice zawodowe, o które nie powinnam wypytywać. Jesteśmy małżeństwem od bardzo dawna. Tola uczył się jeszcze w szkole milicyjnej, a ja byłam na drugim roku studiów. Od ósmej klasy wiedzieliśmy, że będziemy razem, czekaliśmy tylko, aż osiągniemy odpowiedni wiek. W tym roku mieliśmy świętować piętnastą rocznicę ślubu. Z tej okazji w październiku wybieraliśmy się do Hiszpanii...

Znowu się rozplakała, tym razem nie tak rozpaczliwie jak przedtem, ale gorzko. Patrząc na szlochającą kobietę, Nastia zastanawiała się nad tym, jak podobne, a zarazem niepodobne bywają ludzkie losy. Ona i Czistiakow są razem od dziewiątej klasy, a pobrali się dopiero trzy lata temu. Potrzebowali prawie dwudziestu lat, by zrozumieć, że powinni być razem. Gdyby się pobrali tak jak Chramowowie, w wieku osiemnastu lat, w tym roku świętowaliby dwudziestolecie ślubu. Ale zwlekali, póki nie skończyli trzydziestu pięciu lat. Nagle Nastię ogarnął strach. Wyobraziła sobie, że na skutek czyjejś złej woli Loszka zostaje pozbawiony życia. Tym samym usunięty z życia jej, Nastii. Mimo że w pracy niemal codziennie spotykała się ze śmiercią, nigdy nie przychodziło jej do głowy, że coś podobnego może się przydarzyć również jej. A przecież to możliwe. Nikt nie ma monopolu na szczęście, nawet najwięksi poczciwcy i farciarze. Można zrezygnować z niebezpiecznej pracy i zadbać o własne bezpieczeństwo, nie rozmawiać z podejrzanymi osobnikami, nie wchodzić do windy

z nieznajomymi, nie zapraszać do domu obcych, ale to i tak nie wystarczy. Ktoś zapragnie kogoś zabić, a na linii ognia znajdzie się przypadkowy przechodzień. Nie ma w przyrodzie takiego prawa, które by gwarantowało, że owym przypadkowym przechodniem nie może zostać bliska ci osoba. Skoro owo prawo nie istnieje, wszystko może się zdarzyć. Nie mówiąc już o pijanych albo odurzonych kierowcach, zjeżdżających na przeciwległy pas.

– Proszę nie płakać – poprosiła cicho. – Porozmawiajmy jeszcze o pani mężu. Muszę się dowiedzieć o nim jak najwięcej, żeby szybko nakreślić właściwy kierunek poszukiwań zabójcy. Rozumie pani?

Chramowa w milczeniu skinęła głową i znowu podniosła do twarzy zmiętą i całkiem moką chusteczkę.

– Niech pani pyta.

– Czy nikt nie groził Anatolijowi Leonidowiczowi?

– Nie wiem. Nie mówił mi o tym. Nie chciał, żebym się niepotrzebnie nie denerwowała.

– Miał długi?

– Długi? – Chramowa najwyraźniej się zdziwiła. – Nie. Nie narzekamy na brak pieniędzy, przyzwyczailiśmy się żyć skromnie.

– Może pani mąż grywał w kasynie?

– Skąd, ani razu tam nie był.

– Natalio Siergiejewna, nie chciałabym, żeby mnie pani źle zrozumiała, ale... Całe lato spędza pani na lotnisku, tymczasem Anatolij Leonidowicz przebywa w mieście. Dlaczego? Dlaczego nie byliście razem?

– Jest mi... Ja... – Chramowa się zawahała. – Jest mi ciężko w mieście w taki upał. Nie powinnam... to duży wysiłek...

Boże, ona jest w ciąży! – pomyślała Nastia. No oczywiście, że też od razu na to nie wpadłam! To dlatego, że siedzi, więc nie zwróciłam uwagi na figurę. A może termin rozwiązania jest odległy i niczego jeszcze nie widać. Chramowa ma rację, to nie najlepszy pomysł, żeby przebywać teraz w dusznych, rozpalonych murach.

– Spodziewa się pani dziecka? – zapytała na wszelki wypadek.

– Tak. Jestem w trzecim miesiącu. Parę razy poroniłam, więc uznaliśmy z Tolą, że nie będziemy ryzykować i od początku podejmiemy środki ostrożności. Nawet zwolniłam się z pracy, żeby nie tłuc się kolejką podmiejską każdego dnia. Mieszkałam na lotnisku

z babcią Toli, tam są sosny, jezioro i zdrowe powietrze.

– A po co przyjechała pani dzisiaj do miasta?

Chramowa podniosła na Nastię zbolące oczy, usta jej zadrżały.

– Stęskniłam się za Tolą. Aż mi się serce ścisnęło... Czułam, że umrę, jeśli go nie zobaczę. Myślałam, że to z miłości. Teraz wiem, że chodziło o coś innego.

Nastia wróciła do pokoju, w którym Gmyria dyrygował oględzinami.

– ...ceramiczna popielniczka, w której znajduje się... dwanaście niedopałków papierosów marki Camel Special Lights. Plastikowa butelka dwulitrowej objętości z etykietą „Wiera”, wypełniona przezroczystym płynem do wysokości... Kto buchnął linijkę? Oddawaj ją, draniu... Do wysokości dwóch i trzech dziesiątych centymetra... Tak, jedziemy dalej. Obok popielniczki i butelki szklanka z resztką przezroczystego płynu na dnie... Jeszcze jedna szklanka po drugiej stronie stołu, na oko sucha i czysta, bez widocznych odcisków palców czy ust.

Gmyria nie zwrócił uwagi na Nastię, która przekradła się na palcach do kuchni. Było tutaj czysto, spokojnie i chłodno. Na stole stała tylko butelka wody Wiera. Opróżniona do połowy. A w pokoju znajdowała się prawie pusta butelka i dwie szklanki. Wszystko jasne. Chramow miał gościa i jako kulturalny gospodarz umieścił na stole dwie szklanki oraz nienapoczętą butelkę wody. Gość jednak nie pił, widocznie nie czuł pragnienia, dlatego jego szklanka pozostała sucha i czysta. A więc podczas wizyty Chramow wypił prawie dwa litry wody? Na to wygląda. Biedak!

Nastia szybko ruszyła do pokoju, w którym siedziała niepokieszona wdowa.

– Natalio Siergiejewna, czy pani mąż palił?

– Słucham? – Chramowa posłała jej zdezorientowane spojrzenie, jakby zapomniała, kim jest ta kobieta i co tutaj robi. – O co pani pytała?

– Czy pani mąż palił? – powtórzyła Nastia cierpliwie.

– Prawie wcale... Tylko w towarzystwie, podczas imprezy, wypalał dwa, trzy papierosy. I gdy się denerwował.

– Jakie papierosy palił?

– Lekkie. Ktoś mu przywoził camele, prawdziwe, nielicencjonowane.

– Przypomina pani sobie przypadek, kiedy Anatolij Leonidowicz

wypalił ponad dziesięć papierosów w krótkim czasie?

– W krótkim? To znaczy w jakim?

– Na przykład w ciągu dwóch godzin.

– Co też pani mówi! Nigdy czegoś takiego nie widziałam. To znaczy podczas pracy w wydziale kryminalnym palił, oczywiście, dużo, zwłaszcza gdy siedział w domu i czekał, aż ktoś przyjdzie albo zadzwoni. Wtedy odpalał jednego papierosa od drugiego i bez przerwy kopał. Bardzo się denerwował w takich sytuacjach, nerwy miał napięte jak postronki. Ale przez ostatnie dwa lata palił naprawdę niedużo. Jedna paczka wystarczała mu na tydzień, a nawet na dłużej.

Robi się coraz ciekawiej! Dwanaście papierosów i dwa litry wody jednego pięknego poranka. Na kogo Anatolij Leonidowicz czekał w tak straszliwym napięciu? I kto go w końcu odwiedził? Z czyjego powodu okropnie się denerwował podczas rozmowy? Wiadomo już, że nie był to przyjaciel ani klient. A więc kto?

Nastia znowu skierowała się do pokoju, w którym pracowała grupa, podeszła do stołu i nachyliła się nad popielniczką. Wszystkie niedopałki, w liczbie dwunastu, wyglądały jak bracia bliźniacy. To zupełnie oczywiste, że gasiła je ta sama ręka jednakowym, rutynowym gestem. Przestępca mógł, oczywiście, być na tyle sprytny, że palił papierosy z paczki gospodarza i gasił je w ten sam sposób co on, ale to daremny trud, bo ekspertyza i tak pokaże, do kogo należy ślina na niedopałkach: tylko do Chramowa czy do kogoś jeszcze.

– Kamieńska, pomóż z papierami – polecił Gmyria.

Podczas gdy Siergiej Zarubin i Kola Siełujanow obchodzili sąsiadów w nadziei, że znajdą kogoś, kto widział i mógłby opisać porannego gościa Chramowa, Nastia wyjmowała teczki i dokumenty z biurka. Zbliżała się już północ, gdy nagle do niej dotarło, że nie uprzedziła męża. Loszka pewnie dzwoni do niej co dziesięć minut z Żukowskiego i szaleje z niepokoju. Po nieprzyjemnej historii z młodziutką Juleczką przez dwa dni przyjeżdżał na noc do Moskwy i wrócił do rodziców dopiero wtedy, gdy uznał, że Nastia się uspokoiła. Ciekawe, pomyślała, co go bardziej niepokoi: to, że coś mi się stało, czy to, że zabawiam się z innym mężczyzną.

– Borisie Witaljewiczu, muszę zadzwonić – oznajmiła Gmyri.

– To coś pilnego?

– Bardzo. Nie uprzedziłam męża, że pojechałam na miejsce zdarzenia.

Chyba pan wie, że zazdrość to najbardziej destrukcyjne uczucie. Po co mam go niepotrzebnie stresować?

– Najbardziej destrukcyjnym uczuciem, Kamieńska, jest zawiść – rzekł Gmyria pouczającym tonem. – Zapytaj Musina o pozwolenie. Jeśli skończył już z aparatem telefonicznym, to dzwoń.

Ekspert Musin pozwolił jej zadzwonić.

– Tylko się nie pobrudź – ostrzegł. – Aparat jest cały w proszku, zdejmowałem odciski palców.

– A już myślałem, że uciekłaś z wędrownym aktorem – powiedział z ulgą Czistiakow, słysząc jej głos.

– I ucieszyłeś się? – zapytała Nastia.

– Jeszcze jak. Właśnie zacząłem się zastanawiać, kiedy mam się oświadczyć Juleczce, a tu telefon od ciebie. Długo ci tam jeszcze zejdzie?

– Długo. Ze dwie godziny.

– Jak się dostaniesz do domu? Metro będzie już zamknięte.

– Poproszę Siełujanowa, żeby mnie odwiózł swoim autem.

– Nie zwracaj mu głowy. Kola to świeżo upieczony żonkoś, Wala czeka na niego w ciepłej pościeli. Chcesz, to po ciebie przyjadę.

Nastia bardzo chciała powiedzieć „chcę”. Wciąż jeszcze dawał o sobie znać gorzkawy posmak niedawnego strachu, że w jednej chwili straci Aleksieja, toteż nagle pomyślała, że musi powiedzieć i zrobić to, co najważniejsze, bo gdy będzie za późno, niczego już nie da się naprawić. Wyobraziła sobie, jak obejmie męża i powie mu to, co dawno powinna była powiedzieć, ale nie powiedziała, uważając za bezcelowe i niepotrzebne, przekonana, że zdąży to jeszcze zrobić. A przecież może nie zdążyć. Dochodzi jednak północ, Żukowskij nie leży dwa kroki stąd, a Loszka musi się stawić o dziewiątej w pracy. Nastia będzie ostatnią świnią, jeśli przyjmie jego dżentelmeńską propozycję i zmusi, żeby tłukł się w taką dal po nocy. Loszka jest jednak zazdrosny – to nic, że tylko umiarkowanie – więc skoro chce się po cichu przekonać, że żona naprawdę pracuje, a nie spędza czas w objęciach kochanka, nie należy go pozbawiać tej szansy. Nastia nigdy nie dawała mu oczywiście powodu do zazdrości, ale teraz, po historii z Julą, wszystko może się zmienić. Ludzkość zna wiele przypadków, gdy małżonek, podejrzewając drugą stronę o niewierność, sam dopuszcza się zdrady, by zapewnić sobie komfort psychiczny. Że niby skoro ty nie

dochowujesz mi wierności, ja też nie będę siedział z założonymi rękami. Tak więc dopóki Czistiakow będzie czuł się niezręcznie z powodu zdarzenia z Julą, nie pozbędzie się wrażenia, że żona chce mu odpłacić pięknym za nadobne. Czy zatem Nastia chce, żeby Losza przyjechał tutaj po nią i odwiózł ją do domu?

– Chcę – powiedziała stanowczo. – Przyjedź po mnie, Czistiakow, mam ochotę poczuć się jak stateczna mężatka, którą małżonek odbiera z pracy.

Było już prawie wpół do drugiej w nocy, gdy oględziny miejsca zdarzenia wreszcie dobiegły końca. Gmyria pierwszy opuścił mieszkanie i, stukając butami, puścił się niemal biegiem na dół. Mieszkanie Chramowów znajdowało się na pierwszym piętrze, można się było obejść bez windy. Siełujanow wyszedł ostatni.

– Odwieźć cię? – zapytał jak zwykle Nastię, ale jego ton wskazywał, że wolałby usłyszeć odmowę.

– Chyba nie. Zdaje się, że na dole czeka mój profesor.

– Oho! Przyływ czułości? – zażartował uszczypliwie Nikołaj. – Do tej pory chyba nie zdarzył się taki przypadek.

– Raczej przyływ zazdrości. A jeśli chodzi o przypadek, którego dotąd nie było, to zawsze jest ten pierwszy raz.

– A kto jest zazdrosny? Profesor?

– Nie, Koleńka, ja jestem zazdrosna, a profesor ma poczucie winy z tego powodu. Dobra, nie przejmuj się, wygłupiamy się z nudów. Jedna naiwna panienska wbiła sobie do głowy, że on za nią szaleje, i poinformowała mnie o tym. Czistiakow, rzecz jasna, strasznie się zdenerwował i myśli, że teraz przestanę mu wierzyć i będę zazdrosna, a z zazdrości ludzie robią różne nieprzemyślane rzeczy, między innymi zaczynają zdradzać, w dodatku bez szczególnej chęci, wyłącznie dla kretyńskiej zasady. No i bądź tu teraz mądry, kto ma atak zazdrości: ja czy Loszka.

– Wszystko u was jest pokręcone. – Siełujanow pokiwał głową. – Wy, intelektualiści, nie potraficie żyć zwyczajnie.

– A ty potrafisz?

– Teraz tak – odparł Nikołaj stanowczo. – Teraz o niczym nie myślę, po prostu kocham Waluszkę i czuję, że jestem szczęśliwy. A szczęście, jak ci wiadomo, nie skłania do wysiłku umysłowego. Podobno prawdziwy twórca powinien być głodny, wtedy może stworzyć

arcydzieło. Syci nie tworzą arcydzieł. Żeby zmusić szare komórki do pracy, trzeba być nieszczęśliwym, bo ludzie szczęśliwi nie myślą, tylko cieszą się życiem. Zrozumiałaś, moja ty genialna koleżanko?

Przytrzymał drzwi, przepuszczając Nastię w wyjściu. Samochód Gmyri, mignawszy światłami, już odjeżdżał spod domu. Po przeciwnej stronie ulicy Nastia zauważyła moskwiczka Czistiakowa, zaparkowanego koło samochodu Siełujanowa. Aleksiej stał przy aucie i omawiał coś żywo z Zarubinem. Mój Boże, on naprawdę tu stoi, pomyślała Nastia z drżeniem serca. Jest cały i zdrowy, rozmawia z Sieriożą i w ogóle nie myśli o tym, że żyje i ma wielkie szczęście, bo jak dotąd nic złego się nie wydarzyło. Ale ja wiem, jakie to szczęście, gdy bliscy są obok, a nie na cmentarzu, można cieszyć się ich obecnością, no i wyznać im swoje uczucia. Jak to dobrze, że w porę to sobie uświadomiłam!

Aleksiej patrzył na nią ze zdziwieniem, nie rozumiejąc, dlaczego Nastia nagle do niego podbiegła, mimo że nie było żadnego pośpiechu i mogła iść spokojnie.

– Jak to dobrze, Czistiakow, że jesteś – wymamrotała, wtulając twarz w jego szyję i wdychając zapach wody toaletowej. – To najlepsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała.

– Chcesz powiedzieć, że beze mnie nie dostaniesz się do domu w nocy? – zażartował Aleksiej.

– To też. I w ogóle że bez ciebie umrę z głodu. Jedźmy, dobrze?

– Asiu, zawsze przedkładałem twoją lojalność ponad zdolności umysłowe. Nie zmuszaj mnie, żebym w to zwątpił.

Nastia odsunęła się i popatrzyła na męża.

– Dlaczego miałbyś zwątpić?

– Dlatego że robisz się wylewna tylko wtedy, gdy nabroisz. A takiego przyływu uczucia jak teraz w ogóle sobie nie przypominam. Przyznaj się, co się stało.

– Nic, profesorze, po prostu całkiem zgłupiałam, i dlatego stałam się nieprzyzwoicie szczera. Właśnie przed chwilą Siełujanow wyłożył mi czarno na białym, że ludzie szczęśliwi na ogół wyraźnie głupieją. Uświadomiłam sobie, jakie to szczęście, że jesteś ze mną, i dlatego mój umysł odmawia pracy. Przestań ze mną szydzić, bo się obrażę.

Czistiakow umieścił żonę w samochodzie, ale zanim zamknął drzwi, nachylił się ku niej.

– Nie oszukuj się, kochanie, nigdy, bez względu na okoliczności, nie

obrazisz się na mnie.

Nastia parsknęła śmiechem.

- Nie wstyd ci, że zawsze masz rację?
- Ani trochę. Mieć zawsze rację przy takiej mądrej żonie to nie byle co. To przywilej i honor, porównywalne z nagrodą państwową.



Jednym z pierwszych rutynowych działań w sprawie zabójstwa jest ustalenie i prześledzenie wszystkich ruchów i kontaktów ofiary w ciągu ostatnich dni. Gdzie była, z kim się spotkała, o czym rozmawiała. Żona Chramowa nie potrafiła pomóc w zdobywaniu informacji, bo przez ostatnie dwa tygodnie siedziała kamieniem na letniku nad brzegiem zbiornika Kłaźmińskiego. Jednakże Olga Jeremiłowa i Georgij Dudariew mogli się okazać wielce pomocni, ponieważ Chramow zdążył omówić z nimi listę osób, do których zamierzał się zwrócić, zbierając materiały potrzebne do obrony Dudariewa.

Jeśli chodzi o Dudariewa, to współpracował niechętnie, ubliżał Gmyri i mu odburkiwał. Motywem przewodnim jego wypowiedzi była myśl, że skoro śledczy nie jest w stanie rozwiązać sprawy zabójstwa i aresztował niewinną osobę, nie ma sensu, żeby zajmował się kolejnym morderstwem i próbował w nie wrobić Bogu ducha winnego Dudariewa. Natomiast Olga Jeremiłowa, przeciwnie, mówiła dużo, ale ton jej wypowiedzi był bardzo powściągliwy, odpowiedzi zaś – lakoniczne. Wysłano do niej Siełujanowa, bo był w podobnym wieku co ona.

Olga zdradziła, jaką linię obrony przyjął adwokat oraz kogo i w jakim celu zamierzał przesłuchać. Gdy rozmowa dobiegła końca, Siełujanow nie wytrzymał i zapytał:

- Olgo Wasiljewna, dlaczego mi pani to powiedziała?
- Bo pan zapytał – odparła krótko.
- Ale chyba pani rozumie, że dostarcza śledztwu dodatkowe argumenty. Chce pani, żeby Dudariewa uniewinniono, i dlatego zamierza znaleźć mu innego adwokata. On jednak nie będzie mógł wybrać tej samej linii obrony, bo śledczy został uprzedzony, innymi słowy, dostał broń do ręki.
- Wszystko mi jedno. Adwokat może wybrać inną taktykę.

Siełujanow milczał, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Coś mu tutaj nie pasowało... Olga Jermiłowa zachowuje się nie jak wierna przyjaciółka, która za wszelką cenę pragnie pomóc ukochanemu, ale jak zraniona kobieta, pragnąca wyrównać rachunki ze swoim dręczycielem. Czy to znaczy, że ma do Dudariewa jakieś pretensje?

– Olgo Wasiljewna, zadam pytanie, które może się pani wydać nietaktowne i obraźliwe, więc nie musi pani odpowiadać. Mimo to zapytam. Wierzy pani w niewinność Georgija Nikołajewicza?

Zapadło milczenie, Siełujanow miał wrażenie, że w pokoju zaraz coś wybuchnie. Wreszcie Jermiłowa się odezwała – mówiła miarowym, bezbarwnym głosem.

– Nie, nie wierzę w jego niewinność.

– W takim razie dlaczego próbuje go pani bronić?

– Bo oprócz wiary w niewinność istnieją jeszcze współczucie i obowiązek. Georgij mi zaufał i poprosił o pomoc, traktując jak kogoś bardzo bliskiego, więc nie mogę go zawieść.

– Ale to, co mi pani powiedziała, nie może mu pomóc – zauważył łagodnie Siełujanow. – Działa pani na jego szkodę.

– A panu? Czy panu pomagam?

– Jeszcze nie wiem – odparł szczerze. – Możliwe, że nie. Ale niewykluczone, że rozmawiając z osobami, które pani wymieniła, dowiem się o Chramowie czegoś, co rzuci światło na zabójstwo. Nie mam jednak żadnych gwarancji. Poświęca się pani, Olgo Wasiljewna, lecz proszę pamiętać, że pani ofiara może się okazać daremna.

Olga znowu przez chwilę milczała. Później spojrzała na Siełujanowa.

– Po co mi pan to mówi? Odpowiedziałam na pańskie pytania, być może ze szkodą dla siebie i dla interesów Georgija. Czemu jest pan niezadowolony? Dlaczego męczy mnie pan tą rozmową? Proszę się nie wtrącać do mojego życia.

– Przepraszam – wybąkał Siełujanow zakłopotany. – Wróćmy do Chramowa i do osób, z którymi utrzymywał kontakty. Wymieniła pani znajomych rodziny Dudariewów – tych, którzy potrafią, pani zdaniem, powiedzieć, jak Elena Pietrowna dochowywała wierności mężowi i czy nie zamierzała się z nim rozwieść. A jak zamierzała pani uwiarygodnić informację, że pani mąż od dawna wiedział o pani związku z Georgijem Nikołajewiczem? Przecież jeśli się nie mylę, właśnie w ten sposób zamierzała pani skompromitować męża jako śledczego: udowodnić, że

kierowało nim uprzedzenie, gdy już pierwszego dnia śledztwa zbierał dowody przeciwko Dudariewowi. Jak więc chciała pani to zrobić?

Olga westchnęła głęboko i odwróciła wzrok. Siedziała obrócona lekko ku Siełujanowowi i patrzyła w okno, za którym zastygły w bezruchu, znużone upałem, duże liście klonu. Prawą rękę trzymała na kolanach, a palcami lewej cicho i rytmicznie bębniła o blat biurka, ale owo bębnienie nie było wcale nerwowe, czuło się w nim jedynie rezygnację i potworne zmęczenie.

– Chramow miał odwiedzić moją przyjaciółkę i zaproponować jej pieniądze za zeznania.

– Którą przyjaciółkę? Proszę podać nazwisko.

– Nie wiem, kogo wybrał. Podałam mu trzy nazwiska i powiedziałam, że to są moje bliskie koleżanki, które wiedziały o romansie z Dudariewem, ja jednak nie zdołam się przełamać, żeby zaproponować im coś podobnego, zwłaszcza za pieniądze. Anatolij Leonidowicz roześmiał się i powiedział, że ode mnie, rzecz jasna, nie przyjmą pieniędzy i nie zgodzą się na proponowany układ, ale od niego wezmą, bo jest osobą postronną i potrafi być przekonujący. Spotka się z każdą po kolei, porozmawia, przyjrzy się im uważnie i dopiero potem podejmie decyzję, która najlepiej się nadaje. Prosił mnie tylko, żebym do nich nie dzwoniła i nie uprzedzała o jego wizycie, bo a nuż się okaże, że któraś jest kryształowo uczciwa i uzna za konieczne porozmawiać z Michaiłem, zanim wszystko zostanie zaaranżowane.

– Czy Chramow powiedział pani, z kim zdażył się spotkać i co uzyskał?

– Nie, zadzwonił i powiedział, że wszystkim się zajął i żeby się o nic nie martwić. A później nagle oznajmił, że rezygnuje ze sprawy, bo musi pilnie wyjechać w rodzinnych sprawach. I to wszystko.

Po spotkaniu z Jermiłową Nikołaj długo nie mógł odzyskać właściwego mu pogodnego i żartobliwego nastroju. Czuł się tak, jakby rozmawiał z kobietą, która niedawno pochowała jedyną bliską sobie osobę i nie miała już żadnej przyjaznej duszy na świecie.

Mimo kiepskiego samopoczucia musiał pracować dalej. Nikogo nie interesują emocje wywiadowców, chyba z wyjątkiem ich samych. Siełujanow złożył wizyty tym, których wymieniła Olga Jermiłowa. Do końca dnia było jeszcze daleko, toteż mógł się wykazać. O szóstej był już po rozmowach z czterema spośród sześciu osób, z którymi miał się

spotkać Chramow. Po pierwszych dwóch spotkaniach ogarnęło go zdziwienie, a pod koniec czwartej rozmowy poczuł silny niepokój. Coś było wyraźnie nie tak. Elementy układanki w ogóle do siebie nie pasowały, nawet gdyby próbować je wciskać na siłę.

Koło dziewiątej wieczorem, odwiedzwszy ostatnią, szóstą osobę, znalazł automat telefoniczny i zadzwonił do pracy. Kamieńskiej nie było na miejscu, jej domowy telefon też nie odpowiadał, udało mu się za to dodzwonić do Korotkowa. Jura zawsze siedział w pracy do późna.

– Hejka, szefuniu! – Siełujanow zawołał rzeško do słuchawki. – A gdzie nasza pani podpułkownik?

– Jeśli będziesz mnie obrażał, to ci nic nie powiem – odparował błyskawicznie Korotkow.

– No dobra, szefie.

– Nic z tego.

– W takim razie: naczelniku.

– Zaraz się obrażę.

– No, Jura, daj spokój i przestań się pastwić...

– Jak chcesz, to potrafisz, tylko udajesz głupiego. W czym mogę ci pomóc? – Korotkow się zlitował.

– Gdzie jest Aśka?

– Masz coś pilnego?

– Owszem.

– Poszła do Stasowa. Powiedziała, że ostatni raz była u Tatiany nieprzyzwoicie dawno, więc musi w końcu znaleźć czas i ją odwiedzić. Podać ci numer telefonu?

– Znam go.

– A nie uważasz, Kola, że powinieneś poinformować mnie o powodach tego gorączkowego pośpiechu? W końcu jestem twoim przełożonym. I zdaje się, że też pracuję nad sprawą Dudariewa.

– No masz, powiedział, co wiedział. Najpierw się obrażasz, że nazywam cię szefem, a później jesteś niezadowolony. Kto by was, Korotkowów, zrozumiał? A w ogóle sprawa dotyczy nie Dudariewa, ale Chramowa.

– A to nie jeden diabeł? Sprawa to sprawa. Nie wykręcaj się, Kola.

– Wszystko jest bardzo przykre i niezrozumiałe, Jura, nie chcę cię tym niepotrzebnie obarczać. Wolałbym najpierw porozmawiać z Aśką, a jutro razem ci zameldujemy.

- Dobra, niech będzie. Jutro z samego rana.
- Rozkaz, szefuniu!
- Kiedyś cię zamorduję... – obiecał Korotkow z pogrózką w głosie.

[\[11\]](#) CzP (czriezwyczajnoje proisszestwije) – nadzwyczajne wydarzenie.

Rozdział 12

Słynne pierożki Iry były jak zawsze wyborne, ale upał i tutaj podstępnie się przysłużył, całkowicie pozbawiając Nastię apetytu. Zdołała wepchnąć w siebie tylko dwa małe cudeńka z kapustą, mimo że dawniej liczba pochłanianych przez nią pierożków sięgała przeważnie pięciu podczas jednej wizyty.

– Może ci nie smakują? – zapytała zmartwiona Ira. – Nie udały się?

– Ależ udały. Po prostu nie mam siły poruszać szczękami – wyjaśniła Nastia.

– Tak jest zawsze. Staram się, staram...

– Nie przejmuj się. – Tatiana się roześmiała. – Jak Griszka podrośnie, przybędzie ci jeszcze jeden facet do karmienia, razem ze Stasowem opędzują wszystko, co im podsuniesz.

– Tylko kiedy to będzie? – Irocza machnęła ręką.

Czekać należało naprawdę dosyć długo, bo Griszeńka, syn Tatiany i Stasowa, za trzy tygodnie kończył dopiero roczek. Był rośły jak na swój wiek, miał poważne oczy i stateczne ruchy. Już chodził i wykazywał pełną samodzielność w tym skomplikowanym zadaniu. Pulchne nóżki stawiały kroki z takim namaszczeniem i zdecydowaniem, jakby malec oznajmiał: „Idę i niech mi tylko ktoś spróbuje przeszkodzić”. Wzrostem wdał się w dwumetrowego ojca, a olimpijskim spokojem i opanowaniem – najwyraźniej w mamę, która była śledczą.

– Powiedz jej, Nastiu, żeby nawet nie myślała o powrocie do pracy – zażądała Irocza. – Niech siedzi w domu z dzieckiem i pisze książki. Będzie z tego podwójna korzyść: i dla malca, i dla domowego budżetu.

– Aha. – Stasow przytaknął niezwłocznie. – I w ogóle dla życia rodzinnego. Iro, przestań wciągać gości w rozwiązywanie naszych problemów. Moim zdaniem Tania jasno powiedziała, że od września

idzie do pracy. I nikt nie wpłynie na jej decyzję. No co, Taniucha, może się rozmyślisz?

– A skąd.

Tatiana pokręciła głową, aż włosy, które odrosły i były spięte w koński ogon, wesoło zatańczyły jej na ramionach.

– Właściwie też jestem przeciwny temu, żeby moja żona pracowała – wyjaśnił Stasow. – Uznałem jednak, że rozsądniej będzie się nie wtrącać. Kobieta, która ponad dziesięć lat była śledczą i trzykrotnie wychodziła za męża, wie, co robi, i raczej nie potrzebuje doradców. Prawda, Taniucha?

– Prawda, Stasow.

– Tyle że jest tutaj jedno poważne „ale” – ciągnął Władisław. – Nasza Irocza. Skoro ty, Taniu, wracasz do pracy, Irocza automatycznie pozostaje naszą pomocą domową, bo ktoś musi przecież siedzieć z dzieckiem i prowadzić dom. Ja zaś uważam to za wielce nieetyczne. Ira powinna zająć się własnym życiem, nie naszym.

– Wcale nie – powiedziała Irocza pośpiesznie. – Wasze życie całkowicie mi wystarcza, więc mnie nie wypędzajcie.

Nastia domyśliła się, że jest świadkiem długotrwałego sporu, który rodzina Stasowa prowadzi dzień w dzień i którego wszyscy mieli już najwyraźniej dosyć. To rzeczywiście dziwne, że ładna młoda kobieta poświęca cały czas cudzej rodzinie. Z punktu widzenia prawa Ira i Tatiana nie są nawet krewnymi, Tania była kiedyś bratową Iroczi, Irocze z kolei nie układało się życie osobiste, co tylko potwierdzało znaną nie od dziś zasadę, że ładne, mądre i gospodarne kobiety nie mogą, nie wiedzieć czemu, znaleźć męża. Na razie nikt jeszcze nie znalazł wytłumaczenia tego zjawiska, ale każdy mógł je obserwować na własne oczy. Tatiana i Stasow parę razy próbowali poznać Irę z kimś odpowiednim, ale ich starania zawsze kończyły się niepowodzeniem. Dziewczyna z uporem obstawała przy dotychczasowym trybie życia i chyba zwyczajnie bała się cokolwiek zmienić.

– Zobaczysz, Iriszo, niedługo przedstawię ci naszego Docenkę i wszystkie twoje argumenty upadną – zapowiedziała groźnie Nastia. – Docenko to nasza ostatnia deska ratunku w walce o twoje życie osobiste. Jest przystojny, nie był jeszcze żonaty, no i pasuje do ciebie wiekiem. W dodatku ma głowę nie od parady.

– Zgadza się – podchwycił Stasow ochoczo. – Dawno już nosimy się

z tym zamiarem, ale nie mamy czasu, żeby wcielić go w życie. Misza Docenko to świetny chłopak, stworzycie razem wspaniałą parę.

– Wstydzilibyście się! – Irocza oblała się pąsem i odwróciła twarz. – To znaczy, że wam przeszkadzam? Czemu usiłujecie wydać mnie za mąż? A kto będzie się zajmował domem?

– Miliony rodzin, Iro, składają się z pracujących rodziców i małych dzieci, ale tylko niektóre zatrudniają pomoce domowe. Wszyscy jakoś sobie radzą, więc dlaczego my mielibyśmy sobie nie poradzić? – przekonywał ją Stasow. – Oddamy Griszkę do żłobka, będziemy kupować gotowe jedzenie i żyć jak reszta ludzi.

– Griszę? Do żłobka? Gotowe jedzenie?

Na twarzy Iroczy odmalowało się takie przerażenie, że Tatiana parsknęła śmiechem, a Nastia i Stasow poszli w jej ślady.

– Czemu Griszka miałby być gorszy od innych dzieci? Ja na przykład chodziłem do żłobka, Taniuca też... A ty, Asiu?

– Jak wszyscy – odparła Nastia. – Mój tata pracował w wydziale kryminalnym, a mama studiowała, gdy się urodziłam, więc zaliczyłam i żłobek, i przedszkole.

– O! – Władysław znacząco podniósł palec wskazujący. – Słyszysz, Irusiu, co się mówi? Zobacz, jaka z Aśki wyrosła mądrała, ja też nie wypadłem sroce spod ogona, no a o Tani nawet nie ma co wspominać, jej książki podbiły cały kraj, więc też się udała. Z tego wniosek, że Griszka nie zginie w żłobku.

– Nie oddam Griszki do żłobka! – oznajmiła Ira kategorycznie. – Nie ma mowy. Nawiasem mówiąc, Nastia i Tania chodziły do żłobka i przedszkola, ale straciły tam zdrowie. Teraz wiecznie coś im dolega.

– Ale ja jestem zdrow jak ryba – zauważył Stasow.

– Za to brak ci rozumu – rzuciła Ira gniewnie. – Wychowam Griszę na zdrowego i mądrego chłopca. I nie pozwolę serwować mu jedzenia z mikrofalówki.

Spierali się bez gniewu, raczej odruchowo, nawet złość Iroczy nie mogła nikogo zwieść. Słuchając ich pokojowej i przyjacielskiej kłótni, Nastia mimo woli przypominała sobie Artioma i Denisa. Jakie to wszystko podobne! Na świat przychodzą różni ludzie, jedni są blondynami, inni zdecydowanymi brunetami, jedni są niscy, inni wysocy, jedni mają wspaniałe warunki fizyczne, pozwalające odnosić sukcesy w sporcie, inni wyróżniają się zdolnościami twórczymi, jak

Tatiana. Niektórzy rodzą się, by zostać liderami, dla innych najważniejszą rzeczą w życiu jest poczucie bycia potrzebnym. Czy to źle? Dlaczego zawsze staramy się ukształtować wszystkich na swoją modłę, koniecznie połączyć kobiety i mężczyzn w silne rodziny z dziećmi, a każde dziecko wychować zgodnie z marzeniem rodziców: na fizycznie zdrowego prymusa, uprzejmego wobec starszych i czułego dla rodziny? Rodzice Artioma Kipianiego w porę zrozumieli to, co najistotniejsze: ich syn nie musi być prymusem, musi być szczęśliwy. Powinien otrzymać gruntowne wykształcenie i prowadzić normalne życie, może trudniejsze niż inni, ale takie samo. Jeśli nie da się przy tym uniknąć trójek na świadectwie, to trudno. Ale ilu rodziców tego nie rozumie? Dziecko rodzi się po to, żeby być najlepszym stolarzem w kraju, wyjątkowym fachowcem, a jest besztane za to, że nie rozumie astronomii i nie potrafi nauczyć się stu słówek z niemieckiego. Rodzice każą mu ślęczeć nad książkami, wynajmują korepetytorów, wysyłają na studia, które go nie interesują, i nieszczęśnik uczy się, umierając z nudów, później pracuje, umierając ze smutku i rozczarowania, nie robi kariery, bo nielubiana praca nie zapewni sukcesu. A powinien zajmować się tym, co go pociąga i daje mu szczęście. Może Irocza Miłowanowa wcale nie musi wyjść za męża, bo jest szczęśliwa, gdy czuje się potrzebna tej rodzinie. Ciekawe, czego potrzebuje do szczęścia Denis Bażenow? Być koło Artioma? Czy żyć własnym życiem?

– Nastiu, słyszysz mnie?

Melodyjny głos Iroczy rozległ się tuż przy uchu Nastii.

– Tak? Przepraszam, zamyśliłam się. Co takiego?

– Telefon do ciebie.

– Loszka?

– Kola Siełujanow. Mówi, że to pilne.

– On zawsze tak mówi – odparła Nastia spokojnie, zsuwając się z kanapy, na której siedziała wygodnie z podwiniętymi nogami. – Wiecznie gasi jakiś pożar.

– Zaproś go do nas na pierożki – zaproponowała Ira.

– Nie zgodzi się. – Nastia pokręciła głową. – Ma teraz żonę, która doskonale gotuje.

– Mimo to zaproś. A nuż przyjdzie?

Siełujanow, o dziwo, przyszedł. Najpierw rozplęwał się w pochwałach nad małym Stasowem, później wyżebrał od Tatiany dwa egzemplarze jej ostatniej książki i poprosił o wpisanie dedykacji dla żony Walentyny i dla teścia, który okazał się wielkim fanem twórczości Tani.

– Gdy się dowiedział, że cię znam, zaczął mi suszyć głowę, żebym mu zdobył twój autograf – pytłował z pełnymi ustami. Pochłaniał pierożki tak szybko, że Irocza nie musiała się martwić o los swoich wyrobów. Nic nie przypadnie i się nie zeschnie. – Omal nie zamęczył mnie na śmierć, więc pomyślałem, że muszę jak najprędzej przywieźć mu książkę, póki jeszcze żyję.

Dziesięć minut później na olbrzymim półmisku nie została nawet okruszynka.

– Dziękuję, moja kochana – powiedział Siełujanow z uczuciem, całując Iroczkę w oba policzki. – Nie dałaś zginąć luminarzowi radzieckiej psiarni.

– Rosyjskiej – poprawiła Ira z uśmiechem.

– No tak, chyba nigdy się nie nauczę.

– I nie psiarni, ale milicji – poprawiła go znowu Ira. Bardzo poważnie i z dużym szacunkiem traktowała pracę Tatiany, każdą lekceważącą uwagę pod adresem milicji odbierała jako osobistą zniewagę.

– Dobra, przyjmijmy, że mentowni. Proponuję rozsądny kompromis albo, jak to się teraz mówi, konsensus. Jestem uległy, bo się objadłem. Słuchajcie, właśnie mi wpadło do głowy, że w Dumie muszą mieć chyba kiepską stołówkę. No bo czemu wciąż nie mogą się dogadać? Wygląda to tak, jakby wybrani przez cały naród parlamentarzyści obradowali głodni. Człowiek syty powinien być dobry, pojętny i ustępliwy, podobnie jak ja. A oni są źli, nigdy nie ustępują ani na krok i zupełnie nie rozumieją, co się do nich mówi. Trzeba się tym zająć. Nie możemy pozwolić, żeby los kraju zależał od kucharza, który nie potrafi gotować. Słusznie pisał o tym słynny poeta dziecięcy. Pamiętacie? „Wróg wtargnął do miasta, podpalił je później, dlatego że gwoźdźnia zabrakło raz w kuźni”[\[12\]](#).

– Zlituj się, Kola – jęknęła Nastia. – Najadłeś się, to chodźmy, bo już późno.

Jednakże dowcipkującego Siełujanowa niełatwo było powstrzymać.

– Nie waż się zamykać mi ust wyrzutami – oznajmił. – Można to

zrobić tylko smacznym jedzeniem.

– A może zjesz schabowego, Koleńka? – Ira się ucieszyła. – Jest jeszcze ciepły, ale jak chcesz, to usmażę ci świeży.

– Nie trzeba – oświadczył Siełujanow z godnością. – Wystarczy ten, co już jest.

Od razu zabrał się do pałaszowania kotleta, zagryzając chlebem i ogórkami.

– Gdzie ty to mieścisz? – zapytała Nastia, w zamyśleniu przesuając po nim wzrokiem. – Nie mam pojęcia. Jesteś przecież o głowę niższy ode mnie, więc powinieneś mieć mniej miejsca w środku, a tymczasem jesz dziesięć razy więcej. Jak to możliwe?

– Wyjaśnię ci później – obiecał. – Gdy skończę, wsiądziemy do samochodu i po drodze zrobię ci wykład na temat prawidłowego rozmieszczenia artykułów żywieniowych w organizmie wywiadowcy.

Nastia z rezygnacją machnęła ręką.

– Kończ, tylko się pośpiesz.

Gdy tylko Nikołaj znalazł się w samochodzie, od razu spoważniał i zebrał się w sobie, jak przed skokiem. Po wesołym dowcipnisiu i kawalarzu nie zostało śladu.

– A więc tak, Asiu Pawłowna. Z naszym nieżyjącym adwokatem dzieje się coś absolutnie niezrozumiałego. Odwiedzam przyjaciółki *madame* Dudariewej, które poinformowały śledczego Jermiłowa o rozwiązłości Eleny Pietrowny i które, zgodnie z zamysłem Chramowa i Dudariewa, miały zmienić swoje zeznania. I co od nich słyszę?

– No co? – zapytała Nastia niecierpliwie.

– Od jednej przyjaciółki słyszę, że Elena prowadziła burzliwe życie za plecami męża. Ale od dwóch pozostałych, że nie podały Jermiłowowi żadnych konkretów. Nie mogły powiedzieć, że Elena miała kochanka i zamierzała za niego wyjść, bo same o niczym nie wiedziały. A na moje naiwne pytanie dotyczące pierwszej przyjaciółki zgodnie odparły, że to żmija i kłamczucha, poza tym wszyscy wiedzą, że była zakochana w Dudariewie i przy każdej okazji napomykała mu o niewierności Eleny, żeby ich skłócić.

– No a co w ogóle powiedziały?

– Powiedziały... Właściwie nie odzywały się z własnej inicjatywy, tylko udzielały odpowiedzi na pytania śledczego. Czy Elena Pietrowna była atrakcyjna? Tak, oczywiście, była bardzo ładna. Czy mężczyźni się nią

interesowali? Oczywiście, że się interesowali, nie inaczej. Czy miewała poważne romanse przed ślubem z Dudariem? Znowu potwierdzenie. Czy kochała męża? Któż to może wiedzieć, chyba kochała, nie wchodzi się z butami w czyjeś życie. Czy kiedykolwiek krytykowała męża? Ależ naturalnie, to się zdarza w każdej rodzinie. I tak dalej. Odpowiedzi były szczerze i przy dobrej woli można je było interpretować właśnie tak, jak zanotował Jermiłow w protokole.

– A mogły być interpretowane inaczej?

– Owszem. Zapytałem panie, rzecz jasna, czy nie odwiedził ich adwokat nazwiskiem Chramow. Odpowiadają, że tak, odwiedził. „Może więc to, o czym mi panie teraz opowiadają, to wpływ adwokata? Ile paniom zapłacił za wymijające zeznania i za obrzucenie przyjaciółki inwektywami?”, pytam. A one w odpowiedzi skoczyły mi do oczu. Obie naraz. „Chciałyśmy wyrzucić tego Chramowa za drzwi – mówią – bo próbował nam wcisnąć pieniądze za nic. Nie zamierzamy ochraniać Żory Dudariowa, ponieważ wykończył naszą kochaną Lenoczkę i nic go nie usprawiedliwia, ale nie będziemy też kłamać w śledztwie, mówimy prawdę, to samo powiedziałyśmy adwokatowi i powtarzamy panu: Lena nie miała żadnego poważnego romansu i nie zamierzała odejść od Żory”. Tak to wygląda!

– Ciekawe – wycodziła Nastia. – Ale da się wyjaśnić. W tamtym czasie Jermiłow nie miał zamiaru wrobić Dudariowa, bo nie wiedział jeszcze o romansie żony, mogła to być jedynie kwestia skrzywienia zawodowego. Podejrzany jest pod ręką, szkoda nie zebrać dowodów przeciw niemu. W takich wypadkach czasem działa instynkt.

– Tak? – Siełujanow chytrze zmrużył oczy. – Mądrała z ciebie. No to posłuchaj, co się wydarzyło później.

– A co się wydarzyło?

– Poszedłem odwiedzić trzy przyjaciółki *madame* Jermiłowej. Chramow miał je omamić, podkupić i zmusić, by powiedziały w sądzie, że Jermiłow od dawna wiedział o zdradzie żony, ale duma i dobre wychowanie nie pozwalały mu się do tego przyznać. Dlatego na początku śledztwa był stronniczy, nieobiektywny i nierzetelny. Wybrali taką linię obrony, żeby sprawa została skierowana do ponownego rozpoznania.

– Rozsądnie. – Nastia kiwnęła głową. – I co, wszystkie przyjaciółki miały wygłosić w sądzie to kłamstwo?

– Nie, po co od razu trzy, wystarczyła jedna. Olga podała adwokatowi trzy nazwiska, on zaś miał poznać kandydatki i zdecydować, która nadaje się do takiej intrygi. No więc jedna z tych czarujących kobiet patrzy na mnie okrągłymi oczami, trzepocze rzęsami i opowiada wrzuszającą historię. Jakies trzy miesiące temu odwiedził ją Jermiłow we własnej osobie i zapytał, czy wie, że Olga ma kochanka. Ona oczywiście zdecydowanie zaprzeczyła i udała, że o niczym nie wie, w końcu chodziło o jej przyjaciółkę. „Jak mogło ci przyjść do głowy coś tak głupiego, Misza?”, pyta. „Ola cię kocha i jest ci wierna po grób”. A Misza jej na to, że się nie myli, bo widział na własne oczy, jest tylko ciekaw, czy koleżanki wiedzą i czy zachowują się niemoralnie i nie po ludzku, osłaniając i zachęcając wiarołomną przyjaciółkę. Kobieta obstaje przy swoim i zaklina się na wszystkie świętości, że po pierwsze, o niczym nie wie, a po drugie, nie może wiedzieć, bo Ola jest uczciwa w stosunku do męża i z nikim go nie zdradza. W odpowiedzi na te zapewnienia Jermiłow się uśmiechnął i powiedział, że żartował. Że niby sprawdzał trwałość związku. Poprosił, by nie wspominać o tym Oldze i jej nie denerwować. Żeby przycisnąć rozmówczynię, napomknął, że jej mąż pod płaszczykiem działalności gospodarczej handluje podrabianą wódką, że milicja wie o tym i w każdej chwili może wszcząć sprawę. Kobieta zrozumiała aluzję i nie powiedziała przyjaciółce o podejrzeniach męża. Ale zakarbowała sobie, że Misza Jermiłow wie o wszystkim. Dlatego niczego nie ukrywała przed Chramowem. Dla kobiety przyjaciółka jest ważniejsza niż jej mąż, więc gdy nadarzyła się okazja, by pomóc Oleńce wyciągnąć kochanka z więzienia, a przy tym zaszkodzić jej odrażającemu mężowi, Michaiłowi, zrobiła to z lekkim sercem. Nie oszczędziła nawet swojego męża. Taka to historia, Nastazjo Pawłowna.

– Ano historia – wycodziła Nastia. – Wygląda na to, że Jermiłow od dawna wiedział o romansie Olgi. No cóż, dobrze, że w porę to odkryliśmy, musimy powiedzieć Gmyri. W tej sytuacji ponownie przesłucha kobiety i zdobędzie gwarancję, żeby sąd nie zwrócił sprawy. Co one jeszcze ci powiedziały?

– Nic więcej.

– Nie podsunęły czegoś, co mogłoby pomóc w namierzeniu kontaktów i ruchów Chramowa?

– Nie – odparł Siełujanow. – Pod tym względem dzień można uznać za

nieudany.

– A co w związku z Romanową?

– W związku z nią przydzieliłem komuś zadanie, jutro dostanę raport. Wiesz, co chciałem ci jeszcze powiedzieć?

– Na razie nie wiem.

– Jermiłowa jest jakaś dziwna. Chyba przybita. Mówi, że nie wierzy w niewinność Dudariewa. Co by to miało znaczyć?

– Tylko to, co powiedziała, Kola. Nie wierzy, że nie zabił. Innymi słowy, jest pewna, że zamordował żonę. Teraz serce jej pęka, bo darzyła go uczuciem, to znaczy uważała za dobrego i przyzwoitego człowieka, a tymczasem okazało się, że jest zabójcą. W dodatku mąż o wszystkim się dowiedział i jej małżeństwo znalazło się na skraju przepaści. Która kobieta wytrzyma coś takiego?

– Ale skoro jest pewna, że Dudariew zabił, musi mieć jakieś podstawy. Rozumiesz, co mam na myśli? Musi o czymś wiedzieć: albo Dudariew sam się jej przyznał, albo zdobyła jakieś dowody. Więc może niepotrzebnie wkładamy tyle wysiłku w tę sprawę? Może powinniśmy przycisnąć Jermiłową i skłonić ją do mówienia?

Nastia westchnęła, wyjęła papierosa z paczki, szczęknięła zapalniczką.

– Ona o niczym nie wie, Koleńka. To kwestia intuicji, zwyczajnej kobiecej intuicji, w którą faceci zwykle nie wierzą i z której stroją sobie żarty. Jermiłowa czuje sercem. Rozumiesz?

– Rozumiem, nie jestem głupi. Dotarliśmy na miejsce. Może obywatelka wysiąść.

– Zaraz wysiądę. Nie ma żadnych nowości w sprawie kaset?

– Ojej, niech to szlag, zapomniałem ci powiedzieć! – zreflektował się Siełujanow. – Tak się przejąłem dzisiejszymi paniami, że wszystko wyleciało mi z głowy.

– Nie przejąłeś się paniami, Kola, ale błędnym i okrutnym pomysłem przyciśnięcia Olgi Jermiłowej. Przyznaj się, że właśnie dlatego chciałeś się ze mną pilnie spotkać.

– Nie krytykuj starszych – odparował. – Powiedziałem, że paniami, to znaczy, że paniami. A jeśli chodzi o kasety....

Z kasetami wszystko było niesłychanie proste. Świętej pamięci Kostia Wiatkin był wielkim miłośnikiem i znawcą muzyki. Za każdym razem, gdy dostawał oryginał nagrania i pudło czystych kaset, zostawiał sobie

jeden skopiowany egzemplarz do własnego użytku. W jego mieszkaniu znaleziono taką fonotekę, że niejeden sklep mógłby mu pozazdrościć. Ustalenie, kto przywiózł i kto miał zabrać towar znaleziony w mieszkaniu Wiatkina, jest oczywiście trudne, a wręcz niewykonalne, można się za to dowiedzieć, kto handlował kasetami, których kopie troskliwie przechowywał Kostia. Handlowała nimi firma Melodia Plus, ta sama, w której pracował sławetny Łytkin, usiłujący zabić Denisa Bażenowa.

– A więc wszystko jest teraz jasne jak słońce – skonstatował Siełujanow z satysfakcją. – Dudariew wynajmuje Wiatkina, żeby zabił jego żonę Elenę, a później, gdy się okazuje, że jakiś chłopak widział Wiatkina na miejscu przestępstwa, wydaje polecenie, żeby go odszukać i sprzątnąć. Przy okazji pozbywa się też Wiatkina. To przecież nie może być zbieg okoliczności, że chłopak akurat wtedy umiera z przedawkowania. I koniec, szukaj wiatru w polu. A zatem nasze zadanie polega na tym, by udowodnić, że Wiatkin otrzymał zlecenie zabójstwa od Dudariewa, i sprawa załatwiona.

– Albo od Dudariewa, albo od kogoś działającego w jego imieniu – zauważyła Nastia. – Musimy udowodnić, że Łytkin miał zabić Denisa, podczas gdy on twardo obstaje przy tym, że chciał tylko nastraszyć chłopaka, bo ten nie zamierzał zapłacić za płytę. I nie zamierza rezygnować z obranej drogi. Musimy też udowodnić, że ktoś pomógł umrzeć Wiatkinowi.

– No, kochana, aleś się rozpędziła! Kto ci to udowodni? Dobrze będzie, jeśli uda się przycisnąć Dudariewa do muru.

– A zdjęcie? Co zamierzasz z nim zrobić?

– Tak, zdjęcie... Chcesz, to na poczekaniu wymyślę hipotezę.

– Dobrze. Tylko prawdopodobną.

– Zgoda. Wiatkin dostał zlecenie rzeczywiście nie od samego Dudariewa, ale od kogoś, kogo ten wynajął. Pośrednik wyczuwa, że sprawa robi się śmierzcząca, bo zatrzymaliśmy Łytkina i niebawem dopadniemy całe towarzystwo, więc postanawia zwalić wszystko na Dudariewa i wycofać się z interesu, tym bardziej że Dudariew nie tylko jest podejrzany, ale już siedzi. Dlatego podsuwa babci Kławie jego zdjęcie. „Przyjrzyj mu się, kochana – mówi – i gdy milicja zapyta cię o Kostika, twojego sąsiada, a także o to, kto go odwiedzał, dokładnie im opisz, kogo widziałaś. A widziałaś nie mnie, babciu, ale tego tutaj

faceta. Dam ci za to prawdziwe szeleszczące banknoty, za które nakupisz sobie mnóstwo przydatnych i ładnych rzeczy w sklepach”. Jego czyn jest oczywiście niegodziwy, ale podyktowany instynktem samozachowawczym. Jak ci się podoba taka hipoteza?

– Jest super – przyznała Nastia. – Tylko trzeba ją sprawdzić i udowodnić. Masz pomysł, jak znaleźć tego pośrednika?

– No wiesz?! – oburzył się Siełujanow. – Nie wystarczy, że wymyśliłem hipotezę? Nie jestem specjalistą od wszystkiego. Biedny Kola ma w pojedynkę zbawiać świat?

– Dobrze, mój biedaku. – Nastia roześmiała się, wysiadając z auta. – Słuchając ciebie, nawet kamień by się wzruszył, a co dopiero ja. Będziesz tyrał, ale pod moim czujnym okiem. Całuję, do jutra, pa.

Wchodziła już do windy, gdy nagle wpadła jej do głowy myśl, w dodatku tak dziwna, że przystanęła na chwilę, po czym gwałtownie zawróciła i popędziła na ulicę. Ale Siełujanowa już nie było. Wolno wróciła więc do budynku i wjechała na swoje piętro. W mieszkaniu było ciemno, cicho, pusto i duszno. Nastia ściągnęła przepocone dzinsy i koszulkę i poszła pod chłodny prysznic. Natrętna myśl wciąż nie dawała jej spokoju. Wiedziała, że ta sama myśl dręczyła Kolę Siełujanowa, on jednak nie potrafił jej uchwycić i wyrazić. Zmysł detektywa podpowiedział mu, że w historii jest biała plama. Właśnie to go niepokoiło i popchnęło do rozmowy z Nastią. Ale mglisty niepokój tkwił głęboko w podświadomości i nie pozwalał sformułować pytania. A pytanie było rzeczywiście ciekawe.

Dlaczego Anatolij Leonidowicz Chramow, dowiedziawszy się tego, czego dowiedział się dzisiaj Siełujanow, nie powiedział swoim klientom ani słowa? Dlaczego nie uprzedził Olgi Jermiłowej, że jej mąż od dawna wiedział o zdradzie? Dlaczego przemilczał to, mówiąc, że wszystko w porządku, że sprawa posuwa się naprzód, a później nagle z niej zrezygnował?

≡

Iwan Fiodorowicz Bułhakow tym razem też nie zawiódł. Zadanie Siełujanowa wykonał zgodnie ze sztuką operacyjną, po mistrzowsku. Wśród znajomych i sąsiadów Kławdija Nikiforowna Romanowa cieszyła się opinią szczęśliwej matki, ponieważ miała dobrze wychowane dzieci.

Syn był marynarzem floty podwodnej, służył gdzieś w Murmańsku, ze trzy lata temu dostał duży awans i odtąd przysyłał matce spore pieniądze. Córka wyszła za konstruktora z Magadanu, wyjechała do niego, przez jakieś piętnaście lat oboje wciąż oszczędzali, nie wyjeżdżali nawet na urlop, brali ekwiwalent w gotówce. A później, gdy zaczęła się nowa polityka ekonomiczna, za uciulane pieniądze otworzyli własny interes – firmę budowlaną. Teraz wiedzie im się całkiem nieźle, więc nie zapominają o starej matce i regularnie przysyłają pieniądze. Kławdija Nikiforowna ze strachem wspominała reformy i związane z nimi perypetie, które przeżyła w ciągu sześćdziesięciu ośmiu lat, dlatego najpierw nie wydawała pieniędzy, które dostawała od dzieci, wpłacała je na książeczkę i wkładała do skarpety. Kto wie, jak się wszystko potoczy, może zabraknie nawet na pochówek. A jeśli syn odejdzie z wojska w wyniku redukcji etatów? A firma zięcia zbankrutuje? Jednakże później, widząc, że nic złego się nie dzieje, a oszczędności na wypadek nieprzewidzianego nieszczęścia zostały już poczynione, zaczęła powoli wydawać pieniądze. Kupiła nowy telewizor, futro, to i owo z ubrania, dobre naczynia, no i różne drobiazgi.

Babcia Kława była gościnna. Miała dwie serdeczne przyjaciółki, z którymi przesiadywała przed nowym, dużym telewizorem i oglądała seriale, popijając herbatę z nowych porcelanowych kubków i pogryzając smaczne szwajcarskie pralinki z białej czekolady. Miała słabość do białej czekolady.

Dzieci Romanowej były naprawdę troskliwe, nigdy nie przysyłały matce pieniędzy przekazem pocztowym, bo wiedziały, że jest już starsza, tęga, bołą ją nogi, ciężko jej dojść na pocztę i stać w kolejce, żeby odebrać pieniądze. Zawsze przekazywały je przez znajomych. Gdy ktoś jechał do Moskwy, niezwłocznie dostawał kopertę z pieniędzmi, adres i telefon, dzwonił do szanownej Kławdii Nikiforowny i osobiście jej przywoził. Tak oto wygląda prawdziwa miłość do rodziców! Nie wszystkie matki mogą się pochwalić takimi troskliwymi dziećmi. Niektóre czują nawet zazdrość, i to wielką, dziką. Nie dość, że Romanowa jest bogata, to na dodatek ma dobre dzieci. Dlaczego to właśnie jej przypało wszystko, a innym nic? Największe zawistnice wygadują różne bzdury na temat babci Kławy, chcą ją oczernić. Że niby syn wcale nie jest wojskowym, z córką też nie wszystko w porządku, oboje zarabiają swoje śmierdzące pieniądze w szemrany

sposób. Skąd wzięły się te domysły? Ano stąd, że kurierzy, którzy przynoszą Romanowej koperty od dzieci, wszyscy co do jednego wyglądają podejrzanie i nie budzą zaufania. Nie są szanowanymi obywatelami, krótko mówiąc. To jednak nie podważa istoty sprawy. Nawet jeśli dzieci są rzeczywiście zamieszane w kryminalne sprawy, a kurierzy dostarczający pieniądze nie robią wrażenia uczciwych, nie zmienia to faktu, że Kłwdija Nikiforowna jest bogata oraz kochana i szanowana przez dzieci, co wyprowadza z równowagi zawistników i nie pozwala im spać spokojnie. Próbują więc na okrągło szkalować i obrzucać błotem biedną kobietę.

Siełujanow podziękował Iwanowi Fiodorowiczowi za fachową pomoc, w ramach wdzięczności podarował mu butelkę drogiego koniaku, a następnie popędził do UWD Okręgu Centralnego na spotkanie z Siergiejem Zarubinem, który miał wczoraj oficjalnymi kanałami zebrać informacje na temat Romanowej. Słuchając raportu Siergieja, Siełujanow krztusił się ze śmiechu.

– Kłwdija Nikiforowna Romanowa jest wdową od siedemdziesiątego trzeciego roku – mówił Zarubin, zaglądając do notatek. – Z małżeństwa z obywatelem Romanowem ma dwoje dzieci, syna, Aleksandra Romanowa, urodzonego w pięćdziesiątym piątym roku, oraz córkę, Swietłanę Romanową, po mężu Czibisową, urodzoną w pięćdziesiątym dziewiątym. Aleksander Romanow nie mieszka w Moskwie od siedemdziesiątego ósmego roku, został skazany za rozbój na cztery lata, po odbyciu kary dwa lata spędził w obwodzie jarosławskim, w osiemdziesiątym czwartym dostał nowy wyrok, tym razem sześćioletni, za kolejny rozbój, wyszedł na wolność w dziewięćdziesiątym, cieszył się nią przez parę miesięcy, później trafił za kratki na osiem lat, znowu za rozbój.

– Godna podziwu stałość upodobań. – Siełujanow pokręcił głową. – Szkoda, że facet nie wykazuje jej w życiu rodzinnym. Kiedy wychodzi?

– W okolicach Nowego Roku.

– To znaczy, że jeszcze siedzi?

– Siedzi, kochaniutki, a co niby ma robić? Teraz córka, Swietłana. W osiemdziesiątym drugim wyszła za konstruktora z Magadanu i wyjechała do niego. Mniej więcej do dziewięćdziesiątego pierwszego przysyłała matce pieniądze, całkiem spore i dość często, później nastąpił kryzys gospodarczy, przedsiębiorstwo budowlane, w którym

pracowała razem z mężem, splajtowało...

– Przedsiębiorstwo, które splajtowało. – Siełujanow parsknął śmiechem. – Klasyka. Żebyś ty wiedział, Sierioża, jak ja lubię te oficjalne zapytania i odpowiedzi! Człowiek dowiaduje się wielu ciekawych rzeczy.

– Coś nie tak? – zaniepokoił się Zarubin, odrywając się od notatek.

– Nie, wszystko w porządku, nie denerwuj się. Jedź dalej.

– No więc przedsiębiorstwo splajtowało, przez jakiś czas Czibisowowie pozostawali bez pracy, później zaczęły powstawać jakieś nowe spółki budowlane i tam się urządzili, bo nic innego nie potrafią. Zarabiali nie tak znowu dużo, ale wystarczało na utrzymanie dwójki dzieci. W lutym dziewięćdziesiątego siódmego przestano im wypłacać pensje.

– A co, zwolnili się?

– Nie. Państwo im nie płaci, bo nie ma pieniędzy, więc zaciąga u nich kredyt.

– To już półtora roku. – Siełujanow gwizdnął. – Niewesoło. Jak to się dzieje, że nie umarli jeszcze z głodu?

– Ano zwyczajnie. – Siergiej rozłożył ręce. – A jak górnicy radzą sobie bez pensji? A nauczyciele? Albo robotnicy w fabrykach? Utrzymują się ze swoich dziesięcioarowych działek, dorabiają, gdzie kto może, z trudem wiążą koniec z końcem. Niektórzy wikłają się w działalność przestępczą. Nawiasem mówiąc, rozmawiałem z chłopakami z Niżnego Nowogrodu, to moi kumple ze szkoły milicyjnej, powiedzieli mi bez ogródek, że niekiedy przyłapują kogoś na czymś jawnie nielegalnym, ale nie wszczynają sprawy, bo w sumie delikwent nie jest złym człowiekiem, po prostu nie może patrzeć w oczy głodnym dzieciom, brak mu sił. Pół roku szarpie się bez wynagrodzenia, a później zatrudnia się do przewozu lewego towaru albo do naklejania etykietek na butelki z podrabianym winem. Każdy umiera w samotności. Tylko komunizm ludzie budowali razem, bez pensji każdy siedzi sam, nikt mu nie pomaga w tej bolesnej sytuacji. A wracając do udręczonej Swietłany Romanowej-Czibisowej, to mogę z całą pewnością stwierdzić, że nie wysyłała matce i nie mogła wysyłać żadnych pieniędzy, zwłaszcza w ciągu ostatnich trzech lat.

– Złożyłeś zapytanie do milicji w Magadanie? – zapytał Kola. – Może Czibisowowie zajęli się przestępczym procederem, żeby nie umrzeć z głodu i wyżywić dzieci?

– Pytałem, owszem. Ani ona, ani on nigdy nie byli notowani. Są kryształowo uczciwi. Dzielnicowy to ich bliski przyjaciel, bywa u nich i ręczy za to, co mówi.

– No jasne, że ręczy – burknął Kola. – Tak samo jak twoi przyjaciele z Niżnego Nowogrodu. Zdaje się, że facet ma miękkie serce, wszystko widzi, ale milczy. Potrafi wczuć się w sytuację.

– Darowanemu koniowi w zęby się nie zagłąda. Przekazuję to, czego się dowiedziałem, Kola. Taka jest oficjalna odpowiedź. Masz podstawy, żeby ją podważać?

Pograżony w zadumie Siełujanow zaczął obracać papierosa w palcach, później wbił weń zdumiony wzrok, jakby nie wiedział, co to za aromatyczny patyczek i skąd się wziął. Przypomniał sobie jego nazwę i przeznaczenie, wsunął go do ust i zapalił.

– Raczej nie – odparł nieśpiesznie. – Nie mam podstaw, by podawać cokolwiek w wątpliwość. Syn babci Kławy jest pospolitym bandziorem, wędruje z więzienia do więzienia i dostaje coraz wyższe wyroki, a córce nie dopisuje szczęście. Ani jedno, ani drugie nie miało i nie ma pieniędzy. To oczywiste, że żadne nie wysyłało ich matce, zwłaszcza w ciągu ostatnich trzech lat. Tymczasem, zgodnie z moimi informacjami, właśnie wtedy nasza babcia zaczęła się bogacić, i to nie z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę, w dodatku owo bogactwo dostarczają jej jakieś podejrzane typy. Chwytasz, ku czemu zmierzam?

– Chwytam, ale nie mogę zrozumieć, jaki przestępczy biznes mogła prowadzić cicha, przyzwoita emerytka, która prawie na okrągło siedzi albo w domu, albo na ławeczce przed domem, albo u przyjaciółek po sąsiedzku. Byłem przecież w jej mieszkaniu, nie pachnie tam podziemnym burdelem. Nie ma też żadnej pirackiej produkcji, jak u jej sąsiada Wiatkina. Więc za co takie pieniądze?

– Dowiemy się tego, Sierioża, i to łatwo, bez żadnego wysiłku. Musimy tylko uzbroić się w cierpliwość. Mówiłeś komuś, że Romanowa jest w szpitalu?

– Tylko tamtej kobiecie, która dzwoniła.

– Nikomu więcej?

– Chyba nie. – Zarubin zamyślił się, a po krótkiej chwili dodał stanowczo: – Na pewno nie. Nikomu.

– Więc musimy się dowiedzieć, czy nasza babcia nie zadzwoniła do kogoś i nie uprzedziła go, że nie będzie jej w domu. Biegnij do szpitala,

Sierioża, i dowiedz się, czego tylko się da. Przekonaj też lekarzy, żeby nie wypisywali jej jeszcze przez jakiś tydzień. Ja tymczasem poszukam zamiany.

Trzy godziny później Siergiej Zarubin oznajmił, że Romanowa nie podjęła próby skorzystania z telefonu znajdującego się w pomieszczeniu pielęgniarek, co zaś się tyczy automatu, który wisi na klatce schodowej i przeznaczony jest dla pacjentów, to tutaj nikt nie może dać żadnej gwarancji. Personel medyczny go nie pilnuje, a wypytywanie chorych jest ryzykowne – mogą się wygadać.

– A więc pół na pół – powiedział Siełujanow z posępną miną. – Będziemy próbować, nie ma innego wyjścia. Jeśli się nie mylę, Aśka zwróciła klucze Romanowej, tak?

– Oczywiście. – Siergiej kiwnął głową. – Już następnego ranka. Poszła do szpitala, jak jej obiecała, i zwróciła klucze razem z kremami.

– A ty co?

– Nie jestem aż tak tępy, Kola. – Zarubin uśmiechnął się i wyjął z kieszeni duplikat kluczy do mieszkania Kławdii Nikiforowny.



Na pierwszy rzut oka w sali szpitalnej nic się nie zmieniło. Te same pięć łóżek, na każdym ktoś leży, a obok siedzą odwiedzający. W rogu przy oknie Denis, koło niego Artiom. Jednak już chwilę później Nastia doszła do wniosku, że wszystko wygląda inaczej niż poprzednio. Denis nie leżał, ale siedział, twarz miał ożywioną, a zarazem skupioną, Artiom zaś patrzył na przyjaciela ze zdziwieniem i z zachwytem. To jasne, że Wadim już tu był, pierwsze efekty widać jak na dłoni.

– Dzień dobry. – Denis przywitał się pierwszy. – Zobacz, Artiomie, przyszła Anastazja Pawłowna.

– Dzień dobry, panowie – odezwała się Nastia. – Co u was słyszać?

– Wszystko w jak najlepszym porządku! – powiedział podekscytowany Artiom. – Będzie pani zdumiona, gdy usłyszysz, co się wydarzyło. Okazuje się, że Denis poznał pewnego mężczyznę, który pracuje w Centrum Ochrony przed Stresem. Facet wpadł tutaj niedawno, żeby odwiedzić znajomego, i zauważył Denisa. Zaczęli rozmawiać, a ja się poskarżyłem, że Denis bardzo wolno wraca do zdrowia. Wtedy ten mężczyzna, Wadim, powiedział, że może pomóc.

Artiom doskonale grał swoją rolę, udawał, że omawia to z Nastią po raz pierwszy, i relacjonował szczegółowo wszystko, o czym już jej wspominał podczas spaceru. Nastia jeszcze z książki i z dawnych programów telewizyjnych pamiętała teorię samokontroli, ale słuchała uważnie jak ktoś niewtajemniczony.

– Proszę sobie wyobrazić, że nasz organizm jest całkowicie sterowany przez mózg, da pani wiarę? Jesteśmy w stanie kontrolować dowolną funkcję dowolnego organu. Przed napaścią Denis wykonywał ćwiczenia, więc mechanizm sterowania rękami i nogami został już uruchomiony, dlatego teraz wszystko poszło gładko, aż trudno uwierzyć. Szwy w ogóle nie chciały się goić, a teraz zblizniają się dosłownie w oczach. Lekarze są w szoku, wciąż oglądają Denisa, pokazują go sobie, kręcą głowami, żaden nie ma pojęcia, co się dzieje.

Nastia spojrzała na Denisa. Chłopak promieniał dumą, w jego oczach nie było tamtej niechęci, która uderzyła ją ostatnio. Znalazł się w centrum uwagi, Artiom wciąż mówi o nim, o jego chorobie i sukcesach, nawet znienawidzona Kamieńska słucha z otwartymi ustami. Zresztą po co jej nienawidzić? Od tej pory nie stanie mu na drodze, już nigdy nie zdoła go przyćmić ani odebrać sympatii i zainteresowania Artioma, bo on, Denis Bażenow, wie i potrafi to, czego nie wie i nie potrafi ani ona, ani nawet sam Artiom.

No i dobrze, pomyślała z ulgą Nastia, częstując chłopców bananami i pomarańczami. Sprawa załatwiona, chłopak zdrowieje, zazdrość zniknęła jak ręką odjął. Wprawdzie co pewien czas zjawi się bez wątpienia ktoś, kto przyciągnie uwagę Artioma, niewykluczone, że jakaś dziewczyna. Ale, po pierwsze, Denis będzie już dojrzały i, miejmy nadzieję, rozsądniejszy albo przynajmniej cierpliwszy. Po drugie, on też może się zakochać albo kimś zainteresować, co pozwoli mu spojrzeć na sytuację inaczej. A po trzecie i najważniejsze, stan jego zdrowia się poprawia. Gdy będzie zdrowie, reszta się ułoży. Tak czy owak, trzeba pamiętać, że to, co nas spotyka, jest straszne i trudne tylko za pierwszym razem, później uczymy się, jak sobie z tym radzić.

Nastia opuściła szpital z lekkim sercem.

Rozdział 13

Dlaczego Chramow nic nie powiedział klientom? Dlaczego milczał? Dlaczego zapewnił, że wszystko w porządku i sprawa posuwa się naprzód?

Pytania tak mocno zaprzętały Nastię, że nie potrafiła myśleć o niczym innym. Nie mogła się pozbyć wrażenia, że gdy znajdzie odpowiedzi, rozwikła tajemnicę zabójstwa Eleny Dudariewej.

Zasnęła z pytaniami i się z nimi obudziła, zabrała je do pracy, ulokowała wygodnie przy biurku i nawet zaproponowała wspólną kawę. Może dzięki kubkowi dobrej kawy złagodnieją i udzielą odpowiedzi? One jednak odmówiły poczęstunku, patrzyły na Nastię zimnymi, nieruchomymi oczkami i milczały, jakby chciały powiedzieć: „To prawda, że nie jesteśmy łatwe. Ale nie pomożemy ci, sama szukaj odpowiedzi”.

No więc Nastia szukała. Najpierw usiłowała wcielić się w Chramowa, ponieważ jednym z najgorszych błędów jest szukanie odpowiedzi z pozycji „ja bym na jego miejscu”. Ktoś, kto podchodzi do sprawy w ten sposób, nigdy nie zgłębi cudzej tajemnicy i nie zrozumie cudzych czynów. Bo czyny popełnił ten, kogo trzeba zrozumieć, a nie ten, kto usiłuje zrozumieć. Różne charaktery, losy, umysły i nawyki – wszystko to decyduje o tym, że różni ludzie, będąc w identycznej sytuacji, zachowują się inaczej i odmiennie reagują na te same wydarzenia i fakty.

Pracowałam w wydziale kryminalnym... Ile lat? Muszę się tego dowiedzieć.

Na kartce pojawiła się pierwsza uwaga: „Dowiedzieć się, ile lat Chramow pracował w wydziale kryminalnym”.

Pracowałam tyle i tyle lat w...

Zaraz potem pojawiły się inne słowa: „Ile lat i gdzie konkretnie

pracował?”.

Byłam zwyczajnym wywiadowcą, radziłam sobie z obowiązkami...

Trzecia kwestia: ocena służbowa Chramowa i opinie kolegów. Dlaczego zdecydował się zarabiać na chleb jako prywatny adwokat? Była to kwestia pieniędzy czy wolności? A może tego, że nie radził sobie w wydziale kryminalnym?

Rozważmy wariant minimalistyczny. W pracy sobie nie radziłam, nie nauczyłam się wykrywać przestępstw, koledzy patrzyli na mnie krzywo, ja jednak byłam dobrym prawnikiem, bo przecież bycie kompetentnym prawnikiem to nie to samo co bycie dobrym wywiadowcą. Doszłam więc do wniosku, że muszę odejść z wydziału, żeby się nie kompromitować, i poszukać sobie innego zajęcia. Na przykład jakiego? Zatrudnić się jako prawnik w firmie? Nie ta specjalność, firmy potrzebują cywilistów, ekspertów w dziedzinie prawa cywilnego i finansowego, a moją jest prawo karne i procesowe. Przekwalifikowanie nie wchodzi w grę. Mogę zatem otworzyć praktykę adwokacką i zająć się sprawami karnymi, zwłaszcza że jako detektyw dobrze znam osobliwości i sekrety wykrywania przestępstw oraz związane z tym problemy. Dwa lata pracy w zawodzie adwokata pozwoliły mi uzupełnić braki, pojawili się klienci i wygrane sprawy, a co za tym idzie pieniądze, dlatego uważam, że pod tym względem wszystko jest w porządku. Pewnego dnia zwraca się do mnie kolejny klient i przedstawia sprawę. Proponuję mu linię obrony, on się zgadza, więc podejmuję stosowne działania i nagle widzę, że moje wysiłki nie są wcale potrzebne. To, co chciałam uzyskać drogą pracy ze świadkami, już istnieje. Samo z siebie. Niczego nie trzeba robić. Co poczułam? Radość, że wszystko ułożyło się gładko, bez żadnego wysiłku, i mogę teraz odpocząć? Niewykluczone. W tej sytuacji nic nie stoi na przeszkodzie, żebym wyjechała na dwu-, trzytygodniowy urlop i pojawiła się dopiero na rozprawie sądowej, której termin nie jest jeszcze znany. Wyciągnęłam od klienta pieniądze za rzekomo arcytrudną robotę, a teraz wyleguję się na gorącym piasku. Nikt by tego lepiej nie wymyślił! Ale po co w takim razie rezygnować ze sprawy? I na dodatek proponować klientowi zwrot zaliczki...? To ślepa uliczka. Nigdzie nią nie zajdziemy. Wypróbujmy inny trop. Wariant maksymalistyczny.

Odnosiłam sukcesy w pracy, wykrywanie przestępstw szło mi

doskonale. Odeszłam z milicji i zajęłam się praktyką adwokacką. Najprawdopodobniej potrzebowałam pieniędzy, bo prawdziwy wywiadowca nie rzuca swojej roboty z byle powodu. Dobry wywiadowca to finezyjnie obmyślane i błyskotliwie przeprowadzone operacje, to szybko i skutecznie rozwiązane najtrudniejsze sprawy, to wszechogarniające uczucie radości, że człowiek dał radę, domyślił się, wyprzedził, przechytrył, dobiegł przódzej... To narkotyk sukcesu, którego niewielu potrafi sobie odmówić, choć tak naprawdę wcale nie musi. Od niego się nie umiera. Dobry wywiadowca musi się nim urodzić, musi mieć szczególny charakter, temperament i szczególną mentalność. Wszystko to nigdy go nie opuści, bez względu na rodzaj działalności, której się podejmie. Urodził się wywiadowcą i umrze jako wywiadowca, nawet jeśli zostanie bramkarzem w kasynie albo pomocnikiem maszynisty elektrowozu. Załóżmy, że jestem taką właśnie osobą. A zatem to, co usłyszę od przyjaciółek Eleny Dudariewej i Olgi Jermiłowej, na pewno mi się nie spodoba. Dlatego że mam umysł detektywa, bywam bardzo podejrzliwa i zawsze budzi moją czujność i niepokój nadzwyczaj spójny ciąg wydarzeń. Co robię w tym wypadku? To oczywiste, w duchu byłam i pozostanę wywiadowcą, a jedna z reguł pracy operacyjnej nakazuje milczeć, póki ktoś nie przyłoży ci noża do gardła. Z nikim nie należy dzielić się domysłami. Nikomu nie wolno nic mówić, jeśli to nie jest konieczne. Najgorszy wróg wywiadowcy to wyciek informacji. Dlatego milczę i nie opowiadam klientom o swoich wątpliwościach. Co robię później? Zaczynam, rzecz jasna, sprawdzać swoje podejrzenia. Jak to robię? Tak jak przedtem, gdy pracowałam jeszcze w wydziale kryminalnym. W końcu jestem detektywem, prawda? Zaczynam zbierać informacje swoimi kanałami. Jakimi? Detektyw ma dwa główne źródła informacji: oficjalno-służbowe, które stanowią koledzy gliniarze, i służbowo-prywatne, nieoficjalnie nazywane specaparatem. Ktoś, kto przez dwa lata pracował jako adwokat, najpewniej stracił już swój specaparat. Ale wciąż ma przyjaciół i kolegów w milicji. Do nich właśnie się zwrócę.

Teraz wiesz, Kamieńska, gdzie szukać odpowiedzi?

Nastia jednym łykiem dopiła kawę i ostentacyjnie odstawiła kubek na biurko, tam, gdzie – zgodnie z jej wizją – powinny leżeć pytania z zimnymi, nieruchomymi oczkami.

– Obeszłam się bez was – powiedziała z pogardą. – Siedźcie tu,

złośliwe dranie. Zobaczą, jakie będziecie mieć miny, gdy sama znajdę odpowiedź.

Drzwi uchyliły się cicho, do pokoju wślizgnął się Korotkow i szybko przekręcił klucz w zamku.

– Z kim rozmawiasz? – zapytał szeptem. – Ktoś dzwonił?

– Nie, mówię do siebie – odparła Nastia głośno.

– Ciszej! Po korytarzu szwendają się generałowie, jeszcze przyjdzie im do głowy, żeby tu zajrzeć.

– No to niech zaglądną. – Nastia wzruszyła ramionami, ale na wszelki wypadek zniżyła głos. – Przecież nie pijemy wódki ani nie gramy w karty.

– Widać, że nie znasz się na generałach. Potrafią przyczepić się do wszystkiego, na przykład do tego, że palisz w pokoju, że pijesz kawę, że korzystasz z grzałki niezgodnie z przepisami przeciwpożarowymi. Lepiej się nie narażać. Należysz mi kawki?

– Jesteś teraz ważnym szefem, Korotkow. – Nastia roześmiała się cicho. – Powinieneś mieć sekretarkę, żeby ci parzyła kawę i przynosiła w ładnej filizance, a ty bez żenady przymawiasz się podwładnym.

– Żałujesz mi, tak?

– Raczej się przekomarzam. Pączek nie dzwonił?

– On miałby nie dzwonić?! Dobre sobie! Każdego dnia szarpie mi nerwy. Boi się, że bez niego dyscyplina padnie.

– Kiedy wraca?

– Za dwa dni. Już się stęskniłaś? A może źle ci się pracuje pod moim troskliwym kierownictwem?

Nastia nie odpowiedziała. Wyjęła puszkę kawy i pudełko cukru, postawiła przed Korotkowem czysty kubek i dzbanek z dopiero co zagotowaną wodą.

– Nasyp sobie i zalej, mamy tu samoobsługę. Skoro jesteś moim szefem, informuję cię, że zamierzam pojechać tam, gdzie kiedyś pracował Chramow.

– W jakim celu? Co chcesz znaleźć?

– Chcę się dowiedzieć, czy parę dni przed śmiercią nie próbował nawiązać niespodziewanego kontaktu z dawnymi kolegami i czegoś się dowiedzieć.

– A dlaczego niespodziewanego?

– Bo jeśli się z nimi spotyka, to na przykład na czyimś przyjęciu

urodzinowym albo z okazji Dnia Milicji czy przyznania kolejnego stopnia. Takie kontakty nazywam planowymi. Niespodziewany kontakt oznacza, że nagle zadzwonił i zadał jakieś pytanie. Albo dwa pytania.

– Aha, albo trzy – przytaknął Jura, robiąc zbyt duży łyk i parząc sobie usta. – Cholera, ale gorące. No więc skoro jestem twoim szefem, mam prawo wiedzieć, co się ulęło w twojej chorej głowie.

– Dlaczego chorej? – zdziwiła się Nastia. – Z moją głową wszystko w porządku.

– Jak to w porządku, skoro rozmawiasz sama ze sobą?

– Tylko po to, żeby ujrzyć sprawę wyraźnie. Myślę na głos. Mój plan jest prymitywny w swojej prostocie...

Podczas gdy Korotkow dopijał kawę, Nastia krótko, punkt po punkcie, wyłożyła mu istotę swoich niedawnych rozważań. Ale logiczne wywody, wyartykułowane głośno, przestały jej się wydawać tak przekonujące i zasadne jak przed chwilą. Znowu ogarnęło ją zwątpienie.

– Jeśli dobrze zrozumiałem twoje nieskładne mamrotanie, masz dwie hipotezy. Pierwsza opiera się na tym, że Chramow był przeciętnym albo nawet kiepskim wywiadowcą, w tej sytuacji niczego nie rozumiesz. Druga hipoteza zakłada, że Chramow był dobrym wywiadowcą, zgadza się?

– Owszem. Nie podoba ci się? – zapytała nieśmiało. – Uważasz, że to kiepska teoria?

– Zwyczajna. Dziękuję, koleżanko Pawłowna, za kawę, miała niezwykle walory smakowe. A jeśli chodzi o Chramowa, już zasięgnąłem języka, dlatego mogę ci trochę ulżyć w twojej mozolnej pracy umysłowej. Tola Chramow był dobrym wywiadowcą. Dlatego gotów jestem przyznać, że jeśli coś go zaniepokoiło, to najpierw pobiegł do swoich przyjaciół z milicji i próbował zdobyć jakieś informacje. Ale myślisz jednotorowo. Wiem, że jesteś podekscytowana swoim rozumowaniem, jednakże podczas całej tej intelektualnej uczy zapomniałaś o innych pożytecznych rzeczach.

– Na przykład?

– Na przykład o tym, że zabójstwo Chramowa niekoniecznie łączy się z zabójstwem Dudariewej. Skąd w ogóle ten pomysł, moja droga? Mało to powodów, by ktoś chciał zabić adwokata i dawnego milicjanta w jednej osobie? Sądzisz, że Chramow był aniołem dobroci, który nie

miał wrogów i zawistników? Skoro jestem twoim szefem...

– Skoro jesteś moim szefem – przerwała mu Nastia – zarządzaj, żeby sprawdzono obie hipotezy. Masz do dyspozycji cały wydział, pod nieobecność Pączka ty jesteś tutaj panem. Tylko nie rozporządzaj wyłącznie mną. Rozumiem twoje opory, Jurik, bo jesteś młodym naczelnikiem wywodzącym się z naszych szeregów i niezręcznie ci wydawać polecenia. Jest takie słowo „dyskomfort”. No więc czujesz dyskomfort, gdy musisz nam rozkazywać. Czekasz, aż sami się u ciebie zjawimy i coś zasugerujemy, a ty pochwalisz i zaakceptujesz nasz plan. Wygląda to tak, jakbyśmy sami szukali sobie roboty. Rozumiem twoje podejście i je aprobuję, ale proszę, żebyś pozwolił mi zająć się moją hipotezą, a resztę powierzył komuś innemu, dobrze? Byle nie mnie.

– Wodzisiz mnie za nos i tyle – burknął Korotkow ponuro.

– Wykorzystuję tylko to, że jesteś jeszcze młodszy stopniem. Nie płacz, niedługo zostaniesz podpułkownikiem i moja przewaga się skończy. Pogonisz mi kota. To jak, mogę iść?

– Dobrze, idź.

Korotkow podkradł się do drzwi i zaczął nasłuchiwać.

– No i co tam porabiają nasi generałowie? – zapytała Nastia.

– Chyba już się zwinęli. W każdym razie nie słyhać żadnych służalczych głosów na korytarzu. Aha, omal nie zapomniałem zapytać, co tam u Stasowa.

– Dobrze. Oboje z Tanią wojują z Iriną, ciągle próbują ułożyć jej życie. Pora, żeby dziewczyna poznała Miszę Docenkę, może to coś zmieni.

– Czemu nie? – Korotkow się ożywił. – To niezły pomysł. Irka będzie dobrą żoną dla milicjanta, spędziła z Tatianą sporo czasu, więc doskonale zrozumie nasze problemy. A jak malec?

– Olbrzymi. O, taki. – Nastia rozłożyła szeroko ręce. – Chyba dawno u nich nie byłeś?

– Jakieś dwa miesiące. Griszka jeszcze nie chodził.

– Teraz przez cały dzień drepcze.

Korotkow wrócił do siebie, a Nastia zadzwoniła w parę miejsc, po czym ruszyła do dawnych kolegów Anatolija Leonidowicza Chramowa.

Po drodze wpadła do eksperta Olega Zubowa.

– Czego tu szukasz? – przywitał ją Zubow posępnie. – Nie mam nic twojego.

– Wiem, Oleg. Mogę cię o coś poprosić?

– Przez bufet – odparł jak zwykle ekspert. – Za darmo się nie udzielam.

– Już biegnę – zapewniła Nastia skwapliwie. – Pozwolisz, że najpierw wyłożę prośbę?

– Wal – zezwolił litościwie Zubow. Odsunął się od mikroskopu, z ulgą rozprostował ramiona i przeciągnął się, aż mu chrupnęło w stawach. – Przez tę robotę człowiek nabawia się tylko chorób – poźalił się. – Całymi dniami siedzę zgarbiony albo pełzam na kolanach po wilgotnej ziemi, albo...

Był to nieodłączny element rozmowy z Zubowem i każdy, kto chciał z nim zamienić słowo, musiał zacisnąć zęby i cierpliwie wysłuchać całego pakietu skarg na pracę, zdrowie, porządki w kraju i globalne ocieplenie. Zubow był znakomitym fachowcem i firmował mnóstwo rozmaitych ekspertyz, toteż liczono się z nim i znoszono jego kaprysy oraz nieznośny charakter. Nastia dzielnie wytrzymała próbę, po prostu się wyłączyła i myślała o swoich sprawach.

– No to mów, jaką masz prośbę – rzekł wreszcie Oleg. – Znowu coś pilnego i poufnego, w stylu gubczeki^[13]?

– Ależ skąd, to o wiele prostsze. Znasz Musina?

– Eksperta? Znam. I co?

– Możesz do niego zadzwonić?

– Mogę. Tylko po co?

– Chodzi o to, że śledczy Gmyria prowadzi sprawę, do której zostałam włączona. Nie dam rady złapać go z samego rana, a Musin był na miejscu zdarzenia i pobierał próbki. Chciałabym poznać wyniki. On jednak mi nie powie, bo kim dla niego jestem? Właściwie się nie znamy.

– Załatwione – odparł Zubow z ulgą. – To nie wymaga dużo fatygi. Możesz sobie darować bufet, pomogę ci po starej znajomości.

Dziesięć minut później Nastia wychodziła z budynku na Pietrowce, powtarzając sobie w myślach, czego się dowiedziała. Na niedopałkach znajduje się ślina Chramowa. Na jednej szklance są odciski jego palców i ust oraz ślady po wodzie mineralnej. Na drugiej szklance nie ma niczego prócz śladów palców Chramowa. Nawet resztek wody. Na miejscu przestępstwa znalazło się sporo odcisków palców nienależących do właścicieli mieszkania, to jednak zrozumiałe, biorąc pod uwagę fakt, że Chramow często przyjmował klientów w domu.

Które z nich należą do zabójcy? Może żadne? Gość musiał być bardzo ostrożny, skoro nie dotknął szklanki podsunętej mu przez Chramowa. To wcale nierzadkie zjawisko, że przestępca pije i je coś razem z przyszlą ofiarą, a później starannie myje po sobie naczynia i usuwa odciski z miejsc, na których je zostawił. Podczas oględzin takie rzeczy od razu wychodzą na jaw. Ale zabójca Chramowa nie postąpił w ten sposób. Starał się nie zostawiać odcisków, a te, które zostawił, zginęły wśród fury innych, pozostawionych przez różne osoby. Chramow mieszkał dwa tygodnie sam, bez żony, chmary kurzu w mieszkaniu wskazują na to, że w tym czasie ani razu nie sprzątał, no a klienci odwiedzali go parę razy dziennie. Tak więc przestępca doskonale wiedział, że może spać spokojnie i o nic się nie martwić, bo przez dwa tygodnie mieszkanie zdeptano i wszędzie naniesiono mnóstwo śladów. Cwany drań!



Siełujanow znowu musiał skorzystać z pomocy Iwana Fiodorowicza. Bułhakow miał znakomitą pamięć, między innymi wzrokową, wystarczyło, że raz kogoś zobaczył, a na długo zapamiętywał twarz. W zaplanowanej operacji nie sposób było się bez niego obejść.

Na pewien czas u Romanowej zamieszkała tęga, niemłoda kobieta, która nazywała się Lidia Iwanowna i była ekspertką kryminalistyki, od jakichś pięciu lat na emeryturze. Miała zachowywać się cicho, nie odbierać telefonów, za to otwierać drzwi, jeżeli ktoś zadzwoni. Ale nie wszystkim. No bo gdyby zjawiła się jakaś sąsiadka albo przyjaciółka Kławdii Nikiforowny, trzeba by jej długo tłumaczyć, kim jest ta obca kobieta i co tutaj robi. Można, rzecz jasna, wymyślić zgrabne kłamstwo, w dodatku bardzo wiarygodne, nie ma jednak żadnych gwarancji, że Romanowa, odzyskawszy siły po załabnięciu, nie zadzwoni ze szpitala akurat do tej przyjaciółki czy sąsiadki z prośbą, żeby na przykład coś jej przywiozła albo sprawdziła, czy ktoś się nie włamał do mieszkania. I bardzo się zdziwi, gdy się okaże, że zadomowiła się u niej jakaś krewna, która przyjechała z dalekiego Irkucka. Dlatego drzwi należało otwierać z dużym rozmysłem.

Wykonując poprzednie zadanie swojego kuratora, Siełujanowa, Iwan Fiodorowicz Bułhakow dobrze zapamiętał twarze osób, które widział

koło domu Romanowej i w najbliższej okolicy, a także twarze jej przyjaciółek. Jego zadanie polegało na tym, że miał siedzieć na stołeczku w pustym chwilowo mieszkaniu Kostii Wiatkina, tuż przy drzwiach wejściowych, patrzeć przez wizjer i uważnie przyglądać się każdemu, kto zatrzyma się przed drzwiami Romanowej. Jeżeli twarz okaże się znajoma, ma za pomocą nieskomplikowanego urządzenia wysłać sygnał do sąsiedniego mieszkania, że nie należy otwierać, tylko siedzieć cicho i nie dawać oznak życia. Jeśli do drzwi podejdzie osoba przypominająca posłańca od troskliwych dzieci Romanowej, Bułhakow nada inny sygnał, a wtedy dawna ekspertka śmiało otworzy drzwi i wda się w rozmowę. Ot i cała filozofia.

Przez dwa dni Lidia Iwanowna męczyła się w mieszkaniu Romanowej, podrywając się na każdy dzwonek do drzwi. Od razu rzucała okiem na prymitywne, ale niezawodne urządzenie i widziała, że pali się tylko jedna lampka zamiast dwóch. A więc to fałszywy alarm, nie trzeba się trapić. Wieczorem drugiego dnia po kolejnym dzwonku zapaliły się obie lampki. Lidia Iwanowna poprawiła włosy, obciągnęła bluzkę i statecznym krokiem ruszyła do drzwi.

– Kto tam? – zapytała dla zasady.

– Ja do ciebie, ciociu Kławo – rozległ się cichy, niepewny głos.

Lidia Iwanowna otworzyła drzwi. Przed nią stała jakaś licha istota. Czoło pokryte potem, w oczach udręka i strach. Od razu widać, że przybysz cierpi na głód narkotykowy.

– A gdzie ciocia Kława? – zapytał zmieszany.

– Nie ma jej, synku – odparła Lidia Iwanowna, siląc się na życzliwość.

– Wróci za dwa, trzy dni. A czego chciałeś? Może ci jakoś pomogę?

– Chciałem... to... no jakby tu... A gdzie ciocia Kława?

Źle z nim, ze współczuciem pomyślała była ekspertka. Chłopak ledwie rozumie, co się do niego mówi. No ale jak niby ma się wsłuchiwać w słowa, skoro jego umysł nastawiony jest na walkę ze strachem.

– Synku – powiedziała łagodnie – przecież ci tłumaczę. Kławoczka będzie za dwa, trzy dni. Teraz nie ma jej w domu. Ale wejdź do środka, kochany, i usiądź, bo bardzo źle wyglądasz. Chyba dokucza ci serce, tak? Idź do pokoju i usiądź, a ja ci przyniosę kropli walerianowych.

– Nie... to dla mnie... A nie wie pani, gdzie...?

– Co, kochany? – zapytała Lidia Iwanowna cierpliwie. – Jakie „to”?

Zgubiłeś coś?

W oczach przybysza pojawił się przebłysk świadomości. Widocznie najwyższym wysiłkiem woli sięgnął po resztki rozsądku, żeby wziąć się w garść i nie narobić głupstw.

– Przepraszam – powiedział głucho. – Nie chcę przeszkadzać, przyjdę innym razem.

– Jak chcesz, synku. – Lidia Iwanowna pokiwała głową. – A może jednak wejdiesz, posiedzisz chwilę, bo jeszcze, nie daj Boże, zemdlejesz na ulicy. Aż strach patrzeć na ciebie, wyglądasz jak cień.

– Nie, dziękuję, nic mi nie jest – odparł przybysz bełkotliwie. – Do widzenia.

Lidia Iwanowna zamknęła drzwi i wróciła do pokoju. Z okien mieszkania widać było wejście do budynku, mogła więc śledzić wzrokiem niedawnego gościa, który chwiejnym krokiem zmierzał w stronę sąsiedniej klatki. Zobaczyła, jak wszedł, parę minut później wyszedł i ruszył do domu naprzeciwko. Stamtąd udał się do domu po lewej. W pewnej odległości za nim kroczył Siergiej Zarubin. Lidia Iwanowna podniosła słuchawkę telefonu.

– Kola? Tu Lidia Nikołajewna. Wypuść mnie stąd, obraz się wyklarował. Twoja figurantka handluje narkotykami.

≡

– To ci dopiero staruszka! – Siełujanow pokręcił głową z niedowierzaniem. – Kto by pomyślał, na oko niby przyzwoita kobieta. Możemy nie przeszukiwać mieszkania, pewnie niczego tam nie ma. Romanowa musi upychać zioło po okolicznych domach. Stara sztuczka, nic nowego. Jej gość zrobił obchód kryjówek, licząc na to, że może coś w nich zostało.

Sztuczka była rzeczywiście stara i dobrze znana w środowisku drobnych handlarzy narkotyków. Żaden zdrowo myślący diler nie przechowuje towaru u siebie. Chowa woreczki w rozmaitych miejscach niedaleko swojego mieszkania. Klient przychodzi, płaci i w odpowiedzi otrzymuje bezcenną wskazówkę, gdzie szukać działki. Idzie i ją zabiera. Nawet najsprytniejsi milicjanci nie są w stanie udowodnić związku między spokojnie przechadzającym się handlarzem a nie wiadomo gdzie ukrytymi narkotykami. Kławdija Nikiforowna też nie trzymała

towaru w domu, była nie w ciemną bita. Umieszczała go za grzejnikami i w różnych sekretnych miejscach na klatkach schodowych, a później informowała klienta, gdzie ma szukać upragnionego woreczka.

– Stąd właśnie pochodził jej majątek. Może zaopatrywała też swojego sąsiada, Wiatkina – powiedział Gmyria. – A co z Sieriożą? Nie daje znaku życia?

– Na razie nie. Ale pewnie niedługo się zjawi, minęło przecież sporo czasu.

Siełujanow się nie pomylił, niecały kwadrans później Zarubin wpadł jak burza do pokoju śledczego.

– Zgadnijcie, kim był klient babci. Do trzech razy sztuka – oznajmił triumfalnie. – Nieźle się ubawicie.

– Nie rób tutaj cyrku – przerwał mu gniewnie Gmyria. – Melduj.

Siergiej od razu spoważniał, ale wyglądał na zdenerwowanego. Miał ochotę celebrować chwilę przekazywania informacji, tymczasem śledczy jak zwykle sprowadził go na ziemię i zepsuł całą przyjemność.

– Jest sprzedawcą ulicznym w firmie Melodia Plus – zameldował sztywno. – Uzależnionym od heroiny.

– A więc to takie buty! – zawołał triumfalnie Nikołaj. – Teraz metoda jest oczywista. W ten sposób piorą pieniądze, łobuzy.

– Dlaczego piorą pieniądze? – Zarubin nie zrozumiał.

– Nie masz jeszcze doświadczenia, Sierioża. – Gmyria westchnął. – Ucz się ode mnie i od Siełujanowa, póki jeszcze żyjemy, i nabieraj rozumu. Firma Melodia Plus jest poważnym nabywcą narkotyków. A oprócz tego handluje płytami. Jak dotąd wszystko jasne?

– Czemu pan ze mnie kpi, Borisie Witaljewiczu? – zapytał Zarubin z urazą. – Nie jestem kretynem.

– Nie kpię, raczej zachowuję się jak dobry pedagog i dokładam starań, żeby uczeń pojął moje wyjaśnienia. Idziemy dalej. Firma muzyczna nie tylko handluje płytami, ale też nagrywa je bez licencji. Dzięki temu zarabia dodatkowe pieniądze. To dlatego wynajęła, po pierwsze, sprzedawców, którzy handlują na stoiskach ulicznych, a po drugie, wytwórców, którzy siedzą w domu i hurtowo przegrywają kasety. Wytwórca dostaje czyste kasety i oryginały, a później przekazuje nagrania, które firma wprowadza do obrotu na swoich stoiskach razem z furą legalnych, licencjonowanych kaset. Na razie wszystko jasne? Idziemy dalej. Producentom trzeba zapłacić?

Oczywiście. A sprzedawcom? Tak samo. Z jakich pieniędzy opłaca się siłę roboczą? Wiadomo. Sprzedawca zostaje wciągnięty na listę płac, a jego wynagrodzenie zależy od dochodu z handlu kasetami. Producent lewego towaru nie figuruje, rzecz jasna, na liście płac, zarabia na czarno, ale jego wynagrodzenie też wypłacane jest z dochodu. A jeśli pracownicy są narkomanami? Wtedy dostają pensję i zaraz potem wydają ją na narkotyki. Teraz wyobraź sobie, że firma ma własne narkotyki i własną sieć zbytu, więc pracownicy kupują narkotyki tylko w tam, a nie gdzie indziej. Jaki wyłania się wówczas obrazek? Ano taki, że firma oficjalnie zarabia pieniądze, oficjalnie księguje wynagrodzenia po stronie wydatków i w razie jakiegokolwiek kontroli czy inspekcji jest czysta jak kryształ. Nikt nawet się nie domyśli, że pobrane wynagrodzenia natychmiast wracają do firmy, bo przeznaczone zostają na narkotyki. Dotarło? Firma zachowuje daleko idącą ostrożność, zatrudnia dilerów, żeby biednym wyrobnikom nie przyszło do głowy, od kogo tak naprawdę kupują towar. Bo jeszcze by się wygadali. Inne firmy działają zuchwalej, płacą wynagrodzenia w narkotykach. W samej Moskwie wykryto z pięć takich przedsiębiorstw.

– Czyżby Romanowa pracowała dla takiej firmy? – zapytał Zarubin z powątpiewaniem.

– Na to wygląda – potwierdził Siełujanow. – Boris Witaljewicz powiadomił już wydział walki z narkotykami, mają sprawdzić dom Romanowej, a także domy, w których mieszkały jej najbliższe przyjaciółki. Kławdija Nikiforowna szła odwiedzić znajomą i po drodze ukrywała woreczki z narkotykami. Gdy ktoś ją spotkał na schodach, wcale się nie dziwił, udawała się przecież do przyjaciółki. Jestem pewien, że chłopcy znajdą wiele ciekawych rzeczy. Pozostaje pytanie, po co Romanowa złożyła fałszywe zeznania i dlaczego obciążyła Dudariewa. Kto ją przekupił?

– Przecież to jasne. – Śledczy skrzywił się pogardliwie. – Firma. Zabójca Eleny Dudariewej pracował dla plugawej Melodii z plusem, podobnie jak chłopak, który próbował zabić Denisa Bażenowa, i dzisiejszy klient Romanowej. To zupełnie oczywiste, że zabójstwo Dudariewej ma ścisły związek z firmą, chociaż nikt tam nie miał żadnego interesu, żeby się jej pozbyć. Ktoś ich wynajął. Szukajcie powiązań Dudariewa z Melodią, chłopcy, bo one muszą istnieć. Nie widzimy czegoś prostego, czegoś, co mamy tuż pod nosem. Dudariew

musiał się kontaktować z firmą, słyszycie? Nie mogło być inaczej. To nasza wina, że do tej pory tego nie odkryliśmy. W firmie albo w jej otoczeniu musi działać pośrednik, który na żądanie Dudariewa przekazał Wiatkinowi zlecenie zabójstwa, a później podsunął Romanowej zdjęcie samego Dudariewa. Wykopcie go choćby spod ziemi. Zrozumiano?

Siełujanow wstał niechętnie, z żalem myśląc, że znowu musi gdzieś pędzić w męczącym upale. Pokój Gmyri to też oczywiście komora gazowa, ale tutaj można przynajmniej siedzieć, nie trzeba się ruszać. A to już jakaś ulga.

– Chodźmy, Sierioża – zwrócił się do Zarubina bez entuzjazmu. – Wykonamy polecenie organu procesowego.

– I nie waż się dowcipkować! – rzucił Gmyria w ślad za nim.

≡

Rozmowy z dawnymi kolegami Chramowa z wydziału kryminalnego zajęły Nastii sporo czasu. Wszyscy wypowiadali się ciepło o Anatoliju Leonidowiczu i wyrażali szczere ubolewanie z powodu jego tragicznej śmierci. Wyjaśniła się tylko jedna rzecz: parę dni przed zabójstwem Chramow zwrócił się do kolegów z pytaniem, czy nie mają jakichś kontaktów w wydziale bezpieczeństwa wewnętrznego MWD^[14]. Jeden wywiadowca powiedział, że pracuje tam jego stary znajomy, i spróbował się do niego dodzwonić, ale tamten był akurat na urlopie. No cóż, nie ma się czemu dziwić, w końcu jest lato. Inny miał więcej szczęścia, odszukał swojego kumpla, który niedawno przeszedł do tego wydziału, i poprosił go, żeby się spotkał z Chramowem i pomógł mu w miarę możliwości. Ów kolega nazywał się Pierieturin.

Nastii nie udało się zastać Pierieturina w pracy, ponieważ dopiero o ósmej wieczorem zdobyła numer jego telefonu służbowego. Trudno, pomyślała, odłożymy sprawę do rana, a tymczasem zastanowimy się, co mogło zainteresować adwokata, zajmującego się obroną emerytowanego wojskowego oskarżonego o popełnienie zabójstwa, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, zajmującym się wykrywaniem i zapobieganiem korupcji w milicyjnych szeregach. Co ma piernik do wiatraka?

Nazajutrz rano udała się do wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego

i zapytała o majora Pierieturina. Mężczyzna wysłuchał jej pytań z jakimś zdziwieniem, a nawet z niechęcią.

– Owszem, dostałem telefon od kolegi z wydziału kryminalnego i zgodziłem się spotkać z tym, jak mu tam, Chramowem. Gdy się skontaktował, zaproponowałem, żeby odwiedził mnie w pracy. Przyjechał, zadzwonił z biura przepustek, poleciłem, by mu wydano przepustkę, i wyjaśniłem, gdzie mnie znajdzie, on jednak dotarł do mojego pokoju dopiero pół godziny później. Już chciałem powiedzieć, że wykorzystał większość czasu przeznaczanego na spotkanie, ale mnie uprzedził, grzecznie przeprosił i dodał, że niepotrzebnie mnie niepokoił i że rozwiązał już swoje problemy. Rozwiązał, to rozwiązał, baba z wozu – koniom lżej.

– Nie wie pan, gdzie spędził te pół godziny? – zapytała Nastia, na nic szczególnie nie licząc.

Pierieturin wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, nie interesowałem się – odparł obojętnie.

Nastia udała się do naczelnika sekcji dyżurnej, który okazał się nie tak sztywny jak Pierieturin, zwłaszcza że Kamieńska uśmiechała się doń czarująco. Ze zrozumieniem potraktował jej prośbę, by sprawdzić, kiedy i kto w wydziale odnotował wyjście na przepustce Anatolija Leonidowicza Chramowa. Dwadzieścia minut później przepustka leżała na biurku. Wypisano ją o piętnastej dziesiąt do majora Pierieturina, a zwrócono o osiemnastej czterdzieści pięć, ale podpis był niewyraźny i na pewno nie należał do Pierieturina.

– A do kogo? – zapytała Nastia głupio.

– Czyż nie jesteśmy milicjantami? – Naczelnik sekcji dyżurnej mrugnął chytrze. – Chodźmy do mojego pokoju, zrobię pani herbatę i poczęstuję smacznymi ciasteczkami. Zorientujemy się. Kto to widział, żeby jakiś cywil przez trzy i pół godziny spacerował po wydziale, a my nie wyjaśnilibyśmy, gdzie i z kim. To niedozwolone.

Nastia chętnie, nie bacząc na upał, wypijała herbatę i ucięła sobie miłą pogawędkę z gościnnym i życzliwym naczelnikiem. Pół godziny później zameldowano, że podpis na przepustce należy do kapitana Myzina, który jest akurat na miejscu, można z nim porozmawiać w razie potrzeby.

...Gdy parę dni temu Myzin wracał z obiadu, na korytarzu spotkał Tolika Chramowa. Nie widzieli się od trzech lat. Podczas ich ostatniej

rozmowy Chramow pracował w wydziale kryminalnym, a Myzin był dzielnicowym w komisariacie.

– Czołem! – zawołał Myzin z radością, mocno ściskając rękę starego znajomego. – Kopę lat! Co teraz porabiasz?

– Zwolniłem się – odparł Chramow. – Już nie pracuję w milicji. Przeszedłem do adwokatury. A ty?

– A ja tutaj grzeję stołek.

– I co? – zainteresował się Chramow. – Sielanka?

– Gdzie tam – poskarżył się Myzin. – Moja działka to komitet śledczy, a sam wiesz, co to znaczy mieć do czynienia ze śledczymi.

Pogawędzili chwilę na korytarzu, powspominali wspólnych znajomych. Myzin trafił do wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego za sprawą dużej łapówki. Ponieważ zupełnie się nie znał na pracy wywiadowcy, postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję i wyciągnąć z Chramowa co tylko się da. Wiedział, że nie potrafi analizować informacji ani właściwie ich wykorzystać, ale ponieważ jego protektor rekomendował go jako rozbitego i zdolnego oficera, bez którego koncepcja bezpieczeństwa wewnętrznego MWD upadnie, nie wypadało mu zasięgać porady innych, prosić, żeby coś wytłumaczyli albo udzielili instrukcji. Pozował na wszechwiedzącego i doświadczonego, każdego dnia ze strachem oczekując jakiejś wpadki na skutek niewłaściwego kroku. A tu akurat nawinął się Chramow, cóż za szczęśliwy traf. Można zapytać przynajmniej o podstawy, jego nie trzeba się wstydzić, nie jest przecież kolegą z pracy, więc nie wie, w jaki zakulisowy sposób wepchnięto tutaj prostego dzielnicowego.

Zaprowadził gościa do siebie, ale Chramow zatrzymał się przed drzwiami jego pokoju.

– Wrócę za pięć minut, Sasza, dobrze?

– A co się stało?

– Muszę do toalety – wyjaśnił Chramow, uśmiechając się z zakłopotaniem.

– Aha-a, w porządku. Wiesz, dokąd iść?

– Poradzę sobie.

Parę minut później Chramow zjawił się w pokoju. Myzin postanowił od razu chwycić byka za rogi i zaczął skarżyć się na kłopoty. Anatolij najwyraźniej mu współczuł.

– Tak – mówił, kiwając głową – zbieranie dowodów przeciwko swoim

jest trudne i niewdzięczne, tutaj się z tobą zgadzam. Ale czasami trafiają się takie szuje, że ręce opadają. Bydlak nawet nie kryje, że bierze łapówki, bezczelnie patrzy ci w oczy i się przyznaje, bo wie, że nie potrafisz niczego udowodnić. Przodują w tym zwłaszcza śledczy, udowadnianie to przecież ich fach, nie da się ich oszukać. Podam ci jeden przykład. Jest taki śledczy Michaił Michajłowicz Jermiłow, pracuje w Okręgu Centralnym. Wszyscy wiedzą, że umarza sprawy karne za kasę, ale nikt nie potrafi tego dowieść. Pewnie zebraliście o nim furę informacji, ale nie możecie ich należycie udokumentować i wykorzystać, zgadza się?

– Owszem – potwierdził Myzin. – Facet jest unurzany po uszy. Od dawna wiemy, że osłania jakąś firmę.

Od słowa do słowa Chramow przekonał znajomego, żeby ten wyciągnął teczkę z materiałami na temat Jermiłowa, i obiecał, że na tym przykładzie nauczy go podstaw roboty. Myzin przystał na propozycję. Nazajutrz panowie spotkali się ponownie, tym razem u Chramowa przy piwie, gdzie Anatolij udzielił Myzinowi poglądowej lekcji rzemiosła. Właśnie na przykładzie materiałów obciążających śledczego Jermiłowa...

Myzin, rzecz jasna, nie był do końca szczery wobec Nastii, ona jednak domyśliła się przebiegu wypadków. Chramow miał spore doświadczenie w pracy wywiadowczej, więc podszedł niedawnego dzielnicowego jak chłopca. Otwarcie blefował i odniósł zamierzony skutek.

– Jaką firmę osłaniał Jermiłow? – zapytała Nastia Myzina.

– Nie wolno mi tego nagłaśniać – odparł ten surowo.

– Wolne żarty. – Nastia się skrzywiła. – Przecież zdradził pan to Chramowowi, a tym samym naruszył zasady postępowania z informacjami poufnymi. Teraz powie pan mnie. W końcu jestem podpułkownikiem milicji, a nie osobą z ulicy, jak Chramow. – W tej samej chwili pomyślała, że wysoki stopień oficerski ma swoje zalety. Na przykład pomaga w rozmowie z kapitanem. – Niech pan mówi, Myzin, i nie boi się, że komuś powiem. Jest pan przecież zwyczajnym handlarzem, sprzedał pan Chramowowi informacje w zamian za jego fachową poradę, prawda? Teraz niech je pan sprzeda mnie w zamian za obietnicę, że nigdy nie zdradzę tego, co pan zrobił, ujawniając to, czego nie powinien pan ujawniać. No dalej, to nie boli. Pamięta pan

cytat z Bułhakowa? Mówienie prawdy jest łatwe i przyjemne. Co tam się wydarzyło u Jermiłowa?

Myzin, niechętnie cedząc słowa, oznajmił, że jakiś rok temu śledczy Michaił Jermiłow prowadził sprawę napadu na biuro pewnej firmy i pobicia jej ochroniarza. Sprawa była niestety prosta, bo od początku wiadano, czyja to robota, chodziło o porachunki biznesowe. Jednakże podczas dochodzenia Jermiłow trafił na jakiś trop i zaczął przypierać do muru nie tylko tych, co obrabowali biuro i pobili ochroniarza, ale też stronę poszkodowaną. Gdy dokopał się do czegoś poważnego, w jego pokoju zjawił się szef owej firmy i zaproponował polubowne rozwiązanie. Jermiłow się zgodził. Pieniądzy niby nie wzięł, stanęło na tym, że odtąd firma jest jego dłużnikiem.

– Jak ona się nazywa? – zapytała Nastia dla zasady, bo znała już odpowiedź.

– Melodia Plus.

[13] Gubczeka (Gubiernskaja czriezwyczajnaja komissija po borbie s konttriewoluciej i sabotażem) – Gubernialna Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrewolucją i Sabotażem, tajna policja w latach 1917–1921.

[14] MWD (Ministierstwo wnutriennich dieł) – Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Rozdział 14

– To niemożliwe, żeby wszystko odbyło się tak, jak mówisz. – Korotkow pokręcił głową. – Chramow musiał wiedzieć coś jeszcze, żeby podejrzewać Jermiłowa. My na to nie wpadliśmy, mimo że Koła Siełujanow przebył tę samą drogą co adwokat, rozmawiając z mnóstwem świadków. Musi więc istnieć jeszcze jakiś sekret, o którym na razie nie wiemy.

– Niczego więcej nie znajdziesz, Jura – powiedziała Nastia ze znużeniem. – Chramow wiedział tyle, ile my teraz. Po prostu nie miał kłapek na oczach.

Czuła się wykończona. To, co powiedział jej kapitan Myzin z wydziału bezpieczeństwa wewnętrznego, było dla niej jak uderzenie obuchem w głowę, aż rozboleła ją serce. Przestępcy w szeregach milicji to oczywiście żadna nowość, ale z jakiegoś powodu za każdym razem Nastia czuła taki ból, że nie mogła oddychać. Właśnie ów rozpaczliwy opór przed dopuszczeniem do siebie myśli, że poszukiwany przestępca chodzi tymi samymi korytarzami i kupuje bułki w tym samym bufecie co oni, nie pozwoliła im od razu zobaczyć i zrozumieć tego, co zobaczył i zrozumiał Chramow. Szukali przestępcy, gdzie się dało, tylko nie wśród swoich, i nie zauważyli rzeczy oczywistej – tego, czego nie sposób nie dostrzec bezstronnym wzrokiem. Swój to swój, jest nietykalny i poza wszelkim podejrzeniem, jak żona Cezara. Dla Anatolija Chramowa, który dwa lata temu odszedł z milicji do cywila, śledczy Jermiłow nie był już swój, był zwyczajnym obywatelem, toteż nic nie stało na przeszkodzie, by go o coś podejrzewać, jeżeli były ku temu racjonalne przesłanki.

– Jak sądzisz, czy Jermiłow wiedział, że adwokat zrezygnował ze sprawy? – zapytał Korotkow.

Nastia kiwnęła głową.

– Wiedział, Olga Wasiljewna mu powiedziała i poprosiła, żeby pomógł jej znaleźć kogoś innego. Jermiłow nie jest przecież głupi, tylko Olga mogła uwierzyć w bajeczki o pilnym wyjeździe w sprawach rodzinnych. Śledczy natychmiast odgadł, że coś tutaj nie gra, adwokaci nie rezygnują ze sprawy bez ważnego powodu. Sądzę, że poszedł do Chramowa, by zapytać, co się stało, i od razu się domyślił, że facet go rozszyfrował. Pamiętasz, ile papierosów wypalił Chramow, a także ile wypił wody? Tylko idiota by nie zauważył, że okropnie się denerwuje i boi swojego gościa. Jermiłow to zobaczył, jego tok rozumowania był podobny do naszego. My wpadliśmy na to na podstawie śladów, a on widział wszystko na własne oczy. Zorientował się, że skoro Chramow zrezygnował ze sprawy i panicznie boi się męża klientki, to znaczy, że domyślił się prawdy o nim. To dlatego zrezygnował ze sprawy. Nie jest samobójcą i nie chce stawać na drodze takiego typa jak Jermiłow. Nie jest przecież samotnym bohaterem ani wojownikiem o ideały praworządności, to zwyczajny adwokat, w dodatku jego żona spodziewa się dziecka, dlatego powinien, a nawet musi zadbać o własne bezpieczeństwo. Jeśli spróbuje zdemaskować Jermiłowa, może szybko umrzeć w niesławie, no i kto na tym zyska? Ciężarna żona? Dziecko, które urodzi młoda wdowa?

– To, co mówisz, jest przekonujące, ale to tylko domysły – powiedział Korotkow z powątpiewaniem. – Grasz teraz rolę Nero Wolfe’a, rozważyłaś sprawę, przeanalizowałaś poszlaki i stworzyłaś przypuszczalny obraz przestępstwa. A gdzie fakty? Gdzie dowody?

– Nigdzie. Nie mam dowodów. Nawiasem mówiąc, nie jesteś śledczym, więc po co ci one? Potrzebujesz prawdy. Reszta to zmartwienie Gmyri. Nie ma prawa prowadzić sprawy przeciwko Jermiłowowi, musi ją przekazać do prokuratury, ale może to zrobić dopiero wtedy, gdy pojawią się dowody winy Jermiłowa albo przynajmniej poważne podstawy, by go podejrzewać. Musimy znaleźć chociaż jeden poważny dowód dla Gmyri, wtedy będziemy mogli uznać, że zrobiliśmy swoje. W przeciwnym razie Boris Witaljewicz wyśle mnie razem z moją koncepcją do wszystkich diabłów. Ma klapki na oczach, podobnie jak my, też nie uwierzy, że zabójca to jeden z nas.

– Mimo to nadal nie rozumiem – stwierdził Korotkow z uporem.

– Czego nie rozumiesz? Przecież wyjaśniłam ci wszystko punkt po punkcie.

– Nie rozumiem, dlaczego Jermiłow chciał zabić żonę Dudariewa. Dobrze, jestem gotów przyznać, że poznał adres kochanka żony, zorientował się, że ten mieszka akurat w podlegającym mu okręgu, i zlecił zabójstwo, które należało popełnić akurat tego dnia, gdy będzie miał dyżur i zostanie wezwany na miejsce zdarzenia. To on zajmie się sprawą, poprowadzi postępowanie przygotowawcze, przesłucha świadków w obrany przez siebie sposób. I w efekcie, na skutek przeinaczenia faktów i sfałszowania dowodów, na długie lata wyśle kochanka żony za kraty. A jeśli nawet nie zdoła wsadzić go do więzienia na podstawie wyroku sądowego, to przetrzyma w areszcie przez kilka miesięcy, żeby ten wyszedł na wolność niepodobny do siebie. Dotąd wszystko jest jasne. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego musiał zabić żonę Dudariewa.

– A kogo, twoim zdaniem, miał zabić? – zapytała Nastia.

– Jak to kogo? Dudariewa, oczywiście. Samego Dudariewa. Historia ludzkości zna miliony przypadków, gdy mężczyzna zabijał swojego rywala, ale jakoś nie słyszałem, żeby facet zabijał żonę rywala, by później wysłać delikwenta do paki.

– Nigdy się nie zastanawiałaś, Jura, że w języku rosyjskim wyraźnie widać szowinizm płciowy? – zapytała nagle Nastia.

– Co widać?

– Szowinizm płciowy. W oficjalnym i poprawnym języku są słowa, które równie dobrze oznaczają mężczyznę, co kobietę, ale są one rodzaju męskiego. Kiedyś uważano, że mogą się odnosić wyłącznie do mężczyzny. Na przykład lekarz, konstruktor, kierowca, inżynier. Nawiasem mówiąc, wszystkie stopnie wojskowe są rodzaju męskiego i nie mają żeńskiej formy. W języku potocznym używamy oczywiście słów „lekarka” czy „konstruktorka”, ale to tylko język potoczny. W oficjalnych dokumentach nikt tak nie napisze.

– Czyżby pani podpułkownik się obraziła? I chce wnieść do Dumy interpelację dotyczącą reformy języka? – zapytał Korotkow z kpiną.

– Są też słowa „mecenas”, „posiadacz” i „właściciel” – ciągnęła Nastia, jakby nie słysząc szyderstwa. – Gdy ktoś ich używa, wszyscy bezwiednie myślą o mężczyznach. Historycznie tak się składało, że tylko oni mogli być posiadaczami i właścicielami. Później życie się zmieniło, ale słowa zostały.

Nastia mówiła półgłosem i w zadumie. Nie patrzyła na Korotkova

i odruchowo obracała zapalniczkę w palcach.

– No i co? Jakoś cię nie rozumiem. Czemu ma służyć ten wykład? Pytam cię o Jermiłowa, a ty mi opowiadasz o urażonej damskiej ambicji.

– To nie wykład, Jura, tylko odpowiedź na twoje pytanie. Jermiłow nie zamierzał zabić Eleny Pietrowny. Chciał zabić Dudariewa. Ale przekazując zlecenie, nie wymienił konkretnej osoby, opisał samochód, podał jego numer rejestracyjny, a także adres, pod którym codziennie parkuje. Kazał zabić właściciela. Skąd mógł wiedzieć, że Elena Pietrowna usiądzie na miejscu kierowcy? Przecież z samochodu korzystał tylko Dudariew. Elena nie miała nawet prawa jazdy. A nieszczęsny Kostia Wiatkin nie wiedział, że chodzi o mężczyznę. Powiedziano mu „właściciel”, więc wysadził auto, gdy wsiadła do niego osoba, która, jak wszystko wskazywało, nim była. Przecież Kostia zdawał sobie sprawę, że może chodzić zarówno o mężczyznę, jak i o kobietę.

Korotkow podszedł do otwartego na oścież okna i usiłował zaczerpnąć choć odrobinę świeżego powietrza, ale mu się nie udało. Powietrze na zewnątrz było równie ciężkie i nieruchome jak w pokoju. Jurij rozpiął koszulę, wyjął z kieszeni chustkę do nosa, zwilżył ją wodą z karafki i, obrócony tyłem do Nastii, przetarł sobie klatkę piersiową.

– Wybacz, koleżanko, organizm nie wytrzymuje. Chcesz? – Podał jej chustkę i karafkę. – Odwróć się.

– Nie trzeba, niedługo wrócę do domu.

– Nie wiesz, kiedy to się skończy? – zapytał smutno, patrząc na jasne wciąż niebo.

– Codziennie obiecują, ale na razie nie widać zmian.

– Co to za życie, Asiu! Kiedyś mieliśmy kraj rad, a teraz kraj obietnic. Nie dość, że rząd bez przerwy coś obiecuje i nie dotrzymuje słowa, to jeszcze synoptycy naśladują polityków. Każdego ranka mam wrażenie, że nie przeżyję kolejnego upalnego dnia. I co wieczór zasypiam z nadzieją, że rano się obudzę, a za oknem będzie pochmurno i chłodno. A nawet zimno. Ze dwanaście stopni. Budzę się, wyglądam przez okno i uświadamiam sobie, że byłem naiwny, żywiąc jakąkolwiek nadzieję. Pogoda jest do bani, a synoptycy, którzy już dwa tygodnie z rzędu obiecują mi deszcze i burze, to dranie. Niechby powiedzieli uczciwie, że jest tak i tak, kochani, na nic nie liccie, uciekajcie

z miasta do innej strefy klimatycznej, bo w najbliższym czasie nie będzie niżu, temperatura nie spadnie i nie przewiduje się żadnej ulgi. Nie byłoby to, oczywiście, miłe, ale przynajmniej uczciwe, moglibyśmy się nie łudzić i zaplanować życie w taki sposób, żeby się mniej męczyć. No a oni co robią? Karmią nas bajeczkami. Trzeba ich przepędzić na cztery wiatry, tyle ci powiem.

Nastia ukradkiem odchyliła kołnierzyk bluzki i podmuchała na złane potem ciało. Poczowała chwilową ulgę. Właściwie podzielała zrzędlawy nastrój szefa, ale uważała, że nie warto o tym mówić i marnować siły na złość. Temperatura dzięki temu się nie obniży, a synoptycy nie przestaną się mylić. Zawsze bawiła ją myśl, że ludzie wypowiadają codziennie mnóstwo niepotrzebnych słów. Słów, które niczego nie mogą zmienić ani na nic wpłynąć. Oni jednak nie oszczędzają wysiłków, wkładają w swoje wypowiedzi emocje i uczucia, naiwnie sądząc, że to pomoże.

– Dosyć tego narzekania, Jura, wracajmy do pracy – zaproponowała pojednawczo. – Kontaktowałeś się z chłopcami, którzy zajmują się walką z piractwem?

– Owszem.

– Co mówią o Melodii Plus?

– Różne rzeczy. Sprzedawcy handlujący lewymi kasetami na stoiskach nie sypią firmy, plotą jakieś bzdury o dostawcy, który zjawia się od czasu do czasu i oddaje towar do zbytu. Facet macha im przed nosem dokumentem magazynowym, więc nie mają zielonego pojęcia, że kasety są bez licencji. To oczywiste łgarstwo, ale na razie nie potrafimy powiązać towaru z firmą. W firmie trwa, oczywiście, przeszukanie, ale nie znaleziono lewych kaset. Albo ich tam nie przechowują, albo zostali uprzedzeni i wszystko wywieźli. Mimo to chłopcy wrócili w ciężkim szoku.

– Boże, co mogło zszokować starych wyjadaczy? – zdziwiła się Nastia.

– Zawsze bulwersuje ich fakt, że świat przestępczy ma sto razy lepszy sprzęt niż milicja. Biuro Melodii wyposażone jest w taką aparaturę, że biedny gliniarz mało nie pęknie z zazdrości. W ściany ani w sufit nie można wbić żadnego gwoźdźca.

– Dlaczego? – Nastia nie rozumiała.

– Nie ma miejsca. Wszędzie jest profesjonalna aparatura, służąca między innymi do tego, żeby nikt z zewnątrz nie tylko nie dostał się do

środka, ale też niczego nie podejrzwał ani nie usłyszał.

– No, no. – Nastia pokręciła głową. – Spotkałbyś się z kimś, Jura, nawet w zwyczajnej, błażej sprawie, gdybyś wiedział, że w jego pokoju jest kamera i podsłuch?

– Czy ja wyglądam na kretyna? – Korotkow się oburzył. – Swojego prywatnego życia strzegę równie pilnie jak tajemnicy służbowej.

– Słusznie, moje słoneczko, tutaj zaś chodzi nie o ochronę prywatnego życia, ale o banalne ludzkie uczucia. Nie jest miło wiedzieć, że ktoś cię nagrywa, nawet jeśli pytasz tylko o godzinę. A teraz powiedz mi, kochany szefie, czy gdybyś siedział w pokoju naszpikowanym aparaturą podsłuchową, uprzedzałbyś o tym każdego gościa?

– Już ci mówiłem, że nie jestem kretynem. Po co mi sprzęt, jeśli wszyscy będą o nim wiedzieć? To nieracjonalny wydatek. A do czego zmierzasz? Poddajesz mnie eksperymentowi psychologicznemu?

– Skąd. – Nastia się uśmiechnęła. – Mówię ci tylko, jak zdobędziemy dowody przeciw Jermiłowowi.

Korotkow zamyślił się na chwilę, wachlując się połamami rozpiętej koszuli.

– Spryciara z ciebie, bez dwóch zdań. Ale masz rację, jeżeli szef firmy wszystko nagrywa, to pewnie przechowuje nagrania, nie wyrzuca ich do śmietnika.

– Mamy coś na Jermiłowa?

– Znajdziemy.

– A na pracowników Melodii Plus?

– Weźmiemy od chłopców, chętnie się z nami podzielą w podzięcie za to, że podsunęliśmy im firmę.

Nastia zerknęła na zegarek.

– Dobrze, zajmiemy się tym rano, dzisiaj nikogo nie zastaniemy, bo już jedenasta. Pora wracać do domu.

≡

Michaił Michajłowicz Jermiłow z lekkim zdziwieniem spoglądał na zaklejoną kopertę, którą przyniesiono mu z sekretariatu. Obok adresu oraz jego imienia i nazwiska widniały duże litery DO RĄK WŁASNYCH. Jak do własnych, to do własnych, pomyślał, otwierając kopertę i wyjmując złożoną na pół kartkę.

„Szanowny panie śledczy! Niedawno zwrócił się pan do pewnego biura z prośbą o pomoc w brudnej sprawie. Niech pan nie myśli, że wszystko jest cacy. W biurze tamtego mężczyzny, z którym się pan układał, wszystkie rozmowy są nagrywane na dyktafoni, a klienci rejestrowani przez kamerę wideo. Jeżeli więc pan, szanowny panie śledczy, jest zainteresowany tą kwestią, musi pan wiedzieć, że to ja mam te kasetki. Proszę się nad tym zastanowić, jeszcze się odezwę. Pozdrawiam serdecznie”.

Jermiłow zdrętwiał. Ale wytrenowany umysł śledczego podjął pracę niezależnie od emocji. Co to może znaczyć? Ktoś monitoruje biuro i jego kontakty, jakaś trzecia strona. Ktoś naszpikował firmę swoim sprzętem i regularnie ściąga informacje. To pierwsza hipoteza. Druga: ktoś z firmy go szantażuje, najprawdopodobniej technik. I trzecia, najmniej przyjemna: szantażuje go sam Warfołomiejew.

Michaił Michajłowicz ze wstrętem odsunął list, ale zaraz potem chwycił go ponownie. Coś w tekście wydało mu się mgliście znajome, raziło. Jeszcze raz przeczytał uważnie każde słowo, odruchowo odnotowując błędy. Z jakiegoś powodu słowa „rozmowy”, „dyktafony”, „kamery” i „kasety” napisane zostały przez „i”. Właściwie „i” zamiast „y” można napisać przypadkiem, bo na klawiaturze litery są niedaleko siebie, dzieli je tylko jeden klawisz. Ale żeby pomylić się aż cztery razy? To raczej wskazuje na kogoś z Ukrainy. W języku ukraińskim rzeczowniki rodzaju męskiego i żeńskiego mają zazwyczaj końcówkę -i w liczbie mnogiej. Jermiłow nie mógł się mylić, szkołę średnią i uniwersytet skończył w Kijowie, dobrze znał ukraiński.

A więc nie chodzi o Warfołomiejewa. To czystej krwi Rosjanin, jego słownictwo jest, oczywiście, zaśmiecone żargonem, ale wymowa absolutnie czysta, moskiewska. Jermiłow dałby sobie rękę uciąć, że Warfołomiejew nie mieszkał na Ukrainie i nie mówi po ukraińsku. Trzeba odszukać w jego biurze Ukraińca i się z nim porachować. Ale jeśli nieznany mężczyzna ma rację w kwestii sprzętu, a wydaje się, że nie kłamie, bo wszystko można sprawdzić, to Jermiłow nie powinien spotykać się z Warfołomiejewem w biurze. Musi poszukać bezpiecznego miejsca, bez podsłuchu.

Śledczy gwałtownym ruchem podniósł słuchawkę telefonu i wybrał

numer.

– Antonie Fiodorowiczu, musimy się spotkać – powiedział na wszelki wypadek oficjalnym tonem. – Tak, to pilne. Nie, nie u pana. Proponuję za miastem...

Półtorej godziny później Jermiłow parkował w umówionym miejscu. Warfołomiejew już czekał, miał bliżej do szosy Noworyskiej. Michaił Michajłowicz wyjął z kieszeni list i podsunął pod nos właścicielowi Melodii Plus.

– Co to ma znaczyć, śmierdzielu? Przygarnąłeś do interesu jakiegoś chachoła^[15]?

– Skąd pomyśł, że to chachoł? – Warfołomiejew się stropił.

– A stąd, że umiem czytać i znam ukraiński równie dobrze jak ty przekleństwa. Zatrudniasz w biurze Ukraińców?

– Był taki jeden – powiedział Warfołomiejew z zakłopotaniem. – Ale niedawno go zwolniłem. W ubiegłym tygodniu.

– Za co?

– A niech go diabli, nigdy nie trzeźwiał. Sam przecież wiesz, pijakom nie można ufać, jeszcze gdzieś coś palną.

– Co robił?

– Zajmował się sprzętem. Właściwie to dobry elektronik, rozbierający, złota rączka. Na Ukrainie ludzie nie mają pracy, a tutaj gotowi są pracować za kopiejki. Nasze moskiewskie grosze to dla nich prawdziwy majątek.

– Znasz jego adres?

– To nie problem, pracownicy znają, ciągle się odwiedzali.

– A więc tak, Warfołomiejew. Nikogo bez potrzeby nie wciągamy do sprawy, i tak zbyt wiele osób się orientuje. Twój Łytkin na razie się trzyma, ale jak go mocniej przycisną, to cię wyda.

– Nie wyda – zapewnił stanowczo Anton Fiodorowicz. – To twardy, silny chłopak.

– Taki jak reszta twoich smarkaczy?

– Nie, Waśka nie daje sobie w żyłę, ma jasny umysł.

– Mimo to nie wprowadzamy nikogo nowego. Wystarczy jeden debil, który się naćpał i zawalił sprawę. Teraz pojedziesz ze mną do twojego Ukraińca i wytrząśniemy z niego, co się da. Najpierw kasety, później wyjaśnienia, a na końcu duszę. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem. Może jednak weźmiemy kogoś ze sobą? Mam

ochroniarzy w samochodzie, im to powierzmy.

– Powiedziałem, że zrobimy to sami. – Jermiłow podniósł nieco głos. – Oni już pokazali, co potrafią. Przez twoich dupków są tylko kłopoty. Powinienem być od razu oddać cię pod sąd, bo nie ma z ciebie żadnego pożytku. Jedziemy.

≡

Nastia odłożyła słuchawkę i z triumfalną miną popatrzyła na Kole Siełujanowa.

– I co, może nie mamy wyobraźni? Albo rozumu?

– I polotu – dodał Siełujanow. – Przestań mnie dręczyć. Co powiedzieli?

– To, co trzeba. Nasz ukraiński przyjaciel okazał się, o dziwo, nie w ciemnię bity. Wytłumaczył się przed nimi i ostro im nawrzucał, aż uszy wędły. Ale dzięki temu Jermiłow i Warfołomiejew powiedzieli to, co chcieliśmy usłyszeć, gdy planowaliśmy tę prostą intrygę. Teraz już po nich, Kola, nie wywiną się.

– Myślisz? – z powątpiewaniem zapytał Siełujanow.

– Ona bez przerwy myśli – rozległ się w drzwiach znajomy baryton. – Przecież nic innego nie potrafi. Ale jakoś zapomina pomyśleć o tym, jak sąd oceni jej genialne koncepcje.

Do pokoju wszedł Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew we własnej osobie. W ogóle się go nie spodziewano. Wszyscy sądzili, że skoro wraca dziś po południu, to w pracy zjawi się dopiero jutro rano.

– Ojej, Wiktor Aleksiejewicz – pisnęła zmieszana Nastia, chwając się w duchu za to, że zdążyła ugryźć się w język i nie wymsknęło jej się „Pączek”.

– Teraz to „ojej” – rzucił Gordiejew gniewnie. – Myślałaś, że beze mnie możesz namieszać, a później wykpić się od odpowiedzialności?

– Wiktorze Aleksiejewiczu – odezwała się Nastia pośpiesznie. – Niech się pan nie denerwuje, wszystko zostało uzgodnione z sędzią.

Siełujanow zerwał się z krzesła i podsunął je naczelnikowi. Ten usiadł statecznie, krzyżując na piersiach mocne, okrągłe ramiona, i wbił w Nastię nieufny wzrok.

– Tak? Z sędzią, mówisz? No to posłuchajmy.

– Słowo daję, Wiktorze Aleksiejewiczu. Gmyria do niego poszedł.

Napłynęły informacje operacyjne, że niedawno zwolniony pracownik firmy Melodia Plus, Andriej Pierieoridoroga, ma zostać zabity. Spotkaliśmy się z nim, a on chętnie się zgodził, że pomoże nam zapobiec zabójstwu i złapać przestępców. Otrzymał aparaturę podsłuchową i został poinstruowany, jak się nią posługiwać. Sędzia powiedział, że są podstawy, by jej użyć, i jeżeli Pierieoridoroga zezna w sądzie, kiedy i w jakich okolicznościach zarejestrował nagranie, zostanie ono uznane za legalne.

– A gdyby twoi figuranci mu nie uwierzyli, he? Na co wtedy liczyliście? – zapytał Gordiejew i od razu odpowiedział sam sobie: – Na to, że ten Andriej z trudnym nazwiskiem potrafi się wytłumaczyć, oni mu uwierzą i grzecznie się pożegnają, nie zapominając najpierw nagadać kupy bzdur, które nagrają się na dyktafon? Dobrze kombinuję?

– Tak – odparł Siełujanow ostrożnie.

– A gdyby się stało inaczej? Gdyby próbowali go jednak zabić? Skąd mieliście pewność, że ich przekona i że mu uwierzą?

– Nie docenia nas pan, Wiktorze Aleksiejewiczu – odparł od razu Nikołaj. – Spotkanie od początku do końca było kontrolowane. Mieliśmy nawet klucz do mieszkania tego Ukraińca, sam go nam dał, żebyśmy w każdej chwili mogli wparować.

Gordiejew jeszcze przez pewien czas przenosił podejrzliwe spojrzenie z Nastii na Siełujanowa i z powrotem, później westchnął.

– No dobrze, skoro nie kłamiesz...

– Czy ja kiedykolwiek pana okłamałam, Wiktorze Aleksiejewiczu?! – Nastia próbowała udawać obrażoną, ale bez powodzenia.

– Skąd mam wiedzieć? – zauważył pułkownik rozsądnie. – Jeszcze nie przyłapałem cię na kłamstwie, co jednak nie znaczy, że ani razu nie wyprowadziłaś mnie w pole. Jesteś kuta na cztery nogi. Gdy pracowałaś u Zatocznego, nauczyłaś się różnych sztuczek. Przyznajcie się, kto wpadł na pomysł z listem?

– Ja – powiedziała Nastia. – A co, źle to wymyśliłam?

– Pomysł był ryzykowny. Skąd miałaś gwarancję, że się sprawdzi?

– Gwarancje dają tylko szarlatani – wtrącił Siełujanow. – Aśka wszystko przewidziała. Sam nas pan przecież uczył, że za punkt wyjścia wszelkich kombinacji należy obierać człowieka. Dowiedzieliśmy się, że Jermiłow spędził sporo czasu na Ukrainie i zna ukraiński. Jest

śledczym, więc w odróżnieniu od nas, prostych i nierozgarniętych wywiadowców, potrafi czytać i analizować dokumenty, dostrzegać coś między wersami. W dodatku przez dłuższy czas specjalizował się w rozwiązywaniu spraw dotyczących przestępstw gospodarczych, a w nich, jak panu wiadomo, dokumenty stanowią podstawę. Z tego wniosek, że za nic w świecie nie przegapiłby oznak ukraińskiego pochodzenia autora.

– Dobrze się spisaliście. Ale ryzykowaliście. A gdyby ten Ukrainiec was wystawił? O tym nie pomyśleliście?

Nastia już miała odpowiedzieć, ale Siełujanow znowu pierwszy nadstawił karku.

– Nisko nas pan ceni, naczelniku. Najpierw przestudiowaliśmy cały kontyngent pracowników firmy, zwłaszcza zwolnionych albo mających o coś pretensje, i wytypowaliśmy odpowiednią osobę. Dopiero potem zaczęliśmy się zastanawiać, co umieścić w liście, żeby Jermiłow poszedł się rozprawić z tym, kogo naszpikowaliśmy aparaturą podsłuchową. Niech mi pan wierzy, Wiktorze Aleksiejewiczu, że wszystko przekalkulowaliśmy i uzgodniliśmy z Gmyrią.

– Patrzcie ich, przekalkulowali... – burknął Gordiejew pod nosem. – Księgowi. Arytmometry. Przy mnie nie mielibyście nic do gadania.

– Teraz mamy – skonstatował Siełujanow, nie wiedzieć czemu z rezygnacją.

– Nie pyskuj starszym, Koleńka – powiedział Pączek łagodnie. – Mógłbym być twoim ojcem. Dobrze, skończmy ten temat. Co zamierzacie dalej?

– W poniedziałek Gmyria zamelduje przełożonym, więc materiały zostaną przekazane do prokuratury w celu przeprowadzenia dalszego postępowania – wyjaśniła Nastia. – A do poniedziałku niech Jermiłow sobie pogłówekuje, kto spreparował list. Pierieoridoroga był bardzo przekonujący, obeszło się nawet bez obicia – jego prześladowcy uwierzyli, że to nie on napisał. W końcu Jermiłow jest bardzo doświadczonym śledczym, bez trudu potrafi stwierdzić, czy ktoś kłamie, no a Andriej nawet nie musiał udawać, przecież nie pisał listu i nie ma żadnych kaset.

– Zarządziliście obserwację?

– Jermiłowa? Naturalnie. Co prawda, chłopcy już nas przeklinają, zaangażowaliśmy ich do śledzenia Dudariewa, nie minął jeszcze rok

i znowu ich szarpiemy. A oni mają swoje problemy, sam pan rozumie. Plany, harmonogramy, obowiązki i kłopoty finansowe. Wybuchowa mieszanka. Niedługo skończy się piątek, przed nami sobota i niedziela, zobaczymy, czy Jermiłow podejmie jakieś działania w ciągu najbliższych dwóch dni. W poniedziałek włączą się śledczy.

– Niedługo skończy się piątek – powtórzył Pączek. – Już mamy piątek. I już kończy się czerwiec. Jeden letni miesiąc minął jak z bicza strzelił. Zauważacie, moje dzieci, jak czas nieubłaganie pędzi? Pędzi, a my za nim nie nadążamy. Wciąż jesteśmy spóźnieni... Chyba za dużo gderam. Podróż mnie zirytowała, w pociągu było duszno i brudno, wciąż się zastanawiałem, na kim wyładować złość. Specjalnie pojechałem do pracy, a nie do domu, bo wiedziałem, że ktoś na pewno coś przeszkrobał i nawinie mi się pod rękę.

– No i jak? – zapytała Nastia łagodnie. – Jest pan zadowolony? Udało się znaleźć ofiarę?

– Nie udało się. Za to wam, nicponiom, się udało. Przyszedłem tutaj, wezwałem Korotkowa, wysłuchałem jego meldunku i nagle do mnie dotarło, że wszyscy jesteście już dorośli. Chyba was wychowałem. Na swoją zgubę. Jurij awansował na mojego zastępcę. Ty, Stasieńko, jesteś już podpułkownikiem. Zdajesz sobie sprawę, że masz tylko jedną gwiazdkę mniej ode mnie?

– Liczba gwiazdek to nie miara profesjonalizmu – zaproponowała Nastia. – Nie dorastam panu do pięt. W porównaniu z panem jestem jeszcze dzieckiem.

– Ależ skąd, moja droga, już dawno nie jesteś dzieckiem. Proszę, jaki zgrabny plan przygotowałaś, i to sama. Przecież wiem, że chłopcy dostarczali ci tylko informacje na tacy, cała reszta zrodziła się w twojej głowie. Wiesz, czym się wyróżnia twoja kombinacja?

– Błyskotliwością – rzucił ze śmiechem Siełujanow, który już się domyślił, że burza przeszła bokiem, i może jak zwykle dowcipkować.

– Prostotą – ciągnął Gordiejew, puszczając jego uwagę mimo uszu. – Prosta kombinacja jest najlepsza, ale tylko prawdziwi mistrzowie umieją ją opracować i wdrożyć. No więc popatrzyłem na was i pomyślałem: kiedy zdążyliście dojrzeć? Ciągłe byliście dziećmi, a tu nagle widzę, że jesteście już dorośli.

– Czy to źle, Wiktorze Aleksiejewiczu? – zapytała Nastia. – Wszystkie dzieci kiedyś dojrzewają, to prawo natury.

– Słusznie. Ale natura rządzi się jeszcze jednym niewzruszonym prawem: dorosłe dzieci nie mają młodych rodziców. No dobrze, moi kochani, pójdę do domu, jestem zmęczony po podróży.

Gordiejew wstał i w milczeniu opuścił pokój. Wsłuchując się w odgłos jego kroków, oddalających się korytarzem w stronę windy, Nastia poczuła, że ścisnęło jej się serce.

– Kola – powiedziała zmienionym głosem. – On niedługo odejdzie.

– Dokąd?

– Na emeryturę.

– Skąd wiesz?

– Stąd.

Pokazała ręką miejsce na piersi, gdzie pod żebrami znajdowało się serce.



W sobotnie popołudnie Michaił Jermiłow powiedział żonie, że jedzie odwiedzić syna na obozie kondycyjnym, zawiezie mu owoce i wodę.

– Ja też chciałabym pojechać – powiedziała Olga z żalem.

Nie miała odwagi nalegać, mogła jedynie nieśmiało prosić. Nawet nie prosić, tego też nie śmiała robić, raczej delikatnie sugerować.

– Pojadę sam – odparował Michaił.

– Ja też chciałabym zobaczyć Walerkę.

– Możesz pojechać kolejką podmiejską w niedzielę.

Olga westchnęła.

– Dobrze.

Jermiłow spędził z synem popołudnie, zaczekał, aż chłopak zje kolację, i pobył z nim do chwili ogłoszenia ciszy nocnej. O dziesiątej opuścił obóz, ale po przejechaniu jakichś trzech kilometrów zatrzymał samochód i znieruchomiał, oparty o kierownicę.

Wszystko idzie nie tak, jak powinno. Nic się nie udaje. Od początku się nie układało. Czasami przecież tak bywa. Zaczęło się od tego, że tępny narkoman wysadził samochód nie z Dudariewem, ale z jego żoną. Później wszystko zaczęło się walić jak domek z kart. Wykonawca zwrócił uwagę przygodnego chłopaka, i jakby tego było mało, wdał się z nim w pogawędkę. Trzeba być chyba kompletnym idiotą, żeby zagadywać przechodnia na miejscu przestępstwa, gdy czeka się na

ofiarę! Tylko ktoś pozbawiony rozumu może się tak zachować. Zachciało się kretynowi napić wody. Pragnienie go męczyło, przekłętego drania. Przez niego trzeba było odszukać chłopaka i podjąć odpowiednie działania, żeby nie rozpoznał wykonawcy. Wykonawcę też należało wyeliminować, podsuwając mu działkę z odpowiednią domieszką. Dobrze, że facet zaopatrywał się w narkotyki w jednym miejscu, u swojej sąsiadki, dzięki temu można mu było bez trudu wcisnąć śmiertelną truciznę. Narkomani są głupi i ufni, jak im się powie, że są nowe dragi, które zmieszane z herą zapewniają dłuższy i mocniejszy odlot, to naiwnie uwierzą. No więc dostał normalną działkę heroiny, a w ramach specjalnej domieszki potrójną dawkę ekstra, najpierw nahajcował się z pierwszego woreczka, później z drugiego i po sprawie! Wykluczenie wykonawcy z gry to chyba jedyny jasny punkt w sprawie. Poszło jak po maśle, bez komplikacji, nikt się nie przyczepi, żadna ekspertyza nie wykaże, że biedaka oszukano, że nie wiedział, czym tak naprawdę się szprycuje.

Po tym, jak przygłupi wykonawca się pomylił i zabił żonę Dudariewa zamiast niego, należało pilnie wprowadzić poprawki. Od razu znalazły się dowody i pojawiły się podejrzenia pod adresem męża zamordowanej. W tych sprawach Michaił Michajłowicz nie miał sobie równych. Najważniejsze, żeby jak najpóźniej wyszło na jaw, że Dudariew jest kochankiem jego żony. Już pierwszego dnia, gdy przesłuchiowano Dudariewa, Jermiłow się przedstawił, tego wymagała procedura. Można to jednak zrobić na różne sposoby, zwłaszcza jeśli przesłuchiwany jest skołowany i wzburzony. „Będę prowadził dochodzenie w sprawie zabójstwa pańskiej żony, jestem śledczym, nazywam się Michaił Michajłowicz...”. I tyle. Kto zauważy, że nie podał nazwiska? A gdy po kilkugodzinnym przesłuchaniu trzeba będzie podpisać protokół, zatrzymany przeczyta tylko swoje odpowiedzi, od nich zależy jego los, nawet mu nie przyjdzie do głowy, żeby studiować górną część pierwszej kartki, gdzie figuruje nazwisko śledczego. Sztuczka była stara i wypróbowana. Jermiłow mógł jechać na niej przez parę dni i zdążyłby załatwić wszystko tak, że Dudariew byłby skończony. Ale wtedy wmieszła się Olga... Głuptaska, jej przyzwoitość i litość pomieszały mu szyki. Już dobieg później musiał przekazać sprawę. Wszystko poszło na opak, nie ułożyło się tak, jak powinno.

Jeszcze ten Chramow... Samotny stróż porządku. Trzeba przyznać, że

był niegłupi, ale nadmiar rozumu to wada, która może kosztować życie. Dlatego Chramow zapłacił życiem za swój przenikliwy umysł.

Jeremiłow przywołał w pamięci spotkanie z adwokatem. Zaniepokoił się, gdy tylko Olga mu powiedziała, że Chramow zrezygnował ze sprawy. I miał rację. Biedny adwokat tak spanikował, gdy się dowiedział, kto go odwiedził, że nie było żadnych wątpliwości. Bał się Jeremiłowa, bo odkrył, kto za nim stoi. A raczej, kto mu podlega, a to jeszcze groźniejsze. Bo jeśli ktoś za tobą stoi, nie wiadomo, czy cię wesprze w kłopotach. Gdy jednak świat przestępczy ci podlega, to nie ulega kwestii, że twoje rozkazy zostaną wykonane.

Należało sprzątnąć Chramowa. Na Warfołomiejewa nie można było już liczyć. Nie dość, że sknocił zlecenie na Dudariewa, to nie popisał się też ze świadkiem, pozostawił chłopaka przy życiu. Nie wolno mu dłużej ufać, ale Jeremiłow nie znał nikogo, komu mógł powierzyć swoją sprawę. Dlatego musiał sam załatwić adwokata.

Z Dudariewem też wyszło nie tak, jakby sobie życzył. Najpierw wszystko szło gładko, Borka Gmyria poczuł wyraźną niechęć do tego wojaka, można było to łatwo zauważyć. Gmyria skłaniał się w stronę oskarżenia Dudariewa, co choć trochę podnosiło Jeremiłowa na duchu. Ale później nastąpiła wpadka z babą, która miała rozpoznać Dudariewa. Co tam się stało, Jeremiłow się nie dowiedział, ponieważ Borka Gmyria nagle przestał mówić o przebiegu dochodzenia. Do tej pory można z nim było zamienić przynajmniej parę słów, ale później z jakiegoś powodu nabrał wody w usta. Fakt pozostaje jednak faktem: rozpoznanie nie wypaliło. Na biuro Warfołomiejewa ni z tego, ni z owego zwałił się wydział do walki z nielegalnym obrotem narkotykami. Może z powodu baby? Niewykluczone.

No i co to wszystko dało? Chciał zabić Dudariewa, bo Olga go kochała. Dudariew żyje. Co dalej? Jeremiłow po raz pierwszy zaczął się zastanawiać nad tym, co by było, gdyby wszystko poszło po jego myśli i gdyby Dudariew zginął. Czy Olga przestałaby go kochać? Nie. Wciąż by o nim pamiętała, pogrążona w smutku. Zaczęłaby lepiej traktować męża? Też nie. Mąż pozostałby taki, jaki był. Olga już nigdy więcej by go nie zdradziła? Wątpliwe. Kto uwierzy temu, kto raz skłamał?

W takim razie po co to wszystko? Po co to zaczynał?

Michaił Jeremiłow, siedząc w samochodzie o wpół do jedenastej wieczorem w sobotę, dwudziestego czerwca, ani przez chwilę nie

żałował tego, co zrobił. Nie obchodziła go śmierć Eleny Dudariewej, Kostii Wiatkina ani Chramowa. Było mu obojętne, że przez niego omal nie zginął szesnastoletni Denis Bażenow. Nie litował się nad żadną ofiarą. Litował się nad sobą. Zazdrość to straszne uczucie, pokonać je można tylko pracując nad sobą, a nie manipulując innymi. Ale Jermiłow tego nie pojął. Wiedział i rozumiał jedno: Olga go oszukała i zdradziła, więc musiał zrobić wszystko, żeby położyć temu kres. Żeby Dudariew przestał istnieć, a Olga została z nim, z Jermiłowem. Myślał tak wtedy, na samym początku. Dlatego wszystko zorganizował. Teraz jednak, wracając do domu z obozu, na którym jego syn spędzał wakacje, nagle pojął, że nawet gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, toby go nie ocaliło. Bo wciąż jest opętany zazdrością i nie wierzy żonie. Jego wysiłki okazały się daremne.

Jermiłow niechętnie uruchomił silnik i ruszył w kierunku Moskwy. W samochodzie była klimatyzacja, więc nie otwierał okien. Nie zauważył, kiedy zerwał się wiatr, zorientował się dopiero wtedy, gdy przed szybą przeleciała tablica reklamowa. Przez chwilę rozważał, czy nie powinien się zatrzymać i poczekać na burzę, ale doszedł do wniosku, że pojedzie dalej. Chyba że zacznie padać. Zresztą może deszcz nie będzie ulewny i nie przesłoni drogi. Tak czy inaczej, musi się pośpieszyć, może uda mu się uciec przed burzą i zdąży dotrzeć do domu. Wcisnął pedał gazu, szosa była pusta, więc rozpędził samochód do stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

Nawet sobie nie uświadomił, co się stało, gdy olbrzymie drzewo upadło na drogę tuż przed przednimi kołami auta. Jermiłow na pełnym gazie wyrznął w pień. Samochód przeokoziółkował i się zapalił, ale Michaił Michajłowicz nie poczuł płomieni. Umarł natychmiast, bo kierownica przebiła mu klatkę piersiową.



Minęły trzy dni. Moskwa dochodziła do siebie po przejściu huraganu, jakiego nie pamiętali nawet najstarsi ludzie. Jedni likwidowali skutki rozszalałego żywiołu, inni taszczyli na śmietnik to, co jeszcze niedawno było ulubionym samochodem albo blaszanym garażem, wielu odwiedzało rannych w szpitalach albo grzebało bliskich. Początkowo media podały, że podczas klęski żywiołowej zginęło pięć osób, później

zaczęły napływać dokładniejsze informacje i pod koniec usuwania gruzów z miasta i obwodu okazało się, że liczba poszkodowanych jest znacznie większa.

O śmierci męża Olga Jermiłowa dowiedziała się w niedzielę. Nie zdenerwowała się, gdy o dziesiątej wieczorem nie było go w domu, bo wiedziała, że Michaił jej unika i stara się wracać jak najpóźniej. O jedenastej, gdy zerwał się huragan, zaczęła się niepokoić. O trzeciej w nocy, mniej więcej godzinę po tym, jak żywioł się uspokoił, męża jeszcze nie było, więc uznała, że widocznie wszyscy funkcjonariusze milicji zostali wezwani do pracy w związku z katastrofą. O dziesiątej rano zadzwoniła do Michaiła, ale nikt nie odebrał. Wtedy nagle sobie uświadomiła, że nie ma go nie tylko w domu. W ogóle go nie ma.

A przed piątą powiadomiono ją o jego śmierci.

W środę odwiedził Olgę Dudariew. Czas, który spędził w celi, odbił się niekorzystnie na jego wyglądzie. Georgij schudł i zmizerniał, ale w jego oczach błyszczał niedobry ogień. Zadzwonił do Olgi i zapytał, gdzie mogą się spotkać. Powiedziała, że może do niej przyjechać.

– Wypuścili mnie – oznajmił już na progu.

– Widzę – odparła cicho, nie patrząc mu w oczy.

– Nie cieszysz się?

– Cieszę.

– Wypuścili mnie na dobre, czyżbyś tego nie rozumiała? Do tych przeklętych gliniarzy w końcu dotarło, że to nie ja zabiłem Elenę.

– Rozumiem, Georgiju. Wypuścili cię na dobre.

Dudariew spojrzał na Olgę uważniej, spróbował objąć, ona jednak się odsunęła.

– Już mnie nie kochasz? – zapytał, sam nie wierząc w to, co mówi.

Olga spodziewała się tego pytania, od dawna na nie czekała i zdawała sobie sprawę, że będzie musiała odpowiedzieć. Jeżeli nie chce, żeby wszystko zaczęło się od początku, musi zdobyć się na odwagę. Przygotowała odpowiedź wcześniej, ale teraz omal się nie wycofała. Może to niedobre rozwiązanie? Została sama, Georgij też jest sam, co w tym złego, że będą razem? Przecież w ciągu minionego pół roku było im ze sobą bardzo dobrze. Czuła się szczęśliwa. Więc może to nie odeszło na zawsze? Może jeszcze wróci? Będzie jej bardzo ciężko samej... Nie, nic z tego. Jeżeli chce zachować dla siebie choć krztynę szacunku po tym wszystkim, co narobiła, musi odpowiedzieć tak, jak

planowała.

– Nie, nie kocham – oznajmiła, nie słysząc własnego głosu.

Gieorgij najwyraźniej nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Na nieogolonej, pochmurzonej twarzy odmalowało się niedowierzanie. Czyżby się przesłyszał?

– Jak mam to rozumieć? Wczoraj kochałaś, a dzisiaj nie kochasz?

– Tak, dzisiaj już nie kocham.

– I co, nie będziesz się ze mną więcej spotykać?

– Nie będę.

I po wszystkim, słowa zostały wypowiedziane. Nie ma drogi powrotnej. Teraz już Olga nie może powiedzieć, że zażartowała albo niezręcznie się wyraziła i Gieorgij źle ją zrozumiał. Wszystko jest całkiem jasne. Poczowała ulgę, o ile można w ogóle mówić o takim uczuciu w przeddzień pogrzebu męża.

Dudarijew zaczął z rozdrażnieniem przemierzać pokój, wsunąwszy rękę w kieszenie spodni.

– Co się dzieje, Olu? Wyrządziłem ci jakąś przykrość? Bądź łaskawa się wytłumaczyć.

– Nic na to nie poradzę – odparła drewnianym głosem. – Nie chcę dłużej być z tobą. Nie chcę.

– Ach tak – powiedział Gieorgij Nikołajewicz z gniewem. – Póki wszystko szło dobrze, kochałaś mnie, ale wystarczyło, że wpadłem w kłopoty i koniec, fora ze dwora, nie potrzebujemy unurzanych w brudne sprawy, kochamy tych, co mają czystą hipotekę. Tak to wygląda?

Olga milczała przez chwilę, później ruszyła w przeciwny róg pokoju i stanęła oparta plecami o ścianę. Nie miała ochoty na tę rozmowę, ale prędzej czy później musiało do niej dojść, więc może lepiej teraz. Nie warto tego odkładać.

– Od początku nie wierzyłam, że jesteś niewinny. Byłam pewna, że zabiłeś żonę. Pograżyłeś się w moich oczach tak, że bardziej nie można. Ale znalazłam ci adwokata i pieniądze, żeby go opłacić, zgodziłam się na to, żeby mój mąż miał nieprzyjemności w pracy, byle cię tylko wyciągnąć. A wiesz, dlaczego ci nie wierzyłam? Dlatego że nawet nie znalazłeś czasu, by ze mną porozmawiać. Zwyczajnie, po ludzku, rozumiesz? Spokojnie, w zaufaniu. Niczego nie wyjaśniłeś. Nie przysięgłeś, że jesteś niewinny. Cedziłeś słowa i wydawałeś mi

polecenia. Zachowywałaś się tak, jakbyś naprawdę był winny. Zapewniam cię, Gieorgiju: nie chodzi o to, że się na ciebie obraziłam.

– A o co? – zapytał oschle.

– O to, że nie uważałaś za konieczne zachowywać się inaczej. Było ci obojętne, co myślałam i czułam. Miałaś mnie za nic. Manipulowałaś mną jak rzeczą, jak narzędziem, które może ci pomóc udowodnić twoją niewinność. Nie chcę być manipulowana. Ludzie są dla ciebie tłuszcza, z którą nie warto się liczyć, wykorzystujesz wszystkich do swoich celów. A ja nie chcę być dłużej wykorzystywana. Rozumiesz?

Gieorgij się roześmiał. Podszedł do Olgi i objął ją mocno, nie pozwalając, by uwolniła się z uścisku.

– Co ty sobie ubzdurałaś, Oleńko? – mruknął cicho, całując jej włosy.

– Jesteś zmęczona, upał cię wykończył. Odbierasz wszystko opacznie. Bardzo cię kocham. Dzisiaj nie masz humoru, więc spotkajmy się jutro rano, zwolnisz się z pracy, spędzimy cały dzień razem, tak jak dawniej, pamiętasz? Pójdziemy na spacer, zajrzemy na targi książki, posiedzimy w restauracji, uczymy moje zwolnienie.

– Jutro nie mogę.

– Dlaczego? Co takiego ważnego masz do roboty? Co w ogóle może być ważniejszego od naszej miłości?

– Jutro chowam męża. Zginął podczas huraganu.

Olga zdziwiła się, że powiedziała to spokojnie, bez łez. Głos nawet jej nie drgnął. Dudariew odsunął się i popatrzył na nią ze strachem.

– To... To nie żart?

– Moim zdaniem pogrzeb męża to nie powód do żartów.

– Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś, Olu? Jak to wygląda? Stoję tutaj jak głupi, rozwodzę się na temat miłości, a ty myślisz o pogrzebie. Nic dziwnego, że mówisz od rzeczy.

– Słusznie, Gieorgiju. Nic w tym dziwnego. Czy ty w ogóle słyszysz, co mówisz? Masz pojęcie, co się dzieje? Mój mąż zginął, syn stracił ojca, a ty myślisz tylko o tym, że zrobiłeś z siebie głupca. To kwintesencja tego, o czym ci mówiłam. Ludzie dla ciebie są tłuszcza. Ważny jest tylko Gieorgij Dudariew, wokół którego kręci się cały świat. Wybacz, ale ja mam swój świat, on zaś przestał się kręcić wokół ciebie. Wyjdź, proszę.

Naprawdę chciała, żeby wyszedł. Mężczyzna, który przez ostatnie pół roku był jej tak bliski i drogi, nagle okazał się obcy, antypatyczny

i zupełnie niepotrzebny. Boże, dlaczego ona to wszystko zrobiła? Jak mogła tak nieopatrnie zakochać się w tym egoistycznym potworze? Gdzie miała oczy i uszy? Przecież Gieorgij się nie zmienił, zawsze był właśnie taki, jej zaś wydawał się cudowny, mądry i najlepszy. Żeby go ocalić, sprawiła ból mężowi. Gdyby nie to, Michaił nie odsunąłby się od niej i w sobotę pojechaliby razem do syna. I na pewno opuściliby obóz znacznie wcześniej. Olga wiedziała, że Michaił zatrzymał się dłużej, bo w domu nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Z nią wyjechałby wcześniej i przed jedenastą, gdy zaczął się huragan, oboje byliby w domu. A może pojechaliby nie w sobotę, ale w niedzielę. I Michaił nadal by żył. On jednak zginął i to wyłącznie przez nią. Gdyby nie dowiedział się o jej zdradzie, nie staliby się sobie obcy. A o zdradzie by się nie dowiedział, gdyby Olga go nie zdradzała. I to wszystko. Poświęciła męża... Dla kogo? Dla czego? Dla wątpliwego szczęścia bycia z potwornym egoistą, z zimnym i w gruncie rzeczy okrutnym człowiekiem? Dla nagłego romantycznego porywu, chwilowego zaćmienia umysłu? Ale dlaczego, dlaczego wcześniej nie spojrzała na sytuację z boku i nie dostrzegła, że owo niebezpieczeństwo czyha na wszystkie kobiety, których mężowie pochłonięci są pracą? Oni spędzają całe dni w pracy, są wzywani w święta, w weekendy i w środku nocy. A żony pragną wyjść razem na wystawy, koncerty i do przyjaciół, pragną podyskutować na temat nowości w literaturze i kinie. O czym tu jednak dyskutować, skoro mąż nie ma czasu, żeby przeczytać nową książkę albo obejrzeć nowy film, a jeśli w końcu go znajduje, to nie ma dość sił, by wybrać się chociaż do przyjaciół czy na wystawę. W godzinach wolnych od pracy woli poleżeć i pomilczeć, co jest przecież całkiem oczywiste i normalne! Dlaczego ona, Olga, traktowała to jako coś irytującego i niewłaściwego? Wiele żon wpada w tę pułapkę, pragnie przyjaźni z mężem i uwagi z jego strony, on zaś zajęty jest wyłącznie pracą... Kobieta czuje się samotna, spotyka mężczyznę mającego znacznie więcej wolnego czasu, mężczyznę, który dyskutuje z nią o tym, o czym chciała podyskutować z mężem, i zaczyna się lawina kłamstw, sztuczek i wykrętów. Zwyczajny brak kontaktu z mężem popycha kobietę do czynów, których później żałuje. Niebawem może się okazać, że tajemniczy ukochany nie jest wcale mądry, godny szacunku ani nawet przyzwoity, ale nie da się już niczego cofnąć, kłamstwo zatruło życie małżeńskie i dalej już wszystko jedno...

– Wyjdź, Gieorgiju – powtórzyła Olga, widząc, że Dudariew nie zamierza się ruszyć. Rozsiadł się wygodnie na kanapie i wbił w nią badawcze spojrzenie, jakby była jakimś ciekawym okazem.

– Jutro pożalujesz tych słów – oznajmił pewnie. – Opamiętaj się, Olu. Pochowasz męża i co dalej? Jesteś gotowa zostać sama?

Oldze zrobiło się niedobrze na myśl, że była ślepo zakochana w Gieorgiju. I to zupełnie niedawno. Jakże szybko wszystko się zmienia!

– Nie wiem – odparła szczerze. – Może będzie mi ciężko samej. Ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że nie chcę być z tobą.

Przez jakiś czas Gieorgij siedział nieruchomo, jakby rozważał to, co usłyszał, później wstał i ruszył w stronę przedpokoju. Trzasnęły drzwi. Olga poszła do kuchni, wyjęła z szafy butelkę koniaku, nalała sobie kieliszek i wypła duszkiem.

– Wybacz, Misza – powiedziała cicho. – Ale zrobiłam przynajmniej to.



Minęły dwa tygodnie i Nastia po raz ostatni zjawiła się w szpitalu. Nazajutrz Denis Bażenow miał zostać wypisany ze szpitala. Już chodził, a nawet spacerował z Artiomm wokół budynku. Nastia właściwie nie wiedziała, dlaczego regularnie odwiedza Denisa, miała przecież niewiele wolnego czasu, doszła jednak do wniosku, że czuje się trochę winna tego, co się stało. Gdyby Artiom nie zakochał się jak sztubak w jej głosie, Denis nie byłby zazdrosny i nie popełniłby tamtego głupstwa, które popełnił, żeby odzyskać uczucie i uwagę przyjaciela.

– Wie pani, co wymyśliliśmy? – powiedział Denis uroczyście, gdy Nastia weszła do sali. – Obaj zgłosimy się jako wolontariusze do Centrum Ochrony przed Stresem. Metoda samokontroli bardzo mi pomogła, pomoże też innym. Wielka szkoda, że jest tak słabo znana. Już dogadaliśmy się z Wadimem i wiemy, że doktor Alijew nie będzie oponował.

– Co tam będziecie robić? – zdziwiła się Nastia. – Nie jesteście przecież specjalistami, nie macie żadnego wykształcenia.

– To nieważne – włączył się Artiom. – Będziemy myć podłogi, naprawiać krzesła, cokolwiek. Długo o tym dyskutowaliśmy z Denisem

i uznaliśmy, że znaleźliśmy coś, czym chcielibyśmy się zająć. Obaj.

Zaakcentował ostatnie słowo i Nastia wszystko zrozumiała. Zrozumiała i doceniła ofiarę, którą dziewiętnastoletni chłopak poniósł w imię przyjaźni. Przecież chciał być muzykiem...

Gdy zaczęła się zbierać do wyjścia, Artiom zaproponował, że ją odprowadzi. Zawsze ją odprowadzał, więc Denis już się nie boczył, widząc, że przyjaciel wychodzi w ślad za nią.

– Anastazjo Pawłowna, chcę pani podziękować – zaczął nieco zmieszany Artiom, gdy wyszli z budynku.

– Za co?

– Za Irinę Astapkinę. Gdyby nie pani, nigdy bym się nie dowiedział, że jest ktoś, kto pisze tak piękne wiersze.

– Cieszę się, że spodobały ci się jej piosenki. – Nastia się uśmiechnęła. – Mnie też bardzo się podobają.

– Ależ nie, to coś innego... – Artiom się zawahał, szukając odpowiednich słów. – Nie chodzi o to, czy mi się podobają. Chodzi o myśli, które się nasuwają po ich wysłuchaniu.

– A jakie myśli przysły ci do głowy? – zapytała Nastia z ciekawością.

– Zrozumiałem, że należy cieszyć się każdą chwilą, a nie czekać, aż szczęście dopiero przyjdzie. Rozumie pani? Pewnie wyrażam się niejasno... O, jest na przykład taka piosenka o Nowym Roku.

Zegar odmierza ostatnie minuty,
Gotów do grabieży.
Czuwam, ale robię sobie wyrzuty,
Że gdy przymknę oczy,
Stary rok zniknie na skutek kradzieży.

A może był lepszy, ale nie zdążył,
Czekał na natchnienie.
Długo słyszałam jego dźwięczne brzmienie.
Teraz wiem na pewno,
Że choinka to jego wspomnienie.

– Znam ją. – Nastia skinęła głową. – Zawsze wydawała mi się bardzo smutna. Rozpłakałam się, gdy słuchałam jej pierwszy raz.

– Ja też – wyznał Artiom. – Niech pani sobie wyobrazi, że nagle

spojrzałem na zegarek, zobaczyłem przesuwające się wskazówki i pomyślałem, że poruszają się nieubłagane, nic ich nie zatrzyma, naprawdę kradną, a nawet pożerają czas. Właśnie zbliżyły się do dwunastej, minęła godzina, minął dzień, a potem rok, który został zwyczajnie ukradziony. Nie możemy się doczekać tego święta, mam na myśli sylwestra, jakbyśmy z góry założyli, że wszystko w naszym życiu jest niedobre i nieciekawe, jutro zacznie się jednak nowy rok i wszystko się zmieni na lepsze. Rozumie pani? Jakbyśmy mieli od urodzenia wpojone, że powinniśmy myśleć tylko o przyszłości i żyć jutrem. Wszyscy podchodzimy do tego w ten sposób. A może to, co się dzieje dzisiaj, to najlepsze, co było, jest i będzie w naszym życiu? Tymczasem człowiek tego nie dostrzega, nie widzi, nie rozumie, dopiero gdy będzie całkiem stary, zacznie sobie uświadamiać, że ten najlepszy dzień w życiu wydarzył się bardzo dawno temu, on zaś go przegapił, nie docenił, bo wciąż czekał na coś lepszego. Mówię nieskładnie, tak? Dziwnie pani na mnie patrzy... Plotę bzdury?

– Nie, Artiomie – odparła Nastia bardzo poważnie. – Mówisz prawdę, a ja patrzę na ciebie ze zdziwieniem.

– Dziwi się pani? – zapytał nieufnie. – Czemu?

– Twojej mądrości. W wieku dziewiętnastu lat okazałeś się silniejszy i mądrzejszy od wielu dorosłych. Ja też zrozumiałam tę myśl i długo ją rozważałam, ale było to całkiem niedawno. Rozumiesz? Mam trzydzieści osiem lat i dopiero teraz dotarła do mnie ta prawda. I jeszcze coś... Wspominałeś, że chcesz zostać kompozytorem. A teraz razem z Denisem postanowiliście się poświęcić dla sprawy doktora Alijewa. Tak łatwo zrezygnowałeś ze swojego marzenia?

Nastia właściwie nie wiedziała, dlaczego o to pyta. Znała odpowiedź, ale chciała się upewnić, że się nie pomyliła. To wręcz nie do wiary, że taki młody człowiek zdobył się na niesłuchanie dojrzały, dorosły krok.

– No cóż, Anastazjo Pawłowna, pomyślałem, że chyba nie warto zostawać muzykiem. Z uwagi na moją chorobę nie zdołam całkowicie poświęcić się komponowaniu, a więc będzie to już nie muzyka, ale... coś na jej podobieństwo. Raczej iluzja muzyki. Krótko mówiąc, będzie to nieprawdziwe. Nie chcę, żeby ludzie widzieli we mnie osobę niepełnosprawną, żeby się litowali i myśleli, że jestem dzielny: „niewidomy, mimo to gra” i tak dalej. Żeby z litości kłamali, zapewniając mnie, że piszę świetną muzykę, która w gruncie rzeczy

będzie kiepska. Nie chcę, żeby tak się stało. Nie chcę się dręczyć podejrzeniami, że otaczający mnie ludzie są nieszczery. Więc znalazłem coś, co mogę robić niezależnie od moich oczu, rozumie pani? Denis będzie ze mną, jego też to interesuje. Kiedyś może wrócę do muzyki. Sama mi pani przecież mówiła, że ludzie zmieniają swoje zainteresowania. Jutro będzie to znowu muzyka, a dzisiaj to... coś innego.

Nie powiedział „przyjaźń” ani „Denis”. Powiedział „coś innego”, intuicyjnie i taktownie unikając patosu.

To wręcz nie do wiary, myślała Nastia, wracając ze szpitala do domu. Skąd to się wzięło u młodego chłopca? Nie wszyscy dorośli są do tego zdolni. Ale podobno dzieci, które długo niedomagają, dojrzewają i mądrzeją o wiele wcześniej, mają odmienną mentalność. Patrzą na świat zupełnie innymi oczami.

Nastia jechała metrem i myślała, że są różne rodzaje zazdrości. Że przejawia się ona na dwa sposoby: albo to likwidacja rywala, albo uzyskanie nad nim przewagi. Pierwszy sposób wydaje się łatwiejszy, dlatego jest częściej wybierany. Ograniczyć kontakty ukochanej osoby z tym, o kogo jest się zazdrosnym, kontrolować każdy jej krok, zmuszać do zdawania relacji z każdej minuty i z każdego telefonu. Wysłać gdzieś rywala, jeśli to możliwe. Wywieźć ukochaną osobę w inne miejsce, do innego miasta albo kraju. Skompromitować rywala, opowiadając o nim brzydkie rzeczy albo, co jest znacznie łatwiejsze, raz za razem obrzucać go błotem i niszczyć mu reputację. Można wreszcie zabić drania. Rozwiązań jest sporo, ale sedno pozostaje bez zmian: chodzi o to, by uniemożliwić ukochanej osobie kontakt z tym, kto ją interesuje i jest jej droższy. Tak naprawdę to szczyt egoizmu, ale nikt się do tego nie przyznaje. Właśnie tą drogą poszedł pułkownik Jermiłow – doświadczony śledczy, który nie jest bynajmniej nieopierzonym młokosem.

Jest też jednak inna droga: trzeba udowodnić ukochanemu, że nie jest się kimś gorszym, że zasługuje się na miłość, uwagę i szacunek, że przewyższa się rywala. To długa i wyboista droga, wymaga ciężkiej pracy i olbrzymiej cierpliwości. Tylko nieliczni ją wybierają, walcząc o swoją miłość. Szesnastoletni Denis Bażenow ją wybrał. Może niezdarnie, może wszystko robił nie tak, jak trzeba, ale była to właśnie owa droga, mozolna i wyboista. Już za to należą mu się szacunek

i miłość. Dokonując tego wyboru, udowodnił, że różni się od wielu innych, i to na korzyść. Jest dobrym człowiekiem i zasłużył na szczęście.

Czerwiec–lipiec 1998 r.

[\[15\]](#) Chachoł to pogardliwe określenie Ukraińca.

Życie niczym kryminał

Podczas czytania niektórych (nie ma zresztą co kryć – wielu) kryminałów domorosłych autorów przypomina się anegdota o nowym Rosjaninie, który, znalazłszy się w Galerii Tretiakowskiej, na pytanie przyjaciela: „No i jak?”, z wzruszającą prostodusznością odpowiada: „Całkiem, całkiem. Ubogo, ale czysto...”.

I rzeczywiście, ich fabuła jest na ogół zadziwiająco czysta, to znaczy prosta: przestępca się ukrywa, detektyw szuka, przy czym owa niewymyślna strawa doprawiona jest solidną porcją makabrycznych scen (tortury w piwnicy podmiejskiej willi, diabelskie eksperymenty w tajnym laboratorium, w krętych korytarzach podziemi i tak dalej), solidną porcją seksu (długonogie blondynki, naiwne panienki, które przez głupotę trafiły w sam środek kryminalnych porachunków, doświadczone hetery-kusicielki i tym podobne) oraz wieloma aluzjami do bieżącej sytuacji politycznej, a także pewnych tajemniczych, ale potężnych specsłużb... Najważniejsze, żeby czytelnik zbyt długo się nie zastanawiał, nie szukał logiki w fabule ani w motywacji tych czy innych bohaterów, ale gnał na oślep przez kolejne wątki. Do tego potrzebna jest wartka akcja, nieprzerwana, non stop, z mrocznej piwnicy do łóżka laluni, ze statku na bal, z ognia w płomień... A czytelnik to przełknie. Prosty przepis, niewymyślne danie, niewybredny smakosz (to znaczy czytelnik). Ale... Akurat ze smakoszem sprawa nieco się komplikuje. Okazuje się, że nie jest on taki zwyczajny. Nie da się go, proszę państwa, wziąć na plewy. Trzeba mu podać coś lepszego od hamburgera przygotowanego na rodzimy sposób.

Jakkolwiek patrzeć, powieści A. Marininy biją wszelkie rekordy, zarówno pod względem nakładów, jak i zainteresowania czytelników. W końcu to caryca rosyjskiego kryminału, a nie twórczyni czytań

ociekających krwią i seksem. Oprócz nieskomplikowanych bohaterów (i głównej bohaterki, rzecz jasna) w jej powieściach nie ma żadnego z wyżej wspomnianych elementów. Okropne szczegóły, nieodłączni towarzysze każdego przestępstwa, serwowane są bez jęków zachwytu. Jest tylko to, co niezbędne w sprawie. Sceny seksu w odpowiedniej chwili rozpływają się we mgle (jak w starych, dobrych i przyzwoitych filmach). Brutalne epizody nie napierają na siebie jak szalejące morskie fale. Są za to obszernie opisy przyrody (na przykład upału w *Harmonii zbrodni* albo ciągnącej się w nieskończoność moskiewskiej jesieni niemal w każdej powieści), rodzinnych perypetii wzmiankowanej Kamieńskiej albo Siełujanowa, jest analiza stosunków w zespole Gordiejewa Pączka i drobiazgowe studium psychiki tej czy owej postaci.

W sumie normalne życie. Transport publiczny, codzienne problemy, rodzinne święta. Bohaterowie Marininy żyją jak inni, jak my wszyscy, zwyczajnie pracują.

Ale oprócz tego myślą. I nie jest to domena wyłącznie Kamieńskiej, analityczki z talentem otrzymanym od Boga. Przestępcy również myślą. Nie są w ciemię bici i znają się na swojej robocie. „Gdybym nie miał wyobraźni, nie doprowadziłbym żadnej sprawy karnej do końca...” – mówi jeden z bohaterów *Harmonii zbrodni*, który jest tutaj i śledczym, i przestępcą. Kamieńska też nieustannie myśli... Tymczasem okazuje się, że ta jej właściwość ogromnie imponuje czytelnikowi; okazuje się, że on też ma ochotę myśleć razem z dziwną panią podpułkownik. Bo myślenie i współuczestnictwo sprawiają mu przyjemność. Nie taką jak z bezmózgim robotem, który sprawnie macha pięściami oraz innymi częściami ciała. „Gdzie dowody?” – słyszy Kamieńska. „Nigdzie” – odpowiada ze znużeniem, odrywając się od logicznie nakreślonego, psychologicznie uzasadnionego, jedynie słusznego obrazu przestępstwa, który powstał w jej umyśle. Obraz jednak istnieje, a to znaczy, że pojawią się też dowody. Jak je zdobyć? Kamieńska będzie się głowić. A razem z nią czytelnik. On może nie wpaść na żaden pomysł, za to wnioski Anastazji wprawiają go w szczyry zachwyt. Bo przecież Marinina nie zwodzi czytelnika, daje mu wszystkie (albo prawie wszystkie) karty do rąk – masz, proszę, myśl. Może właśnie na tym, że nie zwodzi, lecz myśli i skłania ku myśleniu, polega sekret sukcesu jej utworów? A może na tym, że uchwyciła charakterystyczną

cechę naszych czasów: wszyscy żyjemy (wystarczy się tylko rozejrzeć) jak w powieści kryminalnej, bez przerwy dzieje się coś niedobrego, tymczasem zbrodniarz pozostaje anonimowy, zakończenie też jest nieprzewidywalne. My jednak wciąż żyjemy, cierpimy z powodu męczącego upału i długiej moskiewskiej jesieni, cieszymy się z drobnych codziennych sukcesów, próbujemy zrozumieć, co dzieje się z nami i wokół nas...

Życie niczym kryminał.
A kryminał to nie bajka.

Siergiej NIKOŁAJEW